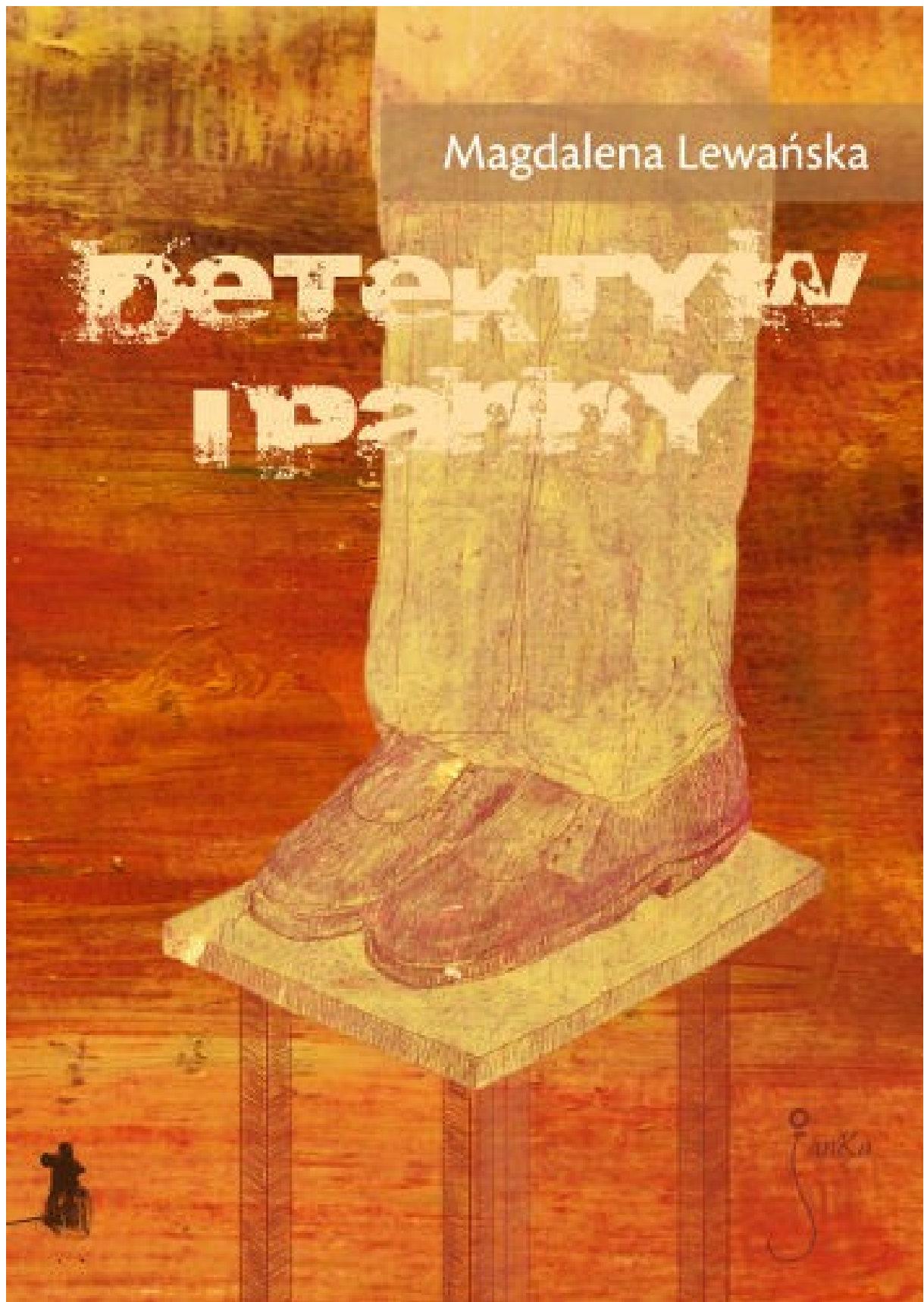


Magdalena Lewańska

DETAKTYW IPZAKRY



Magdalena Lewańska

Detektyw i panny

Część pierwsza

CHIŃSKI KURCZAK

Dirk Tielke zegnał Hamburg bez żalu. Dwie zapakowane torby podróżne, jeden plecak i jedno duże pudło po bananach stanowiły jego niemal cały ruchomy dobytek. Zmieściły się bez problemu w bagażniku golfa. Zamknął samochód i spojrzał z powątpiewaniem na kartkę z napisem PRZEPROWADZKA, którą przykleił na szybie, żeby ułagodzić kolegów z drogówki. Zaparkował w drugim rzędzie, co ruchu nie blokowało, ale jak znał ziomków, wystarczyło całkowicie, by któryś chwycił komórkę i wezwał policję - co drugi przejeżdżający kierowca naciskał klakson. Dirk wpadł do bramy, popędził na trzecie piętro, obrzucił umeblowany apartament ostatnim spojrzeniem, podniósł donicę z bardzo liściastą rośliną i zatrzęsął drzwiami. Schodził po schodach, ostrożnie stawiając stopy. Bardzo liściasta roślina, której nazwy jeszcze się nie nauczył, kołysała mu się gęsto i zielono przed oczami. Dirk dostał ją poprzedniego dnia od zegnającego gozespołu na przyozdobienie swojego nowego biura.

Kiedy wyszedł przed bramę, natychmiast zauważył politesse stojącą przy golfie.

- Cześć Gina. Jesteś tu służbowo czy prywatnie? - spytał, sam nie będąc pewny, co by wolał. Mandat za złe parkowanie czy scenę pożegnalną.

- Wyglądasz, jakbyś się chciał przede mną schować za tym

krzakiem. - Roześmiała się. - Chodź, nie zrobię ci krzywdy. Tylko udaję, że piszę mandat. No chodź, przypnij roślinkę na przednim siedzeniu i daj się ostatni raz pocałować.

Cenił w Ginie jej beztroską niezależność.

- Nie rozstajemy się przecież na zawsze. Będziemy telefonowali.

Odwiedzisz mnie chyba w Kirchdorfie?

- To raczej ty wpadniesz kiedyś do Hamburga, jak ci się znudzą wiejskie krowy - odparła nieco dwuznacznie. - Nie cierpię wsi.

- Kirchdorf jest miastem. - Przyszły szef policji gminy Kirchdorf uniósł się honorem.

Po dwóch godzinach jazdy Dirk zaczął się niepokoić. Tuż za Hamburgiem zjechał z autostrady i zaraz potem zaczął błądzić po coraz rzadszej sieci coraz bardziej podrzędnych dróg. Gdzieś wśród lasów, łąk i pól drzemało miasteczko Kirchdorf. Przed laty wewnątrzniemiecka granica odcięła je od świata i świat prędko o nim zapomniał.

Zjednoczenie nie przyniosło żadnych zmian, większe szosy i autostrady zbudowano już dawno gdzie indziej.

Dirk zwolnił, szukając dogodnego miejsca do zawrócenia. Wąska, obsadzona starymi lipami aleja kiedy indziej może zachwycałaby go swoją malowniczością, ale teraz, w trzeciej godzinie podróży, zaniepokoiła go tylko. Takie aleje istniały podobno już wyłącznie na terenie dawnej NRD. Czyżby aż tak zablądził? Nagle za zakrętem zażółcił się drogowskaz: Kirchdorf 3 km. Dirk skręcił w jeszcze ciaśniejszą aleję. Nagie gałęzie tworzyły zwarty dach, w

upalne lato błogosławieństwo dla kierowców. Grube pnie w perspektywie przypominały częstokół, niektóre nosiły ślady spotkań z samochodami.

Dirk rzucił okiem na szybkościomierz. Sześćdziesiąt kilometrów na godzinę? Widocznie zwolnił machinalnie. Ciekawe, ile już takich alej zrabano w trosce o kierowców, którzy nie potrafili zrezygnować ze swego prawa do szybkiej jazdy.

Aleja, wpadłszy do miasteczka, przeobraziła się w ulicę. Minęła zabudowania jakiejś fabryki, potem kilka domków jednorodzinnych i natychmiast zginęła w rozległym rynku. Otaczały go budynki z przeróżnych epok. Na środku stał średniowieczny ratusz, przed nim renesansowa fontanna, teraz, w zimie, nieczynna, trochę z boku biały barokowy kościół. Samochód Dirka sunął powoli trasą wytyczoną niebieskimi strzałkami. Kirchdorf rzeczywiście nie okazał się metropolią. Czy w ogóle żyli tu jacyś ludzie?

Dwie wąskie kamieniczki tuliły się do siebie - w jednej mieścił się zakład fryzjerski, w drugiej komisariat policji. Dirk Tielke zatrzymał się na parkingu obok śmiesznego otwartego samochodziku pomalowanego w kolorowe wzorki; dalej stał osypany nocnym śniegiem radiowóz - nikt widać nie musiał nim wyjeżdżać. Nad drzwiami komisariatu wisiał granatowy, podświetlany szyld: Policja. Spokój miejsciny zaskoczył Dirka, dziecko wielkiego miasta, i onieśmielił.

Sprzątaczką w różowym kitlu starannie zamiatała schodki. Widząc wysiadającego Dirka, uśmiechnęła się szeroko i kijem od

miotły zastukała w okno.

- Pan inspektor przyjechał! - krzyknęła.

Na ten sygnał otworzyły się drzwi i pojawił się w nich jakiś mężczyzna, wyciągając do Dirka dłoń w serdecznym geście.

- Remmel, burmistrz Kirchdorfu - powiedział. Wprowadził zaskoczonoego policjanta do przyozdobionego balonikami biura, gdzie tłoczyło się wiele uroczyście ubranych osób, i rozpoczął prezentację.

Dirk potrząsał dłonie miejskich radnych, weterynarza Krugera, nauczycielek szkolnych i wychowawczyń przedszkolnych. Sprzątaczką w różowym kitlu miała na imię Helga. Rozchichotane fryzjerki z sąsiedztwa obiecały masaż twarzy jako premię za pierwsze strzyżenie.

Hauptwachtmeister Frank Roth, drobny, pryszczaty policjancik, przyszedł podwładny Dirka, oznajmił, że wszyscy trzej kolejni szefowie byli w pełni zadowoleni z jego działalności, ale nim sprecyzował, na czym ta działalność polegała, Remmel pociągnął Dirka dalej.

Staruszka o nazwisku Nemitz wręczyła Dirkowi dwa nieporęczne żelazne klucze.

- Ten jest od bramy, a ten od mieszkania. Lukas pana zaprowadzi, prawda, Lukas?

- Jasne, jasne - zgodził się miejscowy dziennikarz, Lukas Sauerkirschgarten, i dalej błyskał fleszem.

Młoda dziewczyna, którą przedstawiono jako panią Dobrzańską ze stacji ekologicznej, wcisnęła Dirkowi do rąk broszurkę na

szorstkim papierze i zaraz sobie poszła; Dirk widział przez okno, jak wsiadała do kolorowego pojazdu.

Uroczystości powitalne na cześć nowego komisarza, połączone z oprowadzaniem go po miasteczku, trwały niemal cały dzień.

W końcu burmistrz pożegnał się, by wrócić do ratusza, Dirka zaś przejął Lukas i zadbał o to, by ten pierwszy dzień zakończył się jeszcze milej, niż się zaczął, w zmienionym nieco towarzystwie w Ratuszowej przy kuflu piwa.

Dopiero późnym wieczorem Dirk i bardzo liściasta roślina znaleźli się na swoich nowych śmieciach, w umeblowanym mieszkanku na poddaszu starej kamieniczki zbudowanej z drewna, gliny i słomy.

Padł na łóżko, zadowolony z dnia, gotów pokochać Kirchdorf i jego mieszkańców.

Dirk pracował dotychczas w trudnych kryminalistycznie okręgach, był zdolny i chętny, więc dość szybko wspinał się po stopniach kariery. Gdy zaproponowano mu objęcie komisariatu w Kirchdorfie, nie wątpił, że nowe zadanie w krótkim czasie zapewni mu rozgłos i sławę. Nie wątpił, że wybór, który na niego padł, oznacza uznanie dla jego umiejętności. Wspaniałe powitanie pochlebilo mu i upewniło go w tym mniemaniu. Po przeczytaniu artykułu na pierwszej stronie „Głosu Kirchdorfu”, w którym Luk entuzjastycznie chwalił decyzję powołania na stanowisko szefa policji młodego, lecz posiadającego już doświadczenie komisarza, Dirk stracił poczucie rzeczywistości. Jeden z programów telewizji wznowił

właśnie emisję filmów z inspektorem Columbo, Dirk kupił więc sobie odtwarzacz i stos kaset, uzupełnił także biblioteczkę z literaturą detektywistyczną i z ufnością rozpoczął oczekiwanie na pierwszą własną zagadkę kryminalną, której rozwiązaniem zamierzał zadziwić świat.

Tak mijały tygodnie. Skończyła się zima, zazieleniły się okoliczne lasy, a w serce Dirka zaczęło się wkradać z wątpienie. W Kirchdorfie nic się nie działo. Nikt nie upijał się ponad miarę, nikt nie demonstrował, nie kradł i nie mordował. Miasteczko leżało na uboczu, z dala od przestępczo zasobnych metropolii. Dirk nie miał co robić.

Najciekawszym zajęciem stały się prelekcje dla dorosłych o zapobieganiu przestępstwom. Coraz częściej jednak, gdy spoglądał w szczere i przyjazne twarze swojego audytorium, musiał opędać się od myśli, że deprawuje niewiniątka, opowiadając o zbrodniach i zgniliźnie panującej w prawdziwym świecie. Istniał jeszcze jeden rodzaj zajęcia dla policjanta w Kirchdorfie: nauka zachowania się na jezdni dla młodocianych rowerzystów, kontrole rowerów uczniów w szkole, a także nauka przechodzenia przez jezdnię dla przedszkolaków.

Dirk wzgardził początkowo pracą godną początkującego policjanta z drogówki, a teraz było za późno. Do tego działu bowiem rościł sobie prawo i strzegł go zazdrośnie Frank Roth, pryszczaty wypłosz.

Wreszcie Dirk przestał się łudzić. Zrozumiał, że nie potrzebowano w Kirchdorfie ani jego kryminalistycznej intuicji, ani

wybitnych umiejętności w strzelaniu czy walce wręcz. Potrzebowano kogoś młodego, z perspektywą długoletniej służby. Spokojni obywatele

Kirchdorfu dość mieli zmian szefów policji co trzy, cztery lata.

- Tak się cieszymy, że pozostanie pan u nas na długo - powiedziała niedawno Petra, właścicielka Ratuszowej, piwiarni, do której Dirk nauczył się uczęszczać co wieczór. - Zawsze przysyłali nam dziadków na ostatnie lata przed emeryturą. Chwalili to sobie bardzo, bo tak tu u nas spokojnie; i owszem, lubiliśmy ich, brali udział w życiu towarzyskim, udzielali się, jak mogli. Ale co z tego? Przyzwyczajaliśmy się do nich, a potem było żal, gdy odchodzili. Jeden nawet umarł przy biurku w komisariacie, a inny tu u mnie dostał zawału. A pan młody, zdrowy, mnie jeszcze przeżyje...

Myśl, że przesiedzi tu aż do emerytury, przeraziła Dirka, a ponieważ był jeszcze bardzo młody i pełen energii, tym bardziej przerażająca wydawała mu się-myśl, że znajdzie kiedyś w takim spokojnym i nudnym życiu upodobanie. Czasami, gdy po załatwieniu skromnej rutyny dnia siedział beczynnie w biurze, zdarzało mu się popadać w dziwny stan, rodzaj snu na jawie. Widział wtedy siedzącego przy biurku siwego staruszka o rysach twarzy podejrzenie podobnych do jego własnych. Staruszek ów trwał dzień cały w martwym bezruchu. Poza jedyną chwilą z samego rana, gdy pełnym namaszczenia gestem odwracał kolejną kartkę kalendarza na rok 2040. Czy stary policjant się nudził, trudno powiedzieć, gdyż dawno już stracił cały swój wigor, nie bronił się... Około południa starzec

zwracał puste spojrzenie w stronę sąsiednich drzwi. Nigdy nie czekał długo. Drzwi otwierały się i wpuszczały postarzałego, lecz ciągle jeszcze pryszczatego Franka Rotha. Tak było i dzisiaj. Przygarbiony Roth przechodził właśnie przez pokój, dźwigając naręcze kasków ochronnych dla rowerzystów. On miał jeszcze co robić... Staruszek przy biurku powiódł za nim zawistnym spojrzeniem. Trzasnęły drzwi, postać przy biurku bezwładnie runęła na blat. Wiekowy kurz, pokrywający

Dirka grubą warstwą, wzbił się gęstą chmurą i na długi czas zasłonił wszystko. A gdy opadł, nie było już Dirka, tylko kurz - jednolity szary kurz...

Przy lepszej pogodzie po uczciwie przespanej nocy i smacznym śniadaniu z kawiarni Dirk potrafił także inaczej marzyć. Śnił wtedy o skomplikowanych przestępstwach, o niewyjaśnionych morderstwach, o sobie samym w roli Columbo, o wielkich czynach i ciekawych akcjach.

Na rzeczywiste nie mógł liczyć. Coraz częściej przekonywał się, że gmina Kirchdorf nie jest glebą rodzącą zbrodnię. Przeciwnie, miasteczko zdawało się wszelką zbrodnię odpychać. Przekonanie to narodziło się późną wiosną, w dniu, który rozpoczął się pięknie i obiecująco, bo nagle zaczęło się coś dziać. Nie u Dirka wprawdzie, ale szanse na import występku młody komisarz szacował na duże i z każdą godziną jego nadzieje rosły.

W dużym mieście, oddalonym o sto kilometrów od praworządnej gminy, trzech zamaskowanych bandytów napadło na

bank. Zrabowali sporą sumę pieniędzy, wzięli zakładników, czym w trwających piętnaście godzin pertraktacjach wymusili samochód do ucieczki, a następnie ruszyli w świat. Policja towarzyszyła im w dyskretnej odległości, usiłując zapanować nad dzikimi hordami przedstawicieli prasy, radia i telewizji. Dirk nie odchodził od telewizora. Wraz z całym społeczeństwem w napięciu śledził trasę ucieczki.

Zygzakami, to wolniej, to szybciej, obserwowane auto przybliżało się do Kirchdorfu. W Dirka wstąpiło życie. Czuł, jak z każdym kilometrem ubywającym z dystansu dzielącego go od przestępców nabiera pewności siebie i spokoju. Postanowił włączyć się do akcji, działać. Zażądał posiłków i otrzymał je. Bezbłędnie wytypował najodpowiedniejsze miejsce na urządzenie zasadzki i urządził ją. Planował zablokować uciekinierów w krótkim, więc niewinnie wyglądającym przejeździe pod torami kolejowymi i tam za pomocą gazów łzawiących unieszkodliwić. W ten sposób uniknąłby niebezpiecznej walki o wyzwolenie zakładników. Wiedział, że pracuje dobrze, wiedział, że ma możliwość wykazać się swoimi organizatorskimi umiejętnościami.

Mylił się jednak, los poskąpił mu tej szansy. Ukryty w krzakach niedaleko zasadzki obserwował szosę wijącą się po płaskim terenie.

Nie odejmował lornetki od oczu, z napięciem wpatrując się w horyzont. Nagle z ust jego wyrwał się szczęśliwy, choć cichy, okrzyk.

Znany mu z telewizji samochód pojawił się w zasięgu wzroku. To znaczy lornetki. Kiedy pojazd minął ostatnie skrzyżowanie,

ostatnią możliwość ominięcia Kirchdorfu, Dirk zaczął niemal świecić własnym blaskiem. W tym stanie dane mu było przeżyć dwie upojne minuty. Zaledwie kilometr przed granicą gminy Kirchdorf auto bandytów bez żadnego widocznego powodu wpadło w poślizg i zjechało do rowu. Nikomu nic się nie stało, ale przemęczeni, niewyspani i zestresowani porywacze doznali szoku i nie stawiając już oporu, dali się połapać jadącym za nimi policjantom.

Jak bańka mydlana prysnął sen o sławie. Dirk Tielke obudził się nagle i wydorosłał. Tamtego dnia zdecydował, że zawsze już będzie umiał odróżnić marzenia od rzeczywistości i postanowił zacząć szczerze się cieszyć z niewinności powierzanej mu trzódki. Zamiast bujać w obłokach czytał dobre kryminały i oglądał przygody inspektora Columbo. Niestety, nadal trochę mu się nudziło.

Lato 1996

Starzec odłożył słuchawkę, przysunął kalendarz i odwrócił parę stron. WYWIAD „Die Zeit” - wpisał. Trzeba będzie dobrze się przygotować - spojrzał w stronę szafki, w której przechowywał kopie akt pacjentów, dokumentację kilkudziesięciu lat pracy.

Dziennikarz, który dzwonił, pisze reportaż o szpitalu dziecięcym.

Karl-Heinz Semmler należał do jego założycieli, to było zaraz po wojnie.

Trzeba tylko uważać, żeby nie wymienić nazwiska K., u którego odbywał staż. Doskonały lekarz i naukowiec, dawno już zmarł w więzieniu, skazany przez sąd aliancki na dożywocie. Jemu samemu

udało się wtedy wybronić - rzeczywiście nie brał czynnego udziału w eksperymentach na bezwartościowym materiale ludzkim, a to, że przesiąkł ideologią nazistowską, uznającą eutanazję, i nie zmienił poglądów, potrafił ukryć. Nie on jeden zresztą. No, w każdym razie z tym dziennikarzem trzeba będzie uważać; Semmler zdawał sobie sprawę, że się postarzał i nie panuje już dobrze nad tym, co mówi, a co zataja. Inna rzecz, że już od lat nikt go o nic nie pytał, nudne jest życie samotnego emeryta; może właśnie dlatego tak chętnie zgodził się na ten wywiad.

Ktoś cicho i nieśmiało zapukał do drzwi. Gdyby Dirk nie stał akurat w pobliżu, pewnie by nic nie usłyszał. Zamiast powiedzieć proszę, po prostu otworzył drzwi, czym bardzo przestraszył stojącą za nimi osobę. Młoda ciemnowłosa kobieta cofnęła się gwałtownie, jakby zamierzała uciec.

- Pani pukała? - spytał Dirk niepotrzebnie, bo jej dłoń ze zgiętym środkowym palcem nie zdążyła jeszcze opaść, wisząc w powietrzu jak echo usłyszanego dźwięku.

Skinęła głową.

- Do mnie? - zapytał z nadzieją, że odpowiedź będzie twierdząca.

Po pierwsze, dziewczyna była ładna, chyba widział ją już kiedyś z daleka... Po drugie, cokolwiek ma mu do powiedzenia, zrobi wyłom w zwykłej rutynie. Nawet jeśli jest tylko przedszkolanką, która chce się umówić na naukę przechodzenia przez jezdnię, pomyślał. Maluchy zostawimy Frankowi, a sami pójdziemy na kawę. Uśmiechnął się do

swoich myśli.

Nieznajoma odwzajemniła się nerwowym uśmiechem.

- Czy pan jest tu najważniejszy? - szepnęła.

- Tak, jestem szefem tutejszej policji - odpowiedział wesoło.

Ruchem ręki zaprosił ją do środka i podsunął krzesło.

Usiadła i spojrzała na niego bezradnie, zrozumiał więc, że powinien ułatwić jej sprawę, sam rozpoczynając rozmowę.

- Popełniła pani zbrodnię? Muszę panią zaaresztować? - zażartował, aby rozładować napięcie. Nie przypuszczał, aby sprawa, z którą ta kobieta przyszła, mogła być poważna. Od kiedy tu pracował, od ponad pół roku, czyli po prostu nigdy jeszcze nikt nie przyszedł do niego w poważnej sprawie. Dlatego też zdziwił się bardzo, ujrawszy efekt, jaki wywołał tym niewinnym pytaniem.

Dziewczyna zerwała się z krzesła, po czym klapnęła na nie zrezygnowana, a jej twarz pokrył rumieniec.

- Czytałam cudze listy - wyznała bez wstępu.

Dirk odwrócił się gwałtownie do okna, przygryzł wargę, żeby się nie roześmiać, a potem zapytał spokojnie:

- Jest pani pewna, że nie pomyliła budynków? Znajdujemy się w komisariacie policji. Kościół z konfesjonałem jest po drugiej stronie rynku.

- Nie, nie. Ja chciałam przyjść do pana, na policję, bo to może być ważne z tym listem.

Dirk chrząknął.

- Chce pani złożyć samooskarżenie?

Choć sytuacja bawiła go, czuł się trochę zawiedziony. Osoba o tak wrażliwym sumieniu na pewno nie będzie łatwą znajomością.

A szkoda, naprawdę jest ładna.

- Wahałam się, czy przyjść, bo wiem, że czytanie cudzej korespondencji jest karalne. Ale wreszcie zdecydowałam się ponieść konsekwencje, jeśli to będzie konieczne, bo tylko w ten sposób mogę pomóc w wyjaśnieniu jednej zbrodni. Może też da się zapobiec następnym.

Dirk westchnął zrezygnowany. Wariatka? - pomyślał, a głośno powiedział:

- O jakiej zbrodni pani mówi? O ile wiem, od kilkudziesięciu lat nie było tu żadnej zbrodni.

- Ale... Ale niech mi pan najpierw powie...

- Co?

- Co będzie ze mną...

- Nie rozumiem.

- No, z tymi listami, z tą tajemnicą korespondencji...

- Czyje to listy? Kto jest adresatem?

- Moja ciotka, Marta Krause.

- To od niej zależy, czy poda panią do sądu.

- Na pewno nie poda. Bo widzi pan, ona... nie żyje.

- Zamordowana? - ucieszył się Dirk, sam nie wiedząc dlaczego.

- Co? Ciotka? Ach nie, nie. Ona już była bardzo stara. Umarła zupełnie naturalnie miesiąc temu.

Dirk znów musiał przygryźć wargę.

- A więc problem rozwiązany. Mogę panią uspokoić, że nic jej nie grozi. - Uśmiechnął się do wciąż jeszcze zaniepokojonych wielkich oczu i zpatrzywszy się w nie, odsunął od siebie wszelkie wątpliwości. To nic, że trochę narwana. To nic, że przewrażliwiona. Ale prześliczna... Najwyższy czas znów zacząć interesować się kobietami.

Gina nie odwiedziła go w Kirchdorfie ani razu. On ją w Hamburgu tylko raz, a i to spotkanie było, delikatnie mówiąc, mało zadowalające. Od dawna już nie czekał na jej telefon ani sam nie dzwonił.

Tak, najwyższy czas na nową orientację w tej materii. Uniósłszy się bezwiednie w krzesło, Dirk wychylił się ponad biurkiem i z zadowoleniem stwierdził, że dziewczyna nogi też ma niezłe. I nie chowa ich pod spodniami. I patrzy na niego z podziwem i zaufaniem.

- Poszłaby pani ze mną na obiad? - zapytał bez ogródek, obchodząc biurko. - Mam właśnie przerwę.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, nie teraz. Ja jeszcze nie skończyłam. Ja nawet jeszcze nie zaczęłam.

- Jeszcze jakieś grzechy?

- Nie moje! - odzegnała się z przejęciem.

Dirk zdał sobie nagle sprawę, że nie tylko ona ma kłopot z dojściem do sedna sprawy. Zrozumiał, że zrobił dotychczas wszystko, aby jej przeszkodzić w zeznaniach, jeśli je chciała złożyć. Zmieszany tym odkryciem, wrócił za biurko i zaproponował rzeczowo:

- Może opowie mi pani wszystko od początku. I po kolei. Będę robił notatki.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, wyjęła z torebki białą kopertę, położyła ją na blacie i przykryła dłonią. Potem odchrząknęła, poprawiła się na krześle i zaczęła:

- Nazywam się Alke Fink. Moja ciotka, Marta Krause, przez wiele lat pracowała w ośrodku dla niepełnosprawnych. Pracowała jako salowa, ale ponieważ bardzo lubiła te dzieci i sama też była lubiana, zajmowała się nimi często więcej, niż to było wymagane. Ja też jej wiele zawdzięczam. Wzięła mnie do siebie, gdy moi rodzice zginęli w wypadku, i zamiast zażywać wypoczynku na emeryturze, przeprowadziła mnie z powodzeniem przez najtrudniejszy okres mojego życia. To było już dawno, ale do późnej starości dostawała listy i kartki od byłych wychowanków tego domu. Już od prawie dwóch lat ciotka była dementna, nie poznawała nawet mnie, nie czytała już tych kartek, ale cieszyła się nimi, bawiła i chętnie je oglądała.

Gdy umarła, nie wytrzymałam i z ciekawości otworzyłam kilka listów. Było mi bardzo wstyd, że to robię, ale rozumie pan, tak długo patrzyłam na te zaklejone koperty, dotykałam ich prawie codziennie, sortowałam, układałam. Chciałam wreszcie wiedzieć, co jest w środku. Zawsze miałam nadzieję, że ciotka każe mi je otworzyć i przeczytać, ale ona już chyba nie bardzo wiedziała, co to takiego listy, i nie pamiętała, że wewnątrz koperty coś jest. Oczywiście te listy okazały się bardzo nieciekawe i zwyczajne. Z wyjątkiem tego. - Alke

podniosła dłoń, odkrywając białą wybrudzoną kopertę z napisanym na maszynie adresem. - Tam jest napisane... on pisze, że... Zresztą niech pan sam przeczyta - podała Dirkowi list.

Rozchylił kopertę i wyjął tekst, czysto wydrukowany na komputerowej drukarce.

Najdroższa Pani Marto!

Wiem nareszcie, kim jestem i komu „zawdzięczam” to spaskudzone życie. Ukrywali to przede mną, bo wiedzieli, że gdy się wszystkiego dowiem, będę musiał się zemścić i odebrać, co mi się należy. Oni też mi za to zapłacą. Nawet Pani zabronili mi o tym mówić, pamiętam, jak powiedziała Pani kiedyś „biedny mały, gdyby on wiedział”. Domyśliłem się wtedy, że gdybym wiedział, potrafiłbym zmienić swój los, a Pani mnie żałowała, bo nie chcieli mi na to pozwolić.

A teraz oni sami dali mi klucz do ręki. Nie jestem już ich wychowankiem, pracuję tu. Przez cały dzień siedzę przy komputerze. Nauczyle mnie tego, bo sądzili, że mnie w ten sposób odizolują od ludzi, którzy mogliby mi powiedzieć prawdę. Śmieję się z tego, bo to właśnie ludzie zawsze mnie okłamywali, a komputer mówi prawdę, jeśli wiedzieć, jak o nią zapytać.

Tu w aktach znalazłem mało, to samo, co oni mi już powiedzieli, że matka zmarła przy moim urodzeniu, że ojciec, który nie był jej mężem, nie chciał się do mnie przyznać i że zawsze byłem chorowity, często operowany. To nie jest kłamstwo, ale też nie cała prawda, jak

Pani wie.

Niektóre informacje, te mało istotne, dostępne były dla każdego, jesteśmy przecież w internecie. Ale ja potrafię dużo więcej. Znam się dobrze na komputerach, lepiej, niż oni myślą. Nie śpieszyłem się. Powoli szukałem i znalazłem wszystkich. To już tyle lat i prawie wszyscy oni są już starzy, ale to nie uwalnia ich od odpowiedzialności. Prawda?

Jako pierwszy zapłaci ten, który biologicznie jest moim ojcem. Gdybym nie był sierotą bez rodziców, nigdy nie zrobiono by tej okropnej operacji. No dobrze, operację pewnie by zrobiono, ale nie zostałem tak straszliwie okaleczony.

Zabiję go. Pani się nie dziwi, Pani Marto, Pani wie, że tak musi się stać. Nie miał dla mnie serca, więc wytnę mu serce, nie chciał na mnie patrzeć, zabiorę mu oczy. Tylko Pani mogę powiedzieć o swoich zamiarach, inni powiedzieliby, że to zbrodnia.

A czy nie było zbrodnią to, co zrobiono ze mną? Nie tylko te operacje i ból. Od niemowlęctwa karmiono mnie lekami. Mówili, że to dla mojego dobra, a przecież już działania uboczne były nie do wytrzymania.

A teraz dowiaduję się jeszcze, że na skutek nadużywania leków mam głęboko idące zmiany osobowości!

Na nich też przyjdzie kolej, ale najpierw tamci. Biorę pod uwagę, że mój sposób dochodzenia sprawiedliwości nie spotka się z aprobatą społeczeństwa i policji. Tak zwana sprawiedliwość zawsze była po stronie innych, nigdy po mojej. Sama Pani wie, że ze mną nikt nigdy się nie liczył, więc i ja z nikim nie muszę się liczyć.

Zaplanowałem wszystko z wielką dokładnością, starannie i powoli.

Myślę, że uda mi się przeprowadzić ten plan do końca, ale muszę być bardzo ostrożny. Dlatego najpierw tamci. Dlatego najpierw ten tak zwany ojciec.

Odczekam potem kilka miesięcy, może rok, i jeśli policja nie domyśli się, że to ja, będę wiedział, że całe przedsięwzięcie się uda.

To było wszystko. List urywał się niespodziewanie, dla nadawcy jednak był zakończony, gdyż pod spodem złożył odręcznie podpis. Rolf. Albo Ralf. Tylko imię. Nic więcej. Dirk odwrócił kopertę.

Nadawcy, rzecz jasna, nie było.

- Wygląda na to, że pani ciotka była jedyną osobą, do której ten Rolf miał zaufanie. Powinna pani go znać.

Alke wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, kto to jest. Ciotka nigdy o żadnym Ralfie nie wspominała. Ale jestem pewna, że należy go szukać wśród byłych wychowanków ośrodka. On tam pracuje, może nawet mieszka. W ośrodku przebywają na ogół dzieci z poważnymi fizycznymi ułomnościami. Tym, które dostają się do ośrodka bardzo wcześnie, brakuje rodzinnego ciepła. Te, które przychodzą później, są dla odmiany bardzo zaniedbane. Prawie wszystkie mają jakieś nabyte skrzywienia psychiczne. Myślę, że ten Rolf jest w rzeczywistości niezdolny do autentycznych kontaktów z ludźmi i zastąpił brak przyjaciół czy kochającej osoby idealnym pojęciem, któremu nadał cechy zewnętrzne ciotki Marty. Nie zdziwiłabym się, gdyby ich

osobisty kontakt sprowadzał się do tego zdania wypowiedzianego kiedyś przez nią: „Biedne dziecko, gdyby wiedział”...

- Zna się pani na tym? - spytał Dirk z niedowierzaniem.

- Na razie nie za bardzo. Kiedy skończyłam szkołę, pracowałam w tym ośrodku przez rok. Rok socjalny, wie pan. Potem zaczęłam studiować psychologię, ale wtedy okazało się, że ciotka nie jest już zdolna do samodzielnego życia i zdecydowałam się po dwóch semestrach przerwać studia i najpierw nią się zająć.

Dirk nie miał ochoty na rozwijanie tematu. Skupiony, przyglądał się przez lupę zamazanemu stemplowi pocztowemu.

- Dwudziestego maja... to trzy miesiące temu... zaraz... Nie! Rok i trzy miesiące. To tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć, nie sześć.

Holthusen czy jakoś tak... Tu niedaleko jest przecież Holthusen?

- Tak, Holthusen. To tam jest ten ośrodek! - wykrzyknęła Alke.

- Gdyby jeszcze wiedzieć, jak się nazywa ojciec tego Ralfa, to za dwadzieścia minut mógłbym zacząć się starać o nakaz aresztowania.

Nie, tak dobrze nie ma. - Dirk zamachał dłonią, co w oczach Alke wyglądało jak odganianie muchy. Nie muchę jednak odganiał, tylko ponętne, nierealne marzenia. - Za dwadzieścia minut mógłbym się wprawdzie dowiedzieć, czy ów ojciec padł ofiarą jakiegoś niewyjaśnionego morderstwa, ale wtedy musiałbym sprawę przekazać kolegom. Holthusen nie należy do mojej gminy.

- A nie mógłby pan sam pojechać do ośrodka, spytać, kto ma na imię Ralf czy Rolf, i zaaresztować go?

Dirk nie dał po sobie poznać, że najchętniej zrobiłby to

natychmiast. Popatrzył na Alke z naganą.

- Już pani wyjaśniłem. Holthusen nie leży w moim zasięgu. Poza tym my tak łatwo nie aresztujemy. Ani za czytanie cudzych listów, ani za to, że ktoś dość dziwny list napisał. Najpierw muszę się dowiedzieć, czy rzeczywiście zostało popełnione przestępstwo. I muszę działać dyskretnie, żeby nie trąbić publicznie, że nie szanujemy tajemnicy korespondencji.

- Więc co pan zrobi? - Oczy Alke były doprawdy duże i pełne zaufania.

Dirk dobrze wiedział, że powinien teraz uprzejmie podziękować dziewczynie i odprowadzić ją do drzwi. Jej rola na razie jest skończona. On sam może przeprowadzić wstępne dochodzenie. Też potrafi poruszać się w internecie, a w przeciwieństwie do podejrzanego

Rolfa nie musi być hackerem, żeby uzyskać informacje z policyjnych komputerów. Jeśli ów Rolf faktycznie pracuje w Ośrodku dla Niepełnosprawnych w Holthusen przy komputerze, to dziecinną igraszką będzie poznanie jego tożsamości, a także nazwiska i miejsca zamieszkania jego ojca. Jeśli okaże się, że ojciec żyje, będzie można odłożyć sprawę do akt, bo chyba jednak nic mu nie grozi. Chyba że...

Rozmyślając tak, Dirk wpatrywał się w Alke, a ona to uśmiechała się, to spuszczała oczy, zażenowana. On poczuł nagle, że natknął się dziś na dwie sprawy, które wywołały w nim zapomniane już prawie bicie serca, i że obie wymykają mu się z rąk. Zagadka tajemniczego

Rolfa albo okaże się tylko makabrycznym żartem, albo trzeba będzie ją przekazać dalej. Ta śliczna Alke powiedziała już, co miała do powiedzenia, i zaraz sobie pójdzie. Nie przyjęła zaproszenia na obiad, a próbować poderwać ją na współpracę w dochodzeniu byłoby dziecinadą... A w ogóle, jak to możliwe, że dotychczas nie czuł braku w Kirchdorfie bliskiej osoby, której mógłby się zwierzyć, w której obecności mógłby głośno porozmyślać. Tak... Nudne i ciężkie jest życie młodego policjanta na głuchej prowincji.

Westchnął smutno i podniósł się z krzesła, zanim jednak zdążył się odezwać, Alke powiedziała:

- Przedtem, pamięta pan, wspomniał pan coś o obiedzie i teraz jestem okropnie głodna. Czy to jeszcze aktualne? A może już panu nie wolno, bo jestem świadkiem?

- Oczywiście, że mi wolno! - rozpromienił się Dirk. - Na imię mam Dirk.

Wyciągnęła do niego smukłą, delikatną dłoń.

- Alke.

Powiedział jej, że potrzeba mu dwudziestu minut. Mówiąc to, wiedział, że zdrowo przesadza, był więc szczerze zadowolony, gdy w rzeczywistości wystarczył mu jeden dzień. Bez najmniejszych przeszkód i kłopotów dowiedział się, że w ośrodku mieszka, a obecnie również pracuje, były wychowanek tej instytucji, Rolf Ahlers.

Ahlers miał dwadzieścia siedem lat i całe życie, poza częstymi pobytami w szpitalach, spędził w Holthusen. Jego ojciec był „nieznany”, ale tylko dlatego, że matka nie zdążyła przed śmiercią

wyjawić jego nazwiska, a mężczyzna wskazany przez sąsiadkę tego ojcostwa się wyparł. Urząd ds. Dzieci zadowolił się analizą krwi, która w tym wypadku niczego z całą pewnością nie potwierdzała ani nie wykluczała. Badań genetycznych wtedy jeszcze nie przeprowadzano.

Właściwie, pomyślał Dirk, należało to odrobić, jakiś ojciec przecież istniał. Ktoś, kto całą odpowiedzialność, tak moralną, jak i finansową, zwał na państwo.

Nazwisko mężczyzny, o którym sąsiadka pani Ahlers twierdziła, że był długoletnim kochankiem zmarłej, brzmiało Peter Nolte i to samo nazwisko pojawiło się w aktach wydziału morderstw policji kryminalnej Hamburga pod datą 29 lipca 1995 jako nazwisko ofiary.

Mordercy nie znaleziono.

Peter Nolte zginął we własnym mieszkaniu w straszliwy sposób.

Najpierw zadano mu silny cios w głowę. Rana była poważna, ale nie śmiertelna. Nolte nie powrócił jednak do przytomności, na co wskazywał fakt, że nie stawiał oporu, choć nie był skrepowany. Przyczyną jego śmierci było pozbawienie go serca. Komisarz główny, Wagner, kiedyś nauczyciel i przez jakiś czas przełożony Dirka, przesłał faksem zdjęcia. Choć czarno-białe, przyprawiły Dirka o mdłości.

Morderca, dysponując jedynie nożem, musiał dostawać się do klatki piersiowej przez jamę brzuszną, a ponieważ raczej nie był fachowcem - ani chirurgiem, ani rzeźnikiem - efekty jego poczynań wyglądały przerażająco. Trupowi brakowało nie tylko serca, morderca

obciął mu także genitalia i wydlubał oczy. Wszystkie te organy zapewne zabrał ze sobą, bo nie było ich na miejscu zbrodni.

Nolte mieszkał w Hamburgu, w mieście, w którym policja nie narzeka na brak zajęcia. Odkrycie Dirka wywołało u Wagnera, szefa policji kryminalnej, pomruk niezadowolenia.

- Musiałeś się w to mieszać? - karmił Dirka. - Po tym Nolte nikt nie płakał, a akta leżały sobie cicho i spokojnie w szafie. Czy ty wiesz, co to oznacza? Dostyc mamy nowych morderstw, a za mało ludzi!

Dirk rozumiał Wagnera, ale nie mógł przyjąć jego słów. Jakże niesprawiedliwy jest los, który nową ciekawą pracę podrzuca komuś, kto ma cały stos podobnych spraw do rozwiązania, podczas gdy

Dirk dzień w dzień poziewuje przy biurku z nudów, dłubie w nosie, a za wielkie wydarzenie miałby przeprowadzanie maluchów przez jezdnię, gdyby go Frank Roth dopuścił.

Podzielił się tymi myślami z byłym szefem. Były szef przyznał mu rację, a w jego głosie zabrzmiało coś, co pozwoliło Dirkowi przedstawić pewną propozycję. Wagner wahał się krótko. Gdyby nie znał

Dirka, na pewno by tego nie wziął pod uwagę, ale tak...

Stało na tym, że Dirk może, na ile mu inne obowiązki pozwolą, sam zabawić się w detektywa. W odpowiednim momencie Wagner wkroczy do akcji. I zbierze oczywiście wszystkie laury... Ale na to nie było już rady.

Czwartek

Gminy Kirchdorf i Isebrück aż prosiły się o uporządkowanie.

Holthusen należało administracyjnie do Isebrück, lecz jego mieszkańcom bliżej było do Kirchdorfu. Odwrotnie rzecz się miała z Dunkelmoor. Radni obu gmin od dziesięcioleci dyskutowali nad tym problemem, spowodowanym jakimiś prehistorycznymi powikłaniami. Dyskutowali bez zbytniego przekonania, gdyż wiadomo było powszechnie, że w razie reorganizacji małe gminy raczej zostaną połączone, niż ich wsie przetasowane.

Tak więc Holthusen, chociaż leżało już poza granicami kirchdorfskiej gminy, nie było za bardzo oddalone. Dirk wybrał się do ośrodka po służbie. Umówił się z dyrektorką na rozmowę, nie wyjaśniając dokładnie, o co chodzi. Nie miał jeszcze okazji poznać pani Edeltraud Funke, ale jej donośny głos zrobił na nim wrażenie.

Mogłaby obejść się bez telefonu, wystarczyłoby otworzyć okno, pomyślał. To ona wyznaczyła czas i miejsce spotkania, chwając

Dirka jednocześnie, że zdecydował się wreszcie złożyć jej wizytę. „Cieszę się, że cię poznam, młodzieńcze”. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście tak się do niego zwróciła? Dirk nie cierpiał na przerost ambicji, nie poczuł się urażony brakiem poszanowania, zdziwił się tylko. Przypominał sobie teraz, że widywał już czasem pomarańczowo-czarny mikrobus ośrodka, prowadzony przez dużą i krzepką niemłodą kobietę i że słyszał już kiedyś ten głos grzmiący po rynku. Tak, to musiała być pani Funke. Jadąc golfem do Holthusen, Dirk układał sobie w myśli słowa, którymi rozpocznie rozmowę. Wreszcie, gdy przejechał mostek na Ise, a ciągle jeszcze nie wyszedł poza formułowanie powitania, dał temu spokój.

Wiedział z doświadczenia, że w praktyce nie wyraża się nigdy ani tak mętnie, ani tak górnolotnie, jak mu się właśnie w głowie roiło.

Zdecydował więc i tym razem nie zastanawiać się wcześniej nad doborem słów.

Najbliższa przyszłość pokazała, że postąpił mądrze. Pani Edeltraud Funke nie na próżno od trzydziestu lat kierowała ośrodkiem dla niepełnosprawnych. Potrafiła rządzić i przewodzić. Umiała każdego przejrzeć na wylot i posiadała zdolność stosowania psychologicznych chwytów. Nie oczekiwała od Dirka, że to on rozpocznie rozmowę, ba, Dirk nie musiał się nawet przedstawiać.

Wysiadł z samochodu na słonecznym podjeździe. W tym samym momencie otworzyło się jedno z okien na parterze i wypełniło się niemal całkowicie potężną postacią dyrektorki.

- Dirk Tielke? - usłyszał stwierdzenie raczej niż pytanie. - Niech pan zaparkuje tam, pod drzewami! - Atletyczne ramię wskazało kierunek. - Słońce dziś mocno pali, nie chce się pan chyba potem ugotować w rozgrzanym samochodzie?

Dirk nie chciał. Zaledwie wysiadł z auta, po raz drugi doszło go polecenie:

- Niech pan zamknie na klucz. Nie mamy tu złodziei, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże! - a w chwilę potem: - Korytarzem w lewo i pierwsze drzwi!

Wypełniając te polecenia, Dirk dziwił się sobie, że nie odczuwa ani krztyny sprzeciwu. Ta kobieta budzi respekt. To prawdziwy talent! Z coraz większym zaciekawieniem wyczekiwał chwili, gdy znajdzie

się z nią oko w oko.

Edeltraud Funke stała tuż przy drzwiach.

- Pół roku na pana czekam, inspektorze! Czy nikt ci nie powiedział, młody człowieku, że trzeba złożyć wizytę starej Funke?

- Chwyliła wyciągniętą dłoń Dirka, potrzęsła nią energicznie i puściła dopiero, gdy usadziła oszołomionego policjanta na krześle przy biurku. - Niech pan sobie daruje wykręty! - zawołała, ledwo

Dirk otworzył usta, by zająć stanowisko względem poczynionych mu zarzutów. Roześmiała się pogodnie. - Nic się nie stało! Nie mam do pana żalu. Tylko taki sposób bycia. Nie ma się czego bać!

Dirk odwzajemnił uśmiech.

- Przyszedłem, bo...

Ale pani Funke nie zrezygnowała z roli prowadzącej rozmowę.

- Domyślam się, że nie na herbatę i pogaduszki, bo przyniósłby pan kwiaty. Albo raczej ciastka. Wszyscy wiedzą, że przy pomocy ciastek można się wkraść w łaski starej Funke. No nic, nie zna się pan jeszcze. Sama o tym pomyślałam. - Wskazała stolik w kącie, ładnie nakryty na dwie osoby. - Ale najpierw interes! Dobrze się domyśliłam?

Dirk przytaknął kiwnięciem głowy. Nie zadał już sobie trudu otwierania ust, wiedział, że byłoby to bezcelowe. Pani Funke rozpoczęła więc wywiad. Stawiała pytania, Dirk zaś, po otrzymaniu zezwolenia, grzecznie na nie odpowiadał.

- Prowadzi pan jakieś dochodzenie? W poważnej sprawie?

Chodzi o świadków czy o podejrzanych? Z kim albo o kim chce pan rozmawiać?

- Chodzi o byłego pani wychowanka, a obecnego pracownika Rolfa Ahlersa. Jego ojciec... hm... został zamordowany. Muszę sprawdzić alibi.

- Rolf nie ma ojca. To znaczy nigdy w życiu go nie widział i nie zna jego nazwiska. Może pan ten trop odfajkować.

- Chciałbym z nim jednak porozmawiać. Rozumie pani, rutyna. Muszę to z jego ust usłyszeć.

Pani Funke zmrużyła oczy i wypchnęła językiem policzek.

- To nie tylko rutyna, prawda? Pan ma konkretniejsze podejrzenia? Starej Funke pan nie zwiedzie. Czy to znaczy, że ten smarkacz kontaktował się ze swoim ojcem? Odnalazł go jakoś? Ciekawa jestem. W aktach nie ma nazwiska ojca, ale zawsze myślałam, że gdyby się dobrze przyłożył... Zaangażował detektywa? On sam nigdzie nie wyjeżdża, rzadko nawet wychodzi.

- To on tu jeszcze mieszka?

- Nie w głównym budynku. Mieszkania pracownicze mamy po drugiej stronie parku. Każdy, kto wychodzi do wsi, musi przejść pod moimi oknami. Rolf rzadko wychodzi. Czasem na zakupy, czasem na spacer. Raz tylko spędził pół dnia poza ośrodkiem, poszedł na wycieczkę z plecakiem, ale tu, po okolicy. A gdzie ten ojciec mieszkał? Niedaleko?

- W Hamburgu.

- Uoh! - zachnęła się pani Funke. - To za daleko. No, niech pan

powie, dlaczego go pan podejrzewa, bo że go pan podejrzewa, ma pan napisane na nosie, a ja panu powiem, co dalej. Bo musi pan wiedzieć, że Rolfa tu nie ma! Pojechał na urlop, pierwszy raz w życiu.

Dirk zerwał się z krzesła.

- I dopiero teraz pani mi to mówi?! - krzyknął.

- A co by to zmieniło, gdybym powiedziała wcześniej? - odparła spokojnie. - Wyjechał tydzień temu, więc nie dogoni go już pan na stacji.

- Dokąd wyjechał? Zna pani adres?

- Znam, oczywiście. Mam nawet numer telefonu jego pensjonatu.

Mogę w każdej chwili zadzwonić i kazać mu wrócić pod jakimkolwiek pozorem.

- Więc niech to pani zrobi.

Edeltraud Funke błysnęło oko.

- Widzę, że ma pan więcej niż mgliste podejrzenie. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby Rolf rzeczywiście coś przeskrobał. To cicha woda. I szczerze mówiąc, nie lubię go za bardzo. Traktuje wszystkich jak osobistych wrogów, nikomu nie pozwolił się do siebie zbliżyć, z nikim nie był zaprzyjaźniony. Oczywiście to nie jego wina, dlatego starałam się nie okazywać mu niechęci i dałam nawet tutaj pracę, żeby uciszyć własne sumienie.

A teraz trzeba zrobić coś, żeby uciszyć twój język, pomyślał Dirk zniecierpliwiony, dzięki czemu udało mu się głośno i zdecydowanie powiedzieć:

- Proszę teraz zadzwonić do tego pensjonatu.

- Ho, ho - ucieszyła się pani Funke. - Ale pan w gorącej wodzie kąpany! - Mówiąc to, chwyciła jednak słuchawkę telefonu, a drugą ręką otworzyła wielkich rozmiarów notes. Po chwili grzmiała do słuchawki:- Tu Funke z Holthusen. Mieszka u państwa mój pracownik, Rolf Ahlers. Muszę z nim koniecznie natychmiast rozmawiać!

- Przez chwilę słuchała ze zmarszczonymi brwiami. - Zostawił adres? - spytała wreszcie, a następnie pożegnała się i nie notując niczego, odłożyła słuchawkę.

Dirk zrozumiał. Rolf Ahlers opuścił pensjonat i to na pewno nie dopiero dzisiaj. Pani Funke potwierdziła jego podejrzenie.

- Ma pani klucz do jego mieszkania?

- A ma pan nakaz rewizji? - odparowała z przekornym uśmiechem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie pani Funke wysunęła szufladę biurka i dobyła z niej pęk kluczy.

- Idziemy! - rozkazała. - Otworzę panu te drzwi, bo jutro i tak by pan wrócił, a ja nie lubię, jak niepotrzebnie traci się czas. Jeżeli spodziewa się pan znaleźć tam trupa, to lepiej wcześniej niż później.

Mamy lato.

Dirk zerwał się z krzesła, ale pani Funke nagle go powstrzymała.

- Chwileczkę. Chce pan zobaczyć, jak Rolf wygląda? Pokażę coś panu. - Podeszła do szafy z aktami, pogrzebała w niej i wyciągnęła grubą zieloną teczkę.

Dirk spodziewał się fotografii, Funke jednak podała mu portrecik - kolorowany rysunek na dużej kartce brystolu.

- To jego autoportret - wyjaśniła. - Rolf ma wrodzone zdolności, niestety, nigdy nie chciał ich rozwijać. Szkoda, to dałoby mu poczucie własnej wartości, którym nie grzeszy. Rysował tylko na obowiązkowych zajęciach, ten obrazek nauczycielka wyłowiła ze śmieci.

Nie zależało mu widać na nim, choć doskonale się utrafił. No, może - dodała po namyśle - właśnie dlatego go wyrzucił.

Jakaś część Dirkowej duszy też naj chętniej pozbyłaby się tego portretu - patrzyły z niego oczy pełne gniewu i nienawiści, a jednocześnie przerażone i nieszczęśliwe.

- To on tak wygląda, ten domniemany ojcobójca...

- No, niezupełnie. Na tym obrazku ma jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. Teraz zmężniał, zapuścił włosy. Ale wyraz twarzy ma ten sam. Nikt nie czuje się swobodnie w jego towarzystwie, nawet ja.

- A to coś już znaczy - wyrwało się Dirkowi.

- Zaczynam pana lubić, Columbo. - Pani Funke odłożyła teczkę Ahlersa do szafy. - A teraz do jaskini lwa!

Okrążyli główny budynek i pobrzękująca kluczami pani Funke zagłębiła się w alejkę zacienioną wysokimi rododendronami. Szła szybko, sapiąc jak lokomotywa i co trzecie sapnięcie wołając:

- No, ciekawa jestem!

Dirk też był ciekaw, powstrzymywał się jednak od podobnych okrzyków, był bowiem zdania, że nie przystoją one komisarzowi

policji.

Po kilkudziesięciu metrach dotarli do długiego parterowego domu. Okno, drzwi, okienko; okno, drzwi, okienko - powtarzało się jednostajnie. Były to maleńkie mieszkania dla pracowników ośrodka nieobarczonych rodzinami. Pani Funke zatrzymała się przed numerem piątym.

Kiedy otworzyła drzwi, buchnęło na nich stęchłe, rozgrzane powietrze. W kawalerskim mieszkanku śmierdziało nieprzyjemnie, ale był to tylko zapach niepranej bielizny, starych butów i dawno niewietrzonego, zakurzonego pomieszczenia. Żadnych rozkładających się trofeów.

Dirk uświadomił sobie, że musiał się chyba spodziewać jakiegoś makabrycznego znaleziska, bo teraz poczuł się nagle odrobinę bezradny. Stał w nieciekawie umeblowanym pokoju, jego wzrok przesuwiał się po rozgrzebanym łóżku, wpółotwartej szafie, regale, na którym stał telewizor i leżało kilka książek. Czego szukać? Od czego zacząć?

Edeltraud Funke rozwiązała ten problem za niego.

- Iii, a co to takiego?!!! - usłyszał nagle jej okrzyk.

Dirk wyskoczył z pokoju, odbił się od ściany, biorąc ostry zakręt, i wpadł do kuchni, gdzie przed otwartą lodówką stała pochylona dyrektorka. Ze zgrozą i obrzydzeniem wpatrywała się w trzy duże słoiki, gdzie w mętnej cieczy pływały niewątpliwie ludzkie szczątki.

Z lewej sine serce z resztkami żył, w środku jak nos na kwintę

zwisał blady penis pomiędzy żółtymi jądrami, a z prawej w wariackim zezie wytrzeszczały się oczy.

Po raz pierwszy w swoim życiu Edeltraud Funke zwymiotowała publicznie.

Karl-Heinz Semmler przejrzał się z zadowoleniem w lustrze: postawa wyprostowana, włosy wprawdzie siwe, ale jeszcze prawie wszystkie. Gdyby nie to, że garnitur na nim wisiał, a kołnierzyk koszuli mocno odstawał od chudej, pomarszczonej szyi, nikt by mu nie dał osiemdziesięciu pięciu lat. Stary chirurg spojrzął na zegarek - dziennikarz z „Die Zeit” lada chwila powinien zadzwonić do drzwi. Zlustrował pokój, w którym miał przyjąć gościa. Na stoliku między dwoma fotelami klubowymi kawa i koniak. Na biurku starannie wyselekcjonowane dokumenty, a także lista najbliższych współpracowników. Hilda Baum, instrumentariuszka. Posłuszna, pracowita i lojalna. Ciekawe, czy jeszcze żyje? Nie widział jej, od kiedy przeszedł w 1972 na emeryturę. Przez kilka lat dostawał od niej kartki na święta i urodziny, potem to się urwało; może dlatego, że nigdy nie odpowiadał.

Znów rzut oka na zegarek. Starzec podszedł do okna. Ścieżką od furtki szedł w stronę willi wysoki blondyn. Niósł aktówkę i lekko utykał.

Semmler zatarł ręce - nareszcie będzie można pogadać z kimś, kto doceni jego inteligencję. Nareszcie będzie można w ogóle znów z kimś pogadać.

Piątek

W dzień po odwiedzinach w ośrodku, kiedy to Dirk z Edeltraud Funke dokonali makabrycznego odkrycia, zadzwonił telefon.

- Mówi Wagner. Dirk, mam nowe wiadomości o Ahlersie, ale dla ciebie oznacza to koniec zabawy w detektywa. Jest nowy trup.

U mnie. Bez wątpienia ręka Ahlersa. Tym razem brakuje serca, oczu i obu dłoni.

- Kto jest ofiarą?

- Karl-Heinz Semmler, emerytowany chirurg.

- Operował kiedyś Ahlersa? Z jego listu wynika, że będzie się mścił za doznane cierpienia.

- Nie wiemy jeszcze, ale jeśli tak, to bardzo dawno temu. Semmler już od dwudziestu lat nie wykonywał zawodu.

- I co teraz? - spytał Dirk z głupia frant, bo dobrze wiedział, co teraz nastąpi.

- Teraz my przejmujemy sprawę - usłyszał. - Przefaksuj wszystko, co masz na ten temat. Oczywiście zawiadomię cię, gdy zdarzy się coś ciekawego.

Komisarz główny Wagner próbował pocieszyć rozczarowanego detektywa, ale Dirk dobrze wiedział, że bajka się skończyła. Nie zależało mu na wysłuchiowaniu ciekawych historyjek. W domu sam miał całe stosy powieści kryminalnych i kaset wideo z sensacyjnymi filmami.

Świadom, że nie ma szans, zapytał jednak:

- A nie mógłbym dalej, na własną rękę? Mam tyle czasu.

- Nie - odpowiedział Wagner twardo.

Ten ton przypomniał Dirkowi dawne czasy. Polecenia wydane tym głosem były rozkazami. Nie było od nich odwołania.

Aby osłodzić gorzką pigułkę, którą musiał zaaplikować Dirkowi, Wagner dodał:

- Chętnie przekazałbym ci całą sprawę, bo wiem, że dałbyś sobie radę sam, bez niczyjej pomocy. Niestety, wszyscy musimy trzymać się przepisów. I dlatego daj sobie z tym spokój. Jak by to zresztą wyglądało? Zjawiałbyś się wszędzie za nami jak cień i jak echo powtarzałbyś te same pytania? Bo chyba nie odważyłbyś się przychodzić przed nami?

Było już prawie zupełnie ciemno, gdy Isia Dobrzańska wracała do domu. Zajęta na łące nad stawem nie zauważyła wcale, że zrobiło się tak późno. Teraz, podnosząc głowę, widziała jeszcze szary pas nieba między czarnymi koronami drzew, ale tu, w dole, panowała już noc.

Wąska droga poprzecinana wystającymi korzeniami była jednak sucha i twarda. Po miesiącach spędzonych w parku i po dwóch tygodniach jazd samochodziem, Isia знаła tu najmniejszy zakręt, każdą niżej zwisającą gałąź.

Posuwała się powoli i prawie bezgłośnie naprzód w niewielkim elektrycznym aucie, takim jakich używa się na polach golfowych.

Jedyną różnicą było to, że jej, a raczej stacji ekologicznej, pojazd pomalowany był w leśne wzory. Uwe, młody człowiek odbywający tu służbę zastępczą, malując auto, starał się, aby to maskowanie wyglądało jak najmniej militarnie. Zamiast więc pokryć

samochodzik nieregularnymi zielonymi i brązowymi ciapkami, przyozdobił je uroczymi obrazami. Spośród namalowanych liści i kwiatów wyłaniały się płochliwe zwierzęta, a rośliny układały się w postać leśnej boginki.

Uwe należał do pierwszej grupy pracowników zatrudnionych na tym terenie. Przez rok wytyczali drogi i budowali drewniany domek, stację ekologiczną.

Jesienią nastąpiła zmiana. Trójka leśnych ludzi przekazała Isi gotowy park. Uwe z żalem rozstawał się z domem, lasem i autem, dzięki czemu, oprowadzając Isię po jej nowym królestwie, zaraził ją miłością do tego miejsca.

Jesień Isia spędziła na wyszukiwaniu w lesie największych i najstarszych drzew i na wypełnianiu szczegółowych ankiet dotyczących ich położenia, wyglądu i stanu zdrowotnego. Gdy liście zaczęły opadać, przerwała to zajęcie. Zimą porządkowała tylko notatki, dokształcała się w dziedzinach, które uniwersytet traktował po macoszemu, a które tutaj okazały się niezbędne; wygłosiła także parę prelekcji dla mieszkańców okolicznych wiosek. Wiosną powróciła do drzew. Wyprawy odbywała na piechotę i dopiero gdy stało się konieczne transportowanie ciężkich przedmiotów na dużą odległość, zaczęła używać samochodu.

W pracy, która stanowiła dla niej najprzyjemniejszą rozrywkę, Isia zapominała się do tego stopnia, że już nie jeden raz wracała do domu po ciemku.

Droga zaczęła się teraz lekko wznosić. Pojazd zwolnił znacznie,

a silnik żalnym jękiem zawiadomił Isię, że osiągnął granice swoich możliwości.

- Jeszcze tylko dwa kilometry Wytrzymaj jeszcze te dwa kilometry - prosiła. Teraz, gdy siedziała, czuła całe zmęczenie w plecach, w nogach, w każdym mięśniu. Perspektywa pokonywania ostatnich kilkuset metrów na piechotę, i to po ciemku, nie zachwycała jej oczywiście. Aby ulżyć wyczerpującemu się akumulatorowi, wyłączyła światła, choć prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, czy wiele tym zmienia. Oparła się jeszcze wygodniej, bo zamiast wpatrywać się w przestrzeń przed sobą, musiała teraz kierować pojazdem na podstawie widocznego w górze odstępu między drzewami.

Z lasu po obu stronach dobiegały różne trzaski i szelesty, nie bała się jednak, że przejedzie jakieś zwierzę. Teraz, bez oświetlenia, poruszając się z szybkością dobrego piechura, stała się jednym z nich.

Nie oślepiła, nie straszyla.

Uwe przestrzegał ją, że bateria wystarcza tylko na sto kilometrów i że w przeliczeniu na czas będzie to około tygodnia, jeśli postara się oszczędzać na przejechanych metrach. Nie wzięła tego do serca, sto kilometrów to taka wielka liczba... Ale dziś rano stwierdziła zaskoczona, że przejechała już 95 kilometrów, a jest dopiero piątek. Nowy akumulator dostanie w poniedziałek. W chatce Isia nie miała dosyć prądu, żeby go naładować. Baterie słoneczne na dachu wystarczały zaledwie na oświetlenie i lodówkę. A więc pewnie będzie musiała spędzić sobotę i niedzielę w najbliższej okolicy, ale to też może być całkiem miłe.

Katastrofa nastąpiła niespodziewanie i trwała bardzo krótko.

Głośniejszy szelest z prawej strony dał Isi znać, że jakieś zwierzę zbiega z wysokiego zbocza wprost na nią i zanim zdążyła się zaniepokoić, było po wszystkim. Poczowała silne uderzenie w bok samochodu i głośne stęknienie.

Nie przejechałam go przynajmniej, pomyślała, hamując i wyskakując na drogę. Nie zobaczyła nic. Ciemności były kompletne.

Zapaliła reflektory, ale świeciły w przeciwnym kierunku, pograżając teren z tyłu w jeszcze czarniejszym mroku. Z ociąganiem obesza samochód. Bardzo ostrożnie i powoli zaczęła posuwać się prawą stroną drogi, już przerażona tym, na co za chwilę miała się natknąć, myśląc przy tym z rozpaczą, że tak czy siak jest bezradna.

To coś, co na nią wpadło, było niewątpliwie dużym zwierzęciem, jeleniem albo dzikiem. Rannemu chyba nie będzie umiała pomóc.

Nie jest weterynarzem. Zabitemu na pomoc za późno, ale jakie to deprymujące, takim smutnym akcentem zakończyć ten miły dzień.

I co zrobić z trupem? Czy obowiązek zawiadomienia policji albo leśnictwa o wypadku ze zwierzętami dotyczy też wypadku w prywatnym parku? Jak ma zawiadomić kogoś teraz, w nocy, skoro nie ma telefonu, a akumulator zaraz wyzionie ducha? Koniecznie trzeba postarać się o rower w najbliższej przyszłości... A co będzie, jeśli to zwierzę żyje, ale jest tak ciężko ranne, że będzie musiała je jakoś dobić?

Krok po kroku Isia zbliżała się nieuchronnie do swojej ofiary.

Nadal nie widziała nic. Ostrożnie wysuwała stopę i za każdym razem oczekiwała, że natrafi nią na leżące cielsko. Wreszcie wydało jej się, że minęła już miejsce wypadku. Czyżby jednak zwierzę nie padło, tylko zaraz po zderzeniu skoczyło znowu w zarośla? W tej samej chwili, gdy nadzieja zakiełkowała w jej sercu, Isia koniuszkiem stopy dotknęła czegoś, co mimo krótkiego kontaktu i absolutnej ciemności zidentyfikowała natychmiast jako ciało. Już pochylała się, żeby dotknąć zwierzęcia dłonią, gdy nagle w jej wyobraźni powstała straszliwa wizja zrywającego się rannego i rozjuszzonego odyńca.

Ostatkiem sił rozszarpie mi jakieś ważne części ciała i legniemy tu społem, połączeni śmiercią zabójcy i ofiary jednocześnie, pomyślała.

Odsunęła się więc kilka kroków, namacała na poboczu parę niewielkich kamieni i rzuciła je w miejsce, gdzie leżało tajemnicze cielsko. Przygotowana była na zwierzęcy ryk, gotowa do ucieczki na skarpe, gdyby domniemany odyniec zerwał się na nogi. To jednak, co usłyszała, spowodowało, że nogi wrosły jej w ziemię, natomiast włosy na głowie powstały. Usłyszała ludzki jęk.

Tak, nie mogła mieć wątpliwości. Jęczał człowiek, mężczyzna.

Po chwili bezruchu wpadła w nerwową krzątaninę. Myśl, że tu, na tym pustkowiu przejechała człowieka, że z całą pewnością zdana jest tylko i wyłącznie na siebie, że jest winna, bo jechała bez świateł, sprawiła, że dygocąc na całym ciele, miotając się bez sensu po drodze między samochodem a swoją ofiarą. Dopiero po paru minutach jej czynności stały się celowe.

Ustaliwszy, gdzie dokładnie ranny się znajduje, cofnęła samochód, dzięki czemu mogła nareszcie swoją ofiarę oświetlić i obejrzeć. Mężczyzna leżał na boku w dość niewygodnej pozycji, ale już na pierwszy rzut oka Isia mogła stwierdzić z pewnością i ulgą, że wszystkie jego kończyny znajdują się na właściwych miejscach. Ubrany był w brudną i poszarpaną szarą bluzę i podobnie zmaltretowane dżinsy. Jasne włosy, związane z tyłu głowy, sprawiały wrażenie, jakby od dłuższego czasu nie były czesane i myte. Ze spoconej, umazanej twarzy patrzyły na nią duże zielone oczy z wyrazem rannego zwierzęcia. Jedna z ciemnych plam na dżinsach lśniła podejrzenie i wyraźnie się powiększała.

Isia podeszła bliżej, a jej myśli i emocje kłębiły się chaotycznie.

Jedną z nich była ulga, że nie musi dobijać rannego zwierzęcia, drugą ulga, że nie musi stosować sztucznego oddychania i dotykać ustami tej brudnej, spoconej twarzy. Trzecią - przypomnienie o dogorywającym akumulatorze.

Przykucnęła obok rannego i spytała:

- Czy coś cię boli?
- Wszystko - stęknął. - Co się stało?
- Przejechałam cię właśnie, a raczej potrąciłam.
- Dlaczego? Co ja ci zrobiłem?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Isia nie znalazła na nie odpowiedzi. Jej ofiara zresztą i tak by już nie słuchała. Mężczyzna, odwróciwszy głowę, wymiotował sobie na rękaw. Męczył się w silnych spazmach, dających jednak niewielkie efekty. Najwyraźniej

dawno już nic nie jadł.

Wstrząs mózgu, pomyślała. Na szczęście na głowie nie ma żadnej rany. Spojrzała na plamę, która powiększyła się tylko nieznacznie.

Chyba nie trzeba mu zakładać opaski uciskowej?

Wyczerpany młody człowiek opadł twarzą na ziemię. Przyglądała mu się niezdecydowana, co powinna zrobić. Pomyślała, że zemdlął albo może zasnął, on jednak zapytał:

- Gdzie ja jestem? Kto ci kazał mnie przejechać?

- Cicho. - Isia starała się mówić spokojnie i łagodnie. - Nie chcę ci zrobić krzywdy. Chcę ci pomóc. Daj mi pomyśleć.

Musiła teraz podjąć decyzję. Nie mogli tak czekać tu w nieskończoność. Rannego trzeba zabrać z leśnej ścieżki i opatrzyć. Dlaczego on nie próbuje sam wstać? Ktoś musi go zawieźć do szpitala. Dobrze.

Czym? Karetką pogotowia, oczywiście. Trzeba wezwać karetkę.

Skąd? Stacja ekologiczna nie miała jeszcze telefonu, do Kirchdorfu było siedem kilometrów. Ma zostawić go tutaj samego, pojechać ile się da, może kilometr, autem, a potem resztę iść na piechotę nocą?

Pomoc zjawiałaby się najwcześniej za trzy godziny, a on mógłby tu tymczasem umrzeć z przechłodzenia, z szoku, z obrażeń. Tak, jedyne, co jej pozostaje, to zabrać go do domu, dokąd jest najbliżej, jakoś ustabilizować jego stan, a dopiero potem wzywać pomoc.

Wyćwiczonym na kursach pierwszej pomocy chwytem objęła

jego klatkę piersiową. Natychmiast owionął ją smród niemytego ciała pomieszany z dziwnie dobrą wodą po goleniu. Spróbowała wyprostować kolana i plecy, napięła wszystkie mięśnie, czuła, jak żyły pęcznieją jej na skroniach. Jedyne, co osiągnęła, to uniesienie odrobinę jego górnej połowy, nawet nie do pozycji siedzącej, bo leżał na boku. Gdy przestawała ciągnąć i szarpać, opadał znowu na ziemię.

- Nic z tego nie wyjdzie - usłyszała jego głos. - Jeśli zamierzasz pozbyć się mojego trupa, musisz zakopać mnie tu, na miejscu.

Nie wiedziała, czy mówi poważnie. Jak można żartować w takiej sytuacji? Zaprzestała bezowocnych wysiłków i zaczęła zdejmować sweter.

- Zostaniesz tu na razie - powiedziała. - Przykryję cię trochę, pojedę do domu po koce i śpiwór. Postaram się pośpieszyć, ale to trochę potrwa, bo będę musiała wracać na piechotę.

- Dlaczego nie wzywasz pogotowia? Ani policji? - W jego głosie zadrzała panika. - Nie bój się, powiem, że to była moja wina.

- Bo to była twoja wina. I przestań mi wmawiać, że zrobiłam to specjalnie! Nie wiem, skąd się tu wziąłeś, park jest zamknięty dla publiczności.

- Jaki park?

- Myślałam, że zleciałeś ze skarpy, a nie z księżycyca...

- Dlaczego zleciałem ze skarpy? Zepchnęłaś mnie?

Isia miała dosyć.

- Powiedz, wygłupiasz się, czy naprawdę nic nie wiesz? Mogę uwierzyć, że nie pamiętasz samego wypadku, to się nazywa amnezja

wsteczna i występuje przy wstrząsie mózgu, gdy wrażenia ostatnich kilkunastu minut przed urazem nie utrwalają się w pamięci. Ale chyba wiesz, że jesteś na terenie parku, bo znajdujemy się mniej więcej w środku, i żeby tu dojść, musiałeś tu już być od dłuższego czasu.

Ranny nie odpowiedział, znów usiłował zwymiotować i znów opadł bezwładnie na ziemię. Isia otuliła go swoim swetrem i wsiadła do auta, ale zanim przekręciła kluczyk, usłyszała szept:

- Pomogę ci.

- Co?

- Spróbuj mnie jeszcze raz załadować do auta. Po to mnie chyba przedtem szarpałaś. Pomogę ci.

Po dziesięciu ciężkich minutach osiągnęli cel. Ranny jęczał i stękał, bo mimo bólu podpierał się także chorą nogą. Kilka razy jednak nie wytrzymał, obsuwał się ciężko, a wtedy po chwili odpoczynku musieli zaczynać od nowa. Gdy wreszcie leżał skulony na platformie, Isia poniechała konwersacji i szybko ruszyła do domu.

Przez ostatnich kilkadziesiąt metrów przed chatką musiała popychać pojazd, bo akumulator rzeczywiście się wyczerpał, nie było na szczęście ciężko. Wyładowanie nieporęcznego ładunku okazało się też o wiele łatwiejsze niż jego załadunek. Podjechała tyłem do drzwi, otworzyła je, następnie przytoczyła od drugiej strony biurowe krzesło na kółkach. W ten sposób podwiozła swoją ofiarę do łóżka, na którym uprzednio przezornie rozłożyła brezentową płachtę.

Początkowo miała zamiar tylko opatrzyć rannemu kolano, napoić, przykryć go ciepło i pozostawić tak do rana. Teraz jednak,

kiedy zamknęła drzwi, poczuła, jak pomieszczenie wypełnia się smrodem starego potu i krwi. Nie potrafiłaby w tym spać, a zostawić go za zamkniętymi drzwiami samego na całą noc nie chciała. Wydawał jej się jakiś dziwny. Mówił wprawdzie do rzeczy, choć trzeba przyznać, że mało rozsądnie, niby nie był poważnie ranny, skądś jednak brało się to otępienie, ogarniające go co chwilę.

Otworzyła okno, przygotowała ciepłą wodę, ręczniki i materiały opatrunkowe i z lekkim obrzydzeniem rozpoczęła toaletę. Jej pacjent zachowywał się spokojnie. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

Jęczał i mdlał z bólu, gdy szarpała go, ściągając z niego niewiarygodnie brudne ubranie, ale gdy obmywała go myjką, zasypiał pod jej dłońmi. Potem znów mdlał albo jęczał, gdy zajmowała się jego nogą.

Tak czy owak nie rozmawiali podczas całej tej operacji.

Isi udało się nawet taktownie nie wyrazić zdumienia na widok bardzo długiej i bardzo brzydkiej blizny, ciągnącej się po prawej stronie brzucha rannego od pachwiny aż do piersi. Na szczęście szrama ta nie mogła być jej dziełem, ranny musiał ją mieć od dawna.

Co do nogi, to nie będąc lekarką, Isia mogła jedynie stwierdzić, że nawet jeśli kość pękła, złamanie nie było ani otwarte, ani nawet widoczne. Rana na kolanie wyglądała na powierzchowną, ale samo kolano spuchło; niewykluczone, że staw był naruszony, dlatego je unieruchomiła. Siną i lekko spuchniętą stopę ułożyła wyżej i zrobiła zimny okład.

Po umyciu młody człowiek zaczął wyglądać dużo

sympatyczniej. Nie był wiele starszy od Isi, najwyżej kilka lat. Brud zmył się łatwo, nie wżarł się jeszcze w skórę, mimo okropnej blizny chłopak wyglądał zdrowo, co mogło oznaczać, że życie włóczęgi prowadził od niedawna. Pokrzepiona pozytywnym efektem zabiegów toaletowych, Isia rozczesała mu włosy i przetarła je energicznie wilgotnym ręcznikiem. Śpiący dotąd, czy może zemdlny, mężczyzna otworzył oczy i powiedział:

- Zimno. Pić. - Następnie zamknął powieki i zaczął się tak gwałtownie trząść, że Isia w pośpiechu przyodziała go w męski kombinezon, który został po robotnikach. Zasnął. Przykryła go dużą częścią znajdującej się w stacji pościeli. Zbudził się i zażądał picia.

Gdy go poiła, patrzył na nią uważnym wzrokiem, więc uznawszy, że się rozbudził, powiedziała:

- Nazywam się Isia Dobrzańska. Jesteśmy w Stacji Ekologicznej w Parku Kirchdorfer Holz i dlatego nie wezwałam pogotowia, że nie mam telefonu. Najbliższy telefon jest w Kirchdorfie, prawie dziesięć kilometrów stąd. A jak ty się nazywasz?

Pił dalej małymi łyчками i nadal patrzył na nią znad brzegu zielonego fajansowego kubka. Ponieważ milczał, przyjrzała mu się dokładniej, po czym doszła do wniosku, że wyraz jego twarzy jest nie tyle uważny, ile raczej bezmyślny; podejrzewała, że pewnie nawet nie słuchał, co do niego mówiła.

Myliła się jednak. Odsunął jej rękę z naczyniem i powiedział powoli pełnym zdumienia tonem:

- Nie wiem, jak się nazywam... Naprawdę nie wiem...

Sobota

Nieznajomy spał długo. Nienaturalnie długo, jak zdawało się niecierplivej Isi. Intrygowało ją, kim jest ten człowiek i skąd się wziął na jej terytorium. Wczoraj on sam nie potrafił odpowiedzieć na te pytania, ale poza pierwszą chwilą zdumienia zdawał się nie przejmować tym za bardzo. Chętnie zgodził się z Isią, że gdy się wyśpi i wypocznie, być może odzyska pamięć. Natychmiast też zabrał się do realizacji tego pomysłu i nie przestawał spać, choć zbliżało się już południe.

Była sobota. Isia dawno wstała i zanim zjadła śniadanie, podsłuchiwała od czasu do czasu pod drzwiami pokoju chorego. Po śniadaniu zajrzała tam, bo chciała przekonać się, czy jej gość rzeczywiście ciągle jeszcze leży w łóżku i śpi. Spał. Nie poszedł sobie. Przygotowując drugie śniadanie, Isia umyślnie zostawiła otwartą kuchnię; miała nadzieję, że zapach kawy obudzi śpiącego. Nie zadziałało. Powoli zaczął ogarniać ją niepokój. Z coraz większą częstotliwością zaglądała do chorego, wahając się, czy zacząć go budzić, czy też pozwolić mu spać dalej. Sen to zdrowie, oczywiście, kto wie, od jak dawna ten włóczęga nie miał okazji porządnie się wyspać. Ale jeśli on wcale nie spał, jeśli to była agonia i nieszczęsny potrzebował natychmiastowej pomocy? Kiedy wpadł na auto, doznał może jednak jakichś poważnych wewnętrznych obrażeń, śledziona mu pękła i teraz się wykrwawia, podczas gdy ona, zamiast biec do telefonu, je sobie śniadanko za śniadankiem!

Szarpana sprzecznymi uczuciami Isia dotrwała do pory

obiadowej, podgrzała dwie puszki azjatyckiej pikantnej zupy, rozlała ją do talerzy i z tacą weszła do pokoju, w którym nocował nieznajomy.

Głośno trzasnęła drzwiami i z brzękiem postawiła tacę na taborecie przed łóżkiem.

Nastawiła się na żmudne budzenie i potrząsanie, cucenie umarłego, nie było to jednak konieczne. Młody człowiek otworzył oczy, uśmiechnął się do niej promiennie i powiedział:

- Wspaniale spałem. Jestem teraz szalenie głodny. - Spojrzawszy na tacę, zapytał: - To już po śniadaniu? Tak długo spałem?

- Bardzo długo. Ja już jestem po dwóch śniadaniach. Jeśli chcesz, zrobię ci grzanki i kawę. Ja jem obiad. Możesz usiąść?

Spróbował. Krzywił się trochę i jęczał, ale udało mu się. Wziął z jej rąk pełny talerz i sięgnął po łyżkę.

- O, zupa bihun! - ucieszył się. - Znasz tę historię? W Getyndze pewien uczony, zoolog...

Isia przerwała mu:

- Powiedz mi najpierw... - zaczęła, ale teraz on nie pozwolił jej skończyć.

- Daj mi spokój. Domyślam się, o co ci chodzi. Nie chcę o tym mówić. Tylko tyle: nadal nic nie wiem i nie pamiętam. Obudziłem się wypoczęty, zadowolony i spokojny. Dobrze mi z tym. Chcę, żeby tak zostało. Tymczasem twoje napomknienie wzbudziło we mnie gwałtowny sprzeciw i taki jakiś niepokój sprzeczny z moim obecnym samopoczuciem, że wolę się nie zmuszać. Albo sobie przypomnę,

albo nie. W każdym razie nie chcę się teraz tym martwić.

- Ale przecież... - udało się wtrącić Isi.

- Nic przecież. Nie wystarczy ci, że mnie przejechałaś? Mam dobry humor, ale głowa ciągle mnie jeszcze boli i kolano też. Chcesz mnie dodatkowo męczyć?

- Nie chcę, oczywiście, ale jak mam do ciebie mówić?

- Nazwij mnie jak chcesz - zezwolił lekko.

- Wolałabym znać twoje prawdziwe imię - zaprotestowała Isia.

- Ależ ty jesteś uparta! - Uśmiechnął się. - No dobrze, spróbuję.

Zabierz tę zupę, potrzebuję obu rąk.

Isia odstawiła oba talerze na stół. On tymczasem zamknął oczy, pochylił głowę i palcami obu rąk ścisnął czoło. Isia wstrzymała oddech, by niczym nie zakłócić jego skupienia. Gdy znów musiała odetchnąć, on wyprostował się wreszcie i patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

- Wiem już... nazywam się... Bond. James Bond.

W pierwszej chwili Isia ucieszyła się, że jej gość odzyskał pamięć.

W drugiej zrozumiała, co usłyszała, i przelęknęła się, że pomieszało mu się w głowie. Dopiero w trzeciej zauważyła, że kąciki jego warg drgają od powstrzymanego śmiechu, i pojęła, że najzwyczajniej w świecie wpuścił ją w maliny.

Nie namyślając się długo, chwyciła jasek i zdzieliła go nim po głowie. Drugi cios wylądował już na jego rękach. Chwycił tę miękką broń, śmiejąc się serdecznie z własnego dowcipu. Isia śmiała się

także, po części rozbawiona, po części zawstydzona.

- Dasz mi teraz spokój? - spytał wreszcie.

- Dam - zgodziła się niechętnie - ale jak sobie przypomnisz...

- To na pewno ci powiem. Obiecuję. Nikomu innemu, tylko tobie.

Dawaj zupę, bo wystygnie.

Przez chwilę jedli, milcząc. Nagle Bond zapytał:

- Jesteś biologką?

Przytaknęła.

- I kochasz naturę... i zwierzęta?

Przytaknęła znowu, tym razem już trochę niepewnie. Do czego on zmierzał?

- I jesz zupę bahun? Z czystym sumieniem?

- A co z nią jest nie tak? - Isia opuściła łyżkę i zajrzała podejrzliwie w talerz.

- Nic, nic, jedz spokojnie. - Bond zaśmiał się. - Chciałem ci tylko opowiedzieć pewną historyjkę, którą kiedyś słyszałem... czy może czytałem. Pewien zoolog w Getyndze zakrztusił się raz, jedząc tę właśnie zupę. Coś utknęło mu w gardle. Był to kawałek kurzej kości.

Zoolog znalazł się na ptakach i dlatego od razu zauważył, że ta kość wygląda dość dziwnie, jest jakaś taka... jakby podwójna. Zainteresowało go to, postanowił sprawę zbadać i oto, co odkrył. Otóż specjalnie na tę zupę hoduje się w Azji podwójne kurczęta. Są to syjamskie bliźnięta, czyli po niemiecku Bi-Huhn, podwójna kura.

Oburzony zoolog postanowił nigdy już nie jeść zupy bihun. Niestety, poza tym bojkotem na małą skalę i napisaniem artykułu do gazety nie mógł nic więcej zrobić. W Chinach ta makabryczna hodowla była zupełnie legalna.

Oczy Isi były już wielkie jak spodki. Odstawiła swój talerz na tacę i wyjęła talerz z rąk Bonda.

- Ugotuję nam coś innego - powiedziała cichutko.

- Nie musisz. - Bond roześmiał się. - To jest zmyślona historia.

Od A do Z.

- A ty skąd wiesz? - Isia wahała się jeszcze. - Przecież nic nie pamiętasz.

- To prawda. Nawet nie pamiętam, skąd tę historię znam. Co do jednego jestem jednak zupełnie pewny: jest bajką.

Przez całe popołudnie Isia zajmowała się swoim gościem. Gadali, rozwiązywali krzyżówki, grali w garibaldkę. Zdecydowali jednogłośnie, że Bond musi jeszcze poleżeć, bo prawdopodobnie ma wstrząs mózgu.

Poza tym jednak czuł się nieźle. Kolano nie było już spuchnięte i rana nie wyglądała wcale groźnie. Na stopie Bond nadal nie mógł stanąć, była sina i obrzękła. Zgodził się jednak wielkodusznie, że skrzył ją sam, bez współudziału Isi, spadając ze skarpy, zanim wpadł pod auto, tuż przedtem.

- Jeżeli do poniedziałku nie wróci ci pamięć, odeślę cię do szpitala - powiedziała, bo czuła, że powinna tak powiedzieć.

- A jeśli wróci?

- Wtedy odwiozę cię do domu, bo przypomnisz sobie, gdzie mieszkasz.

Bond drgnął i skrzywił się boleśnie.

- Aua! Nie mów mi o domu! Obiecuj, że do poniedziałku nie poruszysz już tego tematu. Nawet jeśli ja sam powiem coś, co by świadczyło o tym, że zaczynam sobie przypominać.

- Nie rozumiem. Ja na twoim miejscu chciałabym...

- Ale nie jesteś na moim miejscu! - krzyknął niespodziewanie gwałtownie Bond. - Nie dręcz mnie już! I idź sobie! Chcę zostać sam! Chcę spać! Nie masz nic do roboty?

- Mam. - Isia była urażona. - Myślałam tylko, że mnie potrzebujesz, dlatego siedzę przy tobie. Jesteś ostatecznie ranny.

- Co tobie zawdzięczam!

Zerwała się i wybiegła, trzasnąwszy drzwiami; dopiero potem pomyślała, że pełen godności spokój zrobiłby na nim lepsze wrażenie.

A więc chciała robić wrażenie na tym włóczędze? Niech sobie nie wyobraża!

Wyszła przed dom i usiadła na ławeczce z notesem i lornetką.

Zięba, dzwonec, kos - zapisała natychmiast. Ciągle była jeszcze naburmuszona, ale sumienie zaczęło jej już przypominać, że sama jest rzeczywiście zdrowa i nieprzejechana, gdy tymczasem jej gościa boli głowa, kolano i stopa, że po wypadku musi jeszcze dać sobie radę z myślą, że nie wie nawet, kim jest i jak się nazywa. Nic dziwnego, że jest trochę drażliwy. Poza tym jednak jest miły, pogodny, przystojny. I w ogóle... Myśląc o nim czuła, jak coś bardzo przyjemnego zapuszcza

w jej sercu korzenie.

Isia zasyczała w stronę zarośli: - Spyszs... spyszs... - odczekała chwilę i zapisała: sikorka bogatka, rudzik, czyżyk. Następnie poprawiła czyżyka na kulczyka.

Tak... Wczoraj, gdy zobaczyła Bonda po raz pierwszy, zrobił na niej okropne wrażenie. Najgorszy włóczęga. Był tak brudny i zaniedbany, jakby przez kilka dni nie mył się, nie golił i nie przebierał.

I śmierdział, a jego spodnie wyglądały tak, jakby ich właściciel siusiał pod wiatr. Rzuciła okiem na rozciągnięty między pompą a gankiem sznurek, na którym suszyły się uprane rano ubrania Bonda.

Zapisała: muchołówka żałobna? Przyjrzała się ptakowi przez lornetkę i skreśliła znak zapytania. Potem przyniosła sobie z domku atlas ptaków i położyła go obok siebie na ławce.

Co robił tu, wewnątrz parku? Którędy wszedł? Teren był ogrodzony, a brama zamknięta. Wprawdzie nie na kłódkę, ale Niemcy na ogół nie przekraczają zakazów. Czyli że wtargnął tu nie przez przypadek. Musiał przecież albo przeleźć przez mur, albo zignorować tablicę przy wejściu. Kiedy to było? Kilka dni temu? Może więc już przed zderzeniem nie wiedział, kim jest i gdzie się znajduje? Tę niepokojącą myśl Isia odrzuciła szybko. Nie, Bond jest zupełnie normalny. Spędziła z nim kilka godzin na miłej rozmowie i nic z tego, co mówił, nie odbiegało od normy. Jest normalny - poza tym, że jest człowiekiem bez przeszłości.

Ale dlaczego nie stara się przypomnieć sobie, kim jest i co go tu

sprowadziło? To jest chyba dość podstawowa sprawa? Czy może należy on do ludzi, którzy rozwiązują problemy po kolei, jeden po drugim? Najpierw dba o ciało, wysypia się, wyleguje, kuruje wstrząs mózgu i zranioną nogę. Gdy to się poprawi, zajmie się następnym problemem, luką w pamięci.

- Kopciuszek - powiedziała cicho. - Chyba że pleszka. - Otworzyła atlas. - Oczywiście, kopciuszek. Pleszka to ta bardziej kolorowa, a kopciuszek jest zakopcony. Czy ja się tego nigdy nie nauczę?

Różnie się nazywają i różnie wyglądają, a ja zawsze je myślę! Kopciuszek zakopcony - powtórzyła z naciskiem.

Ciekawe, czy Bond ciągle się jeszcze gniewa? Właściwie nie wygląda na takiego, który długo zachowuje urazę. Dziwne, że woli być teraz sam... Tak miło im się razem spędzało czas... Isia podniosła się z ławki, ostrożnie i cicho obeszła róg domu. Zbliżyła do oczu lornetkę, jakby wypatrywała czegoś w lesie, i postąpiwszy jeszcze dwa kroki naprzód, zazezowała w otwarte okno. Ostrożność okazała się zbyteczna. Bond nie dlatego milczał, że nadal się na nią gniewał.

Zwyczajnie spał.

Był w swoim domu. Nie wiedział, po czym to poznaje, ale miał pewność, że jest w swoim domu. Nie, to nie tak. Oglądał swój pokój tak, jak ogląda się film.

Nie zdziwił się też, gdy jak na filmie zobaczył samego siebie.

Zgrzytnął klucz w zamku, otworzyły się drzwi i on sam wszedł do środka. Patrzył z niechęcią na swoją zapuszczoną postać.

Widział, jak kładzie na stole jakąś paczkę owiniętą w gazetę, jak siada, zapala lampę i zaczyna powoli odwijać papier. Na usta wypłynął mu nieprzyjemny, pełen satysfakcji uśmiech.

Wewnętrzne warstwy gazety były jakieś wilgotne. Wilgotne i czerwone...

Sięgnął dłonią w głąb paczki. Za chwilę wyciągnie...

- Neee! Neee! Neee!

To był sen! To musiał być sen, ale dlaczego nie może się obudzić? Dlaczego musi patrzeć na tę okropną scenę?

Dłoń zanurza się w wilgotnym, śmierdzącym zawiniątku. Tak, wyraźnie czuje ten słodkawy, mdły zapach.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczy raz po raz, ale głos mimo wysiłku więźnie w gardle, a krzyk przemienia się w zduszony jęk.

Zamknął oczy, ale jak się spodziewał, nic to nie dało. Przez zaciśnięte powieki patrzył i widział nadal.

Widział, jak bez pośpiechu, sztuka po sztuce wyjmuje umazane zakrzepłą krwią serce z paroma zwisającymi żyłami, przygląda mu się, waży je w ręce i zanosz do lodówki. Drzwiczki pozostawia otwarte, bo w pakunku coś jeszcze jest. Sięga.

- Neee... Neee... Nie chcę tego widzieć! Nie pokazuj mi!

To dwie blade, zeszywniałe i pokurczone dłonie. Do jednego z palców przykleiło się zmętniałe, niebieskie oko... drugie potoczyło się na podłogę...

Isia odłożyła notes, zwróciła głowę w stronę domku i natężyła słuch. Czyżby ją wołał?

- Bond? - zawołała. - Potrzebujesz czegoś?

Nie było odpowiedzi, ale nadal zdawało jej się, że słyszy jego głos.

Wszedłszy do pokoju, zastała go pogrążonego we śnie. Leżał na wznak, oddech miał ciężki, przerywany, boleśnie wykrzywił usta i jęczał z wysiłkiem.

Nie od razu udało jej się go obudzić. Powoli powracając do rzeczywistości, wykrzykiwał jakieś słowa w przedziwnym sennym języku. Wreszcie otworzył oczy i spytał gwałtownie:

- Gdzie jestem?

- U mnie jesteś, w stacji ekologicznej.

- Wiem, wiem - zachnął się niecierpliwie - ale gdzie JA, JA gdzie jestem!?

Jego oczy przepełnione grozą zaczęły przeszukiwać pokój. Isia poczuła mrowie na plecach. Domyślała się, że on nadal śni, ale mimo wszystko ta scena ją przerażała. Było tak, jakby koszmary ze snu

Bonda wypełzły z jego mózgu i zmaterializowały się w jej rzeczywistości. To, że sama niczego nie widziała, pogarszało tylko sytuację, robiło ją jeszcze bardziej niesamowitą, nie ujmując jej realności.

- Ty śnisz. To tylko sen - przekonywała bardziej samą siebie niż

Bonda. Choć głos jej drżał, starała się mówić łagodnie i spokojnie jak do dziecka. - Obudź się, tu nic nie ma.

Uspokajał się powoli. Przez chwilę leżał, patrząc w okno, a potem powiedział, jakby prosił o przebaczenie:

- Przestraszyłem cię? Miałem bardzo niemiły sen...

Isia otrząsnęła się; wróciła ciekawość.

- Co ci się śniło?

Pokręcił głową.

- Nie chcę o tym mówić.

- Ciągle nie chcesz o czymś mówić. Bardzo jesteś tajemniczy.

Ciekawe, o czym można jeszcze z tobą rozmawiać?

- O czym chcesz, tylko nie o tym śnie.

- To o twojej przeszłości, o twojej tożsamości już wolno? -
zdziwiła się Isia.

Spojrzał na nią, uderzony jakąś myślą.

- Nie, oczywiście, że nie. Ten sen... - Nie dokończył.

- Ma coś wspólnego z twoją przeszłością? Przypomniałeś sobie,
kim jesteś? Ten sen może jest kluczem? Może twoja podświadomość
chce ci pomóc? - zarzuciła go pytaniami.

- Proszę, daj spokój - przyhamował jej entuzjazm. Jego głos był
monotonny i cichy. - Nie wiem, kim jestem, i mam nadzieję, że ten
koszmar nie jest żadnym kluczem. A jeśli jest, to ja tych drzwi nie
będę otwierał. Niech pozostaną zamknięte.

Zamilkł. Isia nie odważyła się już pytać. Nie wiedziała, czy
powinna zostawić go teraz samego, czy może zacząć rozmowę na
jakiś neutralny temat. Naraz Bond westchnął krótko i potrząsnął
głową.

Uśmiechnął się do niej tym promiennym uśmiechem, który już
tak bardzo polubiła.

- Pomóż mi teraz wstać i zaprowadź do toalety - powiedział. - Masz tu chyba przyzwoity klozet? Nie będę musiał iść ekologicznie w krzaki?

- To wcale nie byłoby ekologiczne - pouczyła go Isia, szczęśliwa, że atmosfera znów zrobiła się zwyczajna. - Mamy tu szwedzką suchą toaletę. Działa na zasadzie kompostowania, ale gdybyś nie wiedział, nigdy byś się nie domyślił. Z wierzchu wygląda prawie zupełnie jak zwykły klozet, dopiero o piętro niżej, w piwnicy...

Bond uśmiechnął się trochę wymuszonym uśmiechem.

- Opowiedz mi o tym później - poprosił. - Najpierw praktyka, potem teoria.

Isia powoli uczyła się powstrzymywać ciekawskie pytania. Bond podobał jej się tak czy owak i zdawała sobie sprawę z tego, że dopóki on sam nie wie, kim jest i gdzie mieszka, nie może odejść do domu, musi u niej pozostać.

Co do szpitala, poniechała zamiaru przekazania go w fachowe ręce. Nie był ciężko ranny, po paru okładach już nawet i stopa zaczęła lepiej wyglądać, kolano goiło się jak na psie. Pozostawała sprawa zaniku pamięci, ale tego nie leczy się w zwyczajnym szpitalu, zresztą terapia psychologiczna tylko wtedy ma sens, gdy pacjent jej sobie życzy.

Resztę soboty spędzili razem, głównie na rozmowach o parku i stacji. Isia opowiedziała historię ich powstania. Ten dość rozległy obszar należał od pokoleń do pewnej hrabiowskiej rodziny i używany był dawniej jako teren łowiecki. Bywał tu podobno sam cesarz.

Park otoczono murem, aby uniemożliwić zwierzyńce przedostawanie się na okoliczne pola uprawne i aby utrudnić kłusownikom korzystanie z lasu i jego bogactw.

Ostatni z rodu hrabia kochał naturę w inny sposób niż jego przodkowie. Nie polował, nie hodował bażantów, nie kazał tępić drapieżników, lecz cieszył się swoją nienaruszoną, prawie pierwotną puszcza. Aby zapewnić jej nadal bezpieczną przyszłość, zapisał wszystko Związkowi Przyjaciół Przyrody. Zapis obwarował jednak warunkami. Park nadal miał pozostać ogrodzony i zamknięty. Ma zostać przeprowadzona dokładna inwentaryzacja, wytyczone drogi łączące co ciekawsze punkty, zbudowana stacja. Dopiero wtedy park zostanie udostępniony liczniejszej publiczności, ale tylko w ten sposób, że zainteresowani będą mogli w małych, najwyżej pięcio-, sześćoosobowych grupkach spędzać tu kształcące biologicznie i ekologicznie dwutygodniowe turnusy. Pracownicy mają być finansowani częściowo z pozostawionego przez hrabiego kapitału, a częściowo przez urząd zatrudnienia, potem z tej turystyczno-oświatowej działalności.

Pierwsza faza projektu trwała rok. Wytyczono drogi i zbudowano stację ekologiczną. Dom był drewniany i pod względem energetycznym prawie samowystarczalny. Na dachu z południowej strony znajdowały się baterie ogniw słonecznych dające prąd. Kolektory słoneczne, również na dachu, ogrzewały wodę. W zimie uruchamiano piec, którego ciepłe spaliny poruszały turbinę produkującą prąd.

Z wykorzystania wiatru zrezygnowano, bo po pierwsze w środku lasu było go za mało, a po drugie warczący i migający w słońcu rotor nie bardzo by pasował do panującego tu spokoju. Woda pitna pochodziła ze studni. Można ją było ręcznie pompować do większego zbiornika. Wody do mycia i prania dostarczały deszcze. W okresach suszy można było oczywiście korzystać wyłącznie z pompowanej wody gruntowej, co wymagało trochę więcej pracy, ale traktowano to jako pozytywny efekt uboczny. Żmudne pompowanie uświadamiało użytkownikom, jak cennym skarbem jest czysta woda i skłaniało do oszczędności. Płynne ścieki odprowadzane były na dużą trzcinową grządkę i tam, w labiryncie kanalików utworzonych przez korzenie, oczyszczane biologicznie dzięki osiadłym w nich bakteriom. Toaleta natomiast była sucha, kompostowa.

W drugiej fazie projektu biologowie mieli przeprowadzić inwentaryzację flory i fauny. Zatrudniono na pełny etat Isię, potem pojedynczy specjaliści mieli w ramach prac zleconych zapełniać pozostawione przez nią luki. Isia ze swojej strony marzyła o tym, żeby po roku zostać przyjętą do stałej załogi stacji. By to osiągnąć, już teraz z własnej inicjatywy wygłaszała prelekcje i uczęszczała regularnie na publiczne zebrania rady miejskiej.

Niedziela

Bond spał dobrze, poza tym, że raz koło północy znów zerwał się z krzykiem. Tym razem jednak szybko powróciła mu świadomość i szorstko przepędził Isię, gdy stanęła nad nim ziewająca, w długiej nocnej koszuli.

W niedzielę, gdy po śniadaniu Isia sprzątała kuchnię, Bond pokuśtykał do biblioteki. Zastała go potem na ganku w hamaku, pogrążonego w lekturze.

Podziwiała jego pogodne usposobienie. Z jaką łatwością potrafił odganiać ponure myśli i jak mało przejmował się bólem stopy i kolana. Przebywanie w jego towarzystwie sprawiało jej zwyczajnie przyjemność. Nie tęskniła przedtem za ludźmi, dobrze jej było w samotności, ale teraz zaczęła się trochę martwić, że gdy Bond odejdzie, zrobi się tu pusto i smutno. Przestała się więc upierać przy rozwiązaniu zagadki, aby nie przyspieszać momentu rozstania. Bond czuł się lepiej, nie potrzebował pielęgniarki, siedziała przy nim wyłącznie dla własnej przyjemności. Ciekawe, czy i on tak odczuwa? Miło by było...

- Wychodzę do lasu popracować trochę - powiedziała. Właściwie nie musiała pracować dzisiaj, w niedzielę, ale postanowiła pójść do lasu, aby przekonać się, co Bond wybierze: jej towarzystwo czy hamak i książkę. - Na jakąś godzinkę, nie więcej. Chyba niczego ci tu nie brakuje. W razie czego możesz zawołać, nie będę daleko...

- zawiesiła głos. - Chyba że miałbyś ochotę popatrzeć, jak pracuję?

- spytała i miała nadzieję, że cała ta przemowa zabrzmiała odpowiednio obojętnie.

Bond przyglądał się jej uważnie przez chwilę, a po wyrazie jego twarzy Isia poznawała, że przekłada sobie w myśli jej zaszyfrowane wyznanie: Zniknę ci teraz z oczu, żebyś zobaczył, jak nudno ci beze

mnie... No, robi ci się przykro? Bardzo bym była szczęśliwa, gdybyś zechciał pójść ze mną. Wszystko jedno, co będziemy w tym lesie robili, najważniejsze, żebym się przekonała, czy chcesz być blisko mnie.

- Chętnie popatrzę, jak pracujesz - powiedział wreszcie. - Będę twoim pierwszym kursantem, dobrze?

W pobliskim liściastym gaju Isia rozłożyła koc i poduszki i doprowadziła do nich skaczącego na jednej nodze Bonda. Wręczyła mu notes i długopis i kazała zapisywać wszystkie informacje, jakie mu poda. Następnie zabrała się do roboty. Najpierw za pomocą sznurka wyznaczyła wokół ich legowiska kwadrat o boku dziesięciu metrów. Potem ułożyła się na wznak na kocu obok Bonda, wskazała korony drzew i spytała:

- Jak myślisz, ile procent tego kwadratu zacieniają drzewa?

Przez chwilę milcząc wpatrywali się w zielono-niebieską kopułę przetykaną słońcem. Wiatr poruszał gałęziami. Ponad drzewami krążyły, wołając tęsknie, myszołowy.

- Jaki piękny dzień - zauważył Bond, jakby zdziwiony. - Zapo-
„mniałem już, że taki spokój może panować w naturze.

- Mam to na co dzień - powiedziała Isia z uśmiechem. -
Cudowna praca, prawda?

- Cudowna - przyznał. - Ale chyba trochę monotonna na dłuższą metę. Zawsze musisz leżeć w tym samym miejscu, czy wolno ci się czasem położyć gdzie indziej?

- Czasem leżę gdzie indziej - na mostku nad strumieniem, na

łące...

Znów leżeli milcząc. Po niebie przepłynął obłoczek.

- To nie tak łatwo z tymi procentami - powiedział nagle Bond.

- Tyle dziur. Gdyby to sfotografować, może dałoby się jakoś policzyć, ale tak...

Isia wykazała więcej optymizmu.

- Musisz po prostu trochę to wszystko poprzesuwać. Tu odciąć, tam dołożyć. Samo ci wyjdzie.

Bond wziął się poważnie za obliczanie; mamrocząc cicho liczby, wykonywał rękami tnące i przesuwane gesty.

- Sześćdziesiąt trzy, góra sześćdziesiąt pięć - oznajmił wreszcie.

- A ty ile masz?

- Nic nie mam. Nie liczyłam. Mężczyźni mają podobno lepszą wyobraźnię przestrzenną, więc zostawiłam to tobie. Zapisz sześćdziesiąt procent - poleciła. - A teraz rozejrzyj się i powiedz mi, jakie gatunki drzew tu rosną. Na tym kwadracie.

- Mam szczęście - ucieszył się Bond. - To jedyne drzewa, jakie umiem rozpoznać. Buki i dęby.

- Tak ci się tylko wydaje. Na pewno znasz więcej. Nie poznałbyś brzozy?

- Rzeczywiście. Poznałbym.

- No więc rozejrzyj się jeszcze raz. Tu coś jeszcze rośnie. - Odczekała chwilę i dodała: - Jeszcze tylko jeden gatunek.

- Brzoza? - spytał z niedowierzaniem. - Zresztą skąd ty wiesz?

Masz cały czas zamknięte oczy. Widziałem!

- Rozejrzałam się wcześniej i mogę cię zapewnić, że zapamiętałabym nawet więcej niż trzy gatunki naraz. Zapisz jeszcze grab.

Bond zapisał.

- I co teraz? - zapytał z zapalem nowicjusza.

- Teraz krzaki. Będę musiała sama to zrobić, bo do krzaków trzeba wstać.

- Chyba że byłby tylko jeden, ten, pod którym leżymy.

- Nie leżymy pod krzakiem, tylko obok krzaka - poprawiła Isia, nie wstając jednak i nie otwierając oczu.

- A to nie wszystko jedno?

- Absolutnie nie! Ze względu na kleszcze!

Kiedy uporali się z roślinnością, Isia siedziała przez jakiś czas zadumana. Wreszcie westchnęła z rezygnacją.

- No więc jeśli się koniecznie upierasz... - powiedziała niechętnie. - Upierasz się?

- Na razie się nie upierałem, ale zaciekawiałaś mnie i teraz już się upieram, choć nie wiem przy czym.

- Żebyś tylko nie pożałował. To będzie dość okropne.

- Tym bardziej się upieram! Najwyższy czas na coś okropnego, nie uważasz?

Isia wstała z tajemniczym wyrazem twarzy. Z torby wyjęła duży kawał ceraty, rozłożyła go na ziemi, a na nim postawiła wysoki zakręcany słoik. Następnie wytyczyła sznurkiem kwadrat o boku tym razem jednego metra i zaczęła zakładać cienkie lateksowe rękawiczki.

Bond obserwował ją z prawdziwym zainteresowaniem.

- Bez rękawiczek nie potrafię. I tak mnie to masę nerwów kosztuje. - Podała Bondowi kartkę z długą listą alfabetycznie ułożonych łacińskich nazw. - Ja będę mówiła nazwy zwierzątek, a ty będziesz stawiał kreski. Liczymy je - wyjaśniła. - Nie uwierzysz, ile gatunków zwierząt żyje na takim małym skrawku. Na powierzchni ziemi i w ziemi.

- Wykopiesz tu borsuka? - wtrącił Bond z udanym podziwem.

Isia puściła tę uwagę mimo uszu.

- Oczywiście jeśli gleba nie jest zatruta - ciągnęła. - Na współczesnych polach uprawnych nic już prawie nie ma w porównaniu z tym, co dawniej było. Trzeba wiedzieć, rzecz jasna, ile powinno być.

- No, zaczynaj! - popędził ją Bond.

Zaczęła. Wzięła do ręki stary widelec, uklękła na ceracie i pochyliła się nad wytyczonym kwadratem.

Miał świetną zabawę. Isia najwyraźniej w świecie brzydziła się większości żyjątek, a niektórych wręcz się bała. Starła się być przygotowana na każde tego rodzaju spotkanie, niektóre jednak zaskakiwały ją i wtedy podrygiwała, podskakiwała, wydawała okrzyki przerażenia i rzucała widelcem, którym grzebała w ziemi.

Przedstawienie trwało godzinę. Na zakończenie Isia zdarła z rąk rękawiczki i padła wyczerpana na koc.

- To było straszne - szepnęła resztką sił. - Możesz już wypuścić pająki ze słoika, tylko uważaj, żeby nie szły w moją stronę.

Bond wykonał polecenie.

- Jesteś pewna, że nadajesz się do tej pracy? - zapytał ze współczuciem.

- Do tej akurat pracy się nie nadaję, ale nie przejmuj się, nie mam zamiaru jej wykonywać. To będzie właśnie to, czego nie zdążę w ciągu tego roku. Zresztą nie znam się na tym za dobrze. Do tego trzeba specjalisty.

- Nie jesteś specjalistką? Nie studiowałaś biologii?

- Biologia jest bardzo rozległą dziedziną, Bond. Oczywiście znam się na wszystkim po trochu, ale nie żyję jeszcze dość długo, żeby być specjalistką od wszystkiego. Na pająki starałam się zawsze patrzeć z bezpiecznej odległości. Znam się za to na wodnych żyjątkach.

- Na rybach?

- Nie na rybach. Na tych malutkich, na larwach owadów, pijawkach, wymoczkach, ślimakach. I na tych całkiem maleńkich, mikroskopijnych...

- A nie są tak samo obrzydliwe jak te lądowe? - przerwał Bond.

Isia spiorunowała go wzrokiem.

- Żadne zwierzę nie jest obrzydliwe. Zapamiętaj to sobie!

- I kto to mówi? Ty? Po tym przedstawieniu, które mi przed chwilą dałaś?

- To jest tylko fobia - wyjaśniła Isia godnie. - Zupełnie bezpodstawny lęk.

- Jest jakaś różnica?

- Jak najbardziej! Ja nie mówię na widok pająka: fuj, jaki obrzydliwy.

- Tylko wrzeszczysz: uaa, pająk! i rzucasz się do ucieczki. To robi co najmniej takie samo wrażenie.

- Dlatego też nie zajmuję się oznaczaniem lądowych żyjątek przy ludziach, a szczególnie przy dzieciach i młodzieży. Wodne to zupełnie co innego. Nie można ich wyjmować z wody, bo trudniej je wtedy zidentyfikować. Nie wolno ich dotykać łapskami, bo są na ogół bardzo delikatne. A ślimaków się nie brzydę.

- A co z pijawkami?

- Z pijawkami jest trochę gorzej - przyznała Isia. - Na szczęście potrafię je rozpoznawać z dość dużej odległości, więc też nie muszę ich brać do ręki.

- Widziałaś kiedyś końską pijawkę?

- Haemopis sanguisuga*. Oj, widziałam. To było wstrząsające.

Szła, taka wielka, na piechotę po ścieżce. Do tej pory nie wiedziałam, że niektóre pijawki opuszczają wodę. Wiesz co? Jutro dostanę akumulator i zabiorę cię nad rzeczkę. Możemy tam zostać przez cały dzień, zrobimy sobie piknik. Masz ochotę?

- To już nie chcesz mnie odsyłać do szpitala ani do domu? - zapytał z uśmiechem.

To był śliczny uśmiech. Mówił Isi wyraźnie, że on wie, jak jest jej z nim dobrze, że i jemu z nią dobrze i że nie warto tego ukrywać.

Odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

- To zostaniesz? - upewniła się.

- Zostanę - odpowiedział, a Isia szybko wygnała z myśli pytanie, czy nie zostawił gdzieś żony i gromadki dzieci. Postanowiła nie myśleć o tym, spojrzała jednak badawczo na jego palce. Obrączki, nawet śladu po niej, nie było. Bond pochwycił jej wzrok i roześmiał się beztrąsko.

- Zastanawiasz się, czy nie jestem żonaty? Nie sądzę. Ale nawet gdybym był, to na pewno niezbyt szczęśliwie, bo myśl o powrocie do domu wywołuje we mnie zdecydowany sprzeciw. Może właśnie dlatego mam zanik pamięci, że moje małżeństwo było jedną wielką katastrofą i staram się z niego wyrwać?

- Chcesz teraz o tym rozmawiać? - spytała Isia bez przekonania.

Tym razem to ona wolała ten temat ominąć. Pomówmy raczej o nas, myślała.

- Trochę. Wiesz, ja tego może nie pokazuję, ale jednak dziwią mnie pewne rzeczy. Już choćby ta niechęć, która ogarnia mnie na myśl o powrocie do domu. Czy to tylko dlatego, że podobacie mi się ty i twój las?

- Ja cię nie wyganiam - zapewniła Isia. - Na początku, gdy miałam cię za zwykłego włóczkę, chciałam się ciebie oczywiście pozbyć, ale potem, gdy cię umyłam i...

- Bardzo starannie mnie myłaś, pamiętam. - Bond spojrzał Isi w oczy z dwuznacznym uśmiechem.

Zrozumiała aluzję, ale niespeszona dokończyła:

- ... i przestałeś śmierdzieć, już nie. A wczoraj tak nam się dobrze gadało...

- No właśnie. Sama widzisz, że nie mam najmniejszego powodu, żeby udawać chorego.

- Wierzę, że nie udajesz.

- Podświadomie udawać. Wiem, że mogę tu zostać, jak długo będę chciał. Więc po co ten zanik pamięci?

- Miałeś wstrząs mózgu...

- Sama mówiłaś, że w takim wypadku miałbym po prostu lukę w pamięci sięgającą nie dalej niż pół godziny wstecz. Skąd ja się tu wzięłem? Dlaczego byłem taki brudny i zaniedbany? Dlaczego mam te koszmarne sny? To są pytania, na które powinienem szukać odpowiedzi, a jednak wolę jej nie znać. Może rzeczywiście jestem włóczęgą. Może czuję, że gdybyś poznała prawdę, nie chciałabyś mnie znać? Od czegoś uciekałem, to jasne. Jestem tu, a nie u siebie w domu. - Przerwał i gwałtownie wciągnął powietrze. - O! Znow ten skurcz na wspomnienie domu... No więc jeśli od czegoś uciekałem, to mi się udało. - Spojrzał na Isię. Siedziała tuż obok, nagle zgaszona. Po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że tajemnica Bonda jest może nie tylko interesująca, lecz że zawiera w sobie coś, o czym rzeczywiście lepiej nie wiedzieć.

Bond ujął jej dłoń, podniósł ją do swojej twarzy i delikatnie przytulił do policzka.

- Nie bądź smutna, leśna dziewczyno, nic nam nie grozi, gdy jesteśmy tu razem. Cieszę się, że mogę tu zostać. I cieszę się, że cię poznałem.

Isia poczuła w sercu cudowne ciepło.

- Też się cieszę, że nasze drogi się skrzyżowały - powiedziała nieco podniośle i zawstydzwszy się patosu, dodała: - Dość gwałtownie się skrzyżowały, prawda?

Wieczorem, gdy Bond poszedł spać, Isia włączyła radio. Nie chciała robić tego przy nim i z ulgą stwierdziła, że jej gość jest jeszcze bardzo słaby i potrzebuje dużo snu. Miała nadzieję usłyszeć komunikat typu wyszedł z domu i dotychczas nie wrócił, i w ten sposób dowiedzieć się, kim Bond jest naprawdę. Nie musi mu tego mówić, jeśli on tak uparcie nie chce wiedzieć. Zdawała sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie w radiu nic nie będzie, prędzej znajdzie się notatka w prasie, ale gazetę zdobędzie dopiero jutro, w Kirchdorfie, radio natomiast mogła włączyć natychmiast.

Grało cichutko, Isia leniwie kładła pasjansa, wspominając sceny minionego dnia. Słowa Bonda, jego głos, jego uśmiech, tę szczególną atmosferę wzajemnego zrozumienia i harmonii, gdy leżała obok niego w lesie, tę delikatną pieśczęotę... Są ludzie, których fizycznej obecności nie potrafiła znieść, nawet gdy starali się być mili, których wypowiedzi, gdy ich treść nie zgadzała się z jej przekonaniem, doprowadzały ją do szału. W stosunku do Bonda miała o wiele więcej tolerancji, głupie uwagi puszczała mimo uszu albo potrafiła spokojnie się im sprzeciwić, a cała reszta zachwycała ją po prostu.

Tak, chciała go mieć dla siebie. Świat, z którego przyszedł, przedstawiał się jej jako zagrożenie dla ich znajomości. Isię mniej obchodziło to, dlaczego Bond od niego uciekł, niż to, czy ten świat ma prawo żądać jego powrotu. Dlatego też zaprzestała prób uzdrowienia

jego pamięci. Bond chce tu zostać, niech więc zostanie. Niech rozwinię się to coś, co się między nimi narodziło, niech te więzy zdążą stać się dość silne, aby wytrzymać konkurencję ze wszystkim, co może sobie do niego rościć prawo. Ona jednak, nic mu o tym nie mówiąc, postara się zajrzeć za tę zasłonę, żeby wiedzieć, skąd oczekiwać ataku, żeby się nań przygotować.

W myśli formułowała już bezlitosne pytania, jakie zada domagającej się powrotu Bonda jego niewątpliwie niesympatycznej żonie czy też bez granic zaborczej matce. A może miał kłopoty w pracy, może był ofiarą mobbingu? Isia uczepiła się tej myśli i zaczęła ochoczo ją rozwijać. To nie byłoby złe. W takim wypadku nikt nie rościłby sobie do niego praw, a pobyt tutaj, zapomnienie, dobrze by mu zrobiły. Do takiej pracy i tak nie powinien już wracać! Co za ludzie, żeby nie oszczędzić kogoś tak wyjątkowego jak Bond!

W radiu podawano wiadomości. Isia słuchała ich jednym uchem, bo bardziej przejęta była swoim nowym zadaniem polegającym na okazywaniu miłemu gościowi zrozumienia i uczucia. „... dwudziestosiedmioletni Rolf Ahlers podejrzany jest o dokonanie dwóch bestialskich morderstw i planowanie dalszych. Podejrzany ma 186 cm wzrostu, jasne włosy i zielone oczy. Znakiem szczególnym jest bardzo duża blizna na brzuchu i piersi poszukiwanego. Rolf Ahlers jest niezrównoważony psychicznie. Jego miejsce pobytu nie jest znane, nocuje prawdopodobnie w hotelach i pensjonatach. Policja zwraca się ze szczególnym apelem do wszystkich osób, które w ciągu ostatnich dwudziestu siedmiu lat znały Rolfa Ahlersa, czy też o nim

słyszały.

Osoby te mogą znajdować się w poważnym niebezpieczeństwie, dlatego też proszone są o bezzwłoczne zgłoszenie się na policję”.

Isia nie była pewna, czy usłyszała cały komunikat. Wdarł się w jej marzenia straszliwym dysonansem, zasiał w jej duszy potworne podejrzenie, ale i gwałtowny sprzeciw, gdyż widziała już Bonda przez różowe okulary miłości. Czy ten opis mógł go dotyczyć? Czy on jeden na świecie jest wysoki, ma zielone oczy i blond włosy? Ale blizna? Tak ogromna blizna, czy mógł to być tylko zbieg okoliczności? Czy wyrażenie „niezrównoważony psychicznie” może oznaczać rozdwojenie osobowości? Dr Jekyll i Mr Hyde? Czy to dlatego zapalała do swojego gościa tak gwałtowną sympatią, że na jego charakter w obecnej chwili składały się wyłącznie dobre cechy? Bo wszystko, co w nim złe, pozostawił za sobą i uciekł?

Tylko jak można uciec od kogoś, z kim zajmuje się wspólne ciało?

To by znaczyło... to by znaczyło, że ten poszukiwany Rolf Ahlers, ten bestialski morderca, znajduje się tu, w drugim pokoju!

Isia poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Co robić? Czy powinna teraz, natychmiast ruszyć na piechotę do miasteczka i sprowadzić policję? Zanim Bond się obudzi, będą tutaj, zwiążą go, obezwładnią.

A on popatrzy na nią wzrokiem rannego zwierzęcia tak jak wtedy, na leśnej drodze, nie rozumiejąc, co się dzieje, pojmując tylko, że Isia zawiodła jego zaufanie.

Morderca. Czy bała się go? Nie, Bond nie był mordercą, jego nie

musiała się lękać. Ale tamten, Rolf Ahlers? Nie potrafiła wyobrazić sobie, że drzemał w ciele jej nowego przyjaciela, że ukryty za jego pogodną twarzą miał świadomość dwóch popełnionych morderstw i planował dalsze. Więc gdzie był? Nawet jeśli Bond psychicznie od niego uciekł, nie mógł tego zrobić fizycznie. Albo się z nim zjednoczył i nad nim panuje, albo usunął go w podświadomość i zakrył zasłoną zapomnienia.

W pierwszym wypadku pamięta o swoich zbrodniach, a mimo to potrafi zachowywać się tak pogodnie i beztrosko. Isia zadrżała.

W drugim wypadku zapomniiał o istnieniu potwora, a zapomniawszy, pozbył się pewnie ostrożności, a tym samym może go znów niechcący wyzwolić.

I jeden, i drugi wariant wydał się Isi nie do przyjęcia. Nie dlatego, żeby były niemożliwe, ale dlatego, że psułyby jej nastrój beztroskiego zakochania. Powodowana gorącym pragnieniem pozbycia się dylematu, zastanowiła się z kolei nad pytaniem, czy komunikat radiowy naprawdę dotyczył Bonda. Po raz pierwszy pożałowała, że w chatce nie ma telewizora. Na pewno w wiadomościach pokazywano fotografię Rolfa Ahlersa.

Iść na policję? Nie iść? Nie tylko długość drogi i nocne ciemności sprawiały, że Isia się wahała. Przyczyniało się do tego w dużej mierze przekonanie, że krok ten oznaczałby dla niej rezygnację z Bonda.

Gdyby teraz wyszła, mogłaby za dwie godziny znaleźć się w Kirchdorfie, w komisariacie. Komisarz Tielke pokazałby jej fotografię

podejrzanego i albo okazałoby się, że Bond jest tym Rolfem, mordercą, a wtedy na zawsze zniknąłby za kratkami, albo że nim nie jest, ale wtedy jej podejrzenie i donos staną między nimi. Nawet gdyby

Bond nie zauważył jej nocnej wycieczki, nie potrafiłaby mu o tym nie opowiedzieć. Im lepiej by się poznawali, tym bardziej pragnęłaby oczyścić swoje sumienie, wyznać mu, że wątpiła, że próbowała go podstępnie zdradzić.

Może więc lepiej poczekać do jutra? Wczesnie rano pracownik stacji benzynowej dostarczy akumulator. Isia wsiądzie wtedy do swego kolorowego auta i pojedzie do Kirchdorfu po bułki, jak powie

Bondowi, jeśli Bond wcześniej się zbudzi. Kupi w mieście gazetę. Na pewno będzie w niej fotografia. Jeśli rozpozna na niej Bonda, wejdzie od razu do komisariatu i nie wróci tu, aż będzie po wszystkim.

Nie! Isia poczuła, jak serce razem z resztą wnętrzości skręca się w niej w pełen sprzeciwu węzeł. By go rozplątać, wyobraziła sobie spoglądającą na siebie z gazety gębę jakiegoś obcego bandziora. Tak, tak już jest lepiej.

Więc... do jutra.

Nic jej przecież nie grozi. Jeżeli dobrze zrozumiała, apel, aby wszyscy, którzy znali kiedykolwiek Ahlersa, zgłosili się na policję, oznaczał, że jego mordercze zamiary kierują się tylko przeciwko dawnym znajomym. Że korzenie zdarzeń leżą gdzieś w przeszłości.

Isia natomiast nigdy tego nazwiska nie słyszała, jeśli więc nawet

Rolf znów zapanuje nad Bondem, nie może być dla niej bezpośrednio niebezpieczny.

Isia zdecydowała się. Poczekaj do jutra. Poczekaj, aż będzie miała stuprocentową pewność.

- Isia! Isia!

Zerwała się z pościeli. Zza drzwi dochodził rozpaczliwy krzyk.

Otumaniona snem zrozumiała tylko, że jej Bond jest w niebezpieczeństwie, a mając świeżo w pamięci wczorajszy komunikat radiowy i własne rozważania na temat rozszczepienia jego osobowości, ruszyła mu na pomoc, widząc go oczyma duszy walczącego fizycznie ze swoim drugim ja.

- Isia!

Kiedy otworzyła drzwi i zapaliła światło, a na łóżku zobaczyła jedną tylko postać, w pierwszym odruchu rozejrzała się po pokoju.

Dopiero potem powróciła jej świadomość rzeczywistości.

Inaczej niż poprzedniej nocy, Bond nie spał już, choć zgroza po przebytych koszmarze nadal malowała się na jego twarzy. Mokre od potu włosy w strąkach oblepiały mu twarz.

Rolf? - pomyślała Isia niepewnie i zatrzymała się w progu.

Wyciągnął do niej rękę.

- Znów miałem ten sen. Boję się - powiedział żałośnie.

W jednej chwili ogarnęła ją fala litości i współczucia, pochwyciła jego rękę i usiadła przy nim na łóżku. Nic nie mówiła. Czowała, że on chce się zwierzyć, podzielić się gniotącym go ciężarem, wołała więc niczego mu nie sugerować.

- Nie patrz na mnie - poprosił. - Będzie mi łatwiej mówić.

Odsunął się pod ścianę, robiąc jej miejsce, i Isia położyła się obok.

Jego bliskość sprawiła, że poczuła niebiańską błogość. Nagle stało się mało ważne, o czym on będzie mówił, byle to wyznanie trwało długo, byle mogła zostać tu przy nim na zawsze.

- Już trzeci raz śni mi się to samo. Ta sama makabryczna scena.

Zaczynam podejrzewać, że to nie symbol, nie żadna senna przenośnia, tylko zwyczajna naga prawda. Wspomnienie - powiedział głucho. - Śni mi się... śni mi się... - Wyraźnie nie mógł dokończyć zdania. - Boję się, że gdy to wypowiem, to dopiero wtedy ten sen stanie się prawdą.

Isia milczała. Uczucie błogości powoli ją opuszczało; słowo „prawda” przypomniało jej, że i ona musi spojrzeć prawdzie w oczy.

- Śni mi się, że jestem mordercą! - wyrzucił Bond nagle z siebie.

- Mordercą!!!

Isia poczuła, że sztywnieje, a uczucie ciężkie jak głaz legło na jej piersi.

- Rolf? - szepnęła z rozpaczą.

- Ralf. A jak Anna - poprawił ją machinalnie. - To moje imię...

- dodał po krótkiej przerwie. - Skąd je znasz?

- Mówiłeś je przez sen. - Isia zdziwiła się kłamstwem, które z taką oczywistością wyszło z jej ust. Ale powiedzieć mu o komunikacie radiowym nie potrafiła.

- Nie pamiętam, żebym je wymawiał. Ale jeśli to zrobiłem, a

jestem przekonany, że na imię mam Ralf, to i reszta może być prawdą.

Jestem mordercą! - W jego głosie zadrżała zgroza i rozpacz.

- Kogo zabiłeś? - spytała, choć tak naprawdę wcale nie chciała tego wiedzieć. Gwałtownie zapragnęła, żeby znów było tak jak wczoraj, zanim wysłuchiwała radia. Wtedy, gdy przeszłość Bonda była tylko ciekawą, ale nie ponurą zagadką.

- Nie wiem, kogo zabiłem. Nie wiem nawet jak. Ale wiem, że człowiek pozbawiony serca nie może żyć, a w tych snach widzę siebie, jak wyjmuję ludzkie serce z paczki, w której je przyniosłem do domu.

Isi przypomniało się określenie „bestialskie morderstwa” i zadrżała, ale zapytała dzielnie:

- A skąd masz pewność, że to było ludzkie serce? Może było wołowe albo wieprzowe i kupiłeś je sobie na obiad? Ja, chociaż studiowałam biologię, nie odróżniłabym serca ludzkiego od wieprzowego.

I do tego jeszcze we śnie...

Bond zaśmiał się swoim beztroskim śmiechem, który tak lubiła.

- I myślisz, że zamiar spożycia wołowego czy wieprzowego serca tak mną wstrząsnął, że uciekłem z domu i straciłem pamięć?

Śmiała się z nim razem.

- Może. Może nigdy jeszcze tego nie robiłeś i dlatego tak ci to utkwiło w pamięci, a teraz starasz się dobudować do tego mrozącą krew w żyłach historię.

- Masz rację, historia jest mroząca krew w żyłach, ale oszczędzę

ci szczegółów. Twoje wyjaśnienie zaczyna mi się podobać i dlatego może pozostanemy przy nim.

Isia pomyślała, że Bond - tak, Bond, nie chciała nazywać go Ralfem - że Bond ma szczęśliwą naturę optymisty. Nie minęło dziesięć minut od chwili, gdy obudził się przerażony i nieszczęśliwy, a już zaczął się otrząsać z tych uczuć. Chwycił się pierwszego lepszego pretekstu, żeby wyzwolić się od niemiłych rozmyślań. Lubiła go takim... Ale czy ona sama potrafi zapomnieć o tym, co usłyszała w radiu? Czy po tym, co wyznał jej Bond, po tym, jak przyznał się do imienia Ralf, potrafi nadal się łudzić, że wszystko jest tylko zbiegiem okoliczności?

Potrafiła. Gdy pogładził ją delikatnie po twarzy, gdy zapytał:

- Zostaniesz? - i otoczył ją ramieniem, pomyślała tylko leniwie, że jutro się nad tym zastanowi, i chcąc przyspieszyć ten rozkoszny moment, gdy jego usta dotkną jej ust, położyła mu dłoń na karku. Rozsądek oddalił się na spoczynek, a jego rolę z ochotą przejął prastary instynkt.

Pozwoliła Bondowi wyłuskać się z nocnej koszuli, on jednak pozostał ubrany, co przyjęła z ulgą, bo nie chciała oglądać jego nagiego torsu, przez który, jak pamiętała, biegła duża wypukła blizna.

Poniedziałek

Pani Hinz i pani Kunz spotkały się koło fontanny. Pani Hinz wracała z zakupów, pani Kunz dopiero na nie szła. Jak co dzień. Dirk wiedział o tym dobrze. Znał ścieżki, którymi chodzili mieszkańcy jego miasteczka i gdyby kiedyś ktoś popełnił tu przestępstwo, ta wiedza

mogłaby mu się na coś przydać. Teraz jednak była zupełnie bezużyteczna.

Przyglądał się plotkarom, które zapomniawszy o bożym świecie, gadały gestykulując, w czym różniły się o tyle, że pani Hinz gestykulowała powściągliwie, pani Kunz natomiast energicznie wymachiwała ramionami. Jak co dzień...

Wiedział, że dopiero bicie zegara na ratuszu o dziesiątej spłoszy je i rozpędzi, każdą w inną stronę. Panią Kunz na zakupy, a panią

Hinz do domu. Jak co dzień...

Dirk ziewnął. Wtem drgnął i ze zgrozą spojrzął na swój wskazujący palec. Nie ulegało wątpliwości, że znajdował się on już w połowie drogi do nosa. Dotychczas młody policjant używał określenia

„dłubać w nosie” w charakterze przenośni obrazującej wysoki stopień znudzenia. Teraz, gdyby się w ostatniej chwili nie zreflektował, przenośnia stałaby się niepodważalnym faktem.

Tak, Dirk Tielke znowu się nudził. Zaledwie kilka dni temu zrobił swoje wielkie odkrycie i wierzył, że wypływa wreszcie na szersze wody. Jak mógł się tak łudzić? To, co się potem stało, było najzupełniej logiczną kolejną rzeczą. To było w piątek. Trupa chirurga znaleziono w czwartek, ale morderstwo zostało popełnione w środę. Do radia, telewizji i prasy rozesłano rysopisy i zdjęcia Rolfa AMersa.

Do poniedziałku Dirk miał mnóstwo czasu, żeby pożegnać się z wszelką nadzieją na udział w dochodzeniu. Teraz więc, powróciwszy do swych dawnych przyzwyczajzeń i zajęć, z niecierpliwością wyczekiwał codziennej swej rozrywki - przyglądania się paniom Hinz

i Kunz. Zaraz wybije dziesiąta i obie gaduły jak co dzień drgną zaskoczone i jak spłoszone kury rozbiegną się w dwie strony.

Dźwięk telefonu przerwał brutalnie Dirkowe obserwacje.

- Komisariat policji. Tielke - powiedział w słuchawkę, zezując jednocześnie na wieżę ratusza, gdzie duża wskazówka za parę sekund miała przeskoczyć na dwunastą i spowodować oczekiwane przedstawienie.

- Tu Funke! - ryknęło ze słuchawki. - Ładnie to tak!? To ukrywa się fakty przed starą Funke? Było i drugie morderstwo!?

- O, pani Funke! - Dirk szczerze się ucieszył. - Jakże się pani miewa?

- To nie ma nic do rzeczy! Co to? Czy ja dopiero z gazety muszę się dowiadywać o wybrykach mojego wychowanka? Ha? Proszę o dokładniejsze sprawozdanie!

Dirk uśmiechnął się pod wąsem. Lubił tego dragona w spódnicy.

Nic na to nie mógł poradzić.

- Proszę pani, mnie nie wolno...

- A tam! Nie wolno mu! A wchodzić do cudzego mieszkania bez nakazu rewizji to mu wolno?

- Pani mnie źle rozumie. Ja już się tą sprawą nie zajmuję. Poza tym wtedy, gdy byłem u pani, nie wiedziałem jeszcze o drugiej ofierze.

- Co to znaczy, nie zajmuje się pan? Znudziło się? Dzisiejsza młodzież! Żadnej wytrwałości!

Dirk uznał, że przez telefon jest jeszcze trudniej przeciwstawić

się

Edeltraud Funke.

- Proszę posłuchać - starał się naśladować nieznoszący sprzeciwu ton Wagnera - morderstwo popełniono w Hamburgu i służbowo nie mam z tym nic do czynienia. To jednak wcale nie oznacza, że mi się znudziło albo że nie jestem wytrwały. Wręcz przeciwnie. Gdyby mi tylko pozwolono, przypiąłbym się jak pijawka, wgryzłbym się jak buldog. Dzień i noc bym pracował...

- A tuś mi! - huknęła pani Funke radośnie. - Tu cię boli! Starej Funke nie oszukasz! Niezaspokojone ambicje, aha! Najlepiej przyjedź dziś do mnie wieczorem, chłopaczku. Zupełnie prywatnie, na kolację. Możesz zabrać ze sobą Alke Fink. Podobno spotykasz się z nią ostatnio?

Dirk chętnie przyjął zaproszenie, a z pokorą fakt, że Edeltraud Funke bezceremonialnie zaczęła go tykać. Owszem, pojedzie do niej i przeważają wspólnie wszystko, co Dirk wie na temat zbrodni Ahlersa. Niewiele tego jest, niestety... Nawet gdyby chciał, nie mógłby wyjawić jej za dużo. Ten krótki epizod da mu przynajmniej towarzyskie korzyści.

Zadzwoił do Alke i zapowiedział, że przyjedzie po nią o wpół do szóstej. Rzeczywiście spotykał się z nią ostatnio, od tego dnia, gdy przyniosła mu przeczytany ukradkiem list Ahlersa. Nic wielkiego, zaczęli chodzić codziennie na obiad do Turka. Dirk zdumiał się nieco, że Edeltraud Funke w Holthusen już o tym wie. Jako dziecko wielkiego miasta nie przypuszczał, że jest obiektem plotek i

obserwacji tutejszego społeczeństwa. Musiał jednak przyznać, że zajęcie to, jako łatwe i dostępne każdemu za darmo, jest jedną z ciekawszych rozrywek na prowincji. Nawet sam popróbował już swych sił na tym polu, o czym świadczyło jego zainteresowanie paniami Hinz i Kunz.

Dirk poczuł, że humor znacznie mu się poprawił. Sprawiała to rozmowa z rubaszną panią Funke i widoki na wspólną wyprawę z Alke.

Nie miał jeszcze okazji siedzieć z nią w aucie, a ich spotkania odbywały się dotychczas w miejscu publicznym w biały dzień. Dziś, gdy będzie odwoził Alke do domu, zrobi się już może ciemno i wtedy...

Ach, westchnął. Miłość jest ślepa. To znaczy nie, nie ślepa, bo Alke jest bardzo ładną dziewczyną. Ale miłość wyłącza rozsądek. Przecież już przy pierwszym spotkaniu zauważył, jak wrażliwa i subtelna jest Alke, jak ślepo ufa jakimś przedpotopowym zasadom, a mimo to zamiast przestać zawracać sobie nią głowę, podsyca zakochanie szczeniackimi marzeniami o pierwszym pocałunku. Tymczasem dobrze wie, że nie może mu pójść łatwo z dziewczyną, która przez dwa lata potrafiła utrzymać swą rosnącą ciekawość na wodzy, bo nie czytuje się cudzej korespondencji. A przecież mogła zwyczajnie otworzyć listy dementnej ciotki. Nawet po śmierci adresatki miała jeszcze obiekcje!

No tak. A teraz Alke spotyka się z Dirkiem. W tym nie widzi nic złego. Zjadają wspólnie obiad, „poznają swoje upodobania i

charaktery”, rozmawiając przy posiłku, i rozchodzą się każde do swoich spraw. Zanim Alke pozwoli się pocałować, musi być pewna swoich i jego uczuć. Nie powiedziała mu tego oczywiście, do tak zaawansowanej intymności nie doszli jeszcze, ale Dirk wiedział to z taką pewnością, jakby Alke swoje zasady miała wypisane na czole. A gdy w marzeniach pozwalał sobie rozpiąć guzik u jej bluzki, to już zawrót głowy, jakiego przy tym doświadczał, uświadamiał mu, jak daleka czeka go jeszcze droga!

W co ja się wpakowałem? Nie miała baba kłopotu. No, może rzeczywiście nie miała... Dirk westchnął znowu. Ale już było za późno.

Zakochał się w Alce i będzie się starał za bardzo jej zasad nie burzyć.

W każdym razie nie za gwałtownie. Nie będzie się im jednak niewolniczo poddawał. Zresztą nadzieja szeptała mu do ucha pociechę, że

Alce fascynuje się trochę tą jego wielkomięską „niemoralnością”.

A więc dziś w drodze do ośrodka położy jej rękę na kolanie. Nie, lepiej na początek na dłoni. Na kolanie dopiero w drodze powrotnej, w ciemnym aucie. A jeśli go nie odepchnie, to pod drzwiami jej mieszkania... Ho, ho, ho, do czego to może dojść... Dirk zatarł ręce i wesoło pogwizdując, wyszedł na obiad.

Po drugiej stronie placu parkował ten śmieszny samochodzik ze stacji ekologicznej. Isia Dobrzańska, którą spotkał już raz, gdy

rozpoczął pracę, siedziała za kierownicą i czytała gazetę.

Dirk wiedział, że Isia mieszka w parku zupełnie sama, przypomniał sobie, jak samotny czuł się zaledwie kilka dni temu, gdy nie było jeszcze w jego życiu Alke, która teraz czeka już może na niego w restauracji Yetkina, i zrobiło mu się Isi żal. Na nią nikt nie czekał.

Zbliżył się więc cicho, zajrzał Isi przez ramię do gazety i spontanicznie, zainspirowany tym, co zobaczył, chwycił ją za przegub dłoni i zawołał dziarsko:

- No! Niech się pani przyzna! Ukrywa go pani u siebie?

Ze stłumionym okrzykiem Isia odwróciła do niego pobladłą twarz.

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Nie znam go! Nigdy tego Ralfa nie widziałam!

- Dobrze już, dobrze. - Dirkowi zrobiło się głupio, że żartobliwa, przyjacielska zaczepka tak bardzo wyprowadziła dziewczynę z równowagi.

Albo ja jestem skończonym grubianinem, albo te baby są ostatnio przewrażliwione. Albo ta tutaj lada dzień będzie miała miesiączkę, domyślił się. Niedawno, nudząc się przy biurku, Dirk sięgnął po broszurkę Kasy Chorych na temat cyklu miesięcznego kobiet. Z rosnącym zainteresowaniem zagłębił się w tajniki zespołu napięcia przedmiesiączkowego i jego stu pięćdziesięciu symptomów.

- Tak tylko powiedziałem - tłumaczył się. - Bardzo mi przykro, że panią przestraszyłem.

Isia sama też już rozumiała, że Tielke nie może o niczym mieć pojęcia, ale przerażenie, jakie to nagłe pytanie w niej wywołało, nie chciało jej jeszcze opuścić. Ku swojemu niezadowoleniu poczuła, jak zaczyna się cała trząść; w gardle ma kluskę, a dłonie wilgotne i zimne. Wiedziała wprawdzie, że powinna teraz w odpowiedzi roześmiać się beztrąsko i rzucić jakąś zwyczajną uwagę na jakikolwiek temat.

Tylko na jaki? - myślała w panice. Na ten temat czy na inny? Co będzie bardziej naturalne? Och, Boże, niech on sobie już pójdzie!

Ale Dirk nie odchodził. Uparł się naprawić swój błąd i choć pamiętał o czekającej Alce, postanowił zrobić dobry uczynek i uspokoić Isię. Spróbował rozpocząć z nią swobodną pogawędkę. Szło mu jak po grudzie. Isia odpowiadała wprawdzie na jego pytania, odnosił jednak wrażenie, że nie może utrafić we właściwy temat. Każde pytanie zdawało się Isię przestraszać, choć doprawdy wszystkie były zupełnie niewinne.

Czy przyjechała do Kirchdorfu tylko po gazetę? Nie przykrzy jej się samej w parku? Jak postępuje praca? Co będzie dziś robiła? Czy stacja jest ładna i wygodna? Czy Isi aby nie słabo, jest taka blada?

Wreszcie po bardzo długich dziesięciu minutach Dirk dał za wygraną. Gdy odszedł, Isia patrzyła na jego oddalającą się sylwetkę i zadawała sobie pytanie, czy domyślił się, że ona coś ukrywa.

Domyślił się. Odchodząc powoli, Dirk Tielke z politowaniem i współczuciem rozmyślał o całym rodzie niewieścim, który matka natura wydała na pastwę hormonalnej huśtawki. To typowe objawy

PMS, stwierdził autorytatywnie, świadom swej męskiej

wyższości.

Po przejechaniu granicy parku i zamknięciu za sobą bramy Isia poczuła się lepiej. Za tymi murami, w swoim pierwotnym królestwie, mogła się wreszcie zastanowić. Nie pojechała na razie dalej, weszła do pachnącego drewnem, pustego jeszcze pawilonu. W przyszłości miała się tu znajdować stała wystawa obrazująca kilka ważniejszych aspektów ochrony środowiska, będą też terraria i akwaria zawierające najmniejszych przedstawicieli tutejszej fauny.

Isia usiadła na drewnianej ławie otaczającej główne pomieszczenie i jeszcze raz rozłożyła gazetę. I znów serce zatrzepotało jej w piersi, jakby chciało się wyrwać i uciec gdzie pieprz rośnie. Z wyraźnej, paszportowej fotografii spojrzały na nią dobrze jej znane oczy. Tylko ich wyraz był inny niż ten, który tak polubiła. No, ale fotografowani ludzie dość często są spięci i wyglądają potem nienaturalnie surowo.

„Rolf Ahlers”, przeczytała. Rolf, nie Ralf. Albo Bond niedobrze sobie przypomniał, albo na policji coś przekręcili, albo... Nie, to byłoby zbyt piękne. Twarz na fotografii była twarzą Bonda, co do tego

Isia nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości. A więc faktycznie

Jekyll i Hyde.

Co robić? Pytanie było czysto teoretyczne. Isia nic nie chciała robić w tej sprawie. Chciała się tego problemu jedynie pozbyć, nie pozbywając się przy tym Bonda. Zakochanie ostatnich dni wzmogło się minionej nocy do tego stopnia, że Isia stała się głucha na wszelkie

argumenty rozsądku. Jeśli oczywiście założyć, że ogłuszony wybuchem miłości rozsądek ośmieliłby się jeszcze cokolwiek sugerować.

Podarła więc teraz na drobne strzępki stronę gazety ze zdjęciem Bonda, resztę zmięła i wszystko razem wrzuciła do kompostowej toalety. Następnie wsiadła do auta i ruszyła do domu. Z każdym przejechanym metrem wyraźniej czuła, jak opuszczają ją wątpliwości, aż wreszcie pozostała już tylko nieobciążona niczym radość z tego, że za chwilę spotka niewidzianego od dwóch godzin ukochanego.

Zobaczyła go z daleka; siedział na ganku z chorą nogą opartą wyżej. Drzemał w słońcu.

- Bond! - zawołała. - Jesteś gotowy? Kupiłam świeże bułki, robimy piknik.

Gdy przygotowywała koszyk z prowiantem i nosiła do auta przybory potrzebne do pracy nad strumieniem, starał się jej pomagać.

Z powodu chorej nogi bardziej jej pracę utrudniał, niż ułatwiał.

Wzbudzało to w Isi najwyższy zachwyt, przeżywała go zawalidrogą, a on mówił, że zrobiłby wszystko sam, gdyby tylko ona nie wchodziła mu ciągle w paradę.

Moment wyruszenia na piknik opóźniał się, nie miało to jednak dla nich najmniejszego znaczenia. Byli zakochani. Gdyby zamiast przebywać w pachnącym, rozslonecznionym lesie, nadzorowali w chłodny deszczowy dzień pracę miejskiej oczyszczalni ścieków, byłiby tak samo szczęśliwi. Byli razem. Mogli na siebie patrzeć, mogli

mówić do siebie i słuchać się nawzajem, mogli dotykać się niby przypadkiem i mogli to robić specjalnie. Cieszyli się sobą. Byli zakochani i reszta świata przestała się liczyć.

Nad rzeczką leżeli najpierw na brzuchach na ciepłej od słońca drewnianej szerokiej kładce. Woda płynęła powoli, płytko, pozwalając dojrzeć piaszczyste dno z nielicznymi kamieniami. Początkowo Bond widział w strumieniu tylko te właśnie kamienie, nic więcej.

Dopiero ręka Isi, którą wskazywała mieszkańców wody, otworzyła mu oczy na ten fascynujący świat. Oczywiście sam zauważał pływające żuki i małe rybki, ale domki chruścików, piaskowe lub z patyczków, czy bezbarwne ośliczki pozostałyby dla niego niewidoczne. Isia otwierała przed nim nowy, piękny świat tam, gdzie przyzwyczajony był nie dostrzegać niczego szczególnego poza pewną, grubszego rzędu, malowniczością.

Nad wodą stały wierzby i dzięki wyjaśnieniom Isi Bond widział teraz, jak z przyjemnością moczą stopy w chłodnej wodzie, jak wraz z olchami umacniają w ten sposób brzeg. Młody jesion natomiast, który zabląkał się przypadkiem zbyt blisko, starał się trzymać swoje korzenie jak najdalej od tej chlupiącej mokrości, cofał je jak kot łapkę. W tym miejscu strumień podmyje kiedyś brzeg i wygnie się, powiększając jeszcze zakole.

- Nic tu w wodzie nie rośnie - zauważył Bond.

- Nic? No, może masz rację. W każdym razie nic efektownego o tej porze roku. Zresztą, więcej roślin bywa w wodach stojących i żyzniejszych niż ten strumień. Ale popatrz - Isia sięgnęła ręką i

wyłowiła przepływającą właśnie dość niepozorną gałązkę. - Wiesz, co to jest?

Bond przyglądał się jej z zachwytem.

- Chciałbym cię tak namalować. Z włosami dotykającymi powierzchni wody, z tą kapiącą roślinką w palcach i... i...

- Z wiankiem lilii na głowie i gołą - dokończyła za niego Isia.

- To byłby straszny kicz, ale jak chcesz, namaluję cię taką. Najlepiej namaluję dwa obrazy. W ubraniu bez lilii i nagą z liliami.

- Żeby mimo bezwstydnej nagości zaznaczyć, że jestem niewinna. Namaluj. Tymczasem opowiem ci o tej roślince. To moczarka kanadyjska, *Elodea canadensis*. W zeszłym stuleciu została przywleczona do Europy z Kanady i zaczęła się rozmnażać w przerażającym tempie. W Niemczech nikt jeszcze nie widział jej męskiego kwiatu, bo rozmnaża się wegetatywnie przez takie właśnie kawałeczki. Dawniej ta roślina zapychała śluzy i utrudniała żeglugę, pewnie dlatego nazwano ją Wasserpest, zaraza wodna. Teraz jest już w jakiej takiej równowadze z naszą domową florą.

Isia przerwała wykład i dopiero wtedy zastanowiła się nad tym, czy wyrażona przez Bonda ochota portretowania jej ma może jakiś związek z jego prawdziwym życiem. W gazecie nie pisali o tym, czy

Ahlers poza bestialskimi morderstwami zajmował się także malarstwem. Wolała nie pytać. Po co?

Podniosła się i ułożyła na kładce swoje narzędzia pracy: dwie białe plastikowe miski, duże sito kuchenne, łyżkę, miękki pędzel i lupę.

Potem weszła do wody i trzymając sito pod prąd, zaczęła delikatnie unosić i odwracać kamienie. W ten sposób łowiła ukryte tam żyjątka. Niektóre wpadały wprost do sita, inne zdejmowała pędzelkiem i przenosiła do misek. Do jednej drapieżniki, do drugiej pozostałe.

Wyjaśniła Bondowi, że ci maleńcy mieszkańcy wody swoją obecnością lub jej brakiem dają świadectwo o stanie czystości strumienia.

Bond pozostał na kładce i obserwował Isię z zainteresowaniem nie mniejszym niż w niedzielę, choć dziś obserwacje te jeszcze mniej dotyczyły naukowego aspektu. Świadoma tego Isia nie zaniechała wykładu, czuła jednak, jak rozkwita. Pod jego spojrzeniem poruszała się z gracją i elegancją, jej głos nabierał ciepłego i głębokiego brzmienia, a kapiące sito w jej dłoniach stawało się ozdobą godną rusałki.

Resztę popołudnia spędzili, siedząc ramię przy ramieniu i głowa przy głowie na campingowych taboretach przed platformą samochodu, służącą im teraz za stół. Oglądali wodne zwierzątka pod binokulem. Isia wyjaśniała, on słuchał i zadawał takie mądre pytania...

A potem zjedli zapasy i podrzemali trochę w migotliwym cieniu wierzby. Lecz zanim się to stało, musieli upewnić się najpierw o jakości i sile wzajemnych uczuć, musieli zaspokoić nienasyconą wciąż potrzebę bliskości. Wiotkie gałązki osłaniały ich zwiewnym welonem, woda szemrała pod mostkiem, brzęczały pszczoły w pachnącej

macierzance. Ten dzień, piękny jak sen, był prawdą, radiowe komunikaty zaś i fotografie w gazetach sennym koszmarem tylko.

Wreszcie, gdy popołudniowy cień zaczął wypełzać z lasu na łąkę, Isia spakowała manatki i zaproponowała dalsze rozrywki.

- Pojedziemy teraz do Starej Kopalni - powiedziała. - Tak się nazywa, ale nie wiem, czy to naprawdę była kiedyś kopalnia. W każdym razie to bardzo głęboka grotta. Weszłam tam raz w zimie, pośliznęłam się na guanie i nietoperze nasrały mi na głowę. Mieszkają tam i raz na tydzień muszę je liczyć, gdy wylatują na nocny żer.

Bond jednak, patrząc na nią tym swoim bezbronnym spojrzeniem, które wywoływało w niej falę czułości, powiedział:

- To był piękny dzień, dzisiaj... z tobą. Ale jestem już zmęczony, chyba muszę iść spać. Porządnie spać, w łóżku i... sam. Wiesz, moja głowa... Mogłabyś mnie już odwieźć do domu?

Gdyby nie to rozbijające spojrzenie, Isia poczułaby się zawiedziona. Teraz jednak zagrała w niej dusza opiekunki i w jednej chwili wiedziała, że Bond musi natychmiast, ale to natychmiast zostać położony do łóżka. Zresztą przypomniała sobie, że i tak trzeba wstąpić do domu, bo nie miała przy sobie licznika. Było to urządzenie bardzo ułatwiające odliczanie, bez konieczności wymawiania kolejnych liczb. Po prostu wystarczyło patrzeć na pojawiającą się na niebie gromadę nietoperzy i przy każdym zwierzątku nacisnąć raz guzik. A potem już tylko odczytać gotową sumę.

- No to jedźmy zaraz - powiedziała. - Wpakuję cię do łóżka, zabiorę licznik i latarkę i pójdę tam na piechotę. Muszę oszczędzać

akumulator.

Słońce ciągle jeszcze nie zaszło; tylko budynek stacji, otoczony wysokimi drzewami, leżał już w cieniu.

- Nie musisz pakować mnie do łóżka, sam się wpakuję. Zwolnij mnie tylko od noszenia tych rzeczy - Bond wskazał bagaże na platformie. - Czuję się strasznie zmęczony.

- Oczywiście, nie musisz mi pomagać, lepiej od ciebie wiem, gdzie co położyć. Ty idź spać. Na pewno dasz sobie radę beze mnie?

Oparł się ciężko na Isi, gdy pomagała mu wysiąść. Podała mu leszczynowy kij. Podparł się i pokuśtykał w stronę chatki.

- Idź już, idź. Niczego nie potrzebuję, jeść mi się nie chce i wiem, gdzie jest twój słynny szwedzki klozet. Będzie mi łatwiej zasnąć, gdy ciebie nie będzie w pobliżu.

Nie odchodziła. Odwrócił się od drzwi.

- O której wrócisz?

- Nie wcześniej niż o dziesiątej.

- Nie budź mnie, gdy wrócisz, ale przyjdź do mnie. Zostawię ci trochę miejsca z brzegu.

W parę minut później Isia wędrowała w kierunku Starej Kopalni.

Ostatnie słowa Bonda złagodziły przykrość rozstania, odeгнаły niemiłe poczucie, że chciał się jej pozbyć. Czeluść kopalni otwierała się na południowym zboczu wzgórza porośniętego macierzanką. Gleba nawet po zachodzie słońca długo pozostawała nagrzana i pachnąca.

Isia usadowiła się tak, aby wylatujące nietoperze widzieć na tle

szarego nieba. Podczas gdy starsze ewolucyjnie części mózgu Isi zabrały się za automatyczne przekazywanie informacji od oczu widzących nietoperze do kciuka naciskającego guzik licznika, jej świadomość pławiła się we wspomnianiu dopiero co przeżytego szczęścia w poczuciu jedności i harmonii, którego doznawała przy Bondzie.

- A oto i pan inspektor! I Alke! Aha! Miałam rację. Stara Funke ma argusowe oczy. Nic się przed nią nie ukryje! Myślałeś, że mi ktoś powiedział? Sama widziałam! A ty panno co się tak czerwienisz?

Nie ma się czego wstydzić! Ładny chłopak i mądry! Każda by takiego chciała - pokrzykiwała Edeltraud Funke. Kiedy usłyszała warkot samochodu, wybiegła na spotkanie gości, a teraz prowadziła ich do jadalni.

Ani Alke, która znała kierowniczkę ośrodka od dawna, ani

Dirk, który zdążył ją już poznać, nie próbowali nawet przerwać potoku mowy gospodyni. W jadalni, przy oknie wychodzącym na park, stał stolik nakryty na cztery osoby. Pani Funke wskazała swym gościom miejsca.

- Siedzisz jedno obok drugiego, bo wiem, co to młodzi zakochani! Gdybym usiadła między wami, jeszcze byście mnie pokopali pod stołem. Albo Dirk by mnie przez pomyłkę złapał za kolano. Ha, ha, ha! A ta co się znowu czerwieni? I pan inspektor też!? Co wyście przeskrobali?

Rzeczywiście, rubaszne insynuacje głośniejszej damy wywołały rumieniec na twarzy Alke, a u Dirka wspomnienie tego, jak udała mu

się pierwsza faza planu, ta dotycząca ręki na kolanie. Tak, odważył się na to, a ukochana nie odepchnęła go, przeciwnie, Dirk odniósł wrażenie, że przyjęła ten gest przychylnie. Teraz jednak z niewiadomych przyczyn oblał się na wspomnienie tamtej uroczej chwili rumieńcem i stali tak z Alke, jak para uczniów złapanych na gorącym uczynku.

Wreszcie Dirk, wiedziony nagłym impulsem, objął zawstydzoną Alke ramieniem i przytulając ją do siebie, wyznał czupurnie:

- Może i przeskrobaliśmy coś, ale pozostanie to naszą słodką tajemnicą. Bo my już jesteśmy dorośli, musi pani wiedzieć.

- Oho, ho, ho - zaśmiała się Edeltraud Funke. - Pokazujesz mi moje granice? Buntujesz się? Dobrze, chłopcze. Podobasz mi się.

A teraz siadajmy.

Gdy zajęli miejsca, wskazała na czwarte nakrycie.

- Zaprosiłam jeszcze kogoś, ale pani Bode nie wie, czy zdąży na podwieczorek, więc prosiła, żeby zaczynać bez niej. - Przywołała na oblicze minę Świętego Mikołaja rozwiązującego worek z prezentami.

- Nie wie pan, inspektorze, kto to pani Bode? A ty, Alke? No to zaraz się dowiecie. Pani Regina Bode, ograniczona ropucha, nawiasem mówiąc, pracowała kiedyś w Urzędzie do spraw Dzieci, który przysłał nam Rolfa Ahlersa. Myślałam, że cię to zainteresuje. Co, Dirk?

Obdarzył ją pełnym wdzięczności spojrzeniem. Wagner mógł mieć coś przeciwko temu, żeby Dirk sam odwiedzał świadków. Ale gdy świadkowie przypadkiem stają na jego drodze, to już inna sprawa.

To siła wyższa. Zresztą sam nie zada pewnie tej damie ani jednego pytania. Załatwi to pani Funke. Wspaniała kobieta.

- Oczywiście! - zakrzyknął. - Bardzo mnie to interesuje! Chętnie usłyszę, co ma do powiedzenia. Ale skąd pani wiedziała, że to może być ważne?

Pani Funke pokiwała z politowaniem głową.

- Słuchałam radia. Czytałam gazetę. Nie jestem tępą.

- I ściągnęła ją pani tutaj, żebyś mógł ją przesłuchać? Dzwoniła pani do niej? Pani jest fantastyczna!

- Pochlebia mi pan, komisarzy Tielke, ale trochę przecenia.

Owszem, zaprosiłam ją tutaj, ale głównie dlatego, że mnie samą ta historia interesuje i chciałam trzymać rękę na pulsie. Trochę też i dlatego, że został pan odsunięty od śledztwa, a mnie się to nie podoba. Muszę się jednak przyznać, że nie wykazałam sama inicjatywy. Wykorzystałam tylko okazję, gdy się nadarzyła. Regina sama do mnie zadzwoniła. Przeczytała dziś gazetę i bardzo się zdenerwowała.

Mówiła, że miała do czynienia ze sprawą Rolfa, gadała coś o jakiejś adopcji, no, ale on nie był adoptowany. Pytała, czy ta notatka w gazecie dotyczy na pewno naszego Rolfa i czy myślę, że ona powinna zgłosić się na policję, bo przecież miała z jego sprawą do czynienia.

Powiedziałam, że ja bym na jej miejscu poszła na policję. Nie powtórzę już dosłownie, co mi odpowiedziała, ale tak mi się zdaje, że

Regina nie bardzo ma na to ochotę. Coś chyba ma na sumieniu, ale wolałaby się niepotrzebnie nie przyznawać, zanim nie okaże się,

że rzeczywiście jest na liście Rolfa. Wtedy doznałam olśnienia i powiedziałam, że jeśli woli, to może się najpierw poradzić prywatnie pewnego inspektora, przepraszam, komisarza, który będzie dziś u mnie na herbatce. Najpierw wahała się, bo przecież Rolf też tu mieszka, ale pocieszyłam ją, że taki głupi to on nie jest, żeby wracać teraz do domu.

- A więc ta pani powiedziała, że przyjdzie? Bardzo to obiecująco brzmi. Gdzie ona mieszka?

- Nie w twoim rewirze, chłopcze. Gdyby poszła oficjalnie na policję, to nie do ciebie by przyszła.

Wieczór mijał w miłej atmosferze. Edeltraud Funke była dobrą gospodynią, umiała też zabawiać gości. Mimo swej rubaszości potrafiła wyczuć, co w danej chwili będzie bardziej na miejscu. Opowiadanie anegdotek, zachęcanie rozmówców do wyznań czy raczej rzeczowa wymiana poglądów. Dzięki temu rozmowa toczyła się wartko, tematy i nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Herbatka niepostrzeżenie przeszła w kolację.

Młody człowiek nie śpiesząc się szedł uliczką osiedla jednorodzinnych domów w Isebriick. Nie spotkał nikogo na swojej drodze. O tej porze ojcowie rodzin, powróciwszy z pracy, czytali gazety, palili papierosy lub bawili się z dziećmi na tarasach od strony ogrodów, a matki gotowały kolację. W nielicznych bardziej wyemancypowanych rodzinach podział ról był może inny, efekt jednak ten sam - o istnieniu mieszkańców świadczyły jedynie snujące się opary. Mężczyzna z czarną aktówką przecinał smugi kuchennych

woni - smakowitą smażoną cebulkę, gulasz, oregano, z rzadka tylko nieprzyjemnie sztuczny zapach zupy w proszku.

Po drugiej stronie ulicy otworzyła się furтка, wyszedł z niej stary i zapasiony jamnik ze swoim panem. Pan przystanął, żeby zapalić papierosa, i przez chwilę patrzył, jak ścieżką w stronę drzwi wejściowych sąsiadki z naprzeciwka idzie, lekko utykając, wysoki blondyn.

- Psst... Posłuchajcie - powiedziała nagle pani Funke i wskazała w stronę otwartego okna. - Co wieczór mam taki koncert.

- Słowik? - spytała Alke.

- Nie wiem, moja droga - przyznała się pani Funke bez troski.

- Słowik, drozd, nieważne. Nie artysta mnie interesuje, tylko jego sztuka. - Wtem zaniepokoiła się: - A która to już godzina?

Była dziewiąta wieczór. Uświadomiwszy to sobie, rozbawieni biesiadnicy skierowali spojrzenia na wciąż jeszcze puste czwarte miejsce przy stole. O tej porze trudno byłoby się ludzić, że pani Bode tylko się spóźnia. Regina Bode nie przyszła, nie zatelefonowała, nie odwołała wizyty, nie wyjaśniła. Ponieważ nie była krewną ani przyjaciółką nikogo z zebranych, nie próbowali nawet mieć się wymyślaniami niewinnych przyczyn jej nieobecności. Bez ogródek zadali sobie to najoczywistsze pytanie: czyżby Regina Bode, związana z najdawniejszą przeszłością Rolfa Ahlersa, stała się jego następną ofiarą?

Edeltraud Funke, nie tracąc czasu, podeszła do telefonu i wykręciła numer. Trzymała słuchawkę z dala od ucha, tak aby i jej

goście mogli słyszeć wolny sygnał. W mieszkaniu Reginy Bode nikt nie podchodził do aparatu.

Po długiej minucie pani Funke nacisnęła widełki i przekazała słuchawkę Dirkowi.

- Twoja kolej, policjancie.

W drodze powrotnej ze Starej Kopalni Isia natknęła się na stado żerujących dzików. Były z młodymi, wołała więc przezornie nie wchodzić im w oczy. Dużo czasu straciła, przeczekując, licząc na to, że lada chwila odejdą gdzieś dalej, zanim wreszcie się domyśliła, że one nie tylko się tu pożywiały, ale i zwyczajnie spędzały czas. Postanowiła obejrzeć sobie to miejsce za dnia, tymczasem jednak musiała dobrze nadłożyć drogi, aby ominąć zwierzęta dużym łukiem.

Była już prawie północ, gdy zmęczona dotarła do stacji.

W pobliżu nikogo nie było. Leżał w zupełnych ciemnościach i był sam, czuł to. Nie bał się ani tej ciemności, ani samotności. Bał się tylko wtedy, gdy było jasno i gdy nie był sam. Wiedział, że to jest jego szansa. Już raz leżał w takich ciemnościach, sam. Pamiętał, jak długo to trwało. Pamiętał, co potem nastąpiło. Nie chciał przeżywać tego po raz drugi.

Nie mógł się prawie poruszać. Jego nogi i przeguby dłoni krępowały zwoje bandaży, które przytwierdzały go dość chaotycznie, niemniej jednak bardzo mocno do żelaznego łóżka. Spróbował rozluźnić więzy unieruchamiające ramiona, zaciskając w zamian silniej bandaże na nogach, szarpiąc się i wykręcając. Druciana siatka pod materacem chrzęściła zdradziecko. Centymetr po centymetrze

przemieszczał swoje ciało, aż poczuł trochę luzu w zdrętwiałych ramionach. Jeśli zdołam dosięgnąć gałek po obu stronach zagłówka, pomyślał, będę mógł spróbować je odkręcić. Znał to łóżko od dawna i wiedział, że gdy to się uda, górna część odłączy się od reszty, a on będzie wolny. Ale tylko wtedy, jeżeli rzeczywiście jest sam, jeśli hałas, którego przy tym narobi, nie zostanie usłyszany.

Dlatego od dawna już czekał na właściwy moment. Czekał pełen obawy, czy ten moment nadejdzie, zanim będzie za późno.

Obawiał się, że może przyjść chwila, gdy pożałuje, że nie spróbował mimo wszystko.

Operacja! Na tę myśl robiło mu się słabo. Wiedział, jakie skutki mają te operacje! Czy to dlatego nie dostaje nic do jedzenia, czy i to należy do przygotowań?

Palcami wyczuł wreszcie gałkę po prawej stronie. Skoncentruje się na niej na razie. Jeszcze centymetr. Rwący ból w drugim ramieniu. Ale to minie. Czy będzie miał jednak dość siły, by poruszyć mocno zakręcony gwint? Uchwycił gałkę całą dłonią, ścisnął ją mocno, tak mocno, jak tylko potrafił. Przypomniał sobie o ludziach, którzy potrafią skoncentrować całą siłę w jednym punkcie i sam spróbował tej sztuki.

Isia przewróciła się we śnie na drugi bok. Jej twarz dotknęła ramienia Bonda. Zamruczała rozkosznie przez sen i ufnie wtuliła się w niego.

Nie obudził się, ale przestał śnić.

Wtorek

Promień porannego słońca wpadł przez niezastłonięte okno do pachnącego drewnem pokoiku i nie pozwolił Isi dłużej spać. Powróciła do świadomości gwałtownie, nie stopniowo. W tej chłodnej, wczesnej godzinie dnia myśli jej były trzeźwe i nieprzyjemne. Choć położyła się późno, nie miała ochoty próbować znów zasnąć. Znała ten stan psychiczny, gdy świat i życie przedstawiały się jej odarte z wszelkiego uroku, okrutne, twarde i bezlitosne. Na szczęście wiedziała z doświadczenia, że wystarczy zasiąść przy smakowitym śniadaniu, by aromatem kawy przegonić nieprzyjemne myśli.

Usiadła na łóżku i spojrzała na śpiącego jeszcze Bonda.

Śpi teraz. Śpią obydwaj: Bond ze swoją słoneczną naturą i Rolf Ahlers, bestialski morderca, pomyślała, obserwując jego twarz.

Wydał jej się jakiś inny. Nie miała ochoty go budzić. Kto wie, który z nich popatrzyłby na nią, gdyby ten śpiący człowiek otworzył teraz oczy.

Cicho wyszła do kuchni i starannie zamknęła drzwi, aby odgrodzić go od irytujących dźwięków i zapachów. Przypiekając grzanki i parząc kawę, starała się powrócić do nastroju poprzedniego dnia.

Godziny w lesie, które spędziła wczoraj sama, licząc nietoperze, minęły jej jak chwilka, a tym razem nie tylko ciekawa praca była tego przyczyną, lecz i cudowne marzenia. Dlaczego więc teraz nie było jej już tak miło, dlaczego po obudzeniu najpierw pomyślała o Bondzie jako mordercy, a nie jako ukochanym?

Kiedy przyszła do chatki, Bond już spał. Spał mocno i nie zareagował nawet, gdy położyła się obok i przytuliła do niego. Szkoda.

Wiedziała, że chwile ich beztroski są policzone. Kiedyś będzie trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i zrobić coś z tym fantem, z tą drugą naturą Bonda. Choć łudziła się, że wyjawienie światu tej tajemnicy nie zmieni nic w ich wzajemnym stosunku, to jednak po trzeźwym przemyśleniu sprawy musiała przyznać, że będzie to koniec ich szczęścia. Aresztowanie, dochodzenie, wrzask, jaki podniosą media... Zaleje ich fala nienawiści i niezdrowego zaciekawienia.

A stawiać temu czoła będą musieli osobno, bo oczywiście zostaną rozdzieleni. Nawet jeśli zamiast w więzieniu, Bond wyląduje w zakładzie psychiatrycznym, niewiele im to pomoże. Pozostaną rozdzieleni. Czy jest w ogóle możliwe wyleczenie kogoś o podwójnej osobowości? Szczególnie w tym wypadku, gdy jedna z nich wydaje się zupełnie zdrowa i pozytywna, druga czyni z niego psychopatycznego mordercę. Gdyby efektem terapii było połączenie obu części, to czy chciałaby jeszcze mieć takiego nowego Bonda? U Stevenson'a doktor Jekyll jest zwyczajnym człowiekiem, ani bardzo dobrym, ani wyjątkowo niesympatycznym. Dopiero rozdzielenie złych i dobrych cech zakłóca równowagę. Mr Hyde jest już jednoznacznie potworem. Ahlers też jest potworem, a Bond... Bond nie ma wad. To nie on mordował!

Radio grało cichutko, kuchnia powoli napełniała się słońcem i smakowitym zapachem kawy, pierwsza grzanka z dżemem

pomarańczowym smakowała wyśmienicie. Niemiłe myśli, tak jak się tego spodziewała, powoli odpływały w niebyt. Isia pogodziła się nawet z istnieniem drugiego ja w psychice Bonda - pod warunkiem, że obie te osobowości nie mieszają się ze sobą. Może zapomnieć o Ahlersie, gdy wie, że mężczyzna, którego kocha, na pewno ani nie zaakceptowałby, ani nie starałby się usprawiedliwić poczynań mordercy. Uciekł od tożsamości Rolfa Ahlersa w niepamięć tak dalece, że nawet własne imię, choć niewątpliwie je rozpoznał, wydaje mu się obce.

Po drugiej filiżance kawy i drugiej grzance Isia poczuła przypływ optymizmu.

Jakoś to będzie, zdecydowała wreszcie. Na razie jest pięknie i chce się tym cieszyć. Na poważne rozmowy zawsze będzie czas. Jutro też jeszcze jest dzień! Pomyślę o tym jutro. Uśmiechnęła się, gdy zdała sobie sprawę, że postępuje według recepty Scarlett O'Hary. No i co z tego? Scarlett na ogół dobrze wychodziła na tej taktyce.

Isia zaczęła smarować grzanki dla Bonda. Postanowiła zanieść mu śniadanie do łóżka i w ten sposób rozpocząć następny wspólny dzień. Pochyliła się nad radiem, żeby je wyłączyć i wtedy dopiero usłyszała dochodzące z głośnika słowa:

„...ostatniego wieczoru w Isebriick. Jest to już czwarte morderstwo popełnione przez Rolfa Ahlersa”.

Isia nie słuchała dalej. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, pośpiesznie nacisnęła wyłącznik. Następnie wybiegła przed domek.

Serce biło jej głośno i ciężko, krew szumiała w uszach.

- To nie mógł być on, to nie był on, na pewno nie on - powtarzała jak zakłęcie. - Byłam przy nim...

Dobrze wiedziała, że nie była. Po południu odwiozła go do domu, bo chciał się położyć. A potem zostawiła go samego na kilka godzin.

Nie mógłby się ruszyć z tą swoją nogą? Przeciwnie. Całkiem nieźle posługiwał się leszczynową laską, a na dłuższe dystanse miał do dyspozycji jej samochód.

Popatrzyła podejrzliwie na kolorowe auto. Stało spokojne i milczące tam, gdzie je wczoraj zostawiła. Czy na pewno tam? Nie potrafiła tego stwierdzić z całą pewnością, zresztą Bond - Bond? - mógł odstawić je dokładnie w to miejsce, z którego je zabrał. Isia zastanowiła się chwilę. Miasteczko Isebriick było oddalone o jakieś dziesięć kilometrów od parku, leżało już za Dunkelmoor, w innej gminie.

Nie pamiętała dokładnego stanu licznika, ale różnicę co najmniej dwudziestu kilometrów chyba by zauważyła bez kłopotu. Ociągając się, podeszła do pojazdu. Miała poczucie, że w następnej chwili zawali jej się na głowę świat, bo jeśli Bond jeździł tak daleko w czasie jej nieobecności, to nie może już dłużej wątpić, że to on jest tym

Ahlersem. Zdumiona, dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że dotychczas jednak wątpiła, nie przyjmowała do wiadomości oczywistych faktów, wierzyła w to, że jakiś cud wybawi ją, Bonda i ich młodą miłość z tej strasznej tragedii.

Z liczby na liczniku niewiele dało się wywnioskować. Z

pewnością jednak nie była za wysoka. Bond nie jeździł wczoraj do Isebriick.

Odetchnęła z ulgą, ale tylko na chwilę. Podejrzliwość nie chciała jej opuścić. Nadal przecież nie wiedziała, jak i skąd Bond znalazł się w jej parku. Z której strony przyszedł... a może przyjechał...? Może zostawił swoje auto gdzieś niedaleko za murem, niekoniecznie przy bramie, i teraz tylko podjechał do niego jej elektrycznym samochodem. W takim wypadku na pewno nie zauważyłaby różnicy w stanie licznika.

Przypomniała sobie, że Bond spał dzisiejszej nocy tak mocno, że jego twarz wydawała jej się inna. Nie, nie chciała czekać, aż on się obudzi, aby przekonać się, kogo ma za gościa. Pojedzie do Kirchdorfu, do tego Dirka Tielke. Zawiezie mu kubek, z którego wczoraj pił

Bond i poprosi o sprawdzenie odcisków palców. Przecież chyba mają odciski palców Rolfa Ahlersa.

Kubka nie było w kuchni. Stał przy łóżku Bonda, i Isia, aby go zdobyć, musiała, powstrzymując oddech, wejść do sypialni. Młody człowiek spał nadal twarzą do ściany, ale gdy wyciągnęła rękę po kubek, odwrócił się nagle i chwycił ją za dłoń.

- Pić... - powiedział, nie otwierając oczu.

W kubku zostało jeszcze trochę wody i Isia spieszenie nachyliła go do ust śpiącego. Ręka jej drżała. Czy bała się? Kogo się bała? Wypił łapczywie, po czym opadł na poduszkę.

- Pośpię jeszcze, dobrze?

Jego głos wydał się Isi obcy. Odczekała w bezruchu trwającą całe lata minutę. Dopiero gdy upewniła się, że mężczyzna śpi, odeszła na palcach, trzymając kubek ostrożnie za uszko, żeby nie zacierać najświeższych odcisków palców.

Pojechała do Kirchdorfu samochodem. Postanowiła przy okazji wymienić baterię na stacji obsługi, choć był dopiero wtorek. Wczoraj jednak, podczas jazd z Bondem, słyszała wyraźnie, jak motor z powodu większego obciążenia bardziej niż zwykle się wysiłał. No i te szybkie jazdy po szosie, już drugi raz jedzie w tym tygodniu do miasteczka. Woląła nie ryzykować utknięcia znów gdzieś w połowie drogi. W ogóle powinna mieć zapasowy akumulator. Gdyby w piątek nie była z powodu wyczerpanej baterii uwięziona w lesie, zawiozłaby zaniedbanego, śmierdzącego Bonda do szpitala i dziś nie miałyby żadnych kłopotów.

Tu jednak, choć rozumowanie jej było bardzo rozsądne i logiczne, nie mogła się z nim w głębi duszy zgodzić. Minione dni, mimo że zakłócone makabrycznymi podejrzeniami, należały do najpiękniejszych w jej życiu. Za nic nie chciałyby wymazać ich z pamięci. Tak, nawet jeśli Rolfa zabiorą i gdy zniknie w więzieniu czy w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, w jej sercu na zawsze pozostanie

Bond. Uroczy, słoneczny Bond. I zawsze już będzie za nim i za tym, co mogłoby być, tęskniła.

*

Z samego rana zadzwonił Wagner.

- Miałeś rację, Dirk. Tym razem serce, oczy i tylko jedna dłoń, prawa. On wyraźnie nabiera wprawy. Jego praca wygląda, jeśli można tu użyć takiego wyrażenia, coraz porządniej. Nie zależy mu chyba na samym rozlewie krwi.

- Nie mógł się wybrać do niej o jeden dzień później? - wyrwało się Dirkowi.

- A właśnie, mój drogi - przypomniał sobie Wagner. - Jak ty wpadłeś na to, że Reginie Bode coś się stało? Chciałeś ją przesłuchać, mimo mojego zakazu? Jak do niej dotarłeś?

Choć niewinny, Dirk poczuł lekkie wyrzuty sumienia.

- To było tak... - zaczął i opowiedział, jak kierowniczką ośrodka zapalała do niego osobistą przyjaźnią.

- No cóż - mruknął Wagner. - Masz szczęście. Chociaż ona powinna była tę Bode namówić jednak, żeby do nas przyszła, zamiast zachowywać ją jak smakowity kęs dla swojego ulubieńca. Ja ci zresztą nie żałuję. Wyobraź sobie, było jeszcze jedno morderstwo.

Popołnione w piątek, ale dopiero wczoraj wieczorem sąsiedzi zwrócili uwagę na smród, jaki dochodził z mieszkania pewnej emerytowanej pielęgniarki.

- Ahlers?

- A po co bym ci to mówił? Ahlers oczywiście. To była instrumentariuszka, Hilda Baum, pracowała przy operacjach w tym samym szpitalu co Semmler i za jego czasów.

- I pewnie z nim razem, tak? Dowiedzieliście się wreszcie, czy Semmler operował Ahlersa i co to była za operacja?

- Nie, jeszcze nie. Ale pracujemy nad tym. To bardzo stare dzieje i wszelkie zapiski na ten temat to istny groch z kapustą. Wklepane w komputer, kiedy likwidowano stare archiwum, ale bez żadnego systemu. Semmler miał w domu kopie akt swoich pacjentów, pięknie posegregowane. Oczywiście Ahlersa wśród nich nie znaleźliśmy. No cóż, on sam pierwszy zrobił u Semmlera rewizję.

- Ahlersowi udało się zdobyć informacje, które mu wytypowały Semmlera i tę instrumentariuszkę jako ofiary, więc to nie może być niemożliwe.

- Widzisz, Dirk, on miał więcej czasu niż my. Poza tym on miał większą motywację.

- Ja też miałbym motywację - powiedział Dirk z wyrzutem.

- A, właśnie! Byłbym zapomniał, a z tym przecież dzwonię. Mam dla ciebie pracę.

- Prawdziwą, czy tylko zajęcie, żeby mi nie było przykro?

- To już sam zdecydujesz. W każdym razie to musi być zrobione.

Jak się zapewne domyślasz, dostaliśmy furę informacji po naszych apelach w mediach. Jeden list, anonimowy zresztą, dotyczy kogoś z twojego rejonu. Zaraz ci go prześlę faksem. Odwal to możliwie prędko.

- Jeśli znajdę czas - odpowiedział Dirk z udaną niedbałością i roześmieli się obaj. Wagner odłożył słuchawkę.

Po chwili Dirk trzymał w rękach króciutki list.

Ten Ahlers ukrywa się w Dunkelmoor koło Kirchdorfu w starym

wiatraku. Nosi nazwisko Nieman i chesze się trochę inaczej, ale to ten sam co na zdjęciu w gazecie.

Według książki telefonicznej w Dunkelmoor mieszkał tylko jeden Nieman. Ralf Nieman, Auf dem Berg 1.

Dirk nie czekał końca pracy. Sprawdzenie tego śladu, choć mało obiecujące, jeśli pominąć podobieństwo imion, w istocie należało dziś do jego obowiązków. Wiedział, że policja po każdym apelu w mediach dostaje niezliczone ilości tego rodzaju donosów. Wiadomo, że autorami są przeważnie ludzie, którzy zawsze szukają dziury w całym, albo tacy, których bawi puszczanie policji w ruch, czy wreszcie tacy, którzy chcą dokuczyć bliźniemu, zsyłając mu na kark policję.

Cel jego wyprawy nie był daleko w linii prostej, ale Dirk musiał szerokim łukiem objechać cały teren ogrodzonego hrabiowskiego parku. Wioska Dunkelmoor należała wprawdzie administracyjnie do gminy Kirchdorf, ale jej mieszkańcy, poza sprawami urzędowymi, korzystali z położonego bliżej miasteczka Isebriick. Raz na tydzień Dirk przejeżdżał powoli swoim radiowozem główną ulicą, aby dać mieszkańcom Dunkelmoor poczucie, że oko sprawiedliwości czuwa, ale do tego ograniczały się jego tam odwiedziny. Pamiętał, że na wzgórku za wsią stoi stary wiatrak bez śmig. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy był on zamieszkany, czy nie.

Dopiero gdy minął ostatnie zabudowania, zastanowił się, czy mądrze zrobił, jadąc radiowozem, a nie swoim prywatnym golfem.

Z daleka widoczne biało-zielone auto sprawi, że jego misja na

pewno nie będzie dyskretna i jeśli list był niesmacznym żartem, to anonimowy autor dozna zamierzonej, choć niezasłużonej satysfakcji. No cóż, trudno. Teraz już było za późno. Ostatecznie, jeśli mieszkaniec wiatraka jest niewinny, nie stanie mu się wielka krzywda. Dirk nie brał pod uwagę możliwości, że zostanie tam mordercą. Ahlers musiałby prowadzić podwójne życie, a to pod okiem Edeltraud Funke nie byłoby łatwe. Chociaż... Pod jej okiem będąc, dokonał jednak swojej pierwszej zbrodni, tej przed rokiem, a pani Funke uwierzyła w pieszą wycieczkę z plecakiem po okolicy.

Wiatrak był zamieszkały. Stał, murowany i biały, z dachem pokrytym trzciniową strzechą, na tle błękitnego nieba, po którym powoli płynęły puchate cumulusy. Miał trzy poziomy, a drewniana galerijka otaczała go na dwóch trzecich wysokości. Nagie wzgórze, w tej płaskiej okolicy nazywane mocno na wyrost górą, porastał tylko wrzos. Nieco monotony widok urozmaicały rozrzucone z rzadka smukłe jałowce.

Na dole przy szosie stał zamknięty garaż, a obok duża amerykańska skrzynka na listy. Dirk starannie zaparkował auto i pochylił się nad skrzynką. R. Nieman - przeczytał. Spojrzał w górę, bo nagle poczuł się obserwowany, małe okienka były jednak pozamykane, w szybach odbijało się słońce. Stara mosiężna tabliczka na drzwiach miała wygrawerowane to samo nazwisko, tylko pierwsza litera imienia była inna: O. Nieman.

Dirk nacisnął guzik i wewnątrz domu odezwał się głęboki ton gongu. Dopiero w tym momencie młody komisarz zastanowił się

poważnie, czy ten trop nie mógł okazać się mimo wszystko prawdziwy. Może Rolfowi Ahlersowi udało się jakoś urządzić tu sobie drugie życie. Wynajął wiatrak przed paroma miesiącami, przyjął nazwisko widniejące na wizytówce, a imię zmienił, ale o tyle tylko, żeby nadal móc na nie odruchowo reagować. Dunkelmoor leżało tak blisko Holthusen, że bez trudu udałoby mu się stworzyć pozory, że mieszka w obydwu miejscach. „Tylko inaczej się czesze”, przypomniał sobie Dirk zdanie z anonimowego donosu. Za chwilę może otworzą się drzwi i stanie w nich morderca. Dirk skarcił się w duchu za lekkomyślność i brak inteligencji. Za bardzo zasugerował się tym, że został odsunięty od głównego nurtu dochodzeń w sprawie

Ahlersa. Cofnął się odruchowo o krok, jakby w obawie, że Ahlers bez uprzedzenia wypadnie na niego z nożem. Z tym nożem, którym posługuje się coraz sprawniej. Dirk świadomie już dołożył jeszcze jeden krok i prawą dłońią sięgnął po pistolet.

Drzwi pozostały jednak zamknięte. W domu panowała cisza.

Dirk ponownie nacisnął guzik dzwonka, znów odczekał długą chwilę, a potem schował broń i oglądając się co parę kroków, wrócił do samochodu. Po krótkim namyśle postanowił pojechać na pocztę. Na jego uprzejme powitanie z opóźnieniem i obojętnie odpowiedział tłusty osobnik, jedyna osoba obecna w niewielkim, ale schludnym pomieszczeniu. Urzędnik ten, Brinkmann, jak głosiła wizytówka przy okienku, spokojnie obejrzał fotografię Ahlersa.

- No i co? - spytał leniwie.

- Zna pan tego mężczyznę?

- Nie. A kto to ma być?

- Rolf Ahlers.

- Taki tu nie mieszka.

- A Nieman? Ten z wiatraka?

- Tak, Ralf Nieman mieszka w wiatraku. Auf dem Berg 1 - potwierdził grubas spokojnie.

Dirk zaczął się niecierpliwić.

- I to jest on na tej fotografii? Poznaje go pan?

- Może on. Skąd ja mam wiedzieć? Nigdy go nie widziałem. Nie jestem listonoszem.

Dirk wzniósł oczy ku niebu.

- To zdjęcie było wczoraj we wszystkich gazetach, a w niedzielę pokazywali je w telewizji.

- Aha - mruknął urzędnik i sięgnął po nadgryzioną kanapkę, którą odłożył na bok, gdy Dirk podszedł do okienka.

- To jest Rolf Ahlers, jest poszukiwany. Dostaliśmy informację, że mieszka tu, w wiatraku - ciągnął Dirk.

Nie śpiesząc się, tłusciuch przeżuwał spory kęs chleba z kiełbasą.

Wreszcie, z pełnymi jeszcze ustami, zapytał:- A co ja mam z tym wspólnego? - tonem tak obojętnym, że Dirk pojął wreszcie, że nie usłyszy tu żadnych rewelacji.

Rzeczywiście, co on ma z tym wspólnego? - pomyślał. Pożegnał się i wyszedł, odprowadzany głośnym siorbaniem. Brinkmann popijał kanapkę herbatą.

Zupełnie inaczej przyjęto Dirka w piekarni. Drobniutka i zwinna sprzedawczyni w starszym wieku, gdy tylko zauważyła fotografię w ręce policjanta, pozostawiła klientów swojej pomocnicy i szybko pociągnęła go za rękaw na zaplecze.

- Zna pani tego mężczyznę? - zadał jej sakramentalne pytanie.

Kobieta obróciła zdjęcie na drugą stronę, jakby spodziewała się znaleźć tam podpis, i powiedziała powoli:

- No więc jeśli to ma być Ralf Nieman, to ja nie wiem. To taki miły chłopak.

- Poznaje go pani? - naciskał Dirk.

- No ja nie wiem - wiała się sprzedawczyni. - Widzi pan, zobaczyłam to zdjęcie w telewizji, i od razu powiedzieliśmy wszyscy: Wypisz, wymaluj Ralf Nieman. Ale ta cała historia o nim, że zamordował i że nazywa się inaczej... Nie, to nie może być on.

- Ale mógłby też być?

Sprzedawczyni wyraźnie była niezadowolona. Nie odpowiadała, Dirk zaczął więc inaczej:

- Możemy bardzo łatwo sprawę wyjaśnić. Od kiedy Nieman mieszka w Dunkelmoor? Chyba niedługo, bo na poczcie go nie znają.

- Ach! - obruszyła się. - Brinkmann, ta beka smalcu, nikogo nie zna, bo nigdzie się nie rusza. Pan Nieman mieszka tu od prawie dwóch lat. On jest malarzem, wie pan? Maluje takie piękne obrazy, żadne tam bazgroły. Odziedziczył ten wiatrak po swoim ojcu, przedtem mieszkał z matką, jego rodzice byli rozwiedzeni.

Ojciec, po którym Nieman dziedziczył; matka, z którą

mieszkał...

Dirk był trochę zawiedziony.

- No i widzi pani - uspokajał miłą kobiecinę. - Już wszystko wiemy. To rzeczywiście nie może być ten sam człowiek, ten morderca.

Ahlers nie ma rodziców. Ahlers to nazwisko jego matki, która zmarła przy porodzie, ojciec... - Dirk ugryzł się w język, przestraszony nagle swoim gadulstwem. - Ojciec był nieznany - dokończył.

- Kamień spadł mi z serca! - wykrzyknęła sprzedawczyni. - Taki wesoły chłopiec. Rzadko przychodzi po chleb, nie wiem, czym się żywi, ale zawsze jest taki miły. Jego ojciec, Otto Nieman, był zupełnie inny. Samotnik, ponurak i z wyglądu całkiem niepodobny.

- Widziała go pani ostatnio, tego Ralfa?

- A nie. Już jakiś czas nie. Wie pan, on przychodzi tylko w soboty po pieczywo. Albo czasem po kawałek ciasta, ale rzadko.

- Był tu w ostatnią sobotę?

- Zaraz, niech pomyślę. Nie wiem. W soboty mamy wielki ruch, to jedyna piekarnia na całą okolicę. Chociaż Ralfa bym zauważyła, on zawsze powie coś wesołego. Chwileczkę, może Sabine go obsługiwała, gdy byłam po świeże bułki na zapleczu. - Piekarka uchyliła drzwi do sklepu. - Sabine, chodź no na chwilę! - zawołała, a kiedy tamta weszła na zaplecze, spytała: - Sprzedawałaś Ralfowi bułki w sobotę? Widziałaś go ostatnio? Ten pan to znajomy, martwi się o niego. - Piekarka mrugnęła znacząco do Dirka.

Domyślił się, że zależy jej na dobrej reputacji miłego klienta.

Zielono-biały policyjny radiowóz stał wprawdzie jak byk przed piekarnią, no ale policjant też ma prawo mieć prywatnych przyjaciół, więc niech jej już będzie.

Sabine również od jakiegoś czasu nie widziała Niemana, ale rozanielony wyraz twarzy, gdy o nim mówiła, był dla Dirka także cennym świadectwem. Pamiętał dobrze charakterystykę Ahlersa przekazaną mu przez Edeltraud Funke: „Traktuje wszystkich jak osobistych wrogów, nikomu nie pozwolił się do siebie zbliżyć, z nikim nie był zaprzyjaźniony”. Nieman i Ahlers, Ralf i Rolf nie mogli być jedną i tą samą osobą.

Pożegnawszy miłe sprzedawczynie, Dirk jeszcze raz pojechał do wiatraka. W szkole nauczono go, że dobry policjant posługuje się przede wszystkim faktami. Posiadanie tak zwanego nosa czy też intuicji nie jest złe, ale nie powinno nigdy zastępować sprawdzania faktów i dowodów. Z historii kryminalistyki znane są liczne przypadki porzucania przez policję właściwych tropów tylko dlatego, że komuś się wydawało, że prowadzą one na bezdroża. Ten trop, wskazany przez anonimowego donosiciela, dopiero wtedy można będzie uznać za fałszywy, gdy pani Funke, obejrzawszy Niemana, z całą pewnością stwierdzi, że nie jest on Ahlersem. Bo jakieś podobieństwo istnieje. Co do tego nie ma wątpliwości.

Jeszcze raz ostrożnie wspiął się na pagórek i nacisnął dzwonek.

I tym razem nikt mu nie odpowiedział. Zszedł więc do szosy i starannie obejrzał garaż, szukając szpary, przez którą dałoby się zajrzeć do środka. Nie wiedział jeszcze dokładnie, co oznaczałby brak

czy też obecność w nim samochodu, należało to jednak jego zdaniem do koniecznej rutyny. Nie stwierdził nic. Zawiedziony trochę, rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co dałoby mu okazję do wysnuwania wniosków i wzrok jego padł na dużą amerykańską skrzynkę listową.

Czerwona metalowa chorągiewka była podniesiona, co oznaczało, że Ralf Nieman nie wybierał poczty po ostatniej wizycie listonosza.

Dirk otworzył klapę, na której widniała nalepka zabraniająca wrzucania reklamy. Wewnątrz dzięki temu było jeszcze trochę miejsca.

Nieman nie abonował dziennika, nie wiadomo więc było dokładnie, od jak dawna nie wyjmował listów, ale najdawniejszy stempel pocztowy przybito już prawie tydzień temu. Dirk w zamyśleniu ważył w ręce plik rachunków i urzędowych zawiadomień. Niemal było w tym i reklam, które jako przesyłane w kopertach pocztą nie podpadały pod zakaz widniejący na nalepce. Zastanawiał się. Wyglądało na to, że Nieman przestał zaglądać do skrzynki już jakiś czas temu. Czy jednak znaczyło to, że nie ma go w domu, bo wybrał się na zbrodniczą wyprawę? Czy gdyby rzeczywiście był mordercą, nie byłoby mu dużo łatwiej używać tego domu jako bazy?

Dirk westchnął i wsunął pocztę na powrót do skrzynki. Z kieszeni wyjął wizytówkę:

Dirk Tielke

Komisarz, Szef Policji w Kirchdorfie

Marktplatz 12.

Tel.służb. 1010; Tel.pryw. 1508.

Uśmiechnął się na wpół melancholijnie, na wpół z politowaniem, przypomniawszy sobie, z jakim przeświadczeniem o konieczności tego kroku kazał wydrukować całe stosy kartoników. I oto dziś dopiero nadarza się pierwsza okazja użycia jednego z nich.

Do p. R. Niemana. Proszę zgłosić się do mnie na posterunek albo prywatnie. Tielke, napisał i dołożył wizytówkę na stosik w skrzynce.

Alke, idąc rano na zakupy, ledwo znalazła się na rynku, spojrzała odruchowo w stronę komisariatu. Natychmiast spostrzegła mały śmieszny samochód parkujący tam, gdzie zwykle stał radiowóz, a w nim dziewczynę wyglądającą tak inaczej niż ona sama, że już to wystarczyło, by straciła humor i poczuła się zagrożona. To musiała być ta Isia Dobrzańska ze stacji ekologicznej - znać po niej było las i naturę. Alke czesała się starannie i ubierała się modnie, lecz bez polotu; Isia miała na sobie džinsy, luźną bluzkę i kamizelkę ze skórek zajęczych, a jej włosy, niczym nieskrępowane, złotobrazową falą opadały na plecy. Było w niej coś z leśnego zwierzęcia i choć nie była piękną, na pewno mogła się podobać.

Alke od razu zauważyła, że Isia nie zaparkowała przed miejscem pracy Dirka przypadkiem, bo nie tylko nie wysiadała z auta, ale jeszcze wpatrywała się w okna posterunku z zaciętą wytrwałością. Alke odniosła wrażenie, że Isia gniewa się o coś, że jest z czegoś bardzo niezadowolona i zastanowiła się, czy leśna dziewczyna nie ma

czasem starszych praw do Dirka niż ona sama. Przybyła w te strony na krótko przed Dirkiem, kto wie, czy nie znali się już wcześniej. Może dowiedziała się o jego częstych spotkaniach z Alke, może chce zrobić mu scenę? Radiowozu nie było, Dirk więc też był nieobecny.

Alke obeszła wszystkie sklepy na rynku, szczególnie intensywnie wpatrując się w wystawy, w których odbijało się elektryczne auto.

Wreszcie nie wytrzymała i zdecydowanie wkroczyła w pole widzenia Isi.

- Dzień dobry - powiedziała, przystając.

Isia kiwnęła głową.

- Pani pracuje w stacji ekologicznej? - zagała Alke.

Isia spojrzała na nią nieprzytomnie.

- Tak - przyznała lakonicznie.

- Bardzo jestem ciekawa, jak tam teraz wygląda. Wie pani, my wszyscy niecierpliwie czekamy na otwarcie parku, bo za czasów hrabiego nikomu nie wolno było tam wchodzić.

- Trochę potrwa, zanim otworzymy. Jest jeszcze dużo do zrobienia. - Isia popatrzyła Alke w oczy. Jakby ją dopiero teraz zauważyła, uśmiechnęła się krótko i nerwowo. - Ty jesteś Alke, prawda? Jesteś przyjaciółką tego, no... tutaj komendanta?

Alke wzdrygnęła się lekko na to tykanie. Ta moda, choć już dosyć dawna, nie doszła jeszcze do gminy Kirchdorf. Z drugiej strony sama miała dopiero dwadzieścia jeden lat, a ta Isia była najwyżej o trzy lata starsza.

- Tak - odpowiedziała - ale go dzisiaj nie ma, jest Roth, widzę go przez okno. Dirk Tielke, komendant, załatwia jakąś sprawę w Dunkelmoor. Mówił, że wróci może dopiero po południu. Czeka...sz na niego?

- Sama nie wiem. Chciałam się tylko poradzić. Nawet nie wiem, czy to nie problem bardziej dla psychologa niż dla policjanta. Nie znam tego twojego przyjaciela dobrze. Jaki on jest? Można z nim pogadać?

Czyżby twoim problemem było to, że Dirk jest najprzystojniejszym młodym człowiekiem w całej okolicy? - pomyślała Alke podejrzliwie, a głośno zaproponowała:

- Może ja bym mogła pomóc. Psychologia to moje hobby, studiowałam nawet już dwa semestry.

Isia patrzyła na nią zamyślona, potem potrząsnęła głową.

- Może do ciebie kiedyś wpadnę. A teraz pójdę do Rotha, bo zaraz muszę już wracać do stacji. - Wskoczyła z auta i wbiegając na schodki, pomachała do Alke. - Cześć!

Przepędziłam ją, pomyślała Alke. Na razie. Tymczasem muszę mieć Dirka na oku.

Alke myliła się, podejrzewając Isię o erotyczne zakusy w stosunku do Dirka. W rzeczywistości Isia wolałaby trzymać się od Dirka jak najdalej. Raz, że był nudny i wścibski, dwa, że stanowił zagrożenie dla jej młodej miłości. Dała się przepędzić Alke, bo w głębi duszy tylko czekała na pretekst, który pozwoliłby jej przełożyć widzenie się z nim na święty nigdy.

Podwładny komisarza Tielke, Frank Roth, pryszczaty wypłosz, bardzo śpieszył się na spotkanie z uczniami w szkole. Miał przez dwie godziny na asfaltowym boisku wpajać młodocianym rowerzystom zasady poruszania się na jezdni. Lubił te zajęcia. Lubił te chwile, gdy mógł patrzeć na siebie pełnymi respektu oczami dzieci.

W przeciwieństwie do swojego szefa nie marzył o niczym innym.

Przez szkołę policyjną przebrnął z trudem, zastanawiając się często, co mu strzeliło do głowy, aby zdecydować się na tak trudny i niebezpieczny zawód, i nieraz brał pod uwagę możliwość przerwania edukacji. Teraz za to, gdy najgorsze miał za sobą, nie żałował już wyboru, przeciwnie, tak zawód policjanta, jak i dużo za duże audi potrzebne mu były bezwzględnie do zachowania dobrego mniemania o sobie samym.

Komisarz Tielke pojechał sprawdzić kogoś w Dunkelmoor, podobno w związku z tym szalonym mordercą. Frank miał głęboką nadzieję, że nic z tego nie wyniknie. Tym bardziej jednak śpieszył się do swojej solidnej i niegroźnej pracy. Trzeba tymczasem zamknąć posterunek. Prawdopodobieństwo, że pod nieobecność obu policjantów przyjdzie ktoś z niecierpiącym zwłoki problemem, było znikome. Tak znikome, że Frank mógł go nie brać pod uwagę. Zresztą miasteczko Kirchdorf nie znało tajemnic. Każdy wiedział, że we wtorki przed południem odbywa się na szkolnym boisku nauka jazdy pod kierownictwem młodszego rangą policjanta, więc kto chciał, mógł go tam odnaleźć.

- Och, pan wychodzi - usłyszał za sobą głos. - Pana inspektora Tielke nie ma?

- Nie, komisarza nie ma, ale ja jestem. Proszę, niech pani wejdzie.

- Frank znów otworzył drzwi.

Isia nie miała ochoty zwierzać się temu szczeniakowi. Jeśli już miałyby wydać Bonda, to w ręce poważniej wyglądającego Dirka

Tielke. Uspokoila więc młodzieńca, że nigdzie nic się nie dzieje, i spytała, czy może zostawić dla komisarza paczuszkę i małą notatkę. Frank Roth nie miał nic przeciw temu. Z roztargnieniem patrzył, jak leśna dziewczyna rozpakowuje niewielkie zawiniątko i ostrożnie ustawia na biurku zielony fajansowy kubek.

Będzie miał dwa takie same, pomyślał obojętnie, spoglądając na zegarek i obliczając, jak bardzo się spóźni do szkoły. Isia wzięła karteczkę z przygotowanego na notatki stosiku i napisała na niej parę słów, po czym oparła karteczkę o kubek.

Kiedy wyszła, Frank Roth po raz drugi zaczął zamykać biuro.

W ostatniej chwili zobaczył, że okno pozostawił otwarte, któż jednak próbowałby się włamywać na posterunek policji w Kirchdorfie w biały dzień. Nie chciał już tracić czasu i zdecydowanym ruchem zatrzaskał drzwi.

Zdmuchnięta przeciągiem mała biała karteczka spłynęła na podłogę. Pozostał zielony kubek. Dokładnie taki jak stojący w zlewie na zapleczu.

Już z biura Dirk zatelefonował do Wagnera, żeby opowiedzieć

mu, co działał w Dunkelmoor. Po kilku zdaniach Wagner przerwał mu niecierpliwie:

- Dobrze, Dirk, dobrze. Sam mówisz, że to człowiek o zupełnie innym charakterze i zupełnie innym życiorysie niż Ahlers. Od wczoraj razem z kolegami sprawdziliśmy już takich kilkunastu. Nie musisz meldować się u mnie po każdym swoim kroku. Daję ci zupełnie wolną rękę. Ale w ogóle to dobra robota. Rób tak dalej. Cześć.

Dirk siedział upokorzony i wściekły. Wagner, mający dziś jeszcze mniej czasu niż zwykle, poniechał delikatności i wyraźnie dał mu do zrozumienia, że posłał go na bardzo boczny tor. Tielke żałował teraz, że o tym zapomniał, ale łatwo było zapomnieć, tu, na tym zadupiu.

Najchętniej udusiłby teraz Wagnera, choć dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że były przełożony nie jest niczemu winien, ale to go tylko mocniej rozjątrzyło. Wyrżał przez okno, czy nie zobaczy kogoś, na kim mógłby się wyładować. Wzrok jego padł na białą ścianę kościoła naprzeciwko i Dirkowi zamarzył się granciarz bezczeszczący tę czystą powierzchnię za pomocą farby w aerozolu. Ale Kirchdorf nie dysponował ani jednym wandalą. Ściana świątyni lśniła rozległą bielą już od ponad roku i będzie tak trwała nieskalana aż do dnia, gdy parafianie zbiorą wystarczającą sumę na nowe niepotrzebne malowanie. Dirk westchnął znowu, ale tym razem z jego piersi dobyło się coś bardziej przypominającego wściekłe warczenie.

Ktoś zapukał do drzwi. Komisarz zerwał się z krzesła, wdzięczny, że los sam pcha mu w ręce ofiarę. Gwałtownym

szarpięciem otworzył drzwi, nieomal gotów bez wstępu rozpocząć od rękoczynów.

Przed nim stała Alke. W jednej chwili Dirk przypomniał sobie, że i tu także nie miał zbyt dużo szczęścia. Zna już dziewczynę tak długo, że w Hamburgu zdążyłby w tym samym czasie zakończyć ten flirt i przejść do następnego, tymczasem nie osiągnął z nią nic więcej poza jedną oszałamiającą chwilą, gdy jego dłoń spoczywała na jej kolanie. Alke uznała, że to na razie wystarczy, a on pożałował jej już tak bardzo, że nie odważyłby się zaryzykować nic, co by mogło tę niedzisiejszą dziewczynę oburzyć i jeszcze bardziej oddalić chwilę, gdy posiadzie ją całą.

W tej chwili jednak rozgoryczenie na cały świat, który uwziął się, żeby mu wciąż bronić dostępu do ponętnych kasek, przeważało ostrożność. Nie dam robić z siebie wariata, pomyślał z desperacją i porwał Alke w ramiona. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że jego wściekłość na nią, na Wagnera i na resztę ludzkości zniknęła jak obłoczek pary, ustępując miejsca uczuciu nie mniej wprawdzie gwałtownemu, ale o wiele przyjemniejszemu. Alke nie odepchnęła go, nie broniła się, nie pozostała też pasywna. Jakaś tama przerwała się w niej i z dreszczem zachwyty oddawała się nieznanemu dotychczas przyjemności pocałunków. Nie spodziewała się, że uleganie Dirkowi może się okazać o tyle bardziej emocjonujące niż wodzenie go za nos.

Dopiero dźwięk telefonu przerwał upojną scenę rozgrywającą się w drzwiach komisariatu policji w Kirchdorfie. Dirk z trudem oderwał się od Alke, podszedł do aparatu i głosem, który nabrał nagle

głębokiego brzmienia, dość chaotycznie umawiał się z kierowniczką przedszkola na jutrzejsze ćwiczenia z maluchami. Patrzył przy tym zachłannie na Alke, nadal stojącą przy drzwiach i poprawiającą na sobie garderobę. Czarne pasmo włosów opadłe na twarz kontrastowało cudownie z zarumienionymi policzkami.

Ona także wpatrywała się w Dirka. Nigdy jeszcze nie wyglądał dla niej tak atrakcyjnie jak teraz, ze zburzoną fryzurą, z koszulą wystającą ze spodni, z przekrzywionym krawatem. Nie, teraz nie potrafiłaby powiedzieć mu chłodno, że na dziś wystarczy.

Odłożył słuchawkę, wrócił do niej i chwycił za rękę.

- Chodź. Już i tak jest piąta. Chodź. Jedziemy do ciebie.

W pośpiechu zamykał okno i drzwi. Klucze z brzękiem upadły na podłogę. Nie rozmawiali, gdy ręka w rękę wybiegali z budynku; śmiali się, szczęśliwi. Dirk skoczył w stronę golfa i dłoń Alke wymknęła mu się z uścisku. Obejrzał się. Dziewczyna drugą ręką złapała już klamkę radiowozu.

- Radiowozem? - zdziwił się. - Dobrze, tak, pojedziemy radiowozem i na sygnale! - mówił jeszcze, gdy Alke, zrozumiałwszy swoją pomyłkę, także ruszyła do golfa. Wybuch niepohamowanej wesołości uspokajali w nowym namiętym uścisku.

Zapomnieli o całym świecie. Nieświadomi byli również tego, że nie sami tylko czerpali z tej chwili zadowolenie. Szef miejscowej policji w biały dzień całujący na środku rynku piękną dziewczynę - to nie był zwyczajny widok w Kirchdorfie. W wielu oknach zafalowały franki, w kilku sklepach przerwano aktualne transakcje, nieliczni

przechodnie przestali spoglądać pod nogi, gdzie po przelotnym deszczu pozostały jeszcze kałuże. Mieszkańcy Kirchdorfu dziś, bardziej niż kiedykolwiek, gratulowali sobie, że dynastia starych pryków na komisariacie nareszcie się skończyła.

Isia była bardzo zadowolona, że nie zastała komisarza Tielke.

Dzięki temu nie musiała wyjawiać mu, kogo dotyczą jej podejrzenia. Pisząc notatkę, poprosiła go jedynie o sprawdzenie odcisków palców na kubku, bo być może należą do jakiegoś przestępcy. Tielke na pewno zażądałby dokładniejszych wyjaśnień i nie wypuściłby jej, dopóki nie opowiedziałaby mu całej historii. Dobrze pamiętała, z jakim uporem prowadził z nią wczoraj rano banalną konwersację.

Czuła się wewnętrznie rozdarta. W jej sercu panował kompletny chaos, nie widziała wyjścia z sytuacji. Dlaczego zwlekam, dlaczego?

- myślała w drodze powrotnej. Czy liczę może w swej bezgranicznej naiwności, że zwłoka przyniesie pozytywne rozwiązanie? A może zwyczajnie dostałam małego rozumu, bo jestem w Bondzie zakochana i bez względu na konsekwencje chcę z nim spędzić jeszcze choć kilka godzin. Jeszcze raz znaleźć się w jego objęciach, jeszcze raz słyszeć te czułe słowa, jeszcze raz widzieć jego promienny uśmiech.

Co robić? Pójść za głosem serca czy rozumu? Jakbym zaraziła się od

Rolfa jego podwójną osobowością... Kto ma przejąć rządy: Isia czy rozsądna pani Dobrzańska?

Pani Dobrzańska: Oczywiście ja. Dobrze o tym wiesz.

Isia: Nie, nie wiem.

Pani Dobrzańska: Rzeczywiście. Gdybyś wiedziała, nie miałybyśmy kłopotu.

Isia: No to mów szybko, co mam z Bondem zrobić.

Pani Dobrzańska: Bond jest mordercą. Sprawdzanie odcisków palców na kubku to tylko strata czasu. Chcesz być współwinna, gdy znów kogoś zamorduje? Zawróć natychmiast, wracaj na policję i powiedz pierwszemu z brzegu policjantowi, że w stacji ukrywa się Rolf

Ahlers.

Isia nie zawróciła, nawet nie przyhamowała.

Isia: Bond to nie Ahlers. Ahlers tylko korzysta z jego ciała. Nie można karać Bonda za przestępstwa, których nie popełnił!

Pani Dobrzańska: To nie jest twój argument. Racjonalne rozważania pozostaw mnie. Ze mną możesz i musisz być szczerą! Powiedz, co czujesz. Mnie nie musisz się wstydzić.

Isia: Dobrze. Zakochałam się w Bondzie. Nic na to nie poradzę...

Nie obchodzi mnie, co robi, gdy nie jest ze mną...

Ostatnie zdanie Isia wyszeptała. Po chwili krzyknęła:

- I daj mi wreszcie spokój!

Pani Dobrzańska umilkła.

Bond nie siedział na ganku, gdy Isia zajechała przed dom. Z niepokojem zajrzała do pokoju. Bond leżał w łóżku. Drzemał. Gdy się zbliżyła, otworzył oczy:

- Chyba jestem chory. Nie miałem siły wstać. Gdzie byłaś?

- Chory? Od kiedy? Co ci jest?

- Nie wiem, co mi jest. Czuję się źle od stóp do głów. To się zaczęło już wczoraj na łące. Mam chyba gorączkę. Zrób mi coś do picia i może powinienem coś zjeść.

Isia patrzyła na Bonda z zachwytem. Rzeczywiście wyglądał marnie. To nie on mordował wczoraj w Isebruck, to tamten Rolf, dziwnym trafem tak do Bonda podobny. Ten spał tu chory i niewinny.

Z nową energią zabrała się do opieki nad chorym. Poila go, karmiła, przykrywała, poprawiała pościel, czytała mu lub tylko czuwała nad jego snem. Jako kochanek czy choćby towarzysz zabaw był dziś do niczego, nie psuło to jednak humoru Isi, dowodziło tylko, w jej mniemaniu, jego niewinności.

- A właściwie dlaczego do mnie przyszedłeś? - spytał Dirk kilka godzin później. - Byliśmy umówieni dopiero na wieczór.

- To była spontaniczna decyzja - odpowiedziała Alke, gładząc jego opalony tors. - Chyba wyczułam, że mnie potrzebujesz.

Chciała wierzyć, że tak było, bo prawdziwa przyczyna jej wizyty w komisariacie wydawała jej się teraz głupia i małostkowa. Była zazdrosna. Podejrzewała, że nie jest może jedyną, z którą spotyka się

Dirk. Teraz własne podejrzenia i niepewność wydały jej się po prostu śmieszne. Ze zdumieniem zauważyła, że myśl o ewentualnym zakochaniu się Isi w Dirku budzi w niej tylko litość nad Isią i dumę z posiadania tak pożądanego mężczyzny. Bo Dirk należał do niej, co do tego nie miała już wątpliwości.

Środa

Choć nie zadzwonił żaden budzik, Dirk zerwał się punkt siódma z pościeli i usiadł na łóżku. Spuściwszy nogi na podłogę, przetarł oczy i spróbował przypominać sobie, jak i kiedy znalazł się w tym nieznanym mu pokoju.

Niewielką sypialnię prawie zupełnie wypełniały łóżko, na którym siedział, i duża szafa na ubrania, w której owalnym lustrze właśnie się przeglądał. Okno zasłaniały gęste tiulowe firanki i wzorzysta kotara, ale roleta nie była spuszczone. Dirk z przyjemnością zanotował delikatne falowanie firanki, świadczące o tym, że uchylone okno umożliwiało dopływ świeżego powietrza. Nie potrafił spać w dusznym pokoju, a z doświadczenia wiedział, jak trudno przekonać ludzi, żeby wyrzekli się miłego nocnego ciepła. Łóżko było szerokie, ale nie podwójne, tylko tak zwane francuskie. Mogło to znaczyć, że

Alke liczyła się jednak z tym, że kiedyś przyjdzie jej z kimś je dzielić.

A może po prostu lubiła spać wygodnie...

Dirk uśmiechnął się do odbicia w lustrze, po czym z przyjemnością się w nim obejrzał. Po raz pierwszy od dawna nie miał rano skrzywionej gęby, w ogóle cały wyglądał tak, jakby był bardziej wyprostowany, zgrabniejszy. I te nowe bokserki, czarne w białe indiańskie rysunki, wyglądały na nim całkiem nieźle. Zaledwie przed tygodniem je kupił, chyba w jakimś natchnieniu. Wczoraj późnym wieczorem Alke zniknęła na dłużej w łazience i wyszła stamtąd w

koszuli nocnej, on więc też już nie wrócił do łóżka nagi.

Nie wiedział, czy ubrać się, czy nie przed pójściem do kuchni, gdzie Alke siedziała prawdopodobnie przy śniadaniu. W łóżku w każdym razie już jej nie było. Otworzył cicho drzwi i wysunął się na korytarz. Z otwartej kuchni tchnął na niego zapach kawy.

- Dirk? - usłyszał głos Alke. - Dzień dobry. Właśnie chciałam cię zbudzić, już po siódmej.

- Dzień dobry, Alke! - odpowiedział, wchodząc do kuchni.

Stała między oknem a zastawionym do śniadania stołem, już ubrana, i patrzyła na niego z uśmiechem wyrażającym mieszaninę zawstydzenia i szczęścia. Po raz pierwszy włosy miała nie upięte jak zwykle, tylko rozpuszczone, tak jak wczorajszego wieczoru. Dirk przypomniał sobie ich puszystość, gdy wtulał w nie twarz, pamiętał, jak osłaniały ich gęstą zasłoną, gdy Alke pochylała się nad nim. Teraz prześwietlało je poranne słońce i Dirk zauważył, że nie są zupełnie czarne, że mienia się w świetle złotem i miedzią. Zatopił jedną dłoń w jej włosach, drugą otoczył jej biodra i przyciągając dziewczynę do siebie, pożegnał myśl o punktualnym zjawieniu się w pracy.

Ale ona tylko przez moment dała się ponieść uczuciu; wymykając się z jego ramion, powiedziała:

- Nie teraz, Dirk. Nie chcę, żebyś się spóźnił albo poszedł do pracy bez śniadania.

- Wolę cię od śniadania. Zresztą ja bardzo rzadko jadam śniadanie. Chodź...

Alke jednak przeszła na drugą stronę stołu. Tam nie mógł już jej

dosięgnąć.

- To właśnie jest bardzo niezdrowe, Dirk, i nie zamierzam przykładać do tego ręki. Usiądź teraz i jedz. Możemy rozmawiać. Chcę z tobą dzielić nie tylko... łóżko - dokończyła poważnie, lekko się rumieniając.

- Jesteś cudowna! - Roześmiał się. - Jesteś warta wszystkie pieniądze! Mówię to całkiem poważnie - zapewnił, pochwyciwszy jej zaniepokojone spojrzenie. - Czy mi się wydaje, czy wzięłaś mnie właśnie na smycz?

- Żartujesz?

- Tylko troszeczkę, Alke. Zajmij się mną. Już zbyt długo prowadziłem życie bezdomnego psa. - Usiadł na wskazanym mu miejscu.

- Byłaś już w piekarni! - zdumiał się, uchylając lnianą serwetkę na wiklinowym koszyczku pełnym bułek i rogalików.

Alke usiadła naprzeciw, nalała Dirkowi i sobie kawy. Ruchem dłoni dała sygnał rozpoczęcia konsumpcji.

- Mówiłeś przez sen. Chyba chodziło o śledztwo, które prowadzisz. Wydawałeś mi się bardzo podekscytowany. Jeśli czujesz potrzebę uporządkowania swoich myśli, chętnie ci pomogę. Jestem dyskretna, możesz mieć do mnie zaufanie.

- Wiem, że czasem gadam przez sen - przyznał Dirk, śmiejąc się.

- Prosiłem kiedyś Uschi, moją przyjaciółkę z czasów studiów, żeby mi powtórzyła, o czym mówię, ale twierdziła, że to niemożliwe, bo wygłaszam strasznie nudne przemowy na bardzo nudne tematy i

nigdy nie mogła się skupić, żeby to spamiętać. Ha, ha, ha! - Dirk za późno zauważył, że Alke pozostała poważna. Widocznie wspomnienie o byłej partnerce stanęło jej ością w gardle. Zazdrosna, pomyślał i szybko spytał: - Co takiego mówiłem?

- Mówiłeś o autoportrecie i, cytując: „on też maluje”. Według niektórych psychologów, Dirk, sny mają za zadanie informowanie śniącego o sprawach dla niego ważnych, z których świadomie nie zdaje on sobie sprawy.

Dirk przez chwilę w milczeniu rozważał jej słowa.

- Rzeczywiście! - wykrzyknął. - Dziękuję ci, Alke. Rzeczywiście: on też maluje!

Zbudziła się wczesnym przedpołudniem w ramionach ukochanego, cała mokra. On spał jeszcze, więc cichutko wymknęła się do kuchni. Dopiero gdy otworzyła lodówkę, przypomniała sobie, że będąc poprzedniego dnia w Kirchdorfie zapomniała zrobić zakupy.

Zostały jej jakieś marne resztki - nie umarliby z głodu, ale choremu należy się pożywienie smaczne, świeże i pożywne. Isia sięgnęła po kartkę i sporządziła szybko listę zakupów. Na drugiej kartce napisała: Pojechałam do miasta po jedzenie i lekarstwa.

Dirk wszedł do piekarni, dopiero gdy minęła pora porannych bułek i w sklepie nie było klientów. Sprzedawczyni, zobaczywszy Dirka, spojrzała przez okno na parking.

- O, pan inspektor dziś prywatnie? - ucieszyła się.

- Niezupełnie - odpowiedział i wyciągnął portfel. Zamówił cappuccino i bajaderkę. Usiadł na ceratowej kanapce w kącie piekarni;

sprzedawczyni naląła też sobie filiżankę i usiadła naprzeciw.

- Niech mi pan uwierzy - uprzedziła pytania - Ralf nie jest mordercą. On muchy by nie skrzywdził.

Dirk wolał się nie spierać, choć w swojej karierze spotkał już ludzi czule opiekujących się swoim zwierzęciem i potrafiących bez najmniejszych skrupułów skopać bezbronny człowieka.

- Skąd pani wiadomo, że Nieman jest malarzem? Sam o tym mówił czy widziała pani jego obrazy?

- I jedno, i drugie. O, proszę - wskazała na ścianę nad kanapką Dirka. - Widziałam nawet, jak malował ten obrazek. Siedział tu, gdzie pan teraz siedzi.

Dirk długo przyglądał się małemu obrazkowi. Ralf Nieman narysował ołówkiem i lekko podkolorował akwarelą wnętrze piekarni z obydwoma sprzedawczyniami za ladą; przed ladą on sam, jako kupujący, odwracał się do widza z uśmiechem. Obrazek, właściwie szkic zaledwie, tchnął pogodą. Miało się ochotę patrzeć na niego i patrzeć. Dirk pamiętał jeszcze, jak parzył go w palce autoportret

Ahlersa. Co za różnica! Niemniej zastanowiło go podobieństwo innego rodzaju. Tak jeden, jak i drugi artysta genialnie oddał nastrój.

Negatyw i pozytyw.

- Uroczy - przyznał. - Czy Ralf Nieman miał tu we wsi przyjaciół? Mam na myśli czasy, gdy jeszcze tu nie mieszkał na stałe. Zanim odziedziczył wiatrak po ojcu.

Sprzedawczyni zastanowiła się.

- Nie, myślę, że raczej nie. Bo widzi pan, Ralf nie odwiedzał

ojca, nie lubili się chyba, i on był lojalny wobec matki. Stary Nieman to był gbur i zarozumialec. Nie, nie, Ralf nie bywał w Dunkelmoor jako dziecko, na pewno by się go zapamiętało, to musiał być prawdziwy promyczek.

Dirk słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

- Pojawił się więc w Dunkelmoor...

- Dwa lata temu. Zaraz przyszedł do piekarni, przedstawił się.

Odtąd prawie co sobotę kupuje u nas bułki. W tygodniu nie. Mówi, że jest zajęty malowaniem i nie traci czasu na duże śniadania.

Albo, pomyślał Dirk, spędza dni powszednie w ośrodku pani Funke w Holthusen.

Humor Isi poprawiał się z chwili na chwilę. Wprawdzie ledwo wsiadła do auta, odezwała się pani Dobrzańska, gotowa do dalszych pouczeń i ostrzeżeń, ale Isia natychmiast przepędziła ją w najdalsze zakamarki mózgu, twierdząc, że sama też potrafi myśleć rozsądnie i logicznie - ktoś, kto chory leży w łóżku, nie może jednocześnie mordować w całkiem innym miejscu.

W Kirchdorfie kupiła żywność na następne dni, a potem wstąpiła do piekarni po pieczywo. Wbrew sobie sięgnęła po leżące na ladzie najnowsze wydanie „Głosu Kirchdorfu”. Przezornie nie zajrzała od razu do gazety. Podejrzewała, że to, co przeczyta, może zachwiać jej wiarę w niewinność ukochanego, wolała więc nie znajdować się w tym momencie na widoku publicznym, tak jak przedwczoraj.

Zaszyła się w kąt pustej jeszcze o tej porze cukierenki i dopiero gdy przyniesiono jej dzbanuszek gorącej czekolady, rozłożyła

dziennik. I znów spojrzała na nią z jej łamów tak znana, a jednocześnie tak obca twarz Bonda. Już pierwsze zdania artykułu ogłuszyły Isię. Wyliczano dotychczasowe zbrodnie Ahlersa, ich czas i miejsce, z czego niezbcie wynikało, że trzeciego morderstwa, tego na pielęgniarce, Rolf dokonał dwie, trzy godziny przed wypadkiem w parku. Czwarte morderstwo było pierwszym popełnionym w tutejszej okolicy.

Dawało wymarzony żer poszczącem na ogół lokalnym redaktorom.

Autor artykułu, Luk, z lubością rozwodził się nad sprawą; Isia z trudem oddzielała fakty od jego pobożnych życzeń i krwawych fantazji. Morderstwo popełniono, jak wykazała autopsja, około siódmej.

W tym samym czasie spacerujący z psem w pobliżu mieszkania Reginy Bode sąsiad widział wysokiego jasnowłosego mężczyznę. Młody człowiek utykał lekko na prawą nogę. Świadek rozpoznał w nim na policyjnej fotografii Rolfa Ahlersa.

Isia opuściła gazetę i zabrała się do picia nietkniętej czekolady.

Gardło miała jak zasznurowane, ale nie chciała wzbudzać zainteresowania, pozostawiając pełny dzbanek. Czy mogła mieć jeszcze wątpliwości? Nie pamiętała dokładnie, kiedy odwiozła Bonda do domu, ale nie mogło być późno, bo choć do nietoperzy miała daleką drogę i szła na piechotę, musiała na nie jeszcze bardzo długo czekać.

Tak więc, jeśli Bond zostawił własne auto poza murami parku,

mógł doskonale zdążyć do Isebrick przed siódmą. No i utykał na prawą nogę. Udawał przed nią cięższe obrażenia, udawał chorobę? Isia poczuła się nagle oszukana i ten moment ostudzenia uczuć wykorzystwała pani Dobrzańska: Do komisariatu, ale już!

Isia zerwała się od stolika, wypadła z cukierni, przebiegła na drugą stronę rynku, wbiegła po schodkach komisariatu, szarpnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Z zakładu obok wyjrzała zaciekawiona fryzjerka.

- Stało się coś? Widziałam, jak pani biegła - spytała z nieukrywaną radością. Za jej plecami pojawiła się klientka w różowej pelerynce, za nią jakaś namydlona głowa.

Jeszcze przed chwilą Isia gotowa była wydać Bonda nawet w ręce małego Rotha, byle jak najszybciej pozbyć się współodpowiedzialności za jego czyny. Niezdrowa ciekawość i jawna żądza sensacji obcych osób przyhamowały jej zapędy. Nie, nie w ten sposób, pomyślała.

- Nic się nie stało, śpieszę się tylko. Mam dla komisarza broszurkę, o którą mnie prosił - poklepała torebkę. - Wie pani, gdzie oni są, ci policjanci?

Fryzjerka oczywiście wiedziała. Zawód niespełnionej nadziei na sensacyjną katastrofę bliźniego zrekompensowała sobie, dając świadectwo dobrej znajomości zwyczajów obu policjantów. Isia przestępowała z nogi na nogę, udając, że słucha informacji, na których jej nie zależało. Chciała już tylko jak najszybciej wrócić do stacji i pilnować Bonda, aż wyjaśni się sprawa odcisków palców. Właśnie -

co z tym kubkiem? Oddała go całą dobę temu. Czyżby odciski okazały się całkiem niewinne?

Tym razem Dirk nie zaparkował pod wiatrakowym wzgórzem.

Zostawił samochód koło piekarni i dalej poszedł na piechotę, udając zwykłego spacerowicza. Pochylał się nad kępkami przydrożnych ziół, podnosił kamyczki, nawet przysiadł na ławeczce. Tuż za wiatrakiem skręcił w ścieżkę na wrzosowisko i gdy po kilkuset metrach zawrócił, mógł spokojnie przyglądać się podejrzanemu budynkowi.

Na zewnątrz nic się od wczoraj nie zmieniło. Czego się spodziewał? Rozwieszonych na sznurku trofeów? Otwartych na oścież drzwi? Ahlersa stojącego w oknie i ręką zakrwawioną po łokieć machającego do Dirka? Nadal nie dało się poznać, czy w garażu stał jakiś samochód.

Ciekawe, czy Ahlers - Dirk całym sercem pragnął, aby Nieman okazał się Ahlersem - był wczoraj w wiatraku, gdy Dirk dzwonił do drzwi. Jeśli tak, to widział i radiowóz, i pistolet. Musiał wyciągnąć z tego wniosek, że jego kamuflaż się wydał. Czy w tej sytuacji czekałby spokojnie na aresztowanie? Raczej nie.

Dirk powoli wracał do wsi. Ani razu się nie obejrzał - nadal zachowywał się jak zwykły spacerowicz. Ahlers, jeśli spłoszył się wczoraj, musiał poszukać nowej kryjówki, co nie byłoby łatwe, w każdym pensjonacie wisiał list gończy z jego fotografią. Co ja bym zrobił na jego miejscu? - zastanowił się Dirk. Przede wszystkim opuściłbym wiatrak, ale przyczaiłbym się w pobliżu i czekał na dalszy ciąg wizyty policji. Z lasu obserwowałbym wiatrak przez lornetkę.

Gdyby rozpoznano we mnie mordercę albo mnie o to poważnie podejrzewano, nastąpiłby najazd większych oddziałów i rewizja. Wiedziałbym jednak także, że ten pojedynczy policjant poszedł wczoraj poinformować się o mnie do wsi. Przyłożyłem się dobrze, aby stworzyć obraz Ralfa Niemana całkowicie różniącego się ode mnie charakterem i życiorysem. No i jak widać - udało się.

Z ostrożności przenocuję jeszcze ze dwa razy w lesie, a potem wrócę tu i jeśli już odfajkowałem wszystkie ofiary z mojej listy, mogę sobie dalej żyć spokojnie jako Ralf Nieman, a Rolf Ahlers nigdy już nie wróci do ośrodka w Holthusen.

Dirk, zanim dojechał do Kirchdorfu, przemyślał też inny aspekt sprawy: swój udział w dochodzeniach. Gdyby Wagner zachował się wczoraj taktowniej, Dirk czułby się zobowiązany złożyć mu natychmiast sprawozdanie. Teraz jednak z trochę dziecinnej przekory postanowił milczeć. Drugą wizytę w Dunkelmoor odbył przecież z własnej inicjatywy. Nie będzie teraz pokornie dzielił się ważnymi może spostrzeżeniami. Nie będzie też wyskakiwał przed orkiestrę, cichutko poprowadzi dalsze rozeznanie i dopiero gdy będzie pewny, poprosi o wsparcie.

Parkując przed komisariatem, spojrzął na zegarek. Właściwie nie opłacało się już wchodzić do biura na te ostatnie pół godziny.

Jutro trzeba będzie poszukać „matki” Niemana, tej rozwiedzionej z jego „ojcem”. To może potrwać, całkiem możliwe, że świętej pamięci O. Nieman, były właściciel wiatraka, nigdy nie był żonaty.

Powodem, dla którego Tielke wszedł jednak do komisariatu, był ekspres do kawy, urządzenie dużo sprawniejsze niż jego własne w domu.

Zielony kubek na biurku okazał się jeszcze dość czysty. Popijając kawę, Dirk marzył o czekającym go wieczorze z Alke, o jej podziwie, kiedy on zaaresztuje seryjnego mordercę i cieszył się trochę na głupią minę, jaką robi komisarz Wagner, a chwilami myślał też o tym, że jutro jest czwartek, sprzątaczką Helga przyjdzie rano i wreszcie tu pozamiata.

Kirchdorf wraz ze swoim posterunkiem policji i nie niepokojoną dziś przez Isię stacją obsługi samochodów pozostał z tyłu, przed nią coraz wyraźniej roztaczał się rozległy, otoczony murem las. Zaledwie kilka dni temu żyła tu szczęśliwa, nie pragnąc niczego poza tym, co miała, poza ulubioną pracą w tak pięknym zakątku. Wydawało jej się wtedy, że lepiej już być nie może, nie miała żadnych życzeń.

I wtedy zjawił się Bond, i okazało się, że można doznawać jeszcze większego szczęścia, nie tracąc nic z posiadanego. A teraz... Teraz wolałaby prawie nigdy go nie spotkać. Dzisiejszy dzień byłby wtedy jednym z całego łańcucha zwyczajnych, dających jej ciche, ale i głębokie zadowolenie. Nie można było jednak wymazać tego spotkania z życia. Było, stało się i trwało jeszcze. Ta historia musi jakoś się rozwiązać, tak czy owak, nie ma innego wyjścia. A potem już nic nie będzie takie, jak kiedyś.

Bond nie był mordercą? Miał alibi: chorobę? To tylko on twierdził, że poczuł się gorzej już nad rzeczką. Ona jednak, gdyby ją

pytano, mogłaby zaświadczyć gorączkę dopiero w nocy i na drugi dzień.

A może Bond tak właśnie reagował na manifestację swojego drugiego wcielenia - gorączką, chorobą, zanikiem pamięci?

Przypomniała sobie, jak śpiący Bond wydawał jej się obcy. Miała wtedy poczucie, że to Hyde i Jekyll walczą w nim o prawo dostępu do świadomości, o prawo do życia. Kogo zastanie po powrocie? Kto powita ją w stacji? Jej pogodny, uroczy kochanek? Spędzi z nim wtedy ostatnie godziny i może spróbuje przygotować na przybycie policji. Postara się wytłumaczyć mu konieczność oddania się w fachowe ręce, obieca, że nie opuści go w nieszczęściu.

A jeśli zastanie Ahlersa? Czy druga połowa Bonda wie o jej, Isi, istnieniu? Czy i ten psychopatyczny morderca ją kocha? A może ma jej za złe, że ona woli tamtego, lepszego?

Isia zatrzymała samochód wśród drzew przed polanką, na której stał budynek stacji ekologicznej. Rozejrzała się niepewnie. Oczyma duszy zobaczyła Bonda, takiego, jakiego zastała tu przedwczoraj.

Czytającego w słońcu książkę. Ale na ganku nie było nikogo. Bond musiał być wewnątrz. Może spał jeszcze. A może jako Ahlers wyruszył na następną krwawą wyprawę? Isia wzdrygnęła się. W ten sposób stanie się, przynajmniej moralnie, współwinna następnego mordu. Mało tego, gdyby oddała Bonda w ręce policji już przedwczoraj rano, Regina Bode nie musiałaby umrzeć.

Skradając się pod ścianą, obeszła dom dookoła. Zaglądała ostrożnie w każde okno, niepewna, kogo przyjdzie jej zobaczyć.

Kiedy skręciła za ostatni róg, znalazła się nagle o parę kroków zaledwie od znajomej wysokiej postaci. Zaskoczona, wciągnęła gwałtownie powietrze, lecz już w następnej chwili zmusiła się do uśmiechu. Przez ostatnie dni szczęśliwy uśmiech sam wypływał na jej twarz za każdym razem, gdy na niego patrzyła. Ale teraz, choć rysy twarzy były te same, to jednak jej wyraz był tak różny, jakby stał przed nią inny człowiek. On też zdawał się jej nie poznawać. Patrzył na nią podejrzliwie i ponuro. Gdy moment zaskoczenia minął, ruszył w jej stronę, utykając lekko.

Prawie jednocześnie pomyślała o tym, że Bond rzeczywiście nie potrzebuje już laski, i o tym, że nie ma sensu uciekać. Pochwyciłby ją, zanim zdążyłaby się odwrócić.

Zresztą, pomyślała z rozpaczą, to jest Bond, którego kocham!

Z desperacją rzuciła mu się w ramiona. Wypreżył się cały jak struna, ale nie odepchnął jej. Poczowała, jak obejmuje ją jego ramię.

- Ralf? - szepnęła.

- Rolf - poprawił ją. - O, jak Otto.

„Ralf”, zabrzmiało echem w jej pamięci, „a, jak Anna”.

Dopiero teraz, gdy nosem dotykała jego swetra, uświadomiła sobie, że nie zna tej części garderoby Bonda. Poczowała zamęt w głowie, jakiś nowy domysł, jakieś podejrzenie... i wtedy ostrze noża dotknęło jej szyi, obce usta musnęły jej ucho, a obcy głos zapytał:

- Gdzie on jest? Zaprowadź mnie do niego!

Czwartek

Dirk chętnie przytuliłby się do Alke. Wyciągnął rękę, ale zmacał

jedynie wystygłą już poduszkę. Alke, jak wczoraj, opuściła sypialnię, zanim się obudził. Dirk począł w stronę kuchni. Pachniało kawą.

Alke, jak wczoraj, stała przy oknie. Odmienimy trochę rutynę, pomyślał, podchodząc do niej.

- Dzwonił Frank Roth.

- Czego chciał? Skąd on wie, że tu jestem? - mruknął Dirk niechętnie, trzymając ją wciąż w ramionach i nie tracąc nadziei, że ostatecznie spełni się jeszcze jego przedśniadaniowe marzenie.

- Daj spokój, Dirk. - Alke broniła się zdecydowanie, choć nie gwałtownie. Rozkoszowała się odkryciem, że była dla niego w tej chwili dużo większą pokusą niż ważne wiadomości z biura. - Myślę, że bardzo cię potrzebują. Roth mówił tak chaotycznie, że niewiele zrozumiałam. Ktoś przyszedł, czy też szuka cię, ktoś płacze, a on nie wie, co z tym zrobić, bo to ty jeździłaś do Dunkelmoor. - Osiągnęła wreszcie to, że Dirk zaczął słuchać uważniej. - Chodzi, zdaje się, o jakieś naczynia kuchenne. Musisz sam się dowiedzieć, bo ja zrozumiałam tylko tyle, że ktoś ma ci za złe posiadanie jakichś kubków, bo są kłopoty ze zmywaniem czy coś w tym rodzaju. Czy znasz jakąś panią, która się nazywa Nieman? On mówił o sprzątacze, ale u was sprząta Helga Meier. - Alke umilkła wreszcie.

Dirk usiadł na krześle, oszołomiony nawałem nic mu niemówiących wiadomości i wpatrzył się w ukochaną z pobłażliwą naganą.

- Powtórz, proszę, wszystko jeszcze raz, ale nie własnymi słowami, tylko tak, jak Roth mówił.

Oczy Alke zwięzły się niebezpiecznie, nabrała powietrza w płuca, aby wyrazić jak najgorętsze oburzenie z powodu posądzenia jej o brak inteligencji. Po chwili jednak uśmiechnęła się z dziwnym błyskiem w oku i wyrecytowała:

- „Czy jest u pani komisarz Tielke? Ja przepraszam, że dzwonię...

Ta baba mi tutaj płacze. Nie, nie panią mam na myśli, niech pani usiądzie”. - Alke doskonale naśladowała dyszkant Rotha. - Spytałam, czy chce mi powiedzieć złą nowinę, bo kazał mi usiąść. „Ja nie wiem, czy to zła wiadomość. Tu jest pani Nieman, ale ta robi zamieszanie z naczyniami, że nie można się skupić. Że też pan komisarz musiał mieć ten kubek do kawy”. Mam cytować dalej?

- Nie, dziękuję. Przepraszam. Chyba rzeczywiście muszę tam pójść. On wspominał Dunkelmoor?

Alke przytaknęła.

- I to nazwisko brzmi Nieman?

Alke przytaknęła powtórnie.

- Aha - powiedział Dirk i poszedł do łazienki.

Pani Nieman... Dobrze, że nie pochwalił się wczoraj Wagnerowi swoimi odkryciami. Wygłupiłby się tylko. Kim mogłaby być pani

Nieman? Matką Ralfa Niemana, która nie umarła przy porodzie jak matka Ahlersa. Ostatecznie żoną, ale i w tym wypadku jej istnienie wykluczałoby Ralfa Niemana jako mordercę. Żeby się ożenić, Ahlersowi nie wystarczyłyby sporadyczne wizyty w piekarni, a i w urzędzie stanu cywilnego musiałby przedłożyć sfalszowane

dokumenty.

Dirk nie przypuszczał, aby w komisariacie rozgrywały się jakieś sceny, wymagające jego natychmiastowej interwencji. Umyty już i ubrany spokojnie zasiadł do śniadania. Było dla niego czymś smakowicie nowym jeść rano przy porządnie nakrytym stole. Zwykle połykał cokolwiek, ubierając się i czytając poranną gazetę, a i dawniej, w Hamburgu, a przedtem w Hanowerze, we wspólnocie mieszkaniowej, nikt na nikogo ze śniadaniem nie czekał. Młodzi, wolni ludzie gardzili tym przejawem drobnomieszczaństwa. Każdy wyciągał tylko interesujące jego samego wiktuały z lodówki, a ostatni zostawiał wszystko wraz z użytymi naczyniami na stole i zmykał na uczelnię czy do pracy. Z dawniejszymi swoimi przyjaciółkami Dirk jadał czasem śniadanie w łóżku, czasem wychodzili razem do kawiarni, ale nigdy jeszcze nie miał takiego porządnego, domowego, przygotowanego starannie posiłku. Chyba że dawno, dawno temu, gdy jeszcze mieszkał w domu u rodziców. Dirk spojrzał na Alke.

Spotkał jej uśmiechnięte spojrzenie. Pogładziła go po nieogolonym policzku.

- Dobrze ci z tym. Wyglądasz tak interesująco, tak światowo. Ale chyba do pracy powinienes się ogolić. Kupiłam maszynkę w drodze do piekarza.

- W sobotę znów zapuszczę brodę - obiecał. - Ale dziś rzeczywiście powinienem się ogolić - zgodził się, czując, jak rośnie w nim rozkoszne poczucie człowieka, o którego wygląd i wygodę ktoś dba.

Alke pojechała do miasta z Dirkiem. Początkowo chciała pójść na zakupy. Wysiedli przed komisariatem, lecz pomni tego, że nie zobaczą się już przed obiadem, zabrali się do czułych pożegnań. Wtem otworzyło się okno i stanął w nim Roth. Zaczął coś mówić do przełożonego, natychmiast jednak zagłuszył go płaczliwy głos rozczochranej i zaczerwienionej sprzątaczką, przepychającej się z małym policjantem. Dirk nie rozumiał słów, nie wiedział zresztą, na czym skupić uwagę, gdyż w głębi pokoju dojrzał zatroskaną twarz nieznanej mu starszej pani. Zaciekawiony, pośpieszył do biura. Alke także zaintrygował niecodzienny ruch w komisariacie, podążyła więc za nim. Kiedy weszli, towarzystwo zebrane poprzednio w oknie zdążyło już przemieścić się pod drzwi.

- Dzień dobry, panie komisarzu - powitał Dirka Frank Roth, ignorując całkowicie Alke. - Dobrze, że pan nareszcie jest. Bardzo się śpieszę. Ta pani ma jakąś sprawę do pana.

- Co się tu dzieje?

Teraz Helga Meier zabrała głos. Wepchnęła się bezceremonialnie między Dirka a Rotha i rozkrzyczała się jazgotliwie:

- Ja nie wiedziałam, że to inny kubek! Stał na pana biurku! Skąd ja mogłam wiedzieć?

- Jaki kubek?

- Pana inspektora. Ten zielony.

- Stukła go pani?

- Gdzież tam! Ja zawsze uważam! Nic jeszcze nie stukłam, nic nie zniszczyłam. Niech się pan inspektor spyta w miasteczku.

- Oczywiście, oczywiście! - Dirk próbował uspokoić sprzątaczkę.

W tej chwili bardziej interesowała go nieznajoma kobieta. - Co się tu dzieje? - powtórzył. - Czy to pani Nieman? - zwrócił się do przebierającego nogami przy drzwiach Rotha.

- Sam się pan zorientuje, co się tu dzieje. Ja muszę już iść. Jestem bardzo spóźniony.

- Dokąd?

- Do przedszkola. Dzieci już są na ulicy, one tak się palą do nauki przechodzenia. To ja wychodzę.

- Dobrze, niech pan już idzie. O jedną osobę będzie mniej w tym zamieszaniu - zgodził się szef, a gdy Roth wyszedł, mruknął do

Alke: - I tak mała z niego pociecha.

Sprzątaczką zamilkła na czas rozmowy obu policjantów, zagłuszając ją tylko dokładnym wypróżnianiem pełnego łoża nosa. Nieznajoma pani skorzystała z tej przerwy i podała Dirkowi rękę.

- Pan Tielke? Dzwoniłam do pana już wczoraj wieczorem i dziś rano. Wreszcie przyjechałam.

- Pani Nieman? Ma pani coś wspólnego z Ralfem Niemanem z Dunkelmoor?

- Jestem jego matką.

- No tak - westchnął Dirk z rezygnacją. - Przepraszam panią na moment. Alke, zaprowadź panią Nieman do mojego pokoju. Zaraz tam przyjdę, tylko wyjaśnię ten problem pani Helgi.

Gdy wyszły, zwrócił się do zapłakanej sprzątaczkii:

- No to co się stało z tym kubkiem? Niech pani już nie rozpacza. Mogę kupić sobie drugi taki sam.

- Ale on właśnie jest taki sam i ja go umyłam, bo myślałam, że pan chce mieć dwa. Skąd ja mogłam wiedzieć, że nie wolno go myć?

- Rozdwoił się w myciu? - Dirk starał się zbagatelizować sprawę i tym samym pocieszyć nieszczęsną. Podejrzewał, że chodzi tu o jakieś skomplikowane, a nudne przepychanki między nią i Frankiem Rothem.

- Nie, on już był podwójny. To znaczy ja najpierw nie wiedziałam, że to nie pana kubek.

- Ale to jest mój kubek, ten zielony.

- Nie, niech pan popatrzy.

Sprzątaczką wyszła na zaplecze, gdzie znajdowała się kuchenka i po chwili wróciła, trzymając w każdej ręce po jednym naczyniu.

Były identyczne. Przed paroma tygodniami te zgrabne fajansowe kubki pojawiły się w piekarni na stoisku z kawą i z miejsca zdobyły sobie uznanie mieszkańców Kirchdorfu.

- Rzeczywiście, dwa takie same - przyznał Dirk. - Skąd się ten drugi wziął?

- Ja myślałam najpierw, że sam go pan kupił albo dostał od panny Fink. Nigdy bym go nie myła, gdybym wiedziała, że to nie pana inspektora kubek.

- No dobrze, umyła pani kubek Rotha, i co w tym strasznego?

Gniewał się na panią? Dlatego pani płacze? A to łobuz!

- Pewnie, że się gniewał, a to nie moja wina, ja nie byłam przy

tym, jak panna Dobrzańska go przyniosła, tylko on. Dopiero potem znalazłam kartkę na podłodze.

- Isia Dobrzańska przyniosła tu kubek? Po co? I o jaką kartkę chodzi? O żadnej kartce nie było jeszcze mowy - zapytał Dirk.

- Niech pan sam przeczyta. - Pani Meier sięgnęła do kieszeni kwiecistego kitla. - Ale to nie moja wina. Ja zawsze najpierw zmywam, a potem zmiatam i dlatego jak znalazłam tę kartkę, to już było za późno. Ale nie wyrzuciłam jej, tylko przeczytałam, żeby zobaczyć, czy jest ważna.

- No, proszę mi ją już dać! - Dirk wyjął papierek z ręki Helgi Meier. Czytając, uniósł najpierw brwi, a potem zmarszczył czoło. - Rzeczywiście, to nie pani wina, chociaż szkoda, że się tak stało. No, ale pojedę zaraz do parku i dowiem się, co to miało znaczyć. Niech pani się już nie martwi. Nikt nie ma do pani pretensji.

- Pan Hauptwachtmeister Roth ma! - zaprzeczyła kobiecina, ale jej twarz zaczęła się już rozjaśniać. Nie Roth się liczył, tylko ten młody i przystojny szef. Jeśli on mówi, że nie jest winna, to nie ma się czym przejmować. Może się jeszcze okazać, że to Roth popełnił błąd i starał się na nią zrzucić odpowiedzialność.

Dirk też zaczął podejrzewać, że przyczyną całego zajścia była bezmyślność pryszczatego podwładnego. Nie zamierzał jednak omawiać tego ze sprzątaczką.

- Skończyła pani na dzisiaj? - spytał, a gdy przytaknęła, wsunął jej do ręki monetę i popychając w stronę wyjścia, powiedział serdecznie: - Proszę sobie kupić kawałek tortu w cukierni. Nie ma to

jak coś słodkiego na zdenerwowanie.

Gdy zamknęły się drzwi za sprzątaczką, poprawił krawat i wkroczył do swojego pokoju. Nastawił się na przesłuchiwanie pani Nieman w sprawie Ahlersa, ale gdy zobaczył pochylone ku sobie postacie obu kobiet, zrozumiał, że Alke załatwiła to już prywatnie.

- Co panią do mnie sprowadza? - zapytał, sadowiąc się wygodnie za biurkiem.

Odpowiedziała mu Alke, a stroskana pani przytakiwała z poważną miną.

- Pani Nieman jest matką Ralfa Niemana, tego, którego próbowałeś wczoraj odwiedzić w Dunkelmoor. Przez miesiąc była na wakacjach na Krecie i przed powrotem do domu chciała odwiedzić syna.

Byli umówieni, Ralf miał ją odebrać wczoraj na lotnisku w Hamburgu. Nie zjawił się tam, więc pani Nieman pojechała do Liineburga pociągiem, a stamtąd taksówką do wiatraka. W drodze próbowała kilka razy telefonować do syna, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Teraz pani Nieman przejęła opowiadanie:

- Nie mam klucza od wiatraka, gdybym wiedziała, że Ralf nie wróci na noc, zostałabym w Liineburgu. Czekałam bardzo długo, nie przyszedł... Zajrzałam do skrzynki na listy i zobaczyłam, że dawno już nic z niej nie wyjmował. Bardzo mnie to zaniepokoiło, a ponieważ znalazłam wizytówkę pana komisarza, dziś z samego rana próbowałam dodzwonić się do pana.

- Nocowałem u pani Fink. - Dirk uśmiechnął się do Alke. - Będę musiał dopisać jej numer telefonu do wizytówek, zanim nie znajdziemy wspólnego mieszkania.

Pani Nieman nie wykazała najmniejszego zainteresowania życiem prywatnym młodej pary.

- Pani Fink powiedziała mi już, dlaczego był pan przedwczoraj u Ralfa. Ten Ahlers to oczywiście nie może być on. Chciałabym jednak, żeby pomógł mi pan znaleźć syna, bo coś na pewno musiało się stać.

- Oczywiście. Zaraz dowiemy się, czy nie miał jakiegoś wypadku.

Kiedy widziała go pani ostatnio?

- O, dobre pół roku temu. Nie mieszkamy razem. Ale telefonowałam do niego w drugim tygodniu mojego pobytu na Krecie, trzy tygodnie temu. Nie wspominał o żadnym wyjeździe. Sam mnie zaprosił i umówiliśmy się, że odbierze mnie w Hamburgu. Wysłałam do niego widokówkę po tej rozmowie. Znalazłam ją wczoraj w skrzynce. Już jej nie dostał.

- Tak, przypominam sobie. Widziałem tę widokówkę. - Dirk zastanowił się chwilę, a potem powiedział: - Zaraz zacznę telefonować. Przedtem jednak chciałbym zakończyć tamtą sprawę. Pokażę pani zdjęcie Ahlersa i pani powie mi, czy to pani syn.

Pani Nieman westchnęła.

- No dobrze, ale wiem już teraz, że to nie on. Pani Fink opowiedziała mi o tym mordercy. To zupełnie inny człowiek.

Inspektor Tielke też był o tym przekonany. Ale od zawsze

uważał, że niedokładność w pracy jest u dobrego detektywa niewybaczalnym błędem.

Wyciągnął z akt powiększoną fotografię paszportową Ahlersa i podał ją przez biurko znękanej matce. Pani Nieman wzięła do ręki zdjęcie i nagle jej rysy stężały. Błada wpatrywała się w ponurą i zaciętą twarz zbrodniarza.

Dirk i Alke w napięciu czekali na dalszą reakcję. Jednocześnie

Dirk, pewien już, że matka rozpoznała jednak syna, zaczął się gorączkowo zastanawiać nad tym, w jaki sposób ten tajemniczy morderca był w stanie od samego prawie urodzenia prowadzić podwójne życie. Przecież to niemożliwe!

- Czy pani słabo? - spytała cicho Alke.

Pani Nieman nie odpowiedziała od razu. Dopiero po chwili podniosła wzrok na siedzącą przy niej młodą kobietę i drżącymi ustami wyszeptała:

- To musi być Rolf... A ja myślałam... powiedzieli mi, że on nie żyje... Oszukali mnie...

- A więc to jednak pani syn? - zapytał Dirk ze współczuciem.

- Mój syn? - Pani Nieman roześmiała się histerycznie. - Gdyby to był mój syn...! Co oni z nim zrobili!? - Śmiech zmienił się w gwałtowne łkanie.

Alke zerwała się z krzesła.

- Sprowadzę lekarza! - zawołała i rzuciła się do drzwi.

- Nie! Nie! - zaprotestowała roztrzęsiona kobieta. - Ja się zaraz uspokoję!

Rzeczywiście próbowała się powstrzymać, nadal jednak zanosila się spazmatycznym płaczem.

Dirk zgłupiał zupełnie. Instyktownie pogładził nieszczęsną matkę po dłoni, a ona natychmiast uchwyciła jego rękę, podniosła ją do twarzy i wpijając się w nią paznokciami, używała jej zamiast chusteczki. Młody komisarz czuł się bardzo niepewnie.

Równie zdezorientowana i nieco zażenowana sytuacją Alke odwróciła wzrok. Spojrzała w okno i dostrzegła Edeltraud Funke przemierzającą właśnie rynek. W nagłym olśnieniu wychyliła się i zawołała głośno:

- Proszę pani! Pani Funke! Proszę do nas przyjść! Proszę! Jest pani potrzebna!

Kierowniczką ośrodka z miejsca zapanowała nad sytuacją. Nie traciła czasu na zadawanie pytań, tylko objęła szlochającą kobietę silnymi ramionami i przytuliwszy ją jak małe dziecko do swego obfitego biustu, uspokajała kołysaniem i powtarzanym monotonię:

- Już dobrze... już dobrze...

Proste te zabiegi odniosły natychmiastowy skutek. Już po minucie Hanna Nieman, uśmiechając się z wdzięcznością, uwolniła się z objęć pani Funke, otworzyła torebkę, wyjęła z niej kosmetyczkę i zaczęła doprowadzać twarz do porządku. Nie mówiła jednak nic, a Dirk wolał o nic nie pytać. Ukradkiem obcierał o spodnie zmoczoną łzami dłoń.

- No, Dirk? - huknęła w końcu zniecierpliwiona nieco pani Funke. - Dowiem się wreszcie, co to ma znaczyć? Alke, przedstaw

mnie pani!

- Pani Edeltraud Funke, kierowniczka Ośrodka dla Niepełnosprawnych w Holthusen - zaczęła Alke posłusznie - pani Hanna

Nieman, matka... - nie dokończyła, a potem zwracając się znów do pani Nieman, wyjaśniła: - Pani syn pracuje i ma mieszkanie w tym ośrodku, a pani Funke zna go od dziecka.

Hanna Nieman uśmiechnęła się smutno.

- Przepraszam za mój wybuch. Mnie samą zaskoczył. Jestem przemęczona po podróży i nieprzespanej nocy, a teraz doszedł do tego strach o Ralfa. Pewnie dlatego nerwy zawiodły, gdy zobaczyłam tę fotografię. Widzę, że muszę coś wyjaśnić. Pani Funke na pewno nie zna mojego syna, nie zna Ralfa. Ona zna Rolfa.

Trzy pary oczu wpatrzyły się w nią z napięciem.

- Ralf i Rolf są braćmi - kontynuowała wyjaśnianie pani Nieman i krótkim tym zdaniem wywołała burzę domysłów i okrzyków. Trzy osoby pytały natarczywie, a czwarta bezskutecznie usiłowała zadowolić wszystkich naraz. I tym razem wytrawna organizatorka, doświadczona kierowniczka, uchwyciła ster w swoje ręce.

- Spokój! - zagrzmiała.

Wszyscy ucichli.

- Wygląda na to, że są sprawy, o których ani policja, ani nawet ja nie mamy pojęcia. Niech pani mówi, a my słuchajmy. Pytania będziemy zadawać potem. Najpierw Dirk, potem ja.

Towarzystwo przyklasnęło temu rozwiązaniu i pani Nieman

podjęła opowieść:

- Ralf i Rolf są braćmi. Są syjamskimi bliźniętami. Ich matka zmarła przy porodzie. Nie chodziła na żadne badania i nikt nie wiedział, jakiego rodzaju to ciąża. Ojca właściwie nigdy nie było, bo opuścił matkę na długo przed urodzeniem się chłopców. W ten sposób decyzję o rozłączeniu dzieci podjęli wspólnie przedstawicielka Urzędu do spraw Dzieci i zainteresowany operacją chirurg. Ja niestety dowiedziałam się o istnieniu małych, gdy najgorsze już się stało. Nie mogłam mieć własnych dzieci i staraliśmy się z mężem o adopcję. Teraz wiem, że mojemu mężowi wcale nie zależało na posiadaniu dziecka, że ustąpił mi tylko. W każdym razie nie miał ochoty na kalekie bliźnięta. Operacja rozdzielenia chłopców została wykonana w skandaliczny sposób. Podobno chirurg od początku założył, że tylko jedno dziecko przeżyje i sam wybrał Ralfa. Chciałam wziąć obu chłopców, ale mój mąż się sprzeciwił. Walczyłam, ale niedługo, bo wkrótce ta urzędniczka od adopcji, nazywała się chyba Bolte czy

Bode, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że Rolf zmarł. Teraz myślę, że ją mój mąż przekupił. Nie byłby to pierwszy raz. Zaadoptowaliśmy więc Ralfa. Nie mówiliśmy mu, że miał brata, historia była zbyt ponura. Oczywiście musieliśmy jakoś wyjaśnić istnienie bliźni, powiedzieliśmy, że zaraz po urodzeniu był operowany, bo miał jakieś

„zrosty”. Bliźna wyglądała brzydko i dziecko wyraźnie cierpiało, poszłam więc z nim do porządnego szpitala. Tam zrobiono drugą, a potem trzecią operację, a lekarzowi, choć nie chciał przede

mną krytykować kolegi, wymykały się czasem bardzo krytyczne uwagi.

Zrozumiałam z tego, że Ralf dostał za dużo: za dużo mięśni, za dużo skóry, za dużo kości biodrowej... Była nawet mowa o trzeciej nerce, ale to chyba raczej był makabryczny żart...

- Rolf Ahlers ma tylko jedną nerkę - wtrąciła ponuro Edeltraud Funke.

- O mój Boże... Biedne dziecko! - jęknęła pani Nieman. Opanowała się i mówiła dalej: - Przez pierwsze miesiące i lata często myślałam o Rolfie. O tym, że gdybym dostała ich obu nierozłączonych jeszcze, to nie dopuściłabym do tej dyletanckiej operacji. Niech pani mi powie - zwróciła się gwałtownie do pani Funke - czy on bardzo cierpiał w swoim życiu?

Pogodna zwykle kierowniczką dziwnie była teraz poruszona.

- Tak, on cierpiał - powiedziała cicho. - I właściwie nikt się tym nie przejmował. Dostaliśmy go, gdy miał rok. Nie wiedzieliśmy, że miał syjamskiego bliźniaka. W jego papierach była mowa tylko o wrodzonych zniekształceniach. Musiał być jeszcze kilkakrotnie operowany, dostawał też dużo leków, to wszystko sprawiło, że stawał się coraz bardziej nieznośny. Nikt go nie lubił... Tak, Rolf dużo cierpiał.

- Biedne, biedne dziecko... - westchnęła znowu jego niedoszła matka i zamilkła.

- Teraz dopiero rozumiem jego list - odezwała się Alke.

Dirk ocknął się z zadumy.

- Tak, list i nie tylko. Teraz jest dla mnie jasne, dlaczego wybrał właśnie te ofiary. Pierwszy był ojciec, „tak zwany ojciec”, jak o nim napisał. Gdyby Peter Nolte nie wyparł się ojcostwa, może stworzyliby z matką bliźniąt normalną rodzinę. Może ta nieszczęsna kobieta chodziłaby w czasie ciąży na badania i może wszystko potoczyłoby się inaczej. Winny.

Drugi był Karl-Heinz Semmler, chirurg. W Hamburgu nie odkryto jeszcze jego powiązania z Ahlersem, ale dla mnie jest oczywiste, że to on przeprowadził tę nieszczęsną operację rozdzielania bliźniąt. Zrobił to niechlujnie, jednemu wziął za dużo, drugiemu za wiele dał. Winny.

Trzecia była ta instrumentariuszka, Hilda Baum. Nie wiem o niej nic poza tym, że pracowała z Semmlerem, może Ahlers miał lepsze wiadomości, może była bardziej niż zwykła pielęgniarka wmieszana w tę całą historię. A może wystarczyło, że była przy tej operacji.

Winna? Według mordercy tak.

Wreszcie czwarta ofiara, Regina Bode. Z tego, co powiedziała nam pani Nieman, to ona uniemożliwiła zaadoptowanie Rolfa.

- Winna - osądziła ją twardo Hanna Nieman.

Dirk rozłożył teczkę z własnymi aktami sprawy Rolfa Ahlersa. Wyjął fotokopię listu i przez chwilę studiował ją w skupieniu.

Wreszcie powiedział:

- Już w pierwszym zdaniu pisze: „będę musiał się zemścić i odebrać, co mi się należy”. Na razie mścił się. Jak on sobie wyobraża odbieranie tego, co mu się należy? Co on może mieć na myśli?

Hanna Nieman zerwała się tak gwałtownie, że przewróciła krzesło, które z łomotem upadło na podłogę.

- Ralf...! - krzyknęła. - Ratujcie Ralfa! On chce... - Nie dokończyła zdania, tylko dyszała ciężko, trzymając się za serce i wpatrując się w pozostałych szalonym wzrokiem.

Nie musiała kończyć. Nikt z zebranego w komisariacie towarzystwa nie wątpił ani w to, że Ralf Nieman znajduje się na liście ofiar

Rolfa Ahlersa, ani w to, że czterokrotny morderca zdolny jest do najkoszmarniejszych okrucieństw.

- Do wiatraka! - zdecydował Dirk.

W tej samej chwili drzwi uchyliły się i wyjrzało zza nich przyszczate oblicze Franka Rotha.

- Melduję się z powrotem, panie inspektorze. Już wszystko w porządku, prawda? - Trzy kobiety w gabinecie szefa skojarzyły mu się z rozrywkami towarzyskimi.

- Nic nie jest w porządku! - krzyknął Dirk. - Roth, niech pan bierze broń i do radiowozu!

Hauptwachtmeister Roth zbladł. Wycofał się i spróbował przetrwać usłyszany właśnie rozkaz. Nie miał jednak na to czasu, gdyż drzwi znowu się rozwarły i na łeb na szyję wypadł z niego tabun gotowych na wszystko ludzi, których tak pochopnie uznał przed chwilą za grupkę niewinnych plotkarzy.

- Rusz się! - huknęła mu w ucho Edeltraud Funke i szturchnęła go między łopatki.

Po chwili dwa auta mknęły szosą w kierunku Dunkelmoor.

W pierwszym, zielono-białym radiowozie, jechali obaj policjanci.

W drugim, pomarańczowo-czarnym mikrobusie ośrodka, siedziały kobiety.

Wiatrak stał na wzgórzu biały i spokojny, jak wczoraj. Wszystkie okna, drzwi i garaż tak jak wczoraj były zamknięte. Oba samochody zatrzymały się na szosie. Dirk wysiadł i zdecydowanym ruchem ręki dał znać, że nie życzy sobie, aby pasażerki drugiego pojazdu brały aktywny udział w akcji. Paniom nie pozostało więc nic innego, jak tylko z daleka obserwować, co się dzieje. Hanna Nieman szeptała coś cicho, może się modliła, Alke zagryzała do bólu wargi, bo po raz pierwszy miała okazję prawdziwie bać się o ukochanego i tylko

Edeltraud Funke mruknęła:

- Ze mnie i bez pistoletu miałby Dirk lepszą pomoc niż z tego zdechlaka. Przecież on robi w portki ze strachu.

Nie była daleka od prawdy, a i Dirk o tym wiedział, ale nie miał wyboru. Mógł mieć tylko nadzieję, że Roth nie postrzeli nikogo niechcący. Może by tak odebrać mu magazynek?

Pantomima przed drzwiami wiatraku zbyt była oddalona, aby obserwatorzy mogły ją zrozumieć. Wszystkie oczekiwały jednak jakiegoś brutalnego i efektownego rozbijania drzwi, tymczasem Dirk po prostu pochylił się krótko nad zamkiem i natychmiast przy futrynie ukazała się ciemna szpara. Drzwi zostały otwarte. Jeden po drugim

policjanci zniknęli we wnętrzu, a potem długo, bardzo długo nie działało się nic.

- Nie wytrzymam dłużej - zdecydowała nagle matka Ralfa i wysiadła z auta.

Pani Funke i Alke skwapliwie podążyły za nią, choć nie gnała ich miłość, tylko zwyczajna ciekawość. Na progu wiatraka zatrzymał je blady Roth.

- Tylko pani Nieman - powiedział. - To rozkaz szefa - dodał już pewniejszym tonem.

Hanna Nieman przestąpiła próg. Znała dobrze ten dom, który kiedyś był kawalerskim mieszkaniem jej męża. Od dwóch lat mieszkał tu Ralf. Przebudował stary wiatrak, zrobił z niego wygodne i eleganckie mieszkanie. Najniższy poziom zajmowała duża mieszkalna kuchnia, spiżarnia i składzik. Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie i łazienka, a na samej górze malarskie atelier. Miało okna dookoła i górne światło. Szklana kopuła, niewidoczna z zewnątrz, zatopiona była w szczyt strzechy. W domu panował zwykle miły, niewymuszony porządek. Ralf należał do szczęśliwców, którzy z natury rzeczy nie wytwarzają wokół siebie bałaganu.

Teraz jednak pomieszczenie, w którym się znalazła, sprawiało przygnębiające wrażenie. Meble stały krzywo, niektóre leżały przewrócone, używane naczynia i resztki jedzenia poniewierały się nie tylko na kuchennym stole, na kanapie kipiała zmięta pościel. Poza tym w pokoju śmierdziało. Jak w klatce tygrysów.

- Ralf...? Co z nim? - zapytała drżącym głosem.

- Nie ma go tu - odpowiedział Dirk. - Nikogo tu teraz nie ma, ale Rolf Ahlers na pewno tu był.

- Jest pan pewny? Skąd pan wie?

- Znalazłem pewne dowody. Nie mam żadnych wątpliwości. - Dirk nie uznał za konieczne konfrontować ją z tymi dowodami. Były to krwawe trofea Ahlersa. Zapakowane w plastikowe woreczki leżały w lodówce, nie wyposażonej niestety w zamrażalnik, i wydzielały woń charakterystyczną dla pomieszczeń zajmowanych przez drapieżniki. Komisarz Tielke przejrzał je już pośpiesznie, czemu zawdzięczał teraz dziwną zieloność cery, i stwierdził, że są brakującymi częściami trzech znanych już trupów. Tego, co najbardziej obawiał się znaleźć, nie było. Nie było nerki Ralfa Niemana.

- Wygląda na to - powiedział - że Ahlers przebywał tu przez kilka co najmniej dni. Tylko tu, na dole. Pozostałe piętra wydają się nieużywane. Niech pani sama pójdzie i wszystko obejrzy, a potem chciałbym coś pani pokazać. - Widząc przestach w oczach rozmówczyni, szybko dodał: - Nie, nie ma żadnych przesłanek wskazujących, żeby Ahlers zamordował pani syna.

Hanna Nieman wróciła po krótkiej chwili i potwierdziła przekonanie komisarza. Następnie poszła za nim do maleńkiego, ciemnego zachowanka. Dirk zapalił światło i oczom ich ukazała się ruina metalowego łóżka z materacem, ale bez pościeli. Część zagłówka była odkręcona, przez co łóżko rozpadło się. Wszystkie pręty, tak z przodu jak i z tyłu, omotywały luźne bandaże. Materac

porznięty był świeżo nożem.

- Mój Boże! - przestraszyła się pani Nieman. - Co to?

- Zna pani to łóżko?

- Tak, to stare łóżko Ralfa. Bardzo je lubił i nie chciał zmienić na żadne inne. Jak z niego wyrósł, też nie chciał się z nim rozstać i zabrał je, gdy się ode mnie wyprowadzał, żeby je mieć tu, dla gości. Ale dlaczego ono tak wygląda?

Dirk Tielke spojrzał poważnie na Hannę Nieman i powiedział pewnym głosem:

- Nie mam pojęcia, gdzie pani syn jest teraz i co się z nim dzieje, ale jestem prawie pewny, że ze spotkania z bratem tu, w wiatraku, wyszedł cało. Widzi pani, tu ktoś był przywiązany, i to długo, świadczy o tym stan tych bandaży i ta plama moczu na materacu. Nie sądzę, żeby to pani syn więził Ahlersa, na pewno było odwrotnie. Ralf, jak pani sama powiedziała, znał to łóżko i dzięki temu udało mu się wyczekać odpowiedniej chwili i uwolnić.

- I Rolf mu na to pozwolił?

- Na pewno nie był z tego zadowolony, ale Ralf musiał mu umknąć, skoro Rolf mścił się na materacu. Krwi nie widzę.

- A gdzie oni są teraz? - spytała pani Nieman z nadzieją, że młody policjant i tę zagadkę rozwiąże i że rozwiązanie to wypadnie podobnie pozytywnie.

- Dirk!!! - zadudniło przy wejściu. - Długo nas będziesz trzymał na dworze? Możemy wreszcie wejść?

Zanim Dirk wyraził przyzwolenie, Edeltraud Funke wyjęła z

dłoni Franka Rotha pistolet, wetknęła mu go w kaburę i odsunęła młodzieńca na bok. Poklepała go przy tym po pryszczatym policzku i powiedziała łagodnie:

- No i już po krzyku. Dobrze się spisałeś, Frank! Jak prawdziwy policjant.

Frank Roth nie odrzekł nic, tylko oblał się rumieńcem z dziwnym poczuciem, że komplement nie był pierwszej wody.

Tymczasem Dirk powstrzymywał napierające damy:

- Idźcie wszyscy do samochodów. Tu proszę niczego nie dotykać.

Musimy stąd jak najprędzej odjechać, bo Ahlers może lada chwila wrócić. Tak, są dowody na to, że tu mieszkał - odpowiedział na pytające spojrzenie Alke. - Nie teraz! - powstrzymał wybuch zainteresowania. - Muszę wykonać parę telefonów.

Edeltraud Funke pochyliła się do jego ucha:

- Są trofea? - spytała cicho.

*

Dirk znów przekazał wszystko w ręce Wagnera. Dunkelmoor znajdowało się wprawdzie na jego terenie, ale nie miał w swoim komisariacie laboratorium, poza tym urządzenie pułapki na mordercę przy pomocy Franka Roth raczej nie gwarantowało sukcesu. Zresztą

Dirk sam z pewnym zdziwieniem czuł, że nie ciągnie go już do wiatraka. Miał natomiast wielką potrzebę zastanowienia się dobrze nad wszystkim. Nękał go jakiś niepokój, jakby zaniedbał coś, przeoczył czy zapomniał.

Frank Roth prowadził samochód, a Dirk załatwiał konieczne telefony. Pyszczaty policjant z ulgą przyjął wiadomość o wycofaniu się ich komanda z pierwszej linii frontu. Nie wiedział, co powoduje jego szefem, ale wolał się w to nie wgłębiać. Gdy Tielke zakończył rozmowy, jechali dalej w milczeniu. Komisarz myślał, a raczej starał się zebrać myśli; niestety, rozpraszało go wszystko: dziwny sposób prowadzenia auta przez podwładnego, świadomość obecności ciągnącego za nim orszaku, buzujących tam emocji i kłębiących się pytań, na które nieuchronnie będzie musiał wkrótce odpowiadać.

Wyślę je wszystkie do Alke. Pani Nieman potrzebuje odpoczynku po nieprzespanej nocy i dzisiejszych emocjach. Niech Alke i Funke się nią zajmą. A ja napiję się dobrej kawy i napiszę sprawozdanie.

Może wtedy... Nie dokończył myśli, tknięty nagłym przeczuciem.

Nie rozumiał jeszcze, o co chodzi, ale zanim myśli ułożyły się w słowa, wiedział, że trop jest właściwy i świeży.

Kawa... Kubek do kawy... Jego zielony kubek... Zielony kubek
Isi

Dobrzańskiej...

Zbliżali się właśnie do miejsca, gdzie szosa się rozwidlała. Oba odgałęzienia, okrążając park, dochodziły w końcu do Kirchdorfu, ale szosa w lewo była szersza i wygodniejsza, mniej kręta. Natomiast przy szosie prowadzącej w prawo znajdowała się brama Parku

Kirchdorfer Holz.

- W prawo! - zawołał Dirk.

Zaskoczony Roth szarpnął kierownicę, radiowóz zatoczył się po szosie, wpadł w prawą odnogę, zakręcił dookoła drogowskazu, wzbijając kurz i z piskiem opon ruszył lewą, wygodną szosą.

- W prawo, kretynie! W prawo! Stój! - krzyczał Tielke. Roth zahamował tak gwałtownie, że siła rozpędu rzuciła ich na szybę; na szczęście pasy zadziałały.

Edeltraud Funke już przy pierwszych wyczynach niefortunnego kierowcy zatrzymała się w bezpiecznej odległości i teraz trzy damy, opuściwszy mikrobus, zbliżały się galopem do radiowozu.

- Co się stało?! - wołały jedna przez drugą.

Dirk tymczasem przeproszał biednego Franka. Rzeczywiście, dał się ponieść nerwom. Najchętniej wysłałby go wraz z resztą towarzystwa gdzie pieprz rośnie. Nagle wpadł na pewien pomysł.

- Zmiana planów - zwrócił się do tłoczącej się wokół niego gromadki. Starał się mówić nieznośnym sprzeciwu tonem Wagnera, aby uniknąć dyskusji. - Panie przesiadą się do radiowozu. Roth, proszę je zawieźć do pani Fink. Alke, zajmiesz się panią Nieman, dobrze? Ja przesiadę się do mikrobusu i odwiedzę Isię Dobrzańską.

Przyniosła mi przedwczoraj kubek i dołączyła do niego bardzo interesującą notatkę. Niestety, dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj.

A potem tyle się działo, że zupełnie o tym zapomniałem. Mam podejrzenie, że u pani Dobrzańskiej przebywa albo sam Ahlers, albo ktoś, kogo ona bierze za Ahlersa.

- Myśli pan, że Ralf po ucieczce z wiatraka u niej się schronił?

Ale dlaczego nie miałyby raczej pójść na policję? - pytała Hanna Nieman, rozdarta między nadzieją, że syn ocalał, a podejrzeniem, że dalsze ukrywanie się byłoby sprzeczne z jego zdrowym rozsądkiem.

- Nie wiem - przyznał Dirk. - Rzeczywiście powinien zaraz po uwolnieniu się przyjść do nas. Może był w szoku? A może zrobił to, co powinien, i właśnie czeka teraz przed posterunkiem w Kirchdorfie. Zakładałem, że uciekł już jakiś czas temu, bo przedwczoraj nikt mi nie otworzył. Pani też czekała pod pustym, jak nam się zdawało, wiatrakiem. Ale może byli w nim obaj. Ahlers milczał i zmuszał do milczenia brata.

- O tak, tak mogło być! - podjęła Hanna Nieman. - Jedźmy już!

- To by znaczyło, że u panny Dobrzańskiej jest Rolf. Czy tak?

- spytała spokojnie Edeltraud Funke.

- Niewykluczone - odpowiedział Dirk. - Dlatego właśnie chcę tam pojechać cywilnym samochodem i bez was wszystkich. Nie chcę też tracić czasu na wzywianie posiłków. Możliwe, że każda minuta się liczy. Isia Dobrzańska uważa chyba, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, może pozyskał jakoś jej zaufanie.

- Rolf?! - prychnęła pani Funke. - Jadę z panem!

Dirk spróbował protestować.

- Nic na to nie poradzisz, chłopcze. To moje auto i jeśli chcesz nim jechać, to tylko ze mną. A jeśli pójdziesz na piechotę, pojedę zwyczajnie za tobą. Nie zabronisz mi!

Wiedział wprawdzie, że mógłby użyć argumentów w rodzaju „utrudniania dochodzenia” czy „stawiania oporu”, ale rozsądek

mówił mu, że nie z Edeltraud Funke takie numery. Potulnie przystał więc na jej towarzystwo, mówiąc sobie w duchu, że zabieranie Rotha byłoby o wiele bardziej problematyczne, a przecież chłopak jest wyszkolonym policjantem.

Dojechawszy do bramy parku, rozstali się. Pomarańczowo-czarny mikrobus, kołysząc się na nierównej drodze, znikł w gęstwinie leśnej, a radiowóz pomknął dalej, w kierunku miasteczka.

Po kilometry mur parku zakręcił nagle w lewo, las skończył się, podobnie jak i wąska szosa, która znów połączyła się z niedawno porzuconą siostrzycą.

- Patrzcie! - zawołała nagle siedząca obok kierowcy Alke.

Kilkaset metrów przed nimi stał porzucony i pusty kolorowy samochód stacji ekologicznej. Nie zatrzymywali się przy nim, bo trochę dalej na szosie zauważyli biegnącą w stronę miasteczka Isię

Dobrzańską, która usłyszawszy zbliżający się radiowóz, zatrzymała się i odwróciła, po czym rzuciła mu się pędem naprzeciw.

Frank Roth, który nieskrępowany obecnością szefa okazał się całkiem niezłym kierowcą, elegancko uniknął zderzenia i zatrzymał się na poboczu.

Obraz, jaki przedstawiała sobą Isia, wyrwał ze wszystkich piersi okrzyk zgrozy. Rozczochrana, zapłakana, z przerażeniem malującym się na twarzy, cała niemal zachlapana była krwią.

Dopadła radiowozu i po dziecinnemu uczepiła się munduru Rotha. Dysząc, wyrzucała z siebie bezładne słowa. Policjant zgłupiał doszczętnie. Hanna Nieman, po wyłowieniu z bezładnej przemowy

Isi informacji, że „obydwaj nie żyją”, zemdląca na tylnym siedzeniu, a Alke zatęskniła gwałtownie za Edeltraud Funke. Ale dzielnej kierowniczkii ośrodka nie było. Uświadomiwszy sobie, że obiektywnie rzecz biorąc, jest tu jedyną osobą zdolną do trzeźwego działania, Alke zaczęła działać. Tak, jak zrobiłaby to pani Funke, mocno objęła szalejącą Isię.

- Cicho już... cicho... - mówiła i ze zdziwieniem poczuła, że Isia rzeczywiście cichnie i odpręża się w jej ramionach. - Panie Roth, niech pan natychmiast wezwie karetkę do stacji! Są ranni - rozkazała i Frank bezzwłocznie spełnił jej polecenie.

Więcej jednak nie mogła zrobić. Isia nadal nie była w stanie wyjaśnić, co się stało. Albo płakała rzewnie, zapewniając słuchaczy, że wszystko jest jej winą, albo wykrzykiwała w kółko te same wciąż wyrazy, wpadając przy tym ponownie w bliskie histerii zdenerwowanie. Alke musiała ją wtedy uspokajać i hamować własną rosnącą ciekawość.

Imiona Rolf i Ralf znała już. Była też jednak mowa o jakimś Bondzie, a posiadacz nazwiska tego niezwycięzonego agenta wywiadu najwyraźniej był także jedną z opłakiwanych przez Isię ofiar. Słowo

„operacja” też często się powtarzało i Alke początkowo uznała, że

Isia żąda operacji dla ratowania kogoś; jednak po pewnym czasie odniosła wrażenie, że chodzi raczej o coś, co już zaistniało. Nic z tego nie rozumiała.

Migając niebieskim światłem i zupełnie niepotrzebnie przeraźliwie wyjąc, nadjechała wreszcie karetka reanimacyjna. Zwolniła koło radiowozu, ale Frank Roth machnął tylko kierowcy, aby jechał dalej, do parku.

- Chyba będzie lepiej, jak my zostaniemy tutaj. Nie wiem, w czym tam moglibyśmy pomóc - zwrócił się bezradnie do Alke.

Alke jeszcze przed chwilą niczego nie pragnęła bardziej, niż znaleźć się w miejscu, gdzie rozegrała się ta jakaś tajemnicza tragedia.

Teraz jednak zrozumiała, że nic tam po nich.

- Nie zostaniemy tutaj - zdecydowała. - Zawiezie nas pan do szpitala. Przecież te dwie kobiety są w szoku i potrzebują natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Isia kilka razy w nocy bliska była obudzenia. Czuła się dziwnie bezwładna i ociężała. Unosiła powieki i wzrok jej padał na puste szpitalne łóżko obok i na jasny prostokąt otwartych na korytarz drzwi.

Zaczynała jej wtedy wracać świadomość, przypominała sobie, że jest w szpitalu, że dostała zastrzyk uspokajający. A potem powracało wspomnienie tak przerażające, że Isia czym prędzej zapadała znów w stan, w którym nie wiedziała nic i niczego nie czuła.

Kiedy nadszedł dzień i działanie narkotyku osłabło, coraz trudniej było jej uciekać w sen, coraz wyraźniej pojawiały się w jej pamięci obrazy minionych dni.

To był koszmar i gdyby nie to, że w jego wyniku znalazła się tutaj, mogłaby ludzić się, że tylko śniła. Spać dalej, spać i nigdy się już nie obudzić! Zасыiała.

Po chwili jednak znów budził ją obraz Rolfa siedzącego u wezłowania Bonda z nożem na jego gardle, opowiadającego jej wciąż i wciąż historię swoich wielkich cierpień i potwornej zemsty. Czasem przerywał i milczał ponuro, a wtedy udręczona Isia zasypiała z głową na stole i trwała w męczącym półśnie bez zapomnienia, z którego wyrywał ją głos Rolfa. A Bond tymczasem leżał na łóżku bezbronny, choć nieskrępowany, niewiedzący o niczym, bo jego stan, który mylnie wzięła za wAlkę wewnętrzną dwóch osobowości, okazał się jakąś chorobą. Jaką, nie wiedziała. Nie wolno jej było do niego podejść, nie wolno jej było podać mu wody, gdy o nią coraz rzadziej i coraz słabiej prosił.

Aż zamilkł zupełnie.

Wolno jej było tylko siedzieć bez ruchu i słuchać, słuchać, słuchać... Tak mijały godziny, dzień przeszedł w noc, a noc w dzień, ale dla niej czas stanął. Nie było przeszłości ani przyszłości, tylko ta ponura i groźna terażniejszość.

Początkowo bała się, że gdy Rolf zakończy swoje zwierzenia, zamorduje brata, że taka będzie jego zemsta. Potem na krótką chwilę ożywiła ją nadzieja. Rolf wyjawił jej, że żąda sprawiedliwości, że pragnie ponownej operacji, która odda mu bezprawnie przydzielone bratu części ciała. Isia gotowa była podtrzymywać go w przekonaniu, że taki zabieg jest możliwy. Gdyby tylko udało się jej namówić

Rolfa do opuszczenia leśnego domku! Była gotowa obiecać mu, że wstawi się za nim u chirurgów, aby przekonać ich o konieczności nowego podziału bliźniąt. Ale Rolf był bardziej szalony, niż

przypuszczała. On nie potrzebował szpitali i chirurgów. Zdecydował, że operacja zostanie przeprowadzona na miejscu, w stacji ekologicznej, a Isia, która w czasie studiów zmuszona była kilkakrotnie patroszyć nieżywe zwierzęta, miała ten zabieg wykonać.

Nie mogła już dłużej spać, choć starała się ze wszystkich sił. Sen i zapomnienie nie chciały wrócić; osłabiona przeżyciami i lekarstwami, leżała bezbronna, wystawiona na ataki rozpacz i straszliwe wyrzuty sumienia.

Dlaczego nie oddała Bonda w ręce lekarzy? Przecież bez względu na to, kim był, miał wypadek, stracił pamięć. Zatrzymywanie go dla własnej przyjemności na pustkowiu było niewybaczalnym błędem.

Bolało ją to, że zamiast rozpoznać chorobę, podejrzewała go o popełnienie nowego morderstwa.

A teraz on nie żyje. Nie można już nic naprawić, nie można nawet uzyskać przebaczenia. Bond, słoneczny Bond na pewno by jej przebaczył...

Gorycz wyrzutów sumienia i słodycz wspomnień tego, co na zawsze straciła, były ponad siły Isi. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach i zanosła się wreszcie niepohamowanym, nieprzynoszącym ulgi płaczem.

Ktoś wszedł cicho do pokoju. Jakaś postać w szpitalnym szlafroku pochyliła się nad nią, jakaś dłoń dotknęła zaciśniętych na kołdrze dłoni Isi.

- On nie umarł - powiedział cicho nieznany jej głos. - Ralf

jeszcze żyje.

Isia zachłusnęła się ostatni raz łkaniem i rozwartymi w napięciu oczami wpatrzyła się w smutną kobietę w szlafroku. W jednej cudownej sekundzie zrozumiała, że nie musi już oplakiwać ukochanego. Przeżyła jedną sekundę bezgranicznego szczęścia. Tylko jedną.

- Jeszcze? - powtórzyła. - To znaczy, że może umrzeć?

- Jestem jego matką - powiedziała kobieta, przysiadając na łóżku.

- Rana nie jest groźna, ale stracił dużo krwi i ma ciężkie zapalenie płuc. Jego stan jest krytyczny. Jesteś jego przyjaciółką? Nie opowiadał mi o tobie.

- Nie znamy się jeszcze długo - wyjaśniła Isia i natychmiast poczuła silną potrzebę zwierzenia się matce Bonda. - Ja go najpierw przejechałam. Śmierdział i wyglądał jak najgorszy włóczęga, więc zabrałam go do siebie. Potem myślałam, że jest mordercą, a potem musiałam pomagać Rolfowi go pokroić. - Znowu zalała się łzami. - Ja go tak kocham...!

Poczucie humoru Hanny Nieman przebiło się przez grubą warstwę cierpienia i choć znękana, uśmiechnęła się lekko.

- Związek pełen sprzeczności - powiedziała. - Chętnie dowiem się o nim więcej. Chodź, jeśli możesz wstać. Posiedzimy pod pokojem Ralfa i opowiesz mi wszystko. Uporzędkujesz sobie w głowie przed przyjściem komisarza Tielke.

- Co mam mu powiedzieć? Przecież już wszystko się skończyło?

Czy ten rzeźnik też jeszcze żyje?

Pani Nieman skinęła głową.

- Ma się trochę lepiej niż Ralf - powiedziała. - Ale niewiele.

- Szkoda! - wykrzyknęła Isia. - To było straszne, on jest zupełnie obłąkany! Powiedział, że najpierw mam rozciąć ich stare blizny, potem zszyć ich znowu, poczekać, aż się zrosną i znów rozciąć, ale sprawiedliwie! Powiedziałam, że nie będę nikogo cięła, że trzeba to robić na sali operacyjnej, a wtedy on powiedział, że w takim razie on wykona cięcia, a ja już będę musiała ich pozszywać, bo inaczej się wykrwawią. - Isi znów zaczęły drżeć usta. - Ciach! Ciach! Zrobił to tak szybko, że nie zdążyłam nawet krzyknąć. Próbowałam tamować krew, ale nie mogłam, a Rolf położył się na nim, żeby się zrosło...

Teraz płakały już obie. Objęły się ramionami i szlochały, stojąc przed zamkniętymi drzwiami, za którymi walczył o życie najdroższy im człowiek.

- Pani Nieman? - usłyszały nagle głos pielęgniarki. - Może pani do niego wejść. Obudził się właśnie. Ale tylko na chwilkę.

Isia została sama, szepcząc słowa dziękczynnej modlitwy. Po kilku minutach drzwi otworzyły się znowu i ukazała się w nich Hanna

Nieman, jakże zmieniona. Uśmiechnięta i jakby wyższa zbliżyła się do Isi i powiedziała:

- Zasnął, możesz na niego popatrzeć. Wiesz, on też twierdzi, że go przejechałaś, ale wygląda na to, że wcale nie ma ci tego za złe.

Jesień 1 Ośrodek Psychiatrii Sądowej, Wunstorf

Matka i syn siedzieli obok siebie na kanapie. Przed nimi na

niskim stoliku leżał stary album ze zdjęciami. Młody człowiek otworzył go w środku.

- Co to? - wskazał jedną z fotografii.

- To Ralf na rowerku i ja. Byliśmy na wakacjach nad morzem.

- Tak, pamiętam. Ralf miał czerwony rowerek, a ja niebieski. Mój był szybszy i dlatego mnie tu nie widać. Pojechałem daleko, do przodu. Wołałaś: „Nie jedź tak szybko, bo się przewrócisz!”. Ale ja się nie przewróciłem! - Roześmiał się.

- Nie, kochanie. Nie przewróciłeś się, skąd. Byłeś doskonałym rowerzystą.

- Ralf też był doskonałym rowerzystą. Ale mój rowerek był szybszy. A to co?

- Boże Narodzenie w siedemdziesiątym czwartym. Mieliście wtedy po pięć lat. Widzisz, Ralf dostał ciężarówkę. Nie pamiętam już, co było w tej drugiej paczce...

- Ale ja pamiętam. Tam była moja ciężarówka, taka sama jak Ralfa, też żółto-czerwona. Nie widać mnie na tym zdjęciu, bo musiałem iść siusiu. Prawda?

- Prawda, synku. Ale powiedz mi, nie myliły się wam te ciężarówki?

- Nie! One też były bliźniakami, jak my. My też jesteśmy tacy sami, ale ty nigdy nas nie mylisz.

Zamyślił się nad czymś.

- Pokaż mi Ralfa - poprosił. - Dużego, dorosłego Ralfa.

Hanna Nieman wyjęła z torebki małe płaskie pudełeczko i

podawała je Rolfowi. Podniósł wieczko, zajrzał do środka i wybuchnął radosnym śmiechem, wpatrując się w lusterko puderniczki.

- Kiedy on do mnie przyjdzie? - spytał tonem, jakim dzieci dopraszają się słodyczy. - Chcę się z nim pobawić!

Matka pogłaskała go po głowie.

- Ralf nie przyjdzie teraz. Jest w sanatorium. Wiesz, dlaczego?

- On się mnie boi? - szepnął Rolf niepewnie. - Ale ja go kocham, to mój brat. Jesteśmy przyjaciółmi. Jak on do mnie nie przyjdzie, to ja do niego pójdę.

Hanna wróciła na kanapę. Czasem pomagało, gdy patrzyła Rolfowi prosto w oczy, oczy przerażonego, cierpiącego dziecka.

- Nie wolno ci stąd odejść. Sędzia powiedział, że zostaniesz tutaj, bo nie tylko zraniłeś Ralfa i siebie. Zrobiłeś jeszcze inne niedobre rzeczy. Nie pamiętasz?

Rolf odwrócił głowę.

- Nie odpowiesz mi?

- Odpowiem. Jak będę duży. Teraz nie.

- A ile masz lat, synku?

- Pięć! Widzisz? - wskazał fotografię. - To Boże Narodzenie, mamy po pięć lat! - Odwrócił stronę: - A tutaj?

Część druga

MYSZ ZASTĘPCZA

Niedziela

Dirk Tielke przyłożył zapalną do kawałka starej gazety, a gdy zajęła się płomieniem, zamknął szklane drzwiczki i przykucnął przed piecem. Z zachwytem przyglądał się, jak ogień ogarnia grube polano, wsłuchiwał się w trzaskanie cieńszych szczapek jak w anielską muzykę. To był piec! Wystarczyło wrzucić bezładnie wszystkie potrzebne składniki i podpalić. Pięć minut później zamknąć dolne drzwiczki, a ciepło utrzymywało się przez cały wieczór. Dirk potrafił jak nikt inny docenić dobrodziejstwo nowoczesnej techniki. Dobrze jeszcze pamiętał kłocowate kaflowe monstra, które z uporem przeciwstawiały się najwymyślniejszym metodom rozniecania w nich ognia. Jako najmłodszy w rodzinie wracał ze szkoły wcześniej niż inni i to na nim spoczywał obowiązek ogrzewania mieszkania. Pierwszy papier spalał się, zwykle wypuszczając cały dym na pokój. Dym z drugiego szedł już w komin, płomień huczał, ale starannie omijał najcieńsze nawet i najsuchsze szczapki. Za trzecim podejściem drewnienka spalały się do połowy, ale węgiel pozostawał zimny i cały. I tak dalej, i od nowa, i jeszcze raz... Przed każdym następnym podejściem Dirk musiał wygrzebywać wszystko na blachę, uzupełniać braki, na nowo układać skomplikowaną piramidę. Ten piec natomiast nie zawiódł go jeszcze nigdy. Żałował czasem, że nie ma okazji wykazać się nabytymi w dzieciństwie umiejętnościami, ale zdawał

sobie sprawę z tego, że nie był to prawdziwy żal, gdyż objawiał się on jedynie w obecności Alke.

Alke... Dirk oderwał oczy od magicznego tańca płomieni i spojrzał na zamknięte drzwi łazienki.

- Zaraz się zacznie! - zawołał.

Włączył telewizor. Szła już czołówka kryminalnej serii - eksplozje, karambole, zamaskowani i brutalni bandyci.

- Zamawiam sobie dzisiaj prywatne kameralne morderstwo - szepnął cicho, jak czarodziejską formułę. - Nie chcę od początku wiedzieć, kto jest mordercą.

Drzwi od łazienki otworzyły się, buchnęła z nich para, a z jej kłębow wyłoniła się Alke niezbyt szczelnie owinięta zielonym płaszczem kąpielowym. Rozgrzana kąpielą, ciągle jeszcze trochę wilgotna, z burzą czarnych lśniących włosów przedstawiała sobą nadzwyczaj ponętny obraz. Sięgnęła po butelkę wody mineralnej, stojącą na stoliku za plecami Dirka. Ten skorzystał z okazji i zagłębił wzrok w rozchylonym dekolcie szlafroka, a rękę w jego fałdach poniżej.

- Pusta - stwierdziła Alke, tarmosząc wolną dłońią czuprynę

Dirka. - Przyniosę nową. - Rzuciła okiem na ekran, gdzie długonoga i piersiasta prostytutka wiodła klienta po schodach hoteliku.

- Patrz tymczasem, może ci się potem przyda - dodała z obietnicą w głosie.

Dirk patrzył.

- Dobrze? - spytała Alke, stając znowu w drzwiach. - Dużo przegapiłam?

Dirk wzruszył ramionami, westchnął i machnął z niechęcią ręką.

- Zamordował ją.

- Zboczeniec?

- Nie. Zagadał do niej coś po rosyjsku, wyciągnął pistolet z tłumikiem i zabił ją. Profesjonalnie - powiedział.

- Czyli jak zawsze „mafia, prostytutka...” - zaczęła Alke, a Dirk dokończył: - „... korupcja i handel żywym towarem”.

- Oglądamy to dalej, czy robimy co innego? - Alke usiadła przy Dirku. Jej włosy nadal były trochę wilgotne, skóra rozgrzana kąpielą. Pachniała.

Dirk, zwracając się ku niej, zmacał na stoliku pilot. Nie oglądali tuzinkowego kryminału. Zajęli się czym innym.

Poniedziałek

- Tylko nie jedź za prędko - upominał Dirk. - Uważaj na zakrętach, żebyś nie wpadła w poślizg na liściach. W nocy trochę padało. A w lasku koło Isebrick zwolnij do sześćdziesiątki, w zeszłym tygodniu był tam wypadek z dzikiem...

- Tak jest, panie stójkowy! Zrobi się, panie stójkowy! - odpowiedziała Alke posłusznie i całując Dirka w czubek głowy, połaskotała go pod brodą.

Wodził za nią oczami, gdy kręciła się po mieszkaniu, zbierając swoje drobiazgi. Czuł, że Alke myślami jest już gdzie indziej, dalej nawet niż dziki w Isebrick.

- Kiedy się wreszcie zaczną wakacje? - spytał tonem dziecka domagającego się Gwiazdki. Spróbował przy tym pochwycić przebiegającą koło jego krzesła dziewczynę.

- Dopiero tydzień temu się skończyły - przypomniała Alke cierpliwie i odrywając rękę Dirka od swojej spódnicy, dodała:

- A ty lepiej jedz, szkoda, żeby się zmarnowały. Jutro ich już nie ugryziesz.

Popatrzyli razem na koszyk z pieczywem. Dirk westchnął tęsknie, wspomniawszy entuzjazm, z jakim ogołocił piekarnię z bułek zaledwie przedwczoraj, w sobotę rano. Alke spała wtedy jeszcze, a świadomość jej obecności w ich wspólnym mieszkaniu napełniała mu duszę ciepłem i szczęściem.

- Naprawdę musisz już dzisiaj wracać? - spytał bez większej nadziei. - Przecież nie masz dziś żadnych zajęć.

- Dirk, nie zaczynaj znowu. Wiesz, jakie to dla mnie trudne. Też bym wolała być z tobą, ale to niemożliwe. Potrzebuję trochę luzu między jednym moim życiem a drugim. Zresztą mam jutro wcześnie rano ćwiczenia, chcę się przygotować... - mówiła początko-

_ wo lekko rozdrażnionym tonem, czuła jednak, że mięknie, patrząc w jego twarz. Ach, gdyby mieszkańcy Kirchdorfu wiedzieli, że szef miejscowej policji zwykł wywierać presję na swoją partnerkę metodą robienia miny smutnego jamniczka...

- Jeszcze godzinkę? - spytał z nadzieją opuszczony jamniczek w randze komisarza.

- Ale tylko godzinkę - zgodziła się bez niechęci. - Ty też musisz

pracować.

- Roth ma dyżur - przypomniał jamniczek, wstając i przemieniając się w mężczyznę, któremu Alke także nie mogła się oprzeć.

W tej chwili z kieszeni wiszącej na oparciu krzesła marynarki dało się słyszeć popiskiwanie telefonu komórkowego. Wpół do ósmej rano? To mógł być tylko Frank Roth.

- Poczekaj. - Alke wyjęła telefon z dłoni ukochanego. - Powiem mu, że leżysz z termoforem na brzuchu i przyjdiesz, jeśli ci się za godzinę poprawi. - Nacisnęła guzik i powiedziała: - Alke Fink.

Halo? - Przez chwilę słuchała uważnie. - Pan Roth, tak? - upewniła się, następnie podała aparat Dirkowi. - Czy Roth zawsze się tak jąkał? Nie zauważyłam dotąd... - szepnęła.

- On się nie jąka, on jest kurdupel i ma pryszczę - odszepnął

Dirk okrutnie, zły na podwładnego za przerwanie tak dobrze rozwijającej się sytuacji. - Tielke - mruknął w słuchawkę. - Co jest?

Alke podjęła przerwane przed chwilą przygotowania do odjazdu. Włożyła płaszcz, zarzuciła na ramię torbę, wyciągnęła z kieszeni kluczyki. Dirk stanął w drzwiach przedpokoju.

- No, to do zobaczenia za tydzień - powiedziała, zbliżając się do niego. - Zadzwoń do mnie wieczorem. - Ostatnie słowa wypowiedziała już powoli, zastanowił ją wyraz twarzy Dirka. - Co ci jest?

Co się stało?

Dirk otworzył usta, ale przez chwilę jeszcze nie wychodził z

nich żaden dźwięk.

- Mmm... mmm... morderstwo - wydukał wreszcie. - W... w... nnn... nnnaszym mm... mmieście.

Dirk nie był pierwszy na miejscu zbrodni. Już gdy przed komisariatem wsiadał do radiowozu, uderzyła go pustka panująca w rynku. A potem, na Weifidornallee, zmuszony był włączyć sygnał, by skłonić parkujące w nieładzie samochody do utworzenia przepisowej uliczki. Max i Moritz, czyli Wachtmeister Max Stein i Wachtmeister Moritz Degen, wysłani tu już pięć minut wcześniej, siedzieli na swoich motocyklach tuż przed bramą posesji numer

15 i otoczeni grupkami gapiów gadali z nimi w najlepsze. Chyba wszyscy mieszkańcy Kirchdorfu zebrali się dziś przed ogrodzeniem willi należącej do denata. Frank Roth nie towarzyszył Dirkowi; ktoś musiał, jak twierdził, pozostać na posterunku, a choć na ogół nie praktykowało się tej zasady, jego przełożony nie wnosił sprzeciwów. Roth bał się twardej pracy policjanta, wykręcał się od niej jak mógł, preferując jej łagodniejsze formy. Widok trupa przyprawiłby go o mdłości i zamiast zabezpieczać ślady, mógłby je tylko w nieapetyczny sposób zniszczyć.

Dirk natomiast jak kania dżdżu łaknął poważnych wyzwań dla swoich umiejętności. Rozsądek mówił mu, że gmina, w której nic się nigdy nie dzieje, jest społecznie cenna, morderstwa i rabunki zaś w ogóle powinny się zdarzać jedynie na kartkach książek i na ekranach telewizorów. Niestety, jego żywa natura nie znosiła rutyny i nudy. Jedyne ciekawsze przestępstwo, które otarło się o Kirchdorf i przez

parę dni pozwoliło Dirkowi bawić się w detektywa, miało miejsce już prawie dwa lata temu.

Krocząc przez szpaler ciekawskich, a następnie przez pusty, utrzymany w cmentarnym stylu ogród, Dirk modlił się, aby sprawa, do której dziś został wezwany, nie przeszła mu koło nosa. W tej chwili bowiem właściwie nie wiedział nic; no, znał nazwisko denata, Reiner Pagel, i wiedział, że sprzątaczką znalazła go rano bez życia na podłodze. Frank Roth po przyjęciu telefonu tak był owym niebywałym zdarzeniem zaskoczony i wstrząśnięty, że zamiast wypytać zgłaszającą o szczegóły, odłożył słuchawkę, i sprawozdanie, które przekazał natychmiast Dirkowi, stanowiło głównie wytwór jego własnej wyobraźni. Pan Pagel mógł równie dobrze umrzeć na atak serca albo ulec zwykłemu wypadkowi. Jeżeli jednak rzeczywiście został zamordowany, to ślady będą prawdopodobnie prowadziły poza Kirchdorf. Dirk nie znał Reinerja Pagla osobiście, co stanowiło niebywały wyjątek. W przeciwieństwie do innych mieszkańców miasteczka ten trzymał się na uboczu, nie należał do żadnego stowarzyszenia, nie chodził na piwo, za to często wyjeżdżał i nikt tak naprawdę nie wiedział, z czego żył.

Dirk zatrzymał się w połowie podjazdu i ogarnął wzrokiem posesję. Rozległy trawnik otoczony wysokim metalowym parkanem urozmaicały jedynie skąpe grupki rododendronów i tui. Pośrodku rozpierała się pyszałkowato piętrowa willa. Żaden jej detal nie grzeszył szczególnym pięknem, prawie wszystkie natomiast zdawały się wykrzykiwać swoją niewiarygodnie wysoką cenę. Okna

zaopatrzone były w kute kraty, Dirk stwierdził to, obchodząc dom dookoła. Przy okazji zrobił niemiłe odkrycie. Z tyłu, niewidoczny z ulicy, znajdował się otoczony siatką wybieg dla psów. Na zewnątrz, w pobliżu furtki, leżały bez ruchu trzy czarne cielska - dwa dobermany i jeden rottweiler. W obliczu tego faktu, pomyślał Dirk nie bez dreszczu emocji, atak serca czy poślizgnięcie się na mydle w łazience chyba odpada... Oczyma duszy ujrzał psy patrolujące nocą ogród. Ciemna postać zbliża się do ogrodzenia. Psy podbiegają. Nie szczekają - pilnują tylko granicy. Ciemna postać przerzuca coś ponad płotem. Psy dopadają tego. Po chwili, słaniając się i skomląc, wloką się trudem w stronę wybiegu, padają.

Drzwi otworzyła mu Gizela Neusch. Była wysoką, grubokościstą kobietą koło pięćdziesiątki. Dirk wiedział, że jej głównym zajęciem jest prowadzenie gospodarstwa Angeli Vogt.

- Nareszcie pan przyjechał - powitała go z wyrzutem. - Cały czas byłam tu sama z trupem!!! Prawie całą godzinę! Czy pan wie, jak się bałam?!

- Dlaczego nie czekała więc pani na zewnątrz? - zapytał, a ponieważ odpowiedź nie interesowała go wcale, zadał następne pytanie: - Gdzie leży ofiara? Proszę mnie zaprowadzić.

- Tam - Gizela Neusch wskazała palcem drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca. - Sam pan niech go sobie ogląda, mnie już wystarczy! To trup!!! - przypomniała.

- Dotykała pani czegoś? Ruszała go pani z miejsca? - Dirk, wobec zdecydowanie niechętniej postawy sprzątaczkę, rozpoczął

wywiad w przedpokoju.

- A na co mi to?! - krzyknęła oburzona. - Przecież to trup!!!

Dirk odesłał ją do kuchni.

- Proszę poczekać tam na mnie, muszę spisać pani zeznania - powiedział. - A, jeszcze jedno - przypomniał sobie. - Niech pani nie idzie do psów. W ogóle niech tam pani nie wchodzi.

- A co z nimi? - spytała Gizela czujnie.

- Nie wiem jeszcze, ale pewnie zostały otrute. Widziałem wszystkie trzy zdechłe.

- O moje pieski kochane! - zapłakała nagle kobieta. - Lekarza!

Szybko! Może tylko śpią!?

Dirk posłusznie zatelefonował po weterynarza. Nie miał zbyt wielkich nadziei, ale żal mu było tej kobiety.

- Pani chyba wolała psy od ich właściciela? - spytał, odkładając słuchawkę.

- No pewnie - odpowiedziała bez namysłu. Po chwili zreflektowała się. - To znaczy... panu Paglowi też nie miałam nic do zarzucenia. Żeby pan nie myślał, że to ja go zabiłam. Ale ja tu tylko sprzątałam i zajmowałam się kuchnią dwa razy w tygodniu. Nie znałam go.

Dirk odczekał, aż Gizela Neusch oddali się w stronę kuchni, i dopiero wtedy położył dłoń na klamce wskazanych przez nią drzwi. Ale nie otwierał ich jeszcze. Nieoczekiwanie dla samego siebie zawahał się, poczuł potrzebę skupienia się i przygotowania na spotkanie z martwym Paglem. Jeszcze wczoraj nie wolno by mu było

tak bezceremonialnie wkroczyć do tego domu, zajrzeć bez zapukania do pokoju, w którym przebywał gospodarz, przyglądać mu się bezwstydnie w intymnej sytuacji czy we śnie. Przypomniawszy sobie swego dawno już zmarłego dziadka, który pozostał mu we wspomnieniach jako surowy, pedantyczny, dbały o wygląd starzec, utrzymujący zawsze, nawet wobec rodziny, uprzejmy dystans. Dirk nie płakał po nim, nie odczuł straty, za to boleśnie ubodło go wystawienie ciała dziadka na widok publiczny, szarganie jego intymnej sfery, to, że rodzina wdarła się do zakazanego rewiru i bezceremonialnie grzebała w niedostępnych dotychczas szufladach i szafach.

Jako policjant Dirk widywał już denatów - ofiary wypadków samochodowych lub bójek, okaleczone często i straszne, leżące w brudzie ulicy czy na podłodze śmierdzącej knajpy jak śmieci. Nie miał zahamowań, by do nich podejść, uwolnić ich z tego upodlenia. Nigdy jeszcze nie miał natomiast do czynienia z kimś pozbawionym życia w swoim własnym, zamożnym domu.

Dirk z trudem powstrzymał się od zapukania i trochę nieśmiało wsunął się do pokoju. Zamknąwszy drzwi, zatrzymał się przy nich i rozejrzał. Był w gabinecie czy też bibliotece. Przy ścianach stały wysokie oszklone regały z książkami, przed oknem, zasłoniętym teraz granatową, połyskującą portierą, rozpiekało się duże nowoczesne biurko z komputerem. Na biurku świeciła się jedna lampa, druga stała na stoliku w przeciwległym kącie. Obrazy na ścianach i witrynę, zawierającą kilka egipskich statuetek, podświetlały ukryte gdzieś w

obudowie żarówki.

Reiner Pagel leżał na dywanie między ścianą a biurkiem. Dziurka w kamizelce jego eleganckiego garnituru, otoczona brunatną plamą, świadczyła wyraźnie, że został zastrzelony z niezbyt wielkiej odległości. Padając, uderzył zapewne głową w biurko i obsunął się po jego boku, bo leżąc, przytulał do niego policzek.

Dirk wyciągnął z kieszeni telefon i wystukał numer Kriminalpolizeiinspektion w Liineburgu. Przekazał sprawę w kompetentne ręce i zadumał się znowu nad dolą ambitnego policjanta w małej gminie. Morderstwo przerastało możliwości placówki w Kirchdorfie. Włamanie, kradzież, pobicie - owszem, tym mógłby się zająć, gdyby śledztwo nie wymagało udziału zbyt wielu pracowników czy bardziej skomplikowanych metod. Włamanko, podwędzenie i sprzeczka rodzinna, podsumował Dirk. Małe, nudne przestępstwa, służące jedynie uzasadnieniu istnienia placówki w Kirchdorfie.

Teraz jego zadanie skończy się na zabezpieczeniu miejsca zbrodni, spisaniu pierwszego protokołu i wstępnym przesłuchaniu Gizeli

Neusch. Pierwszy punkt nie przedstawiał sobą żadnych trudności.

Willa Pagla już przedtem nie była dostępna dla byle kogo, wystarczy więc Max albo Moritz przed bramą. Dirk wydał odpowiednie zarządzenie, polecił także uporządkować nieco jezdnię, aby ekipa specjalistów nie utknęła w tłumie gapiów i ich pojazdów. Gizela

Neusch mogła poczekać. Denata Dirk zdecydował się pilnować sam, zamiast przywołać któregoś z dwóch młodych policjantów.

Już jadąc tutaj zdecydował, że przynajmniej teoretycznie weźmie udział w rozwiązywaniu zagadki tego morderstwa. Przecież sławni detektywi z książek i filmów zawdzięczali swe osiągnięcia bardziej pracy własnego umysłu, mniej natomiast rutynowej pracy fachowców.

Nie dotykając niczego, Dirk rozejrzał się po pokoju. Nie dostrzegł śladów walki, nic niezwykłego nie przykuło jego uwagi.

Pochylił się nad denatem.

Był to mężczyzna w więcej niż średnim wieku, z trochę zbyt czarnymi włosami i odrobinę za białymi zębami, bardzo opalony.

Ubrany elegancko, choć w dość konwencjonalnie skrojony garnitur; na palcach lewej ręki Dirk zauważył dwa pierścionki, z których jeden pobłyskiwał w padającym przez szparę w zasłonie świetle małym brylantem. Spod rękawa wystawał ciężki złoty zegarek.

Dirk sam należał do garniturowców. Nawet w dni wolne od pracy nie zamieniał koszuli na koszulkę, a marynarki na sweter. Nie widział więc nic dziwnego w tym, że Pagel, będąc w domu wieczorem sam, miał na sobie kompletny garnitur. Zdziwił go natomiast stan owego garnituru. Zarówno marynarka, jak i spodnie poznaczone były wyraźnymi liniami pognieceń.

Dirk dobył z kieszeni notes i zapisał: Garnitur - pognieciony.

Dlaczego? Poczuł się przy tym jak inspektor Columbo i dalsze

ogłędziny przeprowadził z tym większym zapałem. Drogi zegarek i kosztowny brylant dowodziły, że nie było to morderstwo rabunkowe. Chyba że morderca zrabował coś znacznie bardziej kosztownego z sejf. Gdzie jest sejf? Tutaj, ukryty za rzędem książek?

Czyżby gospodarz zaskoczył włamywacza nocą? Z pobłażliwym uśmiechem Dirk odrzucił tę tezę. Na biurku i na stoliku w kącie paliły się lampy, ciało kompletnie ubranego Pagla leżało daleko od drzwi. Nie, to nie gospodarz zaskoczył mordercę, to morderca zaskoczył jego. Co robił wtedy Pagel? Czym się tutaj zajmował?

Dirk oderwał wzrok od denata i znów rozejrzał się po pokoju. Tym razem nie w poszukiwaniu śladów walki, lecz śladów zwyczajnego życia. Nie zauważył nic. Wszystkie książki stały spokojnie za szklanymi drzwiami regałów, blat biurka świeci pustką. Ale skórzany obrotowy fotel, przekreślony w stronę, gdzie leżało ciało, sprawiał wrażenie, jakby Pagel dopiero co z niego wstał. Dopiero teraz Dirk zdał sobie sprawę z ledwie dosłyszalnego szmeru i już po chwili zlokalizował jego źródło. Komputer! Poczł miły dreszczyk emocji. Monitor był wprawdzie wyłączony, ale gdy Dirk przechylił się nad biurkiem, zobaczył świecące się zielone i czerwone diody, a także grzbiet dyskietki wetkniętej w szparę.

Tak więc Pagel prawdopodobnie pracował przy komputerze na krótko przed śmiercią. Tylko co z tego wynikało? Nic. Czy to on sam wyłączył monitor, czy zrobił to morderca po dokonaniu zbrodni? Dlaczego nie wyłączył komputera? Dirk zastanowił się, w jakim wypadku on sam zgasiłby jedynie ekran. To nie było trudne.

Wyobraził sobie, jak pisze właśnie list do Alke, list rozpamiętujący intymności ich ostatniego spotkania, gdy do biura niespodzianie wkracza wścibska Helga Meier o sokolim oku. Jeden szybki ruch i ścierająca z biurka kurz sprzątaczką zobaczy już tylko szary, pusty ekran.

Teza o włamywaczu, już przedtem cienka, zaczęła rozwiewać się jak dym. Na widok obcego człowieka Pagel sięgnąłby raczej po broń, ostatecznie po telefon, a nie do wyłącznika monitora. Chyba że zrobił to włamywacz, kiedy już było po wszystkim, aby nie rzucało się w oczy, że komputer całymi godzinami jest na chodzie.

Bzdura, pomyślał Dirk. Komu miałyby się to rzucać w oczy? Pagel mieszkał sam, okna domu stojącego w dużym oddaleniu od ulicy miał zasłonięte. Gdyby włamywacza po zastrzeleniu Pagla drażnił działający komputer, wyłączyłby całość, a nie tylko monitor.

Dirk odwrócił się od komputera i podszedł do trupa w nadziei, że z jakiegoś przeoczonego dotychczas szczegółu uda mu się wyciągnąć prowadzące do celu i chwały wnioski. Najprościej byłoby, pomyślał tęsknie, gdyby Pagel w ostatnich chwilach życia zdążył jeszcze zrobić coś, co wskazałoby mi mordercę. Kilka liter nabazgranych na podłodze, skrawek materiału trzymany w dłoni, palec wskazujący jakiś przedmiot...

Ale dłonie denata były puste. Prawa, zastygła w skurczu, leżała na pół otwarta, wewnętrzną stroną do góry, przy ciele. Lewa spoczywała rozluźniona na jego brzuchu. Prawa naga, lewą zdobiły aż dwa pierścionki. Ten z brylantem i drugi, niewielki, na małym palcu...

Było w nim coś, co kazało Dirkowi pochylić się tak nisko, jak pozwolił mu metaliczny, słodki i mdły zapach krwi. Mimo złego oświetlenia i zupełnego braku wiedzy jubilerskiej Dirk stwierdził bez cienia wahania, że druga ozdoba pana Pagla nie przedstawia sobą najmniejszej wartości. Pierścionelek należał do tych, które przemieszane z marnymi gumami do żucia w automacie nęcą oczy dziewczynek i skłaniają je do ryzykowania kieszonkowego.

Z perspektywy, w której teraz, pochyłony nad denatem, się znajdował, Dirk zauważył przedmiot przymocowany klejącą taśmą pod blatem biurka. Pistolet. A więc Pagel liczył się z koniecznością obrony swojego życia. Czemu więc nie sięgnął po ten pistolet? Nie zdążył?

Detektyw ogarnął ostatnim spojrzeniem miejsce zbrodni i ruszył ku drzwiom. Zamierzał udać się do kuchni, gdzie czekała na niego Gizela Neusch, osoba, która dziś awansowała w miasteczku ze zwykłej sprzątaczkii na personę, która odkryła pierwsze w historii Kirchdorfu morderstwo.

Nie uszedł daleko. Już przy drugim kroku poczuł, że nadeptuje na jakiś twardy przedmiot. Uniósł stopę i zaklął, karcąc się w ten sposób za nieuwagę. Źle widoczna wśród różnobarwnych wzorów perskiego dywanu leżała łuska od naboju.

Dirk przyklęknął obok, wyciągnął z kieszeni małą lupę bez rączki i nie dotykając metalu, obejrzał łuskę z każdej dostępnej strony.

Natychmiast zauważył dużą literę T i liczbę 43 po przeciwległych stronach wyraźnego dołka po spłonce. Uśmiechnął się.

Eksperci nie będą mieli kłopotu ze stwierdzeniem, z jakiej broni strzelano. On sam nie miał dotychczas do czynienia z taką bronią, ale przypomniał sobie, że widział już takie litery T na przezroczach pokazywanych na nadobowiązkowych kursach. Chodziło o broń produkowaną kiedyś w ZSRR.

Jeśli broń jest zarejestrowana, nie będzie trudno znaleźć jej właściciela. Dość nierozsądnie ze strony mordercy.

W kuchni nie zastał sprzątaczkę. Wrócił do holu i kilka razy zawołał głośno w różne strony wielkiego domu: - Pani Neusch!

Halo! - Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, czuł zresztą, że w willi Reintera Pagla poza nim samym i denatem nie ma już nikogo więcej. Gdy z okna kuchni rzucił przypadkowe spojrzenie na widoczny stamtąd wybieg dla psów, przystanął zaskoczony. Trzy czarne cielska zniknęły. Zirytowany wybiegł na zewnątrz i gniewnym gestem przywołał do siebie jednego ze stojących przed bramą policjantów. Wachtmeister Stein z trudem oderwał się od pogawędki z grupką gapiów i podszedł do szefa.

Dirk, obserwując jego flegmatyczny, rozkołysany krok i czekając, aż młody kowboj zbliży się na odległość umożliwiającą rozmowę, miał czas ochłonąć z oburzenia. Uświadomił sobie, że przypominanie Steinowi, co winien jest policjant pilnujący miejsca zbrodni, nie przyniosłoby żadnego pozytywnego skutku. Max i Moritz, dwaj poczciwi chłopcy, poznali już wiele placówek w swej krótkiej karierze. Przekazywano ich sobie z rąk do rąk jak gorące kartofle, pośpiesznie i z lekkim zażenowaniem, gdyż w zasadzie nie

dałoby się zarzucić im czegokolwiek poważnego. Zwyczajnie jednak trudno było z nimi wytrzymać. Dirk dostał ich przed rokiem, a do akt policjantów ich ostatni szef przyczepił karteczkę z bezpośrednim numerem telefonu osoby organizującej przenosiny na następną placówkę. W pracy Dirka nic się przez to nie zmieniło, nadal nudził się przy biurku, a Frank Roth jak dawniej zajmował się szkoleniem maluchów i uczniów w sztuce uczestniczenia w ruchu drogowym. Trzeba przyznać, że osiągał w tym niezłe wyniki.

Absolwenci jego nauk znali kodeks drogowy na wrywkę, na rowerach jeździli odpowiedzialnie i pewnie, a ci, którzy rozpoczynali kursy na prawo jazdy, zbierali podziw i pochwały instruktorów.

Dirk szybko zauważył, że drobnej postury Frank Roth czuje się nieswojo w towarzystwie roślących i pełnych temperamentu młodzieńców. Wziął to pod uwagę, gdy zastanawiał się nad przydzieleniem Maksowi i Moritzowi zadania - wymyślił nawiązywanie kontaktów z ludnością i zdobywanie jej zaufania do policji. Trafił w dziesiątkę. Chłopcy z zapałem podjęli brzemie obowiązków i pogrążyli się w nich bez reszty. Dzięki temu nie zawadzali także

Dirkowi w ciasnym komisariacie, gdzie pracy ledwie wystarczało dla jednej osoby. Jeździli za to na motocyklach po okolicy, pomagali naprawiać płoty i huśtawki, zrywać jabłka i czereśnie, grywali z chłopakami w piłkę nożną, mieli oko na zostawiane przed sklepami maluchy w wózkach, wyprowadzali psy na spacer, załatwiali zakupy staruszkom i w nagrodę zajadali placki na

ich werandach.

Tak, od kiedy Max i Moritz nastali w Kirchdorfie, zaufanie ludności do policji wzrosło niepomrotnie. Policjant twój przyjaciel i pomocnik, mówiło się wprawdzie w całych Niemczech, lecz poza

Kirchdorfem był to tylko pusty slogan, niewiele mający wspólnego z rzeczywistością.

Zanim Dirk zdążył otworzyć usta, Max powiadomił go radośnie:

- Wszystko w porządku, szefie! Nic im nie będzie. Kruger podjechał swoją furgonetką i raz dwa załadowaliśmy je na platformę.

Wypompuje się im żołądki i będą jak nowe.

Ponieważ Dirk znał weterynarza Krugera, sam domyślił się całej reszty. Psy najwidoczniej nie były jeszcze martwe, a kochającej je i przejętej zdarzeniem Gizeli Neusch nie przyszło do głowy, żeby zawiadomić o tym Dirka. Szkoda, że nie pomyślał o tym policjant Stein i tak beztrąsko zezwolił na wywiezienie części dowodów przestępstwa.

- Znał pan te psy? - spytał Dirk, a Max przytaknął z zapalem.

- O tak! Arko, Onko i Tchibo. To ja je trenowałem! Zorganizowaliśmy taką szkółkę dla psów. Jedne uczymy, żeby były łagodne, inne na obronne. Te miały być obronne. Ale nie bojowe - zastrzegł się. - Wie pan, Pagel chciał właściwie, żeby te psy gryzły wszystkich, jak popadnie, ale to przecież niebezpieczne! Mało to się czyta o takich psach, które przeskakują przez ogrodzenie i rozszarpują przechodniów? Woleliśmy z nim nie dyskutować, zabieraliśmy

Arko, Onko i Tchibo dwa razy w tydzień na trening i

szkoliliśmy je na dzielnych obrońców. Umiały pilnować posiadłości bez szczekania i walczyłyby, gdyby ktoś zaatakował ich pana. Ale poza tym - o tym Pagel nie wiedział - zaznajamialiśmy je z innymi psami, uczyliśmy łagodności w stosunku do dzieci, kobiet i starszych ludzi. To są dobre pieski, ale chyba trochę głupie.

- Trochę głupie? - zapytał Dirk. - Dlaczego chyba?

- Zawsze myślałem, że te psy są inteligentne. A przecież uczyliśmy je...

Dirk nie zdążył się już dowiedzieć, czego Max i Moritz nie potrafili wbić w czarne łepetyny Arko, Onko i Tchibo, gdyż w tym właśnie momencie zapiszczał jego telefon komórkowy. To Frank

Roth, zdyszany i przejęty, zawiadamiał szefa o drugim już niesłychanym wydarzeniu tego nietypowego dnia. Do Kirchdorfu zbliżały się otóż dwa samochody wiozące urzędników państwowych wysokiej rangi: przedstawiciela Policji Kryminalnej Hamburga, komisarza Lange, oraz prokuratora Erlanda.

- Czego oni chcą? - zdumiał się Dirk. Nazwisko prokuratora wydało mu się znajome.

- W sprawie Pagla - wyjaśnił Roth, po czym jęknął żałośnie:

- Niech pan natychmiast wraca. Ja nie wiem, jak ich przyjąć...

Ten

Erland robi karierę w polityce - dodał z nabożeństwem.

- Ale dlaczego z Hamburga? Dzwonił pan do Hamburga? Niepotrzebnie. Ja z Willi Pagla powiadomiłem Liineburg. Nam nic do Hamburga. Liineburg jest naszą wyższą instancją - wyjaśniał

cierpliwie. - Prokurator Erland robi karierę w polityce? Znałem kiedyś jednego Erlanda. Studiował prawo i interesował się polityką.

Czyżby to był ten sam?

- Ja nigdzie nie dzwoniłem. To Kripo Liineburg przekazała sprawę dalej. Podobno Pagel był dobrze znany w St. Pauli.

- O!

- Słucham?

- Nic, nic. Myślałem tylko głośno. Za dziesięć minut jestem w komisariacie - zakończył Dirk rozmowę i zwrócił się do Maksa:

- Nie wpuszczać tu nikogo, dopóki nie przyjedzie ekipa z Hamburga. Nikogo!

- Podwieźć pana na motorze? - zaofiarował się Max.

- Dziękuję, jestem radiowozem. - Zawrócił w stronę domu. - Zresztą muszę jeszcze... - Nie dokończył. Maxowi to wyjaśnienie powinno wystarczyć.

W gabinecie ostrożnie przesunął się obok nieruchomego ciała, wyjął z kieszeni ołówek i z jego pomocą włączył monitor. Tak, to właśnie spodziewał się zobaczyć. Fotografia niebrzydkiej dziewczyny, jej imię czy może pseudonim, jej data urodzenia i rozmiary.

I przede wszystkim lista jej zawodowych umiejętności. Lektura poruszyła go do głębi nie tylko jako policjanta, lecz także, a może głównie, jako mężczyznę. Zgasił monitor i w zamyśleniu opuścił duszne pomieszczenie. Nie chciał wyciągać zbyt spieszych wniosków, ale te nasuwały się same. Policja kryminalna z Hamburga, powiązania Pagla z St. Pauli i kartoteka tych dziewcząt...

- Prostyucja, korupcja, mafia i handel żywym towarem - powiedział w cichą i ciemną przestrzeń holu. - Czy ci ludzie nie mogą mordować się z ciekawszych powodów?

Przed komisariat Dirk dotarł jednocześnie z dwiema eleganckimi limuzynami z Hamburga oraz mikrobusem ekipy technicznej. Zaparkował tuż za ciemnozielonym audi komisarza Lange i popielatym mercedesem prokuratora. Erland nie siedział sam za kierownicą. Po osiągnięciu pewnego szczebla kariery jako polityk czuł się wobec społeczeństwa zobowiązany do zagłębiania się w akta na tylnym siedzeniu lub przynajmniej sprawiania takiego wrażenia. Stalowszary garnitur z wełenki, szyty na miarę, leżał idealnie, nie kojarzył się jednak z żadną modą, podobnie jak i bez zarzutu fryzura. Tak, prokurator Erland był bez wątpienia człowiekiem solidnym i godnym zaufania.

Dirk jednak nie dał się zwieść. W wyobraźni zamienił garnitur na sztruksowe dżinsy i rozciągnięty norweski sweter, do tego dodał fryzurę wikinga, a także niedbały, swobodny chód.

- Henry! - zawołał radośnie.

Prokurator zatrzymał się w pół kroku, lecz przez sekundę nie odwracał się jeszcze i tylko jego plecy sztywniały, a postawa nabierała jeszcze godniejszego wyrazu. Gdy wreszcie jego stalowe oczy zwróciły się ku Dirkowi, na twarz wypłynął uprzejmy uśmiech, uściśnął energicznie wyciągniętą dłoń Dirka, a jego usta głośno i wyraźnie powiedziały:

- Pan Dirk Tielke, prawda? Spotkaliśmy się kilka razy w czasie

studiów. Pan ugrzązł, jak widzę, na prowincji.

- A pan zajął się, jak słyszałem, polityką? - Dirk także położył nacisk na słowo „pan”, żeby dać Henry emu do zrozumienia, że podejmuje jego grę. Nie po raz pierwszy spotykał kolegę, który w momencie otrzymania pierwszej pensji przerastającej kilkakrotnie studenckie stypendium odrzucał swoje dawne ja wraz z przynależnymi do niego wyglądem i ideologią, tak jak motyl porzuca powłokę poczwarki. Henry Erland kiwnął z aprobatą głową.

- Przybyliśmy uwolnić pana od sprawy Pagla - oznajmił łaskawie. - Już od dawna mieliśmy na niego oko, lada dzień miało nastąpić aresztowanie. Prawdopodobnie jego kryminalni partnerzy dowiedzieli się o tym. No cóż, trudno zapobiec przeciekom... Zamknęli mu usta.

Hauptkommissar Lange przywitał się o wiele serdeczniej. Znajomość Dirka z prokuratorem była mu wystarczającą rekomendacją.

Dirk uśmiechnął się w duszy gorzko. Gdyby pan Lange wiedział, że przyjazne powitanie prokuratora stanowiło w rzeczywistości zimną odprawę, nie uznałby go pewnie za godnego rozmowy.

A tak, zanim szacowny orszak opuścił maleńki Kirchdorf, komisarz udzielił Dirkowi więcej informacji na temat podłoża zbrodni, niż uczyniłby to dla jakiegokolwiek innego wiejskiego policjanta.

Gdy dostojni goście odjechali, zamieszanie ucichło, a plotkarze z

rynku przenieśli się do knajp, Dirk poszedł w ich ślady. Nie czekając na obsługę, sam odebrał kufel i wódeczkę przy barze i usiadł z nimi plecami do lokalu, naprzeciw okna. Czuł się dziwnie rozstrojony. Pierwsze morderstwo w historii Kirchdorfu przerwało jednostajną rutynę jego pracy, obudziło dawno już pogrzebane marzenia, spotkanie dawnego przyjaciela przypomniało snute niegdyś wspólnie przy piwie plany. Lecz dzisiejszy gładko ogolony Henry Erland nie widział już w Dirku przyszłego inspektora

Columbo, jedynie zwykłego policjanta, który nie wykorzystawszy swych szans i możliwości, zaparkował karierę na ciepłej prowincjonalnej posadce. Dirk był świadom tego, że oziębła uprzejmość

Henry'ego wobec dawnego kolegi wystawia niepiękne świadectwo charakterowi prokuratora-polityka. Nie umiał się jednak obronić przed dręczącym poczuciem niższości.

Czy gdybym sam miał szansę wejścia w kręgi poważniejszych polityków, gdyby moje zdjęcie zaczęło pojawiać się na plakatach wyborczych, czy wtedy stałbym się takim samym bucem jak Henry? - myślał, popijając drugie już piwo z wódeczką. Kto wie.

Dirk nie potrafił powstrzymać uśmiechu, gdy przypomniawszy sobie nagle dawne tyrady Henry'ego. Młody adept prawa ćwiczył swój dar wymowy, krytykując celnie i dowcipnie polityków, a szczególnie swych towarzyszy z Jusol. Były przewodniczący Jusol, obecny kanclerz, bardzo mu się kiedyś naraził...

- Można się przysiąść? - Szczera twarz Gerda Guhra uśmiechała

się pogodnie, spracowana dłoń ogrodnika dzierżyła litrowy kufel, z którego piana kapąła powoli na rękaw Dirka.

- Siadaj - przyzwolił Dirk niechętnie, bo nie skończył jeszcze analizy psychologicznej swojej reakcji na dzisiejsze wydarzenia.

- No i co? - spytał Gerd. - Opowiadaj. Kto go zabił i dlaczego?

- Myślisz, że już wiem?

- A nie wiesz? I co to byli za ludzie z Hamburga?

- Prokurator Erland i Hauptkommissar Lange. Zabrali Pagla, zbadali miejsce zbrodni i przejęli śledztwo.

Bezszelestnie jak cień pojawił się przy stoliku Sauerkirchergarten.

- Pozwolicie, że posłucham - szepnął. - Już od godziny czekam, aż zaczniesz puszczać parę. - Spojrzał na salę za plecami Dirka i poprawił się. - Czekamy.

1 Junsozialisten - organizacja wewnątrz SPD. Skupia członków partii do 35 roku życia.

Dirk obejrzał się i ujrzał kilkanaście wlepionych w siebie par oczu. Ze wszystkimi prawie był na ty, a jednak respekt przed powagą jego urzędu nie pozwolił im zakłócać spokoju zadumanego szefa policji. Dirk poczuł się mile dowartościowany, więc uśmiechnął się i rozpoczął przemowę:

- Mieliśmy wizytę z Hamburga. Prokurator Erland i komisarz

Lange, szef SOKO2 - powtórzył. - Pagel miał powiązania z półświatkiem Hamburga, prawdopodobnie coś z handlem dziewczynami. Odpowiednia SOKO obserwowała go już od jakiegoś

czasu, była nadzieja, że Pagel po zaarrestowaniu zgodzi się na status koronnego świadka. Wygląda na to, że jego własni partnerzy mieli te same, tyle że w ich wypadku nie nadzieje, ale obawy. Kripo zakłada, że to oni zamknęli mu usta.

- Mogę to napisać? Jak myślisz? - spytał Luk.

- Uważaj naszą rozmowę za konferencję prasową. Gdyby sprawa była tajna, udzielono by mi odpowiednich instrukcji - odpowiedział Dirk autorytatywnie, ale w duszy zastanowił się, czy brak instrukcji nie wynikał raczej z lekceważenia jego osoby. No, w każdym razie nie moje to zaniedbanie, pomyślał.

- Teraz o Paglu - zażądał Gerd Guhr. - Zastrzelili go?

- Otruli psy, żeby nie szczekały - poinformował ktoś.

- Nie otruli, tylko uspili - sprostował ktoś inny. - Kruger mówi, że nic im nie będzie. Ciekawe, kto je weźmie. Pagel mieszkał sam.

- Ale miał żonę...

- Dawno się z nią rozwiódł.

- Nie on z nią, tylko ona z nim! - włączył się nowy głos.

- Ale do ciebie już nie wróciła!

- Stare dzieje...

- Gizela Neusch je weźmie, jest na ich punkcie zwariowana. Po pyskach je całowała.

- Coś ty! Angela Vogt się nie zgodzi, ona nie cierpi psów. To dlatego Gizela nie miała nigdy swojego psa, chociaż jest taka psiara.

- Może policja je weźmie, co Dirk? Max i Moritz je tresowali.

Sonderkommission - komisja specjalna.

Uwaga skupionej wokół stolika grupki zwróciła się znów do policjanta.

- Zabili go w nocy, prawda? Świeciło się jeszcze światło.

- Leżał w łóżku?

- Pewnie wypatroszyli mu sejf, musieli wszystkie papiery przeszukać, żeby zabrać te dowody, na które policja liczyła. Prawda, Dirk? Wszystko było rozgrzebane?

- Ja bym przede wszystkim zabrał komputer.

- Po co ci komputer, wystarczą dyskietki i zmazanie wszystkich plików.

- Ja się na tym znam. Posłuchaj fachowca. Lepiej zabrać cały komputer. Zmazanie nic nie da. Mogę ci pokazać. Zmaz coś, a ja ci to raz dwa odtworzę.

- Ale ten Pagel to cicha woda... Kto by pomyślał?

- Eee, zawsze był taki! Jeszcze w szkole. Pamiętacie? Sprzedawał po kryjomu pornograficzne obrazki. Coś tam było jeszcze, nie pamiętam dobrze... Sam robił te zdjęcia czy coś takiego...

- Nie, nie sam. Przypominam sobie. Ale chciał sam. Namawiał dziewczyny, żeby mu pozowały. Sprawa się wydała i wyleciał ze szkoły.

- Z jakiej szkoły? Z podstawowej?! - zdumiał się Dirk.

- Ty nie możesz wiedzieć. To już dawne czasy. Kiedyś była w Kirchdorfie szkoła realna i nawet gimnazjum.

- Wysłali go potem gdzieś do internatu. Wrócił dopiero po śmierci rodziców, przebudował dom na pałac i z nikim nie gadał.

- Wiesz, Dirk, jego rodzice wcale nie byli tacy bogaci. Zwyczajni bauerzy.

- Myśleliśmy, że zarobił na sprzedaży ziemi, ale jakby się dobrze zastanowić, to to nie mogło być tak dużo. Nikt nie wiedział, czym się zajmował.

Zamilkli wszyscy

- No, Martin, co tak milczysz? - spytał ktoś nagle.

Dirk ocknął się z zadumy. Spojrzał w ciemny kąt, gdzie w pewnym oddaleniu od grupy siedział nad piwem duży i powolny, przypominający poczciwego niedźwiedzia, stolarz.

- No, Martin, co tak milczysz? - powtórzył. Zaczęła interesować go ta rozmowa, w której, choć zadawano mu pytania, nie oczekiwano od niego odpowiedzi.

Martin Bock wzruszył ramionami.

- Martin był narzeczoną Brigitte... - szepnął Dirkowi w ucho Lukas.

- Ale ożeniłeś się z Sabine - przypomniał Dirk. - Która Brigitte? Brigitte... Kunz?

- Ależ skąd! - Towarzystwo gruchnęło śmiechem, rozbawione nieświadomością Dirka, a Luk wyjaśnił: - Brigitte Muller. Wtedy Muller. A potem... No, jak myślisz? Pagel!

- Pagel? Byłeś narzeczoną żony Pagla? - zaciekał się Dirk.

- A co Pagel na to?

- Spytaj go raczej, co on na to, że Pagel ożenił się z jego narzeczoną - podpowiedział Luk.

- No, Martin, czemu nic nie mówisz?

- Eee, dawne czasy... - Martin Bock machnął ręką.

- Byłby ładny motyw, co, Dirk? - ucieszył się Gerd.

- Byłby... - zgodził się policjant melancholijnie. Westchnąwszy głęboko, wlał sobie w gardło czwartą wódeczkę i do dna wypił czwarte piwo. - Ale nie jest...

Zebrani spojrzeli po sobie.

- Żal ci, że to nie Martin Bock zabił Pagla? - spytał ktoś z niedowierzaniem.

- Żal! - przyznał Dirk w wywołanej alkoholem szczerości. - Nie mam nic przeciwko tobie, Martin - zastrzegł się - ale miałbym przynajmniej co robić. Ja mam talent! Ja jestem policjant detektyw! - podniósł głos. - A wy wszyscy - powiódł palcem po otaczającym go kręgu - siedzicie tylko grzecznie na dupach i żaden z was nawet Pagla nie potrafi sam zastrzelić! Z Hamburga musiał zbir przyjeżdżać! Z Hamburga! Piwa!

- Dirk! - Pulchna barmanka ujęła go pod łokieć. - Dostyc już na dzisiaj. Idź spać. Miałeś ciężki dzień!

- Ciężki!?! - oburzył się Dirk. - Widzicie? Takie jesteście nieroby! Jeden trup i już im ciężko! Może mam iść zaraz na urlop wypoczynkowy? - Uderzył pięścią w stół. - Petra! Rusz swój tyłek i dawaj piwa!

- Niech go który odprowadzi... - zaproponowała barmanka.

Dirk zrzucił buty i nie rozbierając się, padł na wznak na łóżko.

Liczne piwka z wódeczkami, na które pozwolił sobie dziś

wieczorem, wyzwoliły go z wrodzonej sztywności, właściwej mieszkańcom północnej części Niemiec. Uczucia wypłynęły na wierzch i zmanifestowały się gorzkimi wymówkami skierowanymi do niemrawych mieszkańców Kirchdorfu. Ten wybuch obrażał wprawdzie słuchaczy, zyskał jednak Dirkowi także i ich przychylność, bo północny Niemiec, choć sam nie potrafi być bezpośredni i otwarty, docenia jednak te cechy u innych. Ale Dirk nie czuł ulgi. Przeciwnie. Był jak dziecko, któremu pokazano zabawkę, by w chwilę później odebrać mu ją i dać innemu. I Henry, dawny towarzysz niejednej przygody, wzgardził nim...

I Alke odjechała...

Przewrócił się na bok i sięgnął do automatycznej sekretarki.

- Halo, inspektorze Columbo! - usłyszał wesoły głos Alke. - Jest dziesiąta, byliśmy umówieni na telefon. Z tego, że jeszcze nie ma cię w domu, wnioskuję, że zapamiętałeś się w robocie. Nareszcie pokażesz światu, na co cię stać, prawda? Zadzwoń do mnie jutro, jak tylko zaaresztujesz sprawcę! Dobranoc, kochany. Śpij dobrze i śnij o sławie! Brak mi ciebie...

- Och, Alke... najdroższa... - Dirk zerwał się z łóżka, by chwycić słuchawkę, opanowała go nagła tęsknota i nadzieja, że Alke ułagodzi wzburzone uczucia.

Gwałtowny ruch zahuszał zawartością Dirkowego żołądka, zawirował ciecżą w kanalikach błędnika, łóżko zmieniło się w targany sztormem stateczek, Dirk przytrzymał się burty...

Pięć minut później zbudzona telefonem z pierwszego snu Alke

przez następnych pięć na próżno usiłowała zrozumieć, co Dirk stara się jej opowiedzieć. Śniła właśnie o nim, treść snu również dotyczyła morderstwa w Kirchdorfie, dość bezskutecznie więc usiłowała teraz rozdzielić sen od jawy. Nie przerywała ukochanemu, miała tylko niemiłe wrażenie, że Dirk nie jest tak zadowolony z minionego dnia, jak się tego spodziewała.

Dirk tymczasem doszedł do końca swej listy zażaleń.

- I narzygałem sobie w buty! - zakończył z wymówką w głosie.

Alke rozbudziła się wreszcie. W jednej chwili pojęła wszystko, a ponury akcent końcowy sprawił, że ogarnęło ją niezmiernie współczucie dla tego nieszczęsnego policjanta, z którego ponad miarę chyba zadrwiło sobie dziś życie. W najczulszych słowach zaczęła zapewniać Dirka, że poczucie beznadziei, w którym właśnie tonie, zniknie, gdy tylko Dirk zda sobie sprawę, że spowodowane jest zbiegiem nieprzyjemnych wprawdzie, ale mało znaczących wydarzeń.

- A buty wyrzucić i jutro kup sobie nowe. Były i tak okropne - poradziła poważnie.

- Ale jakie wygodne... - Gdy wymawiał te słowa, w jego nastroju nastąpiła nagła zmiana. Jakiś przełącznik w mózgu skierował strumień myśli na inny tor. Oczyma duszy ujrzał siebie spoglądającego na zbezczeszczone obuwie i usłyszał dodającego ten przykry fakt do listy dziecinnych zażaleń. Wybuchnął śmiechem.

Gdy skończył, uderzyła go podejrzana cisza w słuchawce. Alke nie należała do ludzi obdarowanych przez naturę poczuciem humoru.

Dirk otworzył okno i wpuścił chłodne, wilgotne powietrze.

Pozbył się z mieszkania nieszczęsnych butów, następnie długo i starannie usuwał resztę śladów swej słabości z podłogi oraz z własnej osoby. Co chwilę przy tym spoglądał z troską to na telefon, to na zegarek. Piwo wywietrzało mu z głowy, a wraz z nim poczucie niezasłużonej krzywdy. Niedawne troski wydały mu się trochę dziecinne, trochę przerysowane, a przede wszystkim dość nieważne. Najchętniej położyłby się teraz i zasnął, czuł się jednak w obowiązku zadzwonić do Alke i przeprosić ją za niewczesny wybuch wesołości. Sam nie przywiązywał do zdarzenia zbyt wielkiej wagi, właściwie nie rozumiał nawet dobrze, czym naraził się ukochanej.

Znał ją jednak tak dobrze, że co do samego faktu nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Prawdopodobnie chodziło o to, że gdy Alke przejęła się poważnie stanem duchowym Dirka, gdy pełnymi garściami zaczęła czerpać z zasobów swej wiedzy psychologicznej, on wystrychnął ją na dudka. Ona starała się mu ulżyć, on zaś z niej zadrwił. Udawał targanego rozpaczą, gdy w rzeczywistości nie miał żadnych zmartwień, nudził się tylko. Prawdopodobnie nie kocha jej wcale. Dirk wiedział, że nie uda mu się wyjaśnić Alce, że można, cierpiąc, dostrzegać jednocześnie komizm sytuacji.

Tak, Alke nie miała poczucia humoru. Szkoda. Ale poza tym była wspaniałą dziewczyną.

Dirk wykręcił numer. Odezwał się wolny sygnał. Raz... dwa...

Tyle, ile trzeba, żeby odetchnąć głęboko.

- Alke Fink - powiało mrozem ze słuchawki.

Dirk odruchowo zamknął okno.

- To ja...

- Ach tak?

- Przepraszam... - Tylko nie mówić za dużo, zorientować się najpierw, na czym polegało przewinienie.

- Widzisz, Dirk, bardzo mnie uraziłeś. Zastanawiałam się, czy w ogóle podnieść słuchawkę.

- Chciałaś zasnąć, nie pogodziwszy się ze mną?

- Właśnie. To nie byłoby dobrze. Zresztą chcę wiedzieć, dlaczego zadrwiłeś ze mnie. Chcę wiedzieć, co masz na ten temat do powiedzenia.

- Nie zadrwiłem z ciebie. Wiem, że czujesz się urażona i przepraszam cię za to, ale uwierz mi, to było nieporozumienie.

- W jakim sensie? Zadrwiłeś przez pomyłkę ze mnie zamiast z tego nieszczęsnego Franka Rotha? Muszę ci powiedzieć, Dirk, że ty nie szanujesz cudzej godności osobistej.

- Odlóżmy Franka na kiedy indziej. Jest już późno, Alke. Posłuchaj. Domyślam się, że chodzi ci o mój śmiech. Myślałaś, że śmieję się z ciebie...

- A z kogo się śmiałaś?

- Z nikogo... Widzisz, to był śmiech nerwowy, histeryczny, no ty lepiej wiesz, jak się coś takiego nazywa. To nie był wesoły śmiech, Alke! Mnie wcale nie było do śmiechu... - Zamilkł. Tylko nie gadać za dużo. Niech ona sama wyciąga wnioski.

- Mój Boże, Dirk. Mówisz poważnie?

- Oczywiście, Alke. To trwało długo, nie mogłem się uspokoić.

Powiedz mi, co to było?

- Powiem ci. Może się zdziwisz. I możliwe, że nie spodoba ci się to, co powiem. To ma związek z twoim wychowaniem. Widzisz, chłopcom nie wolno okazywać uczuć takich jak czułość, smutek, strach. Teraz oczywiście już aż tak źle nie jest, ale gdy ty byłeś mały, oczekiwano od ciebie, że zawsze będziesz miał nad sobą kontrolę.

Dziś wszystko, co się zdarzyło, było dla ciebie bardzo deprymujące. Też zresztą dlatego, że wychodowano w tobie przerośniętą ambicję. Jako mężczyzna musisz robić karierę, widzisz się zawsze w konkurencji z innymi, liczysz się tylko, gdy idziesz naprzód, gdy dzień w dzień się sprawdzasz. Ten twój dawny kolega zaszedł dalej, prawda? Jego drabina ma jeszcze wiele szczebli. Ty ugrzązłeś na prowincji. Twoja praca daje ci utrzymanie, jest społecznie ważna, ale tobie to nie wystarcza. Ty miałeś wyższe cele. Może nie uświadomiłeś sobie tego, ale w twojej podświadomości tkwi zakorzenione w chybionym wychowaniu przeświadczenie, że stać by cię było na więcej, że jeśli nie wykazujesz się dzień po dniu, to twoje życie nie ma sensu.

Dirk nie odpowiadał. Ze zdziwieniem przyznawał po cichu, że

Alke ma w dużym stopniu rację, a choć nie czuł już krzywdy tak gwałtownie jak godzinę temu, to rzeczywiście raczej nie dlatego, że uczucie to minęło, lecz dlatego, że znów zagrzebał je w głębi podświadomości, tam, gdzie nie mogło kłuć go w oczy.

- Twój śmiech, Dirk. Myślę, że to był zakamuflowany płacz. Nauczyłeś się tego, że mężczyzna nie płacze. Nigdy nie widziałam cię

płaczącego...

Dirk ugryzł się w język. Taktownie nie zwrócił Alke uwagi na to, że nie bardzo miał dotychczas powody do płaczu. Jak ona to sobie wyobraża? Budzik nie zadzwonił rano - buuu. Wykipiało mleko - buuu. Max i Moritz zniknęli na cały dzień, a sprawozdania zalegały - buuu...

- Tak, Alke, chyba masz rację - zgodził się potulnie. - W każdym razie bardzo mi ulżyło. Nie gniewasz się już?

- Nie, Dirk. Nie gniewam się. I to ja powinnam cię przeprosić.

Wstyd mi za siebie. Studiuję psychologię, a popełniam takie błędy.

Uznałam twój rozpaczliwy płacz za naigrawanie się ze mnie.

No, nie przesadzajmy, pomyślał Dirk. Na płacz się jeszcze zgodzę, ale proszę bardzo nie „rozpaczliwy”. Dobrze, że Alke potrafi zachować szczegóły naszego związku dla siebie. Ładnie bym wyglądał w oczach kirchdofian - szef policji upija się w knajpie, rzyga sobie w buty, a na koniec łka rozpaczliwie w poduszkę. I to wszystko dlatego, że nie wolno mu pobawić się w detektywa. Od jutra będę rozsądny, postanowił. Czyż to nie piękne, że nie Kirchdorf zrodził mordercę?

Alke tymczasem dochodziła właśnie do dalszych wniosków.

- Każdy powinien iść swoją własną drogą i nie porównywać się z innymi. Powiedz, chciałbyś jak ten Erland robić karierę w polityce? Zazdrościsz mu, że studiował prawo? Wolałbyś być adwokatem, sędzią albo prokuratorem?

- Nie. Zawsze chciałem być policjantem. Już jako mały chłopak chciałem zostać inspektorem Columbo.

- No widzisz. Albo weźmy twoich kolegów w dużych miastach.

Bezsprzecznie mają więcej zajęcia niż ty. Codziennie ktoś kogoś morduje. Pijany mąż żonę, sutener drugiego sutenera, zboczeniec prostytutkę. Nie o tym przecież marzysz, więc właściwie czemu im zazdrościsz?

- Już im nie zazdrozczę.

- Nie mów tak, bo to nieprawda. Kto nie przyzna się do choroby, ten nie może się wyleczyć. Ale rzeczywiście nie ma im czego zazdrościć. Ty chciałbyś rozwiązywać zagadki takie, na jakie natyka się Columbo, a to w świecie przestępczym rzadkość. Musisz nauczyć się cierpliwie czekać. A gdy przyjdzie okazja, wykażesz się swoimi umiejętnościami, jestem przekonana. Pamiętasz, jak się poznaliśmy?

- Jakże bym mógł zapomnieć? - Dirka zaskoczyła trochę nagłą zmianą tematu, nie miał jednak nic przeciwko temu. Przymknął oczy i zamruczał w słuchawkę: - Zakwitłaś w moim życiu jak róża na pustyni. I jaka byłaś niewinna. Kto by pomyślał...

- Dirk! - Ton głosu Alke natychmiast przywołał go do porządku.

- Nie zamykaj oczu przed problemami. Dobrze wiesz, co miałam na myśli!

- Sprawę Ahlersa? - spytał z rezygnacją.

- Właśnie. Pamiętasz, też początkowo miałeś poczucie, że odsuwa się ciebie od śledztwa. A przecież to ty rozwiązałeś zagadkę!

- Sama się rozwiązała...

- A ty byłeś przypadkiem w okolicy? Nie, Dirk. Tak nie można! Zazdrościsz innym rzeczy, których sam nie pragniesz, a gdy twoje prawdziwe marzenia się spełniają, nie przyjmujesz tego do wiadomości.

Dirk ziewnął.

- Co masz na sobie, Alke? Te żółte koronki?

- Dirk! Nie staraj się za wszelką cenę zmienić tematu! To nic nie da!

- A może te... wiesz, te „jesienne liście”? Te, co to z tyłu prawie nic nie mają. Twoje włosy...

- Dirk... - upomniała znowu Alke, ale już o wiele łagodniej.

Psychologia była jej hobby, jej powołaniem. Poza tym rozkoszowała się chwilami jak ta, gdy była od Dirka mądrzejsza. Z drugiej strony autentyczny podziw Dirka dla jej kobiecości działał na nią zawsze jak narkotyk. - Dirk, czas, żebyś się stał dorosły!

- Jutro - obiecał chętnie. - Brak mi ciebie. To łóżko jest o wiele za duże na jedną osobę. To mnie przytłacza. Tak bym cię chciał wziąć teraz w ramiona... Wiesz, chyba sobie kupię misia, takiego dużego...

- Ależ Dirk! - Alke była naprawdę zgorzozona. - To się nazywa fetyszyzm!

- Alke, Alke! Myślisz, że chciałbym... z... misiem? - skarcił ją z udanym zgorzeniem. - Jaką ty masz brudną wyobraźnię!

- A co chciałbyś? - spytała, odrobinę zdezorientowana.

- Spać, naprawdę spać, z tobą w ramionach. Jestem zmęczony.

Wiesz, która godzina?

Alke wydała spłoszony okrzyk.

- Mój Boże, Dirk! Rzeczywiście! Co my robimy? Ja mam jutro przez cały dzień od rana zajęcia, ty też musisz wcześniej wstać! Tylko nie zapomnij zjeść śniadania. Ostatecznie każ sobie przynieść coś z kawiarni do komisariatu. Śpij teraz, śpij! Dobranoc!

- Dobranoc, kochanie. Bardzo mi pomogłaś. Co ja bym bez ciebie zrobił? Ach, jak ja bez ciebie zasnę? Jestem jak pół człowieka.

Powiedz mi jeszcze tylko, w co jesteś ubrana, żebym mógł sobie przed snem pomarzyć. Koronki czy jesienne liście?

- Ani jedno, ani drugie. Myślisz, że biegam tu we wspólnocie mieszkaniowej ubrana jak kurtyzana? Dobranoc. Porozmawiamy jutro o twoich problemach. Obiecuję. Kocham cię. - Alke odłożyła słuchawkę.

Jak kurtyzana... - myślał Dirk, zagrzebując się w kołdrę. Tak to widzisz?

Wtorek

Dirk i Alke zamieszkali razem, gdy zwolniło się mieszkanie na pierwszym piętrze tego samego starego domu w zaułku niedaleko rynku, w którym Dirk już przedtem zajmował kawalerkę na poddaszu. Białe ściany budynku przecinały czarne belki rzeźbione w kwiaty, przed małymi oknami wisiały skrzynki z przelewającymi się przez brzegi kaskadami koralowoczerwonych pelargonii, przed wejściem stały bukszpany w glinianych donicach, a obok, na różowawym bruku, pomalowana na niebiesko drewniana fryzyjska ławka. Z tej właśnie ławki podniósł się na widok Dirka Luk.

Podkrążone, zaczerwienione oczy, zmierzwiłone włosy i otaczający go obłoczek knajpianych wyziewów świadczyły o pracowicie spędzonej nocy. Luk nie był człowiekiem wymyślającym artykuły przy biurku. Luk zbierał materiały tam, gdzie tętniło życie. Własne wnioski i komentarze utrwał bezpośrednio na taśmie dyktafonu. Samo pisanie nie było jego mocną stroną. Brakowało mu już rozpędu, wytracał całą energię, zanim po przepracowanych przy źródłach godzinach decydował się na lądowanie przy redakcyjnym komputerze.

- Czekałem na ciebie - powiedział bez wstępów.

- Całą noc? - Dirk pamiętał, że Luk należał wczoraj do odprowadzającej go asysty.

- Dlaczego całą? - zdziwił się dziennikarz. - Ach tak - przypomniał sobie. - Nie, nie. Wróciłem jeszcze do Ratuszowej. Zbierałem materiały.

- Nad czym pracujesz? - zainteresował się Dirk uprzejmie.

- No wiesz! - obruszył się Luk. - Jeszcze się pytasz? A nad czym ty pracujesz? Po to właśnie tu jestem.

- Idź lepiej spać. Wyglądasz jak zombie... i... pachniesz podobnie. Chodzi ci pewnie o Pagla. Ode mnie nic się nowego nie dowiesz. Nie pracowałem w nocy. Spałem. A Paglem zajmuje się

SOKO z Hamburga.

Dochodzili właśnie do miejsca, gdzie cicha uliczka otwierała się na rynek. Luk przytrzymał Dirka za łokieć i pociągnął lekko w stronę ściany. Zatrzymali się.

- To ja mam ci coś do powiedzenia... - zaszeptał. - Na twoim miejscu zająłbym się jednak Bockiem. Jak Pagel zabrał mu narzeczoną, odgrażał się, że go zabije.

- Wtedy się odgrażał. Stare dzieje. Ile to już lat?

- Piętnaście. Ale to nie wszystko. Martin wybijał Paglowi okna kamieniami, dziurawił mu opony...

- Wiadomo, że to on?

- A co ty myślisz? Wcale się z tym nie krył. Mogę ci przynieść stare gazety. Nawet go koledzy fotografowali. Najpierw upijał się w knajpie, a potem, rycząc jak lew, szedł przez miasto pod dom

Pagla i rozrabiał.

- A policja? - wtrącił Dirk.

Luk spojrzał na niego z wyrzutem.

- Dirk, jesteśmy w Kirchdorfie. Wiesz, jak się takie sprawy załatwia. Policja oczywiście interweniowała. Spisywali protokoły, nasz komisarz, taki starszy pan z brzuszkiem, rugał Martina po ojcowsku i nawet go nigdy nie zamknął. Ani na jedną noc. Zresztą

Brigitte broniła Martina. Skończyło się tak, że Brigitte z Paglem wyjechali, jeszcze przed ślubem, i zniknęli na długie lata. Pagel potem wrócił sam. Jakieś pięć lat temu.

- A Brigitte?

- Mieszka, jeśli się nie mylę, w Hanowerze, jest tam jakąś businesswoman.

- Myślałem, że on zniknął z miasta z powodu tych zdjęć pornograficznych?

Luk westchnął.

- Chodź, idziemy do kawiarni na śniadanie. Jadłeś już?

- Nie jeszcze. Idź pierwszy, zaraz do ciebie dołączę. Muszę się najpierw pokazać w pracy.

(W komisariacie powitała Dirka cisza. Dopiero gdy zaczął hałasować zacinającymi się szufladami dużej szafy, zwanej archiwum, z zaplecza wyłoniła się Helga Meier. Od kiedy nastali Max i Moritz i kilka razy dziennie przebiegali jak orkan przez komisariat, nanosząc wszelkiego śmiecia, Helga przychodziła codziennie rano.

Sprzątała wszystkie pomieszczenia, zmywała i czasem gotowała

Dirkowi kawę. Tylko Dirkowi, bo nie należało to do jej obowiązków. Helga szanowała komisarza Tielke, z Frankiem Rothem natomiast prowadziła nieustanną wojnę podjazdową.

Położyła teraz na biurku stosik korespondencji i trochę nerwowo wyjaśniła:

- Zabrałam to najpierw na zaplecze, żeby tu nie zawadzało przy sprzątaniu. Pan wie...

Dirk nie wiedział, ale mało go to interesowało. Było mu wszystko jedno, jak Helga Meier organizuje sobie robotę. Zastanowiło go tylko, że sprzątaczką zachowywała się jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Zaczerwienione policzki, nerwowy potok wymowy, lekkie drżenie dłoni równającej stosik listów... Czyżby Helga przeglądała jego urzędową korespondencję? Jakież to nudne! Niemniej jednak należałoby to ukrócić. Dziś jeszcze trzeba będzie kupić i założyć skrzynkę na listy, do której klucze poza nim samym

dostanie tylko Roth. Na razie listonosz wrzucał wszystko zwyczajnie na podłogę przez klapkę w drzwiach.

- Dziękuję. Jest pani gotowa ze sprząaniem?

- Tak, wszystko czyściutkie. Zrobić panu kawy? Mogę też pójść po bułeczki. A panna Fink już znowu na uniwersytecie, prawda?

- Prawda - przyznał Dirk, grzebiąc w zakurzonych aktach. - I kazała mi iść na śniadanie do kawiarni. Dziękuję więc za kawę, zaraz wychodzę. - Wstał. - Aha! - wyrwało mu się.

- Słucham?

- Nie, nic. Do siebie mówiłem.

- To ja już pójdę, dobrze?

Dopiero gdy Helga wyszła, Dirk wyciągnął z szafy cieniutką teczkę. Czytając zawarte w niej kartki, kilkakrotnie jeszcze powtórzył „aha”, następnie odłożył ją na miejsce, zamknął archiwum na klucz i poszedł do kawiarni, gdzie Luk wcinał z apetytem jajka, rogaliki i wędlinę.

Widząc Dirka, wypił duszkiem filiżankę kawy, obtarł usta wierzchem dłoni i zaczął:

- Reiner Pagel został wyrzucony ze szkoły dwa lata przed maturą. Nie widzieliśmy go przez całe lata. Gdy po śmierci rodziców - zmarli dość szybko jedno po drugim - wrócił do Kirchdorfu, był już dobrze po trzydziestce. Ta historia z Brigitte nie trwała długo, wszystko w sumie trochę ponad pół roku. Wyjechali. Pięć lat temu, po dziesięciu latach, wrócił sam, przebudował dom i od tego czasu siedział w nim jak w fortecy. Często też wyjeżdżał nie wiadomo

gdzie. Może miał nas dosyć po tych przejściach z Martinem i Brigitte. Nie udzielał się w każdym razie towarzysko. A może bał się Martina. Co ty na to?

- Wiesz, chyba będę musiał się tym zająć... Znalazłem coś w aktach. Ale tymczasem nie mów nikomu. Nie chcę, żeby omawiano to w całym Kirchdorfie.

- Będę milczał jak grób - zapewnił sennie Luk - pod warunkiem, że będę potem pierwszy, któremu udzielisz wywiadu.

- Wstał. - No to jesteś na tropie, tak? W porządku. Cześć. Idę się wyspać. Ledwo żyję.

I już go nie było.

Dirka zaskoczyło trochę to nagłe odejście. Czy tylko po to Luk przesiedział pół nocy na ławce przed jego domem, żeby wskazać mu właściwy trop? Przecież to właśnie Luk znany był z tego, że nałogowo wręcz zbierał materiały. Właściwie nadawał się bardziej na policjanta niż na dziennikarza, bo w policji nie miał znaczenia styl, w którym formułowało się wnioski. Teraz opowiedział tylko historyjkę sprzed lat tak, jak podtyka się psu gończemu pod nos skarpetkę złodzieja, i poszedł spać. Nie interesowało go, co Dirk znalazł w archiwum? A może sam już to znalazł? Czyżby już był pewien, że mordercą Pagla jest jego dawny rywal? Martin Bock, poczciwy niedźwiedź, jest w Kirchdorfie ogólnie lubiany. Przeciwnie Pagel. Społeczność odrzuciła go jak zgniły kartofel, wierząc, że zginie marnie, a on wykorzystał porażkę, żeby zdobyć gdzieś w świecie znaczenie i po latach kłuć ziomków w oczy swym bogactwem, a pogardzać ich towarzystwem.

Pewnie nikt z kirchdorfan nie pochwała morderstwa, ale też nie przyczyni się z własnej woli do aresztowania Martina. Dirk będzie musiał wziąć to zadanie na swe barki, choć i jemu nie będzie łatwo. Znał przecież Martina nie tylko z knajpy, ale również jako doskonałego i solidnego stolarza. Alke odziedziczyła po swojej ciotce poza stertą korespondencji także trochę pięknych, ale bardzo już nadgryzionych zębem czasu mebli, i to właśnie Martin Bock odrestaurował je sprawnie i porządnie. Zmieścił się przy tym zarówno w terminach, jak i w przewidywanych kosztach.

Dirk rozmyślał nad tym, wyglądając oknem na rynek i nagle uzmysłowił sobie, że od pewnego już czasu widzi Maxa i Moritza chodzących od domu do domu, rozdających jakieś kartki i rozmawiających z mieszkańcami. Zmarszczył brwi. Co to mogło być?

Niczego im przecież takiego nie polecał do wykonania, w ogóle nie miał pojęcia o żadnych ulotkach. Roth na pewno też nie zarządził żadnych wywiadów, bo z młodszymi kolegami starał się nie mieć nigdy nic do czynienia. A więc inicjatywa własna? Chcą mu sprzątnąć sprzed nosa okazję!?

Dirk zastukał w szybę i gestem przywołał Degena.

- Co wy robicie? - spytał surowo. - Co to za ulotki?

- Cześć szefie - powitał go Moritz. - Wszystko w porządku!

- Max i Moritz przyzwyczaili się używać tego zwrotu przy wszystkich spotkaniach z przełożonym, którego nie wiedzieć czemu zawsze niepokoiły ich akcje. - Organizujemy właśnie Disco-Express.

Duży odzew w społeczeństwie!

- Co organizujecie? - spytał Dirk, zbity z tropu.

- Disco-Express. Tak to nazwaliśmy. Naprawdę to będzie tylko mikrobus. Kupi się stary, wyremontuje, młodzież pomaluje go jakoś ciekawie i będzie się nim woziło szczeniaków w soboty do Isebrick do dyskoteki i z powrotem. Co godzinę i za darmo. Rodzice będą za szoferów, co pewien czas zrobi się składkę na benzynę.

Dirk słuchał zdumiony. Wspaniali chłopcy, trzeba przyznać.

Wiadomo, że najczęstszą przyczyną śmierci młodych ludzi w wieku od 18 do 25 lat są wypadki i to głównie wypadki samochodowe w soboty w drodze do albo, jeszcze częściej, z dyskotek. Apeluje się do młodzieży i do rodziców, ale niewiele to pomaga. Młodzież przelicza się w swoich umiejętnościach, a rodzicom nie chce się co tydzień zarywać nocy ani wydawać pieniędzy na taksówki. A tutaj

Disco-Express, doskonały pomysł! Ale że Max i Moritz nic a nic nie interesują się morderstwem, że nie nęci ich praca detektywistyczna... Trudno zrozumieć. Ale może to i lepiej.

W obszernej poczekalni zebrała się spora grupka, może tuzin, pacjentów. Niektórzy apatyczni, wyraźnie chorzy, nie interesowali się niczym. Inni, przybyli tu na okresowe badania czy zastrzyk, okazywali wielkie zdenerwowanie. Niezdolni usiedzieć na miejscu, zaczepiali sąsiadów, by wdać się z nimi w rozładowującą napięcie utarczkę lub tylko zwyczajnie darli się wniebogłosy. Dirk stanął zakłopotany w progu. Po podłodze przebiegła mysz... Weterynarz Kruger miał właśnie godziny przyjęć. Ktoś popukał Dirka w plecy.

- Pan komisarz do doktora? A gdzie pacjent? - spytała młoda

asystentka. - Ma pan mysz w kieszeni?

Dirk na szczęście dosłyszał znak zapytania na końcu zdania. Za nic w świecie nie chciałby mieć w kieszeni myszy.

- Chciałem się dowiedzieć o psy Pagla. Może przyjdę później?

- Ach nie, nie! Psy są na wybiegu, zaprowadzę pana. Doktor zaraz przyjdzie. - Asystentka wyprowadziła Dirka bocznymi drzwiami na zewnątrz. - Nie musi pan długo czekać. Najwyżej kwadrans, doktor robi właśnie mały zabieg.

Dirk został sam. Usiadł na ławeczce niedaleko ogrodzenia wybiegu i spojrzał na psy. Troje czarnych zwierząt podeszło powoli i ze swojej strony siatki zaczęło przyglądać się Dirkowi. Nie warczały, nie szczekały, ale także nie merdały ogonami i nie kładły przyjaźnie uszu po sobie, choć Dirk przemówił do nich z sympatią. Sprawiały rzeczywiście wrażenie zdrowych, wyglądały, jak to zapowiedział Max, jak nowe. Dirk za otwartymi drzwiami stojącej niedaleko szopki zauważył kilka worków z jedzeniem dla psów.

Jeden był otwarty. Dirk nabrał z niego pełną garść suchych czerwonych krążków. Obserwujące go psy wykazały wyraźne zaciekawienie, straciły swą sztywność. Dirk podszedł do siatki i podsunął jednemu z nich pod nos intensywnie pachnące jedzenie. Pies odwrócił głowę z miną cierpiętника. Podobnie postąpiły oba pozostałe, choć miski na wybiegu były puste... Dirk przerzucił chrupki przez siatkę i znów usiadł na ławce. Psy przestały się nim interesować, rozeszły się po wybiegu, żaden jednak nie tknął smakowitych kąsków. Ciekawe, jak długo wytrzymają, zastanowił się Dirk.

Z kieszeni wyciągnął telefon komórkowy i wystukał numer Alke. Nikt nie podniósł słuchawki. Dirk westchnął i wystukał inny hamburski numer, dziwiąc się, że wyrył mu się w pamięci.

To Henry rzucił mu go wczoraj na pożegnanie. Nie był to, jak się okazało, numer prywatny, nawet nie bezpośredni, niemniej jednak połączono Dirka szybko i sprawnie.

Henry nie ucieszył się wcale, Dirk odczuł to wyraźnie mimo uprzejmie brzmiących słów prokuratora. Tym razem jednak Dirk rozmawiał z nim jak z kumplem, ignorując jego oficjalny ton.

I pewnie dlatego, żeby prędzej zakończyć rozmowę, na którą nie miał ochoty, prokurator Henry Erland udzielił Dirkowi wszelkich żądanych informacji.

- Nie, nie dotarliśmy jeszcze do mordercy, a raczej do zleceniodawcy, bo morderca został prawdopodobnie zaangażowany.

Śmierć Pagla jest dla nas dużą stratą, mafia wyraźnie odetchnęła z ulgą. Całkiem dobrze udają zaskoczenie, ale nie mogą ukryć radości. Pagel został zastrzelony z pistoletu TT, dość przedpotopowy model, radziecki. Lekarz ma kłopoty z ustaleniem godziny śmierci. Rozpiętość czasu, którą proponuje, jest spora, za duża. Informacji na dysku komputera i dyskietkach jest niemało, ale obciążają samego Pagla. Nie wykluczamy, że zostały zmanipulowane.

Fachowcy starają się odnaleźć ślady wymazanych zapisów, no ale nie mamy zbyt wielkich nadziei, mafia też ma swoich fachowców.

- Powiedz, Henry - zagał Dirk na zakończenie - naprawdę nie pamiętasz już dawnych czasów? Nie pozostało w prokuratorze nic z

dawnego studenta? Leine-Domizil nic ci nie mówi? Przecież to był wspaniały okres.

- Okres błędów i wypaczeń. Ja wydorostałem, Dirk. I jestem w polityce. Nie zapominaj o tym, proszę. Mówię to na wypadek, gdybyśmy się jeszcze kiedyś mieli spotkać oficjalnie - odpowiedział Henry zdecydowanie, a potem doradził wzgardliwie: - Najlepiej zabierz się za swoją własną karierę. W tej miejscinie nic cię nie czeka. Za młody jesteś na ciepłą posadkę.

- A ty kiedy zostaniesz kanclerzem? Nie korci cię, żeby wysadzić z siodła właśnie Schródera?

- Ja nie żartuję, Dirk... - Henry wymówił te słowa powoli i spokojnie, a jednocześnie tak zdecydowanie i chłodno, że Dirkowi ciarki przeszły po plecach.

Pomilczeli chwilę, zanim się bez pożegnania rozłączyli.

Psy podbiegły do siatki, radośnie witając kogoś, kogo dojrzały za plecami Dirka.

- Pan Tielke? Przepraszam, że kazałem panu czekać - powiedział doktor Kruger. - Arko, Onko, Tchibo, pokażcie się ładnie panu komisarzowi. Widzi pan, zdrowe jak ryby! To nie była trucizna, tylko zwykły środek nasenny. A nawet tego nie za dużo, niepotrzebnie je męczyłem pompowaniem żołądków.

- Jak długo spały?

- Kilka, najwyżej kilkanaście godzin.

Kruger usiadł na ławeczce i wyciągnął z kieszeni papierosy.

- Pan nie pali? Bardzo słusznie. Też kiedyś będę musiał z tym

skończyć. Wisi to nade mną jak miecz Damoklesa. Ale trochę mi żal. Nie ma to jak przerwa na papierosa... - rozmarzył się. - Pamięta pan?

- Nie pamiętam, nigdy nie paliłem.

- Wiele pan stracił - wyrwało się weterynarzowi. - Przepraszam, co ja mówię! Życie bez papierosów niewątpliwie też ma swoje uroki. Porozmawiajmy o czym innym. Zwrócił pan uwagę na imiona tych psów?

- Tak, całkiem zabawny pomysł.

- Opowiem panu coś jeszcze zabawniejszego. W Getyndze w latach siedemdziesiątych mieszkali raz dwaj profesorowie obok siebie. Zmienię nazwiska, bo to prawdziwa historia, musi pan wiedzieć. Otóż ci profesorowie, nazwijmy ich Klein i Lange, bardzo się nie lubili. Ich ogrody przylegały do siebie i starsi panowie prowadzili ze sobą wieczne spory i kłótnie, a to o płot, a to o gałęzie drzew, a to o chwasty i krety. Klein miał tego Lange za idiotę. Lange wiedział o tym, ale sprytniejszy Klein nie mówił o tym głośno ani w niepowołane uszy. Choć bardzo go korciło, krzyknąć pełną piersią: „Heinrich Lange to baran!”. I wie pan, na jaki wpadł pomysł? Genialny. Kupił sobie dwa barany i trzymał je w ogrodzie.

Jednego nazwał Heinrich, drugiego Lange. Teraz mógł do woli i bezkarnie wołać „Lange, ty baranie!” albo „Heinrich, Lange do zagrody!” Ha!Ha!Ha! Dobre co?

- Lange oczywiście podał Kleina do sądu...

- Oczywiście. Ale to trwało, Klein miał dobrego adwokata. Co z tego wynikło, nie potrafię panu powiedzieć. Zanim się ta historia

skończyła, zdążyłem zrobić dyplom i wyprowadziłem się z Getyngi. Uważam zresztą, że druga pointa jest tej anegdotce zupełnie niepotrzebna.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Dirk. Zastanowił się, czy nie powinien sam kupić dwóch baranów i nie nazwać jednego Henry, a drugiego Erland. A może lepiej dwie świnie...? Henry nie był przecież głupi.

Kruger oddawał się tymczasem nałogowi z wyraźną rozkoszą.

Inhalował głęboko i powoli wydmuchiwał dym, obserwując błękitne kłęby spod przymrużonych powiek.

- Zauważył pan, że dym trzeba widzieć? Inaczej palenie nie sprawia takiej przyjemności. Nigdy nie palę w ciemności... albo na wietrze... ani też w pośpiechu. Lubię czuć, jak nikotyna rozchodzi się po moim ciele, jak osiąga każdy jego zakątek, każdą komórkę...

- Ja nie palę - przypomniał Dirk - ale kto wie, czy mnie pan nie skusi?

- Och nie, nie! Przepraszam. Palenie jest bardzo niezdrowe.

Niech pan się nie wygłupia. Zaczynać w pana wieku to nonsens!

Mógłbym z miejsca wyliczyć panu dziesięć minusów palenia. Ale chyba nie muszę, pan sam to wie, prawda? Widział pan już na pewno któryś z tych okropnych filmów. Brr. Przez kilka dni trzeba się potem dosłownie zmuszać do palenia... - Kruger wyglądał na zmartwionego. - Zmieńmy temat. Co pana właściwie do mnie sprowadziło? Chciał pan tylko zobaczyć te pieski czy może ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Mam pytania. Widzi pan, przed chwilą spróbowałem dać psom coś do jedzenia, robiły wrażenie głodnych. Żaden jednak nie wziął nic z mojej ręki, nie tknęły też tego, co rzuciłem do wybiegu.

Domyślam się, że nauczono je nie brać jedzenia od obcych. Jak więc wytłumaczyć fakt, że zostały uszpione?

- Czy ja wiem? - zastanowił się weterynarz. - Właściwie nie powinny ulegać pokusie, ale może kąsek był wyjątkowo smaczny albo pieski głodne? Chociaż...

- Chociaż właśnie do ćwiczeń używa się wyjątkowo dobrych kąsków i podaje się je...

- ...wyjątkowo głodnym uczniom - dokończył Kruger.

Dienergasse, czyli Uliczka Służących, łączyła miasteczko z posiadłością weterynarza. Zbudował ją pod koniec zeszłego stulecia pradziadek ostatniego hrabiego dla rodzin osób pracujących w pałacu. Pałac znajdował się po drugiej stronie Kirhdórfer Holz, parku, w którym mieściła się stacja ekologiczna. Kilkanaście bliźniaczych domków stało po obu stronach ocienionej lipami ulicy. Na parterze, od frontu, wystarczyło miejsca dla drzwi wejściowych i dwóch wąskich okien, pięterko kryło się pod dachem.

Dirk lubił bardzo tę uliczkę. Spacerowali tu czasem z Alke, starając się dyskretnie rzucić okiem przez gęste firanki któregoś z okien i w ten sposób zapoznać się z rozkładem mieszkania. Dirk, aby podbudować faktami swą chęć kupienia w niedalekiej przyszłości jednego z tych cacek, Alke, by znaleźć przeciwko tej zachciance argumenty.

Na chodniku przed jednym z domków kobieta w kwiecistym kitlu zamiatała nieliczne opadłe liście. Na odgłos kroków Dirka odwróciła się z ciekawością, lecz twarz jej spochmurniała natychmiast i Gizela Neusch, porzuciwszy miotłę, czmychnęła w otwarte drzwi.

Kojarzę się jej widocznie niemile z utratą dobrze płatnego miejsca pracy, pomyślał młody komisarz. Ale to nie ja Pagła zabiłem.

A może ma mi za złe, że zamiast udzielić jej ukochanym psom pierwszej pomocy, uznałem je wczoraj za martwe?

- Halo, pani Neusch! - zawołał gromko. - Dzień dobry!

Sprzątaczką Reintera Pagła wysunęła się niechętnie na schodki.

- Wie pani, skąd wracam? Od doktora Krugera. Widziałem pani ulubieńców. Są rześkie i zdrowe. Piękne psy... - Oczy Gizeli złagodniały. - I jakie mądre - pochwalił Dirk. - Mówiono mi, że pani je bardzo kocha.

- To takie zwierzusie słodkie - rozczuliła się kobieta. - Takie robaczki milusie. Ja bym im nigdy krzywdy nie zrobiła!

- Ale ktoś zrobił! - uciął te czułości Dirk. - I ciekaw jestem kto.

Pani pracowała u Pagła. Codziennie?

- Nie, nie. Tylko dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki.

- Czy to przesłuchanie, panie inspektorze? - Z mroku mieszkania wyłoniła się drobna twarz drugiej kobiety. Jej usta wydeły się jak u niezadowolonej dziewczynki. Angela Vogt, właścicielka domku i właściwa chlebodawczyni Gizeli, podbiegła do furtki.

Uśmiechnęła się, potrząsnęła końskim ogonem i wyciągnęła dłoń do Dirka. - Gizela dopiero wczoraj składała zeznania. Proszę,

niech pan wejdzie do środka, nie musimy stać na ulicy. Gizela poda kawę. Pan wypije z nami kawę, prawda?

- Chętnie. - Dirk ucieszył się z możliwości obejrzenia od wewnątrz obiektu swych marzeń. - Jak panie pięknie mieszkają!

- zachwycił się, wchodząc do salonu, który służył też jako jadalnia. Okna wychodziły na obie strony budynku. Padające przez szyby promienie jesiennego słońca błyszcząły na wypolerowanym dębowym parkiecie, piękne stare meble, obrazy i kwiaty w wazonach tworzyły prawdziwie domową atmosferę, zapraszały, aby tu przebywać. Gizela znikła w kuchni, Angela spoglądała na Dirka z figlarnym uśmiechem.

- Podoba się panu? Tu się urodziłam i tu zawsze mieszkałam z mamusią i z tatusiem. - Posmutniała nagle. - Właściwie tylko z mamusią i z Gizelą. Tatuś był pod Stalingradem i wrócił schorowany. Nie znałam go prawie, umarł w rok po moim urodzeniu...

Teraz mam już tylko Gizelę. - Zatrzepotała powiekami, wygięła wargi w podkówkę.

Angela Vogt nigdy naprawdę nie wydorosłała. Rozpieszczanej jedynaczce tak bardzo przypadło do gustu dzieciństwo, że wbrew zewnętrznym oznakom, które mijający czas coraz wyraźniej rysował na jej obliczu, uparcie uważała się za dziewczynkę.

- Tylko Gizelę! - zagruchał gniewnie jakiś głos z fotela stojącego przed oknem i zza wysokiego oparcia wyłoniła się pomarszczona twarz. - A ja już się nie liczę?!

- Och ciociu! - Angela podfrunęła do rozgniewanej damy. - Źle

mnie zrozumiałaś! Ty jesteś najważniejsza. Ale nie mieszkaś niestety ze mną, odwiedzasz mnie tak rzadko...

- Przedstaw mi tego pana - staruszka wskazała Dirka palcem.

- Czy on tu teraz bywa? Ma jakieś zamiary wobec ciebie?

- Ciociu, proszę... - Angela się splonęła. - To jest pan inspektor Tielke, policjant. Moja cioteczka, pani Meischner. Ciocia pamięta, co stało się wczoraj rano? Gizela znalazła pana Pagla...

- Zamordowanego, wiem, wiem... Przyszedł pan zaaresztować naszą Gizelę, panie Tielke? Będzie pan musiał odejść z kwitkiem!

- O! A to dlaczego? - zdziwił się Dirk uprzejmie i mrugnął do Angeli porozumiewawczo.

- Bo ona ma alibi! - wypaliła pani Meischner z triumfem. - Jestem tu z wizytą od soboty po południu i mogę za nią zaświadczyć. Angela też!

- Za noc też może pani zaświadczyć?

- Cierpię na bezsenność, młody człowieku! Byle szmer mnie budzi. Wiem, że żadna z nich nie wychodziła w nocy z domu. Za to mogę panu powiedzieć, która ile razy korzystała z toalety!

- Ciociu, proszę...

- Dobrze już, dobrze - zgodziła się starsza pani. - Angela - rozkazała - zaprowadź mnie na taras.

Dirk cierpliwie przeczekał ceremonię przeprowadzania ciotki i instalowania jej na słonecznym tarasie.

- No więc co chce pan wiedzieć o Gizeli, panie inspektorze?

- spytała Angela po powrocie, usadowiwszy się plecami do

ogrodowego okna i wdzięcznie przechylając czterdziestopięcioletnią główkę. - Niech mnie pan pyta, znam ją jak własną kieszeń. Od dziecka się mną zajmuje.

- Właściwie chodzi mi nie o panią Neusch, tylko o Pagla. Czy ktoś u niego bywał, czy ktoś się ostatnio w okolicy nie kręcił?

- O, ktoś się tam na pewno kręcił, ktoś obcy! Ten, kto go zamordował! W sobotę stało tam obce auto.

- Ach tak? - zdumiał się Dirk i jednocześnie ucieszył, bo o ile mu było wiadomo, SOKO nie miało jeszcze tej informacji.

Uwadze Angeli nie uszedł błysk oka komisarza.

- Gizela, pośpiesz się! - zawołała. - Opowiedz panu Tielke o tym aucie w sobotę.

Gizela postawiła na stole tacę.

- No więc dużo nie widziałam, tylko tyle, że tam na ulicy stało auto. Ciemno było.

- A dlaczego przypuszczają panie, że to było obce auto? Widziała pani rejestrację?

- Nie. Chociaż... jak pan tak pyta... może sobie przypomnę.

Hamburg? Zresztą od razu wiedziałam, że to nietutejszy samochód, bo przy WeiCdornallee wszyscy mają garaże, nikt nie zostawia auta na ulicy.

- Chwileczkę... A właściwie to jak mogła pani zauważyć to auto w sobotę? Pracowała pani też w sobotę?

- Przechodziłyśmy tamtędy w drodze z kościoła - wyjaśniła Angela.

- To pani też widziała ten samochód?

- Nie, w jedną stronę szłyśmy inną drogą, a dopiero wracałyśmy przez Weifidornallee. Tylko Gizela go widziała. Weszła na chwilę do willi, żeby zobaczyć, czego brakuje w lodówce. Ja poszłam tymczasem dalej. Gizela mówi, że nie było tego samochodu, gdy wchodziła, a stał tam, gdy wychodziła z bramy.

- Może pani Neusch opowie mi to własnymi słowami?

Gizela przewróciła oczami.

- Tak było, jak Angela mówi. Nie inaczej. Co tam dużo opowiadać. Takie duże, długie auto z rejestracją z Hamburga, HH, więcej nie pamiętam. Mówią przecież, że morderca przyjechał z Hamburga. Każdy to wie!

- Każdy? Ja nie wiem!

- Oczywiście, oczywiście! - Gizela mrugnęła znacząco.

- Nie musi pan nam nic opowiadać - dodała Angela.

- Kirchdorf i tak będzie wszystko wiedział, prawda? - Dirk zaśmiał się. - No, ale wracajmy do obserwacji pań. Wieczorne nabożeństwo odbywa się o siódmej, tak? I trwa do ósmej? Tymczasem

Pagel nie zginął przed dziesiątą, może nawet o wiele później. Jeżeli to morderca siedział w aucie przed domem, musiałby długo odczekać. Po co?

- Może nocował u Pagla? U niego dosyć często jakieś panie nocowały.

- Gizela! - skarciła Angela. - Co ty mówisz! To są prywatne sprawy pana Pagla! Pana inspektora nic to nie obchodzi!

Dirk pokręcił głową, z trudem hamując uśmiech.

- Niestety! Zaszokuje pewnie panią wiadomość, że dla policji nie istnieje w wypadku morderstwa pojęcie prywatności spraw denata. Wszystko może mieć znaczenie. Domyślam się, że SOKO z Hamburga nic jeszcze o tym nie wie.

- Nikt mnie nie pytał... Nie jestem plotkarą. - Gizela wzruszyła ramionami. - Jak zapytają, to powiem. Nie wcześniej. Pan Pagel nie chciał, żeby ktoś wiedział o tych wizytach. Gniewał się na mnie zawsze, jak znajdowałam coś po tych paniach, a to przecież nie ja te rzeczy gubiłam.

- Różne panie czy zawsze ta sama?

- Nie spotykałam ich nigdy, ani jednej, ale to były różne kobiety, panie inspektorze. Jedna i ta sama nie może mieć raz dużej dupy, raz małej.

- Gizela! Wypraszam sobie takie słowa! Jesteś niepotrzebnie ordynarna. Znajdowałaś części garderoby różnych rozmiarów. Tak trzeba było to sformułować.

Gizela wzruszyła ramionami i pogardliwie skrzywiła usta. Nie podzielała widocznie zdania Angeli.

- Psów też mi nie wolno mieć - mruknęła, zdawałoby się bez związku.

- Psy miewają pchły, linieją, brudzą, śmierdzą i szczekają. Trzeba je karmić, wyprowadzać, szczotkować, sprzątać po nich - wyliczyła Angela bezlitośnie.

- To wszystko ja bym sama robiła, wiesz dobrze. Zgodzę się

nawet, żeby nie wolno im było wchodzić do mieszkania. Nie przeżyję, jeśli trzeba będzie je uspić.

- Już dawno nie usypia się psów tylko dlatego, że nikt ich nie chce - wtrącił się Dirk.

- Ach! - prychnęła Gizela niecierpliwie i obdarzyła go groźnym spojrzeniem. Dirk domyślił się, że niechcący podważył jej najsilniejszy argument.

- Ale przynajmniej na jednego mogłaby się pani zgodzić - powiedział szybko. - Dobrze jest mieć wyszkolonego obronnego psa.

Panie mieszkają same w domu pełnym kosztownych przedmiotów...

- Właśnie! - podchwyciła Gizela. - Na pewno byłoby nam różniej, gdybyśmy miały obrońcę.

- Ładny mi obrońca! - Angela odrzuciła głowę i zaśmiała się wystudiowanym perlistym śmiechem. - Wszystkie trzy spały sobie smacznie, podczas gdy ich pan był mordowany!

- Bo zostały otrute!!!

- Bo są głupie i biorą jedzenie od obcych. Nic niewarte psy!

- Nie biorą jedzenia od obcych!

- Biorą, biorą... Przecież wzięły, czyż nie? - Angela zakończyła dyskusję, uśmiechając się złośliwie.

- Jesteś okrutna - szepnęła Gizela i pociągając nosem, zaczęła grzebać w kieszeni kwiecistego kitla. Po chwili zatrąbiła jak słoń w dużą męską chustkę. Gdy przebrzmiał hałas, Angela z kolei sięgnęła do własnej kieszeni. Dobyła szydełkowaną saszetkę, a z niej maleńką

koronkową chusteczkę i przyłożyła ją na krótko i z wdziękiem do noska.

Dirk z zaciekawieniem obejrzał pantomimę. Przyznał w duchu, że kontrast był rzeczywiście kolosalny. Garkotłuk i dama.

- Panie znają Martina Bocka? - zmienił temat.

- Martina Bocka? - powtórzyły.

- Stolarza - objaśnił.

Atmosfera znów się odprężyła. Angela skinęła na Gizelę, by dołąła Dirkowi kawy.

- Wszyscy znają Martina Bocka. Jest dobrym rzemieślnikiem i właścicielem dużej firmy, jeśli o to panu chodzi.

- Nie, nie o to... - odpowiedział z ociąganiem. Właśnie się zastanawiał, czy powinien wyjawic, że interesuje się misiowatym stolarzem w związku z dochodzeniami w sprawie Pagla. Po Kirchdorfie nie rozchodziły się jedynie takie informacje, których posiadaczem była tylko jedna osoba. Dirk nie chciałby psuć Martinowi opinii. Lubił go. Z drugiej strony jednak istniały poważne powody, by włączyć go na listę podejrzanych... Zresztą, Dirk spojrzał na zegarek, Luk pewnie już się wyspał i trąbi teraz na rynku o tym, że naprowadził komisarza Tielke na trop Bocka. - Chciałbym wiedzieć, czy Bock pokazywał się w pobliżu willi Pagla. Może starał się zaprzyjaźnić z psami?

- A w jakim celu? - zdziwiła się Angela, lecz zaraz zrozumiała powód pytania. - Ach, pan myśli, że to mógłby być Martin? Słyszał pan o tych dawnych historiach? Niech pan nie przykłada do tego zbyt

dużej wagi. Dziecinady!

- Pagel zabrał Martinowi narzeczoną...

- Dla zabawy! Nigdy mu na niej nie zależało poważnie. Ludzie mówią wprawdzie, że się z nią ożenił, ale to nieprawda. Wyjechali jednocześnie, ale nie razem.

- Martin jednak nie odzyskał Brigitte. Mógł zachować do Pagla urazę.

Angela zamyśliła się, marszcząc czołko i wydymając usteczka.

- No tak - przyznała wreszcie. - To też jest możliwe...

- A co do psów... - wyrwała się nagle Gizela - to Martin je znał! To on budował dla nich domek.

Po południu, gdy współpracownicy udali się do domów, Dirk rozłożył przed sobą na biurku teczkę z napisem Martin Bock nr.

1/1/83. Niemal dokładnie z biciem zegara ogłaszającego narodziny nowego roku przed piętnastu laty obecny szef firmy Wendel

& Bock wszedł w konflikt z prawem. Ostatniego dnia osiemdziesiątego drugiego roku jako świeżo upieczony czeladnik wybrał się ze swoją narzeczoną, Brigitte Muller, na wielki bal sylwestrowy w ratuszu. Po raz pierwszy w życiu wydał na rozrywki tak wielką sumę. Wstęp i konsumpcja, nowy garnitur, buty i fryzjer, elegancka torebka i kwiaty dla ukochanej, nie mówiąc już o taksówce i innych służących reprezentacji drobiazgach, wszystko to połknęło całą jego pierwszą pensję. Ale Martin Bock nie żałował. Dumnie wprowadził piękną narzeczoną na salę pomiędzy aptekarzy,

nauczycieli i kupców, czując podświadomie symboliczną doniosłość tego wieczoru. Wstępował niejako w wyższe kręgi kirchdorfskiego towarzystwa.

Tym bardziej boleśnie musiał już po paru godzinach przeżyć poważną prywatną porażkę. Brigitte jeszcze przed północą opuściła salę w towarzystwie Reintera Pagla, Martin natomiast wdał się w bójkę z przygrywającym do tańca zespołem. Oskarżył Bogu ducha winny kwartet o granie podniecających kawałków za każdym razem, gdy Pagel prosił do tańca Brigitte. W efekcie utarczki wyższe sfery Kirchdorfu pozbawione zostały muzyki, gdyż sponiewierani przez Martina artyści także opuścili zabawę, by udać się na skargę do policji.

Do akt dołączony był artykuł z gazety autorstwa jednego ze świadków, Lukasa Sauerkirshgartena. Poza barwnym opisem awantury Luk, jako wyraziciel opinii publicznej, dawał wyraźnie do zrozumienia, że społeczeństwo popiera stolarza i podziela jego zdanie. Winę ponosił więc Pagel na spółkę z okolicznościami. Brigitte okazała się godnym pożałowania puchem marnym.

Z regularnością solidnego, ciężko pracującego stolarza Martin

Bock pojawiał się odtąd na łamach prasy, jednocześnie puchła jego teczka, założona pierwszego dnia stycznia. Awantury w knajpach i na rynku, wybijanie szyb w oknach domu Pagla i dziurawienie opon jego samochodu, oto efektowny, lecz niewyrafinowany repertuar Martina Bocka.

Dopiero w czerwcu sprawy przybrały poważniejszy obrót.

Przeczytawszy kilka pierwszych zdań policyjnego raportu z 6 czerwca 82, Dirk podparł dłonią czoło i zamyślił się głęboko.

Do tego dnia nikt nie doznał poważniejszych szkód. Martin Bock wypuszczał z siebie powietrze, uwalniał się od dręczących go uczuć, urządzał swoje burdy zawsze publicznie, zawsze otoczony współczującym wianuszkiem podchmielonych gapiów.

Pagel mimo doznawanych szkód bawił się wyraźnie sytuacją, krytykował w swych wypowiedziach dla prasy opieszałość policji i zacofanie kirchdorfan, demonstrujących nietolerancję wobec pierwszej w historii miasteczka pary żyjącej bez ślubu. Drażnił

Martina, paradując mu przed nosem z Brigitte, całując ją w miejscach publicznych i wreszcie zamawiając w pracowni jego szefa obszerne małżeńskie łoże.

„Głos Kirchdorfu” podwoił swój nakład, Lukas Sauerkirshgarten przybrał pseudonim Luk i stał się popularny. Jego dowcipny artykuł opisujący historię budowy mahoniowego łoża przedrukowała z minimalnymi tylko skrótami „Hannoversche Allgemeine Zeitung”.

Szklarz wstawiał nowe szyby, właściciel warsztatu samochodowego wulkanizował na okrągło, przedstawiciel ubezpieczeń zaliczał dobrze płatne nadgodziny. Nawet komisarz policji stracił swój brzusek, nie mogąc jak dawniej godzinami drzemać przy biurku.

Reszta społeczności śledziła darmowe przedstawienia z wielkim

zainteresowaniem. W pierwszych dwóch kwartałach tamtego roku nie zabrakło nikomu tematu do rozmów, żądni nowych informacji mieszczanie odwiedzali częściej niż dawniej restauracje, fryzjerów i sklepy, dzięki czemu obroty wzrastały i w miasteczku panował ogólny dobrobyt.

I nagle zgrzyt. 6 czerwca 1982 roku z samego rana Reiner Pagel pojawił się w komisariacie i położył przed komisarzem różową niezaadresowaną kopertę. Jej zawartość stanowił krótki, wystukany na maszynie list:

Reiner, Obietnica małżeństwa jest święta. Kto ją łamie, ten musi umrzeć.

To nie jest żart.

Jak się później okazało, maszyna należała do kierownika poczty, który rok wcześniej wystawił ją do publicznego użytku, gdy sam kupił sobie nową. Wiedzieli o niej wszyscy, korzystał z niej, kto chciał. Pagel oskarżył Bocka o napisanie listu i tym razem zdawał się brać pogrózkę rywala poważnie. Bock zaprzeczył wszystkiemu.

Na papierze nie znaleziono jego odcisków palców. Miesiąc później

Pagel wycofał skargę.

Na tym zamykały się akta Martina Bocka.

Dirk podniósł znad nich oczy i spojrzenie jego spotkało się ze spojrzeniem dwóch czarnych błyszczących paciorków. Na brzegu biurka kucała mała brązowa myszka. W różowych łapkach trzymała spory okrusz chleba. Na chwilę przerwała przeżuwanie, lecz

uznawszy, że sytuacja nie przedstawia się groźnie, odgryzła spokojnie następny kęs. Przekonanie myszki o łagodności Wielkiego

Człowieka za biurkiem było oczywiście wynikiem nieporozumienia. Doświadczenia młodego zwierzątka ograniczały się jedynie do dwóch czy trzech spotkań ze spontanicznie reagującymi paniami w sąsiednim salonie fryzjerskim. Piski, okrzyki i podskoki irytowały pokojowo nastawioną myszkę. Już tydzień temu opuściła niegościnnie lokal i przeniosła się do komisariatu. Przyzwyczaiała się wieczorną godziną wdrapywać na wysoki mebel i w towarzystwie

Dirka spożywać skromny, lecz smaczny posiłek. Wielki Człowiek był dobrym towarzyszem. Siedział zawsze prawie bez ruchu, unikał gwałtownych gestów, milczał.

Dziś po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy.

Ze strony Dirka znajomość ta przedstawiała się inaczej. Nie miał o niej dotychczas pojęcia.

Po upływie kilkunastu sekund, gdy ustąpił paraliż i serce policjanta znów zaczęło bić, Dirk podniósł się z krzesła i ostrożnie opuścił miejsce pracy. Postanowił nigdy już tu nie wracać.

- Erland - odezwał się głos w słuchawce.

- Cześć Henry, to znowu ja, cień twojej przeszłości.

- Kto? Co to za dowcipy?

- Dirk. Dirk Tielke.

Chwila milczenia.

- Skąd masz mój prywatny numer?

Ton głosu niechętny, brak powitania, zarejestrował Dirk.

- Jestem policjantem, ma się sposoby - odpowiedział. - Nie schowasz się przede mną, Henry. Wszędzie cię dopadnę.

- Czego chcesz? O co chodzi?

Właściwie miał zamiar jedynie powiadomić Henry'ego o obserwacjach poczynionych przez Gizelę Neusch wieczorem w przeddzień morderstwa. Ale nieuzasadniona nieuprzejmość dawnego towarzysza sprawiła, że zapragnął trochę się z nim podroczyć.

Dlaczego ten idiota nie potrafi już rozmawiać jak kiedyś?

- Chcę ci utrudnić życie, Henry. Jesteś nadęty jak balon i mam wielką ochotę wbić ci w tyłek szpilę. Może spadniesz wtedy na ziemię i przypomnisz sobie dawne ideały.

- Jakie masz konkretnie plany? - spytał Henry lodowato i tak poważnie, że Dirkowi przeszła ochota do żartów.

- Zapomnij o tym - powiedział. - To był tylko trochę złośliwy żart, Henry. Próba odnalezienia w obcym człowieku bliskiego mi kiedyś przyjaciela. Naprawdę dzwonię, żeby ci powiedzieć o samochodzie, który podobno parkował w sobotę wieczorem przed willą Pagla. Rejestracja prawdopodobnie hamburska, świadkiem jest sprzątaczką Pagla. Wstąpiła do niego w drodze z kościoła, żeby uzupełnić listę zakupów. Gdy wchodziła, auta nie było, Pagel żył. Gdy wychodziła, auto stało.

- Dziękuję. Zajmiemy się tym - skwitował Erland. - Damy sobie już sami radę. Nie musisz do mnie ciągle wydzwaniać. Nie brak nam dowodów na to, że Pagel był uwikłany w interesy handlarzy żywym towarem. Mamy do wyboru trzech typków. Wiedzieli o tym, że Pagel

zamierzał zeznawać jako świadek koronny, by po odsiedzeniu krótkiej kary powrócić w legalność. Jeden z nich jest zleceniodawcą. Lada dzień się przyzna. A jak się nie przyzna, to kumple go wydadzą, żeby ratować własną skórę. Niestety, morderca tymczasem dawno już jest z powrotem w Petersburgu czy w jakiejś innej Moskwie. Widzisz więc, że nie potrzebuję twojej pomocy. Nie dzwoń już.

- Jak wolisz. Nie zdziw się tylko, gdy wyjdzie coś na jaw. Zajmuję się właśnie dawnymi grzechami pewnej osoby...

- Żegnam - przeciął jak nożem prokurator Henry Erland i się wyłączył.

- Henry! Erland! Do chlewa! - krzyknął mściwie Dirk w głąbą już słuchawkę.

Środa

Pierwszą myślą Dirka, gdy w środę rano otworzył oczy, było fatalistyczne stwierdzenie, że jakkolwiek sprawę wykręcać, do pracy pójść musi. Mógłby przez jeden czy dwa dni udawać chorego, ale co dalej? Urlop? A potem? Wyjazd na szkolenie? Prośba o przeniesienie? Jak ją uzasadnić? Dirk nie spodziewał się znaleźć zrozumienia u nadrzędnych instancji. Sam jeszcze wczoraj nie miałby dla siebie zrozumienia. Do wczoraj bowiem nie miał pojęcia o swoim kalectwie, gdyż tak chyba należałoby nazwać lęk przed myszą u dorosłego mężczyzny, policjanta w dodatku.

Ostrożnie spuścił nogi na podłogę. Zrezygnował z ciepłych pantofli, nie mogąc stwierdzić jednoznacznie, że żadne zwierzątko nie uwiło sobie w którymś z nich gniazdka tej nocy. W głębi duszy czuł

bunt przeciwko tej nowej, niespodziewanej niewoli, choć nie wiedział na razie, jak do problemu podejść.

Po wzięciu prysznic i wypiciu dużego kubka kawy nabrał jednak animuszu i postanowił nie poddawać się bez walki. Pamiętał, że ktoś ze współlokatorów kamienicy ma kota. Postanowił więc uzbrojony w pożyczonego kota udać się do biura. Wynajęty morderca załatwi mokrą robotę, podczas gdy on sam zajmie się bez pośpiechu przesłuchiwaniami Martina Bocka. Dirk spojrział na zegarek. Pięć po siódmej. Kto jest właścicielem kota? Kogo zbudzić o tak wczesnej porze? Alke wiedziałyby... Spojrzął na telefon.

W tej samej chwili aparat zadzwonił. Alke!

- Ty chyba jesteś telepatką! - zawołał Dirk, rozpoznawszy jej głos. - Musisz mi natychmiast powiedzieć, czy to Beinertowie mają kota, czy Pawelscy? Pamiętasz, taki duży rudy...

- Dirk...

- Jest jeszcze wcześnie, nie chcę nikogo budzić na darmo. A może to jest kot Meierów z drugiej strony ulicy?

- Dirk! - Alke podniosła głos. - Powoli! Co się dzieje? Wczoraj nie zadzwoniłeś, teraz gadasz bez związku! Co ci jest? Zaczynam się niepokoić! Opowiedz, ale spokojnie. Masz czas, nie musisz jeszcze iść do biura.

- Właśnie o to chodzi! Muszę!

- Tak wcześnie?

- Czy to ma znaczenie? Wcześniej czy później i tak muszę!

- Wiemy oboje, że musisz, bo taki jest twój obowiązek. - Alke

przybrała ton psychologa. - Czy to cię niepokoi? Przechodzisz kryzys? Co ma z tym wspólnego kot babci Nemitz?

- Babcia Nemitz! - ucieszył się Dirk. - Oczywiście! Babcia Nemitz! Siedzi zawsze z tym kotem w oknie! Jak mogłem zapomnieć?

Doskonale. Na pewno już nie śpi. Alke, dziękuję ci! Taka jesteś kochana, zawsze mi pomożesz!

- Dirk! - Ton Alke zabrzmiał surowo. - Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje. Opowiedz wszystko po kolei. I mam wielką nadzieję, że to nie znowu jakieś wygłupy!

- Przedwczoraj nie wygłupiałem się wcale. Myślałem, że już to wyjaśniliśmy.

- No tak... Masz rację... Przepraszam. Mów teraz. Jesteś jakoś nienaturalnie ożywiony. Więc o co chodzi z tym kotem?

- Moim problemem nie jest kot, Alke - zaczął Dirk - tylko mysz...

I opowiedział. Alke słuchała fachowo. Ponieważ pacjent nie mógł widzieć ani jej pełnego współczucia wyrazu twarzy, ani przytakującego kiwania głową, zastosowała inną metodę. Co pewien czas powtarzała Dirkowe zdania, zmieniając tylko ich szyk, co sprawiało wrażenie, że nie tylko go rozumie, ale i że podziela jego uczucia.

Gdy skończył, powiedziała:

- Zadam ci teraz kilka pytań, Dirk. Czy zdarzyło ci się już wcześniej przestraszyć myszy? Odpowiedz szczerze, niczego nie ukrywaj. Tylko tak będę mogła dogrzebać się korzeni twojej nerwicy i

zaplanować właściwą terapię. No więc, przestraszyłeś się już kiedyś myszy?

Dirk zastanowił się sumiennie.

- Tak - odpowiedział. - To też było wczoraj. Byłem u Krugera w poczekalni i tam po podłodze biegała mysz. Ale to nie było takie silne uczucie jak w biurze. Gdy jego asystentka spytała, czy mam w kieszeni mysz, poczułem się bardzo nieswojo.

- Aha... A wcześniej? We wczesnej młodości? W dzieciństwie?

Może ktoś cię straszył myszą?

- Nie przypominam sobie. Czy to ważne?

- Tak, to jest bardzo ważne. Chcę mianowicie stwierdzić, czy obiekt twojej fobii, bodziec, który wywołał atak lękowy, jest bodźcem właściwym czy zastępczym. Od tego zależy moje dalsze postępowanie. Jeśli na przykład miałeś jako dziecko jakieś niemiłe przeżycie związane z myszami, jeśli, powiedzmy, twoja matka uwarunkowała cię na nie negatywnie, to mysz jest bodźcem właściwym. Wystarczy wtedy po prostu zmienić twoje uwarunkowania. Przeprowadzimy trening polegający na tym, że będziesz przełamywał swój strach w kolejnych etapach. Najpierw będziesz oglądał myszy na fotografiach, potem myszy w klatce. Następnie mysz biegającą wolno. Potem weźmiesz mysz do ręki...

- Myślę - powiedział Dirk, siląc się na spokój, choć serce zaczęło mu szybko pukać o mostek, a spotniała nagle dłoń ślizgać się po słuchawce - że chodzi tu raczej o mysz zastępczą. Moja matka nie bała się myszy.

- Bodziec zastępczy - poprawiła Alke sucho. - Też mam takie wrażenie.

- O! - ucieszył się Dirk i raźniej już spytał: - Na czym będzie polegała terapia?

- Przede wszystkim będziemy musieli zgłębić, czego ty się w rzeczywistości boisz. Biura. To zdaje się być pierwszoplanowe.

Nie jest jednak jeszcze sednem sprawy. Czego pragniesz uniknąć?

Mam poczucie, że istnieje tu związek pomiędzy twoim załamaniem nerwowym w poniedziałek po rozmowie z robiącym karierę kolegą, a wczorajszą reakcją na maleńką myszkę. To na razie tylko teza, ale mam nieodparte wrażenie, że nie możesz znieść świadomości, że twoja własna praca nigdy nie zaprowadzi cię tak wysoko, jak zaszedł ów prokurator. A ponieważ sam boisz się podjęcia ważnej życiowej decyzji, przenieś całą odpowiedzialność na małe niewinne zwierzątko, które zmusi cię do porzucenia pracy. Wiesz, jeśli nie zamkniemy oczu na tę całą problematykę, może nam się udać wyciągnąć z twojej choroby korzyści. Możesz powrócić na uczelnię, szkolić się, kwalifikować. I ty także możesz zrobić karierę. Co ty na to?

- Czy ja wiem - odparł Dirk zgnębiony. Wyglądało na to, że albo będzie zmuszony brać do ręki myszy (z takim cieniutkim, gołym ogonem!), albo opuścić Kirchdorf i robić karierę polityka.

- Czy muszę się już teraz zdecydować? - spytał.

- Nie. Oczywiście, że nie. To jest sprawa, nad którą będziemy

musieli popracować. O jedno tylko cię proszę: nie popadaj w depresję, gdy coś ci się nie uda, nie rób, jeśli możesz się powstrzymać, publicznego przedstawienia. Przepraszam, że używam takiego słowa. Nie znaczy to wcale, że nie biorę twojej nerwicy poważnie.

Chodzi mi tylko o twoją opinię. Ludzie, szczególnie ludzie mało wykształceni, nie mają zrozumienia dla psychicznie chorych. Nigdy nie zrobisz kariery, jeśli okrzyczą cię wariatem.

- Zależy ci na tym, żebym zrobił karierę...? Jeszcze przedwczoraj mówiłaś...

- Przedwczoraj sama rzeczywiście myślałam, że tobie na karierze nie zależy, że cierpisz jedynie dlatego, że całkiem ogólnie oczekuje się od mężczyzny pchania się w górę po drabinie. Dziś jednak bardziej skłaniam się ku zdaniu, że spodobała ci się wizja Dirka-

- polityka czy Dirka-naukowca. W Kirchdorfie jest ci wygodnie, sam nie znajdziesz w sobie dość siły, by opuścić ciepłe gniazdko i ruszyć w świat, gdzie rządzi bezwzględne prawo łokci. Potrzebujesz kogoś, kto by cię stąd przepędził. Mało tego, potrzebujesz na wszelki wypadek, gdyby ci się nie powiodło, kozła ofiarnego. Krótko mówiąc, potrzebujesz tej małej myszki.

Wędrującemu cichą uliczką z mruczącym rudym kocurem w ramionach Dirkowi brzmiały jeszcze w uszach fragmenty wykładu Alke.

Jestem wrak, myślał. Albo wariat. Albo i jedno, i drugie. Nie wiedziałem o tym, ale widocznie jestem. Dziwne, że wcale się

wrakiem nie czuję. Ani wariatem. Właściwie ani jednym, ani drugim...
Czy naprawdę będę musiał zrobić karierę? Poseł Tielke...

Może jednak lepiej przypomnieć sobie ciężkie przejścia z
myszami w dzieciństwie? I nosić myszy w kieszeniach?

- Zobaczymy. Tymczasem spróbujemy innym sposobem pozbyć
się kłopotu. Co, Garfield?

Tłusty Garfield zamruczał głośniej i wbił przyjaźnie pazury w
Dirkową pierś. Babcia Nemitz zgodziła się wypożyczyć kota, ale nie
pozwoliła oderwać go od śniadania i włożyła Dirkowi ulubieńca w
ramiona dopiero gdy miseczka została do czysta wylizana.

Dirk liczył się z tym, że motywacja Garfielda, by zapolować, nie
jest na razie zbyt silna, miał jednak nadzieję, że przez samą swą
obecność kocur utrzyma mysz w szachu i na dystans.

Firma Martina Bocka nie była zwyczajnym warsztatem. Wendel
& Bock, głosił kunsztownie wykonany z drewna szyld nad bramą. Po
śmierci teścia Martin przejął kierownictwo i prawie z roku na rok
rozszerzał zakres działalności firmy, budował nowe hale i przyjmował
pracowników. Gdyby chciał, mógłby już od dawna wycofać się z
interesów lub chociaż przenieść za biurko. Ale nie chciał. Za biurkiem
posadził żonę, sam zaś w wygodnym zielonym kombinezonie
oddawał się swojemu ulubionemu hobby: restaurowaniu antycznych
mebli. Dirk wiedział, gdzie można go znaleźć.

Po drugiej stronie podwórza, w najstarszym z budynków, w
obszernym warsztacie, gdzie mało było maszyn, a dużo
staroświeckich narzędzi, gdzie nikt poza nim nie pracował.

Czeladnicy Bocka spoglądali na Dirka ciekawie, tręcali się i uśmiechali domyślnie. Dirk nie wątpił, że cały Kirchdorf trzęsie się już od plotek, że cień podejrzania rzucony na Martina w niedzielę w knajpie rozrósł się w czarne chmury. Odpowiadał więc powściągliwie na powitania. Lubił Martina. Obruszał się na bezmyślną niewrażliwość tych ludzi, zawdzięczających przecież Bockowi pewny i niezły zarobek, a cieszących się teraz jego osobistymi tarapatami. Gdyby kłopoty Martina dotyczyły firmy, miny jego pracowników nie byłyby tak radosne.

- Hej, Dirk! - powitał go Martin z serdecznym uśmiechem.

- Fajnie, że przyszedłeś. Pogadamy sobie, siadaj.

Dirk poczuł niemiły ucisk w żołądku. Czyżby ten poczciwy chłop był jedynym w miasteczku człowiekiem niemającym pojęcia o tym, że jest podejrzany o morderstwo?

- Napijesz się piwa? - Martin podał Dirkowi butelkę. - Siadaj wreszcie. Tu, na tej ławie, tamte krzesła są świeżo zabejcowane.

Dirk usiadł na ławie, otworzył butelkę i pociągnął spory łyk.

Westchnął.

- Piękny stół - wskazał na restaurowany właśnie mebel.

- Prawda? - zapalił się Martin. - To barok. Popatrz tylko na nogi. Widziałeś kiedyś takie? W całkiem dobrym stanie ten stół, tylko bardzo brudny. Drewno z gruszy. Dotknij, o tu. Aż się prosi, żeby głaskać, co?

- Rzeczywiście. Ty się na tym znasz, Martin. Po czym poznać, że to barok?

Martin spojrział na Dirka trochę zdziwiony.

- No, po czym... - powtórzył. - Zwyczajnie, to widać! No, czy ja wiem... może te nogi. Ja się nad tym nie zastanawiam, ja to zwyczajnie wiem. Ale chyba nie po naukę do mnie przyszedłeś, Dirk. Nie musisz się kryć, stary. - Pogroził Dirkowi palcem, mrużąc znacząco oko. - Ty myślisz, że to ja zabiłem Reintera, tylko nie wiesz jak i kiedy. No to pytaj! Sam ci wszystkiego nie powiem.

- A zabiłeś go? - spytał Dirk, trochę oszołomiony. Nie spodziewał się takiej reakcji.

- Dirk! - skarcił go Martin. - Przecież ci nie powiem! Ty też musisz się trochę przyłożyć. Zadawaj mi pytania, a ja będę odpowiadał. Na przykład, czy groziłem kiedyś Reinterowi, że go zabiję?

Albo co robiłem w nocy z soboty na niedzielę.

- Skąd wiesz, że Pagel zginął w nocy z soboty na niedzielę?

- A nie zginął?

- Nie wiadomo jeszcze dokładnie. Na kiedy masz alibi?

- Zawsze się jakieś znajdzie.

- Kto?

- Sabine, moja żona. Ale nie jestem pewny, czy będzie chciała zaświadczyć za cały czas.

- Spytam ją. Drugie pytanie też już sam zadałeś. Groziłeś Paglowi?

- Groziłem.

- Kiedy?

- Piętnaście lat temu.
- Pagel zabrał ci narzeczoną.
- Zabrał.
- Napisałeś anonim na maszynie z poczty.
- To już o tym wiesz?
- To ty byłeś autorem?
- Nie.
- Nie?

- Ja ci mówię, że nie, ale tobie wolno podejrzewać, co zechcesz. Tylko musisz mi to potem udowodnić. Nie przyznam się bez dowodu.

- Pagel wycofał skargę. Dlaczego?
- Może dowiedział się, że to nie ja ten list napisałem?
- W aktach nie ma uzasadnienia.
- Wiesz co, Dirk? Powiem ci. To Brigitte namówiła go, żeby wycofać skargę i wyjechać. Powiedziała mi, że to już nie jest zabawne i że się o mnie boi. Fajne, nie? O mnie się bała, a nie o Reintera.
- Wiem, że budowałeś domek dla psów Pagla. Dlaczego właśnie ty?

- A dlaczego nie? Reinter dał zamówienie...
- Jesteś szefem dużej firmy, Martin, masz kilkunastu pracowników, a sam budujesz psom budy. Jak to wytłumaczysz? Może chciałeś zapoznać się z psami? Może chciałeś wyszpiegować, jak dostać się niepostrzeżenie do willi...

- Może...

Dirk zamilkł, stropiony. Martin nie zdawał sobie widocznie sprawy z powagi sytuacji. Ale to nie Dirk będzie go uczył, jak ma się na przesłuchaniu wykręcać.

- Martin, ty głupku! - usłyszeli nagle za plecami oburzony kobiecy głos. W drzwiach warsztatu stała Sabine. - Co ty opowiadasz? Jak możesz!

- O, Sabine! - rozpromienił się stolarz. Zaraz jednak spoważniał. - Wracaj do biura. Dirk rozmawia tylko ze mną. To męskie rozmowy. Nic dla ciebie.

- Ja ci dam męskie rozmowy! Nic dobrego z tego nie wynika.

Słuchaj, Dirk. Nie bierz tego gamonia poważnie. On sam nie wie, co mówi. Martin nikogo nie zabił...

- Sabine! - przerwał jej mąż. - Proszę cię, idź teraz! Porozmawiamy potem. Zostaw nas samych.

- Nie zostawię!

- To może ja pójde? - zaproponował Dirk.

- Tak, Dirk, idź lepiej - zgodziła się Sabine. - Nie daj się w to wciągnąć.

Dirk zbliżył się do drzwi. Sabine podeszła do męża i przytuliła się gwałtownie do jego obszernej piersi.

- Ty Misiu głupi...

- Nie martw się, moja Pszczółko... - powiedział, a potem zawołał za Dirkiem: - Cześć Dirk! Wpadnij jeszcze kiedyś!

Garfield spał na parapecie tam, gdzie go Dirk z rana posadził.

Nic nie świadczyło o tym, by w czasie spędzonym przez Dirka w

firmie Wendel & Bock zajmował się czym innym. Babcia Nemitz uprzedziła Dirka, że koty są stworzeniami nocnymi. Trzeba go będzie zostawić na noc, mówiła. Dirk wierzył jej, ale w obecności kota, nawet pogrążonego we śnie, czuł się po prostu raźniej, odwalając codzienną papierkową robotę.

Ucieszył się, gdy koło południa zadzwonił do niego z własnej inicjatywy Lange i opowiedział mu o postępach śledztwa w sprawie morderstwa Reintera Pagla. Lange uważał pewnie, że nieźle jest zaskarbiać sobie przychylność przyjaciół prokuratora Erlanda.

Dirk poznał trochę szczegółów z działalności czarnej owcy z Kirchdorfu, a także usłyszał, że jego trzech partnerzy już zaczęli rzucać na siebie nawzajem podejrzenia. Dowodów niestety ciągle brak.

Rodzaj broni zidentyfikowano rzeczywiście bez kłopotów. Radziecki pistolet TT z okresu drugiej wojny światowej, wyprodukowany po 1943 roku.

W Niemczech istniało takich, zarejestrowanych, 17 sztuk.

Wszystkie były pamiątkami z wojny. Sprawdzono je, co do jednego - z żadnego nie strzelano już od dziesięcioleci.

Na obiad Dirk poszedł do tureckiej restauracji Yetkina Tiizun.

Zamówił smażone oberżyny i cukinie. Rozkoszował się cudownym aromatem i smakiem tej tłustej czosnkowej stawy i jak zawsze dziwił się w duchu Turkom, którzy spożywają ją na śniadanie. No cóż. Co kraj to obyczaj.

Przechodzący za oknem Luk dojrzał Dirka i wbiegł do lokalu.

- Kawę po turecku! - zawołał do Sevdy. - Ale nie taką mocną!

Chcę zobaczyć dno filiżanki.

- To może neskę? - spytała.

Luk nie dosłyszał ironii w pytaniu dziewczyny.

- Nie, nie - odpowiedział niewinnie. - Chcę porządną turecką mokkę, ale nie taką mocną. Weź po prostu tylko jedną trzecią kawy.

Sevda zwróciła się do Dirka:

- A pan komisarz?

- Prawdziwą - powiedział krótko, a Sevda obdarzyła go porozumiewawczym uśmiechem.

- Byłeś u Martina - rzucił Luk.

- Byłem. Powiem ci szczerze, dziwnie się zachowywał.

- Podejrzenie? Myślisz, że to on zamordował Pagła?

- Martin zachowywał się dziwnie, ale w inny sposób niż powinien się zachowywać porządny przestępca. Jakoś tak nieprofesjonalnie, choć przyznaję, że nie każdy morderca musi być profesjonalistą. Okoliczności wskazują na to, że ten, kto zabił Pagła, dobrze to sobie przedtem zaplanował. Jeśli to Martin, to dlaczego nie przygotował sobie linii obrony, dlaczego traktował moje przesłuchanie jak zabawę w zgadywanki? Sam powiedział mi, że ma marne alibi, że kiedyś groził Pagłowi. Przyznał, że znał jego psy, bo budował dla nich budę. Słuchaj, przecież Martin jest szefem dużej firmy! Dlaczego więc przyjął taką robotę? Czy po to, żeby się zorientować, jak najlepiej podejść ofiarę? Właśnie go o to pytałem i nie uwierzysz, ale miałem wrażenie, że Martin się z moim zdaniem zgadzał, gdy przyszła jego żona...

- Ach! Sabine się w to wmieszała? Za bardzo się o tego swojego Misia trzęsie!

- Dziwisz się? Przecież to jej mąż i grozi mu dożywocie!

- No tak - stropił się Luk. - Nie przeczę, gra jest ryzykowna.

Ale po co ona się wtrąca? Muszę z nią porozmawiać.

- Wiesz, czasem stanowicie dla mnie zagadkę, wy, mieszkańcy Kirchdorfu.

- Ach tak? - Po twarzy Luka przemknął złośliwy uśmiezek.

- A ja myślałem, że jesteśmy nudni i grzeczni, niegodni wielkiego pana detektywa...

- Wzięliście to do serca? Rozżaliłem się wtedy, piłem na pusty żołądek. Ale naprawdę wolałbym, żeby to nie Martin był mordercą. Pewnie zresztą nie jest. Mam nowe wiadomości z Hamburga.

To porachunki mafii. Nic ciekawego.

- No, ale chyba nie przestaniesz zajmować się Martinem? - zaniepokoił się Luk.

- Nie. Oczywiście muszę to prześledzić, ale powiem ci, nie jest mi wesoło. Pagel był świnią. Podrywał ładne i inteligentne dziewczyny, był podobno czarujący i błyskotliwy. Udawał, że interesuje się nimi osobiście, zapraszał do siebie, gdzie testował, że tak powiem, ich umiejętności, a potem sprzedawał je do luksusowego burdelu. Ostatnio jednak przestało go to bawić. Kłopoty ze zdrowiem, może też zwyczajnie mu się znudziło. Postanowił wycofać się z interesów i zaczął już ostrożnie nawiązywać kontakt z prokuraturą. Koledzy mieli prawo się zdenerwować. Sprowadzono fachowca z

Rosji... Wiesz, Pagła zabito z radzieckiego pistoletu.

Przedpotopowa broń, ale komisarz Lange nie wyklucza, że płatny morderca ma gdzieś w Niemczech zakopaną w lesie całą skrzynkę tych tetetek i używa ich jako, że tak powiem, jednorazówek.

- Martin też mógł mieć taki pistolet. Po przodkach. Dużo ludzi było na wojnie w Rosji.

- Ktokolwiek zabił Pagła, zrobił to w samą porę. Pagel nie zdążył jeszcze nikogo obciążyć.

- Martin przysłużył się mafii! - ucieszył się Luk. - „Szanowany kirchdorffianin mordercą na usługach mafii”. Dobrze, nie?

- Mam nadzieję, że to nieprawda. Wiesz, przed willą Pagła stało podobno jakieś obce auto w sobotę wieczorem. Może już go obserwowali, czekali sposobności...

- W każdym razie nie porzucaj jeszcze tropu Martina. - Luk zastanowił się. - Ty oczywiście pracujesz tymczasem na własną rękę? Nie donosisz wszystkiego tej SOKO? Wiesz, głupio by było, gdyby nam zaaresztowali Martina...

Dirk spojrzał na niego zdziwiony.

- Jeżeli wyjdzie mi, że Martin jest mordercą, to na pewno go zaaresztują. Myślałem, że zależy ci na tym.

Luk machnął ręką.

- Po co się teraz martwić? Masz rację. A powiedz mi, gdy byłeś u Martina w warsztacie, to czym on się właśnie zajmował? Pracował może nad takim stołem z dziwnymi nogami? Takimi z kul, jedna na drugiej, największe na dole...

- Twój stół? Piękny mebel. Martin zna się na rzeczy. Boisz się, że nie zdąży przed aresztowaniem?

- Co? A, nie. Mnie wszystko jedno. A Martin właściwie już nie zdążył. Bo wiesz, ten stół dał mu do odnawiania Pagel. Taak...

Garfield siedział na podłodze, plecami do drzwi, i wyraźnie coś jadł. Dirk wzdrygnął się z obrzydzeniem. Z jego piersi wyrwał się bezwiednie adekwatny do tego uczucia dźwięk. Garfield odwrócił głowę i spojrzał na niego ciekawie. Z pyszczka wystawał mu jeszcze ogon... Rybi.

- Co to ma znaczyć!?! - zagrzemiał Dirk, dziwiąc się jednocześnie, że na widok rybich, a nie mysich, szczątków doznał ulgi.

- Kto nakarmił kota?

Z pokoju obok wyjrzał Frank Roth.

- Wszystko w porządku, szefie - zaczął przejętym od Maksa i Moritza zwrotem. - To babcia Nemitz. Tylko pod tym warunkiem zgodziła się zostawić tutaj Garfielda na noc.

- To znaczy, że mysz jeszcze żyje? A może już...?

- Babcia Nemitz mówiła, że Garfield nie je myszy, tylko je łąwi.

A potem daje w prezencie temu, kogo lubi.

- No to miejmy nadzieję - odpowiedział Dirk, siląc się na wesoły ton - że to pan jest ulubieńcem Garfielda. Wolałbym nie znaleźć martwej myszy na biurku.

- Ja też nie - odpowiedział Frank Roth poważnie. - Ale wiem, co zrobię, i radzę panu to samo. Przyjdę jutro później do biura, a przez ten czas Helga wyrzuci mysz. To wiejska baba, nie boi się myszy.

- A pan się boi? - spytał Dirk, a w jego głosie zabrzmiała raczej nadzieja niż potępienie.

- Ach! - obruszył się Frank dość nieszczerze. - Nie mówię, że się boję, raczej się brzydzę - wyznał i zaraz pośpieszył sprostować:

- Nie samej myszy się brzydzę, ale tego, co może być na niej. Pan rozumie, pchły, jajeczka tasiemca, bakterie, wirusy...

- ...cholera i dżuma - dokończył Dirk. - Rozumiem. Ze mną jest tak samo. Niech Helga usuwa mysz. Wiejskie kobiety są uodpornione od dzieciństwa. Zresztą ona nosi rękawiczki przy pracy.

Na najwyższych półkach bielizniarki leżały ręczniki. Starannie poskładane, tak aby nie widać było ich brzegów, równiutko posegregowane według rozmiarów i kolorów. Niżej bielizna Dirka - uprasowana, posortowana, poskładana. Dirk uśmiechnął się z czułością na myśl o osobie, która ten porządek zaprowadziła i utrzymywała. Jego wzrok powędrował na niższe półki, należące do Alke i Dirk zasępił się, gdyż nędzne ich wyposażenie w kobiecą bieliznę boleśnie przypomniało mu o tym, że Alke dużą część swojego życia spędza obecnie w innym mieszkaniu.

Wybrał z szafy czarno-białe prześcieradło kąpielowe i pasujące do niego ręczniki, jeden czarny, jeden biały. Alke wymagała od niego dbałości o estetykę nawet w tak nieważnych drobiazgach i Dirk czuł, jak coraz bardziej się jej poddaje. Jeszcze parę tygodni, a zgodzę się na wyrzucenie ręcznika z Alfem, pomyślał. Jeszcze tylko podkoszulek, bokserki i skarpetki i Dirk ruszył obładowany do łazienki, gdzie w napęniającej się wannie rosła góra białej piany.

Rozbierając się, myślał o uczuciu, które ogarnęło go w drodze do domu. Była to potrzeba przemyślenia wszystkiego w spokoju, wrażenie, że gdzieś w zasięgu jego ręki leży klucz do rozwiązania zagadki śmierci Pagla. Dirkowi nadal marzyło się dochodzenie w stylu Columbo, w głębi duszy nie brał pod uwagę wniosków

SOKO.

Wsunął się w gorącą wodę, pod kołderkę pachnącej piany, przykrył twarz myjką. Tak, nie ulegało wątpliwości. Coś bardzo się nie zgadzało. Tylko co? Jakaś wypowiedź Martina? A może Luka?

Coś, co widział na miejscu zbrodni? To musiał być instynkt detektywistyczny, bo wręcz fizycznie odczuwał jakąś niezgodność.

Z inspektorem Columbo też było podobnie. Jakiś, zdawałoby się nieważny, szczegół przykuwał jego uwagę, kazał mu wyjaśniać błahę niby wątpliwości i bezbłędnie prowadził do sedna sprawy.

Columbo nie dawał się zwieść pozornym oczywistościom. Co było oczywiste w przypadku Pagla? Jego powiązania ze światem przestępczym i to, że gdyby jeszcze parę dni pożył, przyczyniłby się do zlikwidowania poważnej międzynarodowej organizacji przestępczej. Pagel był niewielką płotką, ale dzięki swej inteligencji i urokowi zdobył zaufanie potężniejszych od siebie i wiedział o nich więcej, niż wiedzieć powinien. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że zaniepokojeni jego pertraktacjami z prokuraturą przyjaciele sprowadzili fachowca z Rosji. Nie wykosztowali się przy tym nadmiernie, fachowiec nie mógł być zbyt drogi, jeśli nie stać go było na nowocześniejszą broń. Tak, tak mogło być i tak prawdopodobnie

było. Dirk nie zazdrościł SOKO ani jej pracy, ani ewentualnych wyników. Ale jeżeli... jeżeli rzecz miała się mimo wszystko inaczej, to nikt inny, tylko Dirk wpadnie na właściwe rozwiązanie.

Tak... Coś tu bardzo się nie zgadzało... Ale co?

Dirk poruszył się niecierpliwie w wannie. Niemile uczucie było tak silne, że nie pozwalało mu nawet znaleźć odprężenia w ciepłej wodzie.

Martin Bock. Miał motyw, zadawniony wprawdzie, ale poważny. Pagel zabrał mu narzeczoną. Wystawił go na pośmiewisko akurat w doniosłej dla stolarza chwili inicjacji w nowym środowisku.

Przez pół roku naigrawał się z jego bezsilnej złości. Martin mógł zachować urazę i zapragnąć zemsty po latach. Tym razem jednak nie zabawiał się w publiczne awantury. Przeciwnie, udając, że nie żywi do Pagla złych uczuć - sam zbudował budę psom znienawidzonego rywala, zajął się restaurowaniem jego antyków - dokonał rozpoznania: zaprzyjaźnił się z psami, zorientował się, kiedy Pagel jest w domu sam. Uspił psy, by skierować podejrzenie na kogoś obcego, kogoś z zewnątrz, nie pomyślał jednak o tym, że Arko, Onko i Tchibo nie biorą jedzenia z obcych rąk. Nie było włamania, Pagel musiał sam wpuścić swojego mordercę. Chociaż... Dirk przypomniał sobie ponurą scenerię miejsca zbrodni. Wyłączony monitor komputera, odwrócony od biurka fotel, miejsce, w którym padł

Pagel... Ktoś wchodzi do pokoju... Pagel nie spodziewał się go, bo chcąc ukryć przed gościem to, czym się właśnie zajmuje, wyłącza szybko tylko sam ekran, a nie komputer. Wstaje, idzie gościowi

naprzeciw... Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, bo własny pistolet zostawia przyklejony pod biurkiem... Strzał... koniec.

Martina nie obchodził komputer z całą jego trefną zawartością.

Ani złoty zegarek, ani brylantowy pierścionek ofiary.

Alarm w głowie Dirka przeszedł z fazy żółtej w czerwoną. Pip!

Pip! Pip! Ciepło! Ciepło! Gorąco! Dirk zrzucił myjkę z twarzy i usiadł wyprostowany w wannie. Kąpiel ostygła, z piany pozostały tylko nieliczne smugi. Przez zielonkawą wodę Dirk ujrzał swoje stopy.

W skarpetkach.

Instynkt rzeczywiście go nie mylił. Coś było przez cały czas nie w porządku. Ładny mi inspektor Columbo, pomyślał z goryczą.

Jak z koziej dupy trąbka!

Lodowatym natryskiem spłukał z ciała resztę detergentu, a z myśli sny o sławie.

Już przez okno knajpy zauważył Martina siedzącego przy jednym ze stolików. Stolarz nie był sam. Towarzyszyło mu kilku kirchdorfiar. Rozmawiano, śmiano się. Martin Bock znów był w centrum zainteresowania.

Dirk stanął przy barze i odrobinę skrępowany odpowiedział na powitanie Martina. Jego przyjście sprawiło, że grupka wokół stolika ścięśniała się, głowy pochyliły się ku sobie.

- Duże jasne - odpowiedział Dirk na pytające spojrzenie barmanki.

- Z wódeczką? - Petra uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie, dziękuję.

- Masz racje, Dirk. - Postawiła przed nim kufel. Kiedy pił, przyglądała mu się spod oka, wycierając szklanki, wreszcie westchnęła, odłożyła ścierkę, oparła łokcie i biust o blat przed Dirkiem. - Dobrze, że nie zamówiłeś wódki - zaczęła.

- Taki byłem po pijanemu okropny?

- Ach nie - zaprzeczyła poważnie. - Taki sam jak każdy inny.

Tylko widzisz, ty nie powinienes być jak każdy inny.

- Nie powinienem? Ale jestem. Jestem takim samym człowiekiem jak każdy w Kirchdorfie.

- Nie, Dirk. Wytlumaczę ci to. Tylko się nie gniewaj. Mówię ci to, bo cię lubię. Jesteś u nas ważną osobistością. Szefem policji. My wcale nie chcemy, żebyś się zachowywał tak samo jak wszyscy. Ty musisz nam dawać przykład. Inni mogą się upijać w knajpie i wykrzykiwać głupstwa. Tobie nie wolno. Musisz być taki, jak ma być poważny szef policji.

- Oj... - jęknął Dirk. - Przecież to nieważne. Nie piję w godzinach pracy, to powinno wystarczyć.

Barmanka patrzyła na niego zakłopotana.

- Może ja to wyjaśnię - wtrącił się nagle Luk. - Zacznijmy od Adama i Ewy. Wierzyłeś w Świętego Mikołaja, jak byłeś mały? Dirk przytaknął.

- No więc co byś powiedział wtedy na to, gdyby ten Mikołaj...

- Wiem, co chcesz powiedzieć - przerwał Dirk. - Mam nawet sam dobry przykład. Jak miałem pięć lat, moi rodzice zamówili dla

mnie Mikołaja. To był pewnie jakiś student. Robił to doskonale, miał nawet sanki ciągnięte przez renifera. Widziałem przez okno, jak przyjechał i potem też wyglądałem, żeby zobaczyć, czy nie wzbije się w powietrze. A wiecie, co on zamiast tego zrobił?

Poszedł sikać za nasz garaż! Byłem bardzo, bardzo oburzony. Rodzice musieli mi powiedzieć całą prawdę, że to nie był prawdziwy

Mikołaj, bo nie mogłem się uspokoić. - Wypił parę łyków piwa, odstawił kufel. - To ja jestem w Kirchdorfie taką wyidealizowaną personą? Ciężka odpowiedzialność. Często ranie wasze uczucia niewłaściwym zachowaniem?

- Skądże! - zakrzyknęła barmanka.

- Nic podobnego! - zapewnił Luk. - To było tylko ten jeden raz, gdy się upiłeś. Jesteś wprawdzie inny niż twoi poprzednicy i zachowujesz się czasem inaczej, niż oni by się zachowali, ale to wszystko mieści się w dozwolonych granicach.

- Pamiętasz? - Barmanka zaśmiała się i trąciła dłoń Luka. - Jak on całował Alke na rynku? W mieście aż huczało potem.

- I to było w porządku? - zdziwił się Dirk.

- Oczywiście - powiedział Luk. - Już przedtem wiedzieliśmy, że macie się ku sobie. Ty może nie wiesz, ale martwiliśmy się, że nie masz jeszcze narzeczonej, byłeś młody, samotny. Omawiano to na każdym spotkaniu towarzyskim, w którym ty nie brałeś udziału.

Alke jest porządną dziewczyną, ty poważnym, szanowanym obywatelem, z miejsca zasłużyliście sobie na nasze błogosławieństwo.

- Ślub weźmiecie w Kirchdorfie, prawda? - zainteresowała się

barmanka. - Już sobie wyobrażam. Zrobimy festyn!

- Jeszcze niczego nie planujemy - Dirk ochłodził jej zapał. - Niech Alke najpierw skończy studia.

- Jej wyjazdu Kirchdorf z początku nie pochwalał. Byli tacy, którzy obawiali się, że nie będziesz wierny...

- A jestem? - Dirk wysilił się na tajemniczy uśmiech.

- Petra! - Zziajana kelnerka postawiła na blacie tacę pełną pustych szklanek i kuflów. - Ty sobie gadasz, a ja muszę wszystko robić sama. Rusz się wreszcie! - Odwróciła się do Luka. - Luk, Martin chce z tobą pogadać.

Dirk został sam i zamyślił się nad swoim miejscem na kirchdorfskim świeczniku. Jego myśli błądziły to tu, to tam. Przypominał sobie różne zdarzenia, zastanawiał się nad swoimi publicznymi wypowiedziami i po pięciu minutach podjął męską decyzję. Zwycięży tę mysz! Kirchdorf nie dowie się nigdy o jego głupich lękach.

Skinął na Petrę i gdy obcierał z ust pianę po pierwszym łyku, rozejrzał się po sali. Luk wstawał właśnie od stolika Martina i z tajemniczym uśmieszkiem zbliżał się do baru.

- To auto przed willą Pagla w sobotę wieczorem - zaczął bez wstępów. - Pamiętasz? Mówiłeś mi. No więc to był prawdopodobnie Martin. Tobie powie, że był u Pagla już dużo wcześniej, po południu, ale chyba mu nie uwierzysz, co?

Grupka wokół Martina wpatrywała się w Dirka z napięciem poprzez zadymioną salę. Oczekiwano reakcji komisarza.

Dirk tymczasem poczuł ze zdumieniem, że wzbiera w nim gniew, a nie ochota do polowania.

- Jesteście paskudni - powiedział spokojnie. - Przyjaciele Martina! - dodał z pogardą. Odwrócił się do sali i podniósł głos tak, aby wszyscy mogli go usłyszeć. - Martin! Zrobię wszystko, żeby wyjaśnić, kto zabił Pagła. Jeżeli to ty, pójdiesz siedzieć. Ale ponieważ znam cię i lubię, więc mam nadzieję, że zbiorę dowody, które cię uniewinnią!

Powiedziawszy to, przemaszerował przez salę, uścisnął dłoń zdumionego Martina i opuścił lokal. Gdy był już przy drzwiach, sala zatrzęsa się od burzliwych oklasków.

Niepojęte plemię, ci kirchdorfianie, pomyślał, a myśl ta naprowadziła go na pewien pomysł. Zanim położył się spać, zadzwonił do informacji, gdzie dowiedział się, że w Hanowerze mieszka niejaka Brigitte Pagel. Godzina była już późna, ale Dirk odważył się zatelefonować.

Była żona Pagła pomilczała chwilę, ogłuszona wagą przekazanych jej przez Dirka informacji. Wreszcie rzekła:

- Nie żal mi Reintera, na pewno zasłużył na to, co dostał. W winę Martina nie wierzę, ale nie dziwię się, że rzucono na niego podejrzenie. Nawygłupiał się przed laty dosyć. Ale widzi pan, to do niego pasowało, jest impulsywny, nie robił niczego podstępnie. Zaplanowane morderstwo to zupełnie inna para kaloszy. Zresztą Martin nie jest pamiętliwy, dawno przebaczył i Reinterowi, i mnie.

- Jest pani pewna?

- Jestem pewna. Nie straciliśmy się nigdy z oczu, zostaliśmy przyjaciółmi. Znam więc nie tylko dawnego Martina Bocka, ale i dzisiejszego. Mogę za niego ręczyć.

- A jak do tego pasuje ta historia z anonimem? - przypomniał Dirk. - To było już coś poważniejszego, prawda?

- Och - westchnęła Brigitte. - Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć jednym zdaniem, chyba że wystarczy panu moje przekonanie o tym, że nie Martin był autorem. Czy musimy o tym rozmawiać w środku nocy? Może wpadnie pan do Hanoweru, pogadamy spokojnie.

Dirk zgodził się natychmiast. Dobrze wiedział, że nie dowie się od Brigitte żadnych rewelacji, ale znęciła go szansa zobaczenia się z Alke poza kolejnością. Według jej planu zajęć ustalił też termin spotkania.

Czwartek

Helga Meier podniosła z podłogi mały stosik korespondencji.

- Dzień dobry! - zawołała w pustą przestrzeń komisariatu.

Nikt nie odpowiedział. Tylko z kanapki dla klientów podniósł się tłusty rudy kocur, ziewnął i nie śpiesząc się odegrał pantomimę pt. „Kot za wcześnie wyrwany ze snu”. Jego pazury pozostawiły wyraźne ślady na skórzanym obiciu i zagniewały Helgę. Jej niechętna reakcja sprawiła, że Garfield błyskawicznie zdjął sztukę z afisza i zastąpił ją przedstawieniem pt. „Zagłodzony kotek wita dobrą kobietę”. Tym razem miał powodzenie, Helga przełożyła gruby plaster szynki ze swojej bułki do kociej miski i już z własnej inicjatywy zmieniła gazetę

w kuwecie. Garfield, zaspokoiwszy dwie podstawowe potrzeby, wskoczył na parapet, gdzie właśnie zaczęła pojawiać się pierwsza plama słońca. Czekając, aż plama przyjmie właściwe rozmiary, zabrał się za toaletę.

Helga tymczasem zdążyła już spośród nieciekawej urzędowej korespondencji wyłowić długą elegancką kopertę z papieru czerpanego. Dirk Tielke, Komisariat, Am Marktplatz, Kirchdorf, brzmiał dość niedokładny adres, a obok dopisek: PRYWATNE. Nadawcy nie było. Helga pomacała kopertę. Gruby papier krył w sobie chyba coś jeszcze poza samym listem.

Uszczęśliwiona sprzątaczką zakrzętnęła się szybciotko. Przeniosła tajemniczy list do zachowanka i położyła go obok maszyny do kawy. Do blaszanego wiadra włożyła butelkę z detergentem, szufelkę i podmiotkę i ustawiła wszystko na brzegu krzesła przysuniętego do drzwi wejściowych. Była to przezorność na wypadek, gdyby któryś z policjantów wbrew zwyczajom zjawił się za wcześnie w pracy.

Helga włączyła maszynę do kawy. Kiedy gęsta para zaczęła wydobywać się z aparatu, zbliżyła do niej kopertę. Czekając, aż wilgoć zrobi swoje i odkryje tajemnicę listu, Helga spróbowała własnych sił na polu dedukcji.

Ten, kto napisał list, jest prywatną znajomością komisarza Tielke, na to wskazywał dopisek na kopercie. List jednak wysłany jest na adres biura, a nie mieszkania. To może mieć dwojaką przyczynę.

Albo nadawca nie wie, gdzie Dirk mieszka, albo woli, żeby

panna

Fink nie dowiedziała się o tej korespondencji. Pierwszą
możliwość

Helga odrzuciła, wydała jej się zbyt banalna. Tak więc nadawca
boi się Alke i co za tym idzie, jest kobietą. I to kobietą zainteresowaną

Dirkiem jako mężczyzną. Ciekawe, jak dobrze się znają? Prawda
zaraz wyjdzie na jaw...

Niestety, sklejenie koperty okazało się nad wyraz solidne.
Procedura nie trwająca nigdy dłużej niż pół minuty teraz przeciągała
się w nieskończoność. Co gorsza, choć miejsce sklejenia nie doznało
szkody, cała reszta koperty zaczęła wyglądać, jakby od godziny leżała
na deszczu. Helga tylko na mgnienie oka zmartwiła się tym faktem.
Powiem, że list wpadł mi do wiadra z wodą, pomyślała, wzruszając
ramionami. Jeszcze przez chwilę trzymała kopertę nad parą, nim
pojęła otwierające się przed nią możliwości.

Dlaczego tylko udawać? Jeżeli już teraz naprawdę wrzuci list do
wody, ułatwi sobie tylko robotę. Szybko napełniła drugie wiadro
ciepłą wodą i po namyśle chlupnęła do niej detergentu. Zanurzyła
kopertę.

Nic. Sklejenie nie puszczało. Za to rozmokły papier, straciwszy
swą sztywność potwierdził domysły Helgi. W środku coś było.

Coś płaskiego, okrągłego.

Helga dostała wypieków na myśl o tym, jaki to przedmiot posyła
Dirkowi tajemnicza nieznajoma. Nic innego jak tylko bezwstydnym
symbol seksualnej miłości!

Teraz już nic nie mogło Helgi powstrzymać. Para wodna i detergent nie dały rady kopercie, ale silne dłonie sprzątaczkę dadzą!

Trudno. Kochanka komisarza będzie musiała napisać nowy list.

Zrobi to, jeśli jej na nim zależy. A jak nie, to drugie dobrze. Pan

Tielke nie powinien zdradzać panny Fink.

Służbowy telefon komórkowy popiskiwał w kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła w kuchni. Drugi, własny telefon Dirka brzęczał słabiutko na podłodze pod kołdrą, która zsunęła się z łóżka.

Zawinięty w koc Dirk spał.

Zbudziło go dopiero przeraźliwe wycie karetki pogotowia, pędzącej na skrót cichą zazwyczaj uliczką.

W Kirchdorfie wybuchła bomba!

Nawet dwie bomby. Pierwsza, listowa, w rękach sprzątaczkę Helgi Meier. Potraktowana niewłaściwie wodą i mydlinami, straciła część swej potencjalnej siły. Jej wybuch można by nazwać marnym puff, gdyby nie to, że w efekcie Helga omal nie straciła obu dłoni.

Druga bomba zatrzęsała całym miasteczkiem. Gruchnęło w rynku i w uliczkach, postawiło na nogi każdego, kto umiał chodzić, echo poniosło się aż do okolicznych gmin, sprowadziło specjalistów z odległych metropolii. Specjalistów od materiałów wybuchowych i specjalistów od terrorystycznych zamachów, a także

SOKO wraz z komisarzem Lange i prokuratorem Erlandem.

Tą drugą bombą była plotka na temat pierwszej.

Skruszony Dirk długo musiał się tłumaczyć, że to nie on narobił takiego szumu. Gdy wiadomość o wysadzeniu w powietrze

komisariatu policji poszła w świat i spikerzy mniej poważnych programów radiowych rozważali pytanie, czy to sprawka RAF-u, PKK czy PLO, on spał jeszcze pogrążony we śnie i niewiedzy.

- Oczywiście, Dirk, rozumiem, że się przestraszyłeś - tłumaczył Henry z nieprzyjemnym uśmiechem. - I my zajmiemy się tą sprawą. Ale czy trzeba było stawiać na nogi całą policję Landu i jeszcze sprowadzać jednostkę GSG93? To może pociągnąć dyscyplinarne konsekwencje, wiesz?

Dirk wiedział. Zmartwiony, choć bez poczucia winy, patrzył przez okno na zamaskowanych, ubranych na czarno i uzbrojonych po zęby mężczyzn. Groźnych wojowników otaczał wianuszek dzieci i młodzieży. Czyżby nie było dziś szkoły? Max i Moritz biegali zaaferowani po rynku, widocznie znów coś organizowali.

- To była bomba listowa - odezwał się znowu Henry. - Sprzątaczką zeznała, że zaadresowana była do ciebie. Teraz oczywiście trudno to będzie udowodnić - Henry wskazał zasychające na ścianach i meblach grudki papier mache. - Dlaczego jeszcze żyjesz, Dirk? Czy nie dlatego, że korespondencję policji kirchdorfskiej przegląda z reguły sprzątaczką? A może pozwalasz jej otwierać tylko swoje prywatne listy?

Dirk zanadto był oszołomiony, żeby odpowiadać. Potulnie słuchał docinków Henry ego, obserwując jednocześnie, jak zebranie na rynku rozrasta się do rozmiarów festynu. Wynoszono stoliki, pojawiły się kosze z żywnością i wielkie termosy z gorącymi napojami. Czarni rycerze pościągali maski i zabezpieczyli nieporęczną

broń w samochodzie pancernym. Ktoś przytargał ogromny magnetofon kasetowy i po chwili zabrzmiała wesoła muzyka.

Następnie Dirk odpowiadał na pytania komisarza Lange. Po raz pierwszy występował sam w roli przesłuchiwanego. Gdy wreszcie złożył podpis na paru egzemplarzach protokołu, poczuł, że nie wytrzyma w komisariacie ani chwili dłużej. Zostawił go więc pod opieką Franka Roth i gości, a sam udał się do szpitala w Isebruck.

Gdy patrzył na zapuchniętą, pozaklejaną plastrami twarz Helgi, na jej zabandażowane dłonie, targały nim sprzeczne uczucia. WspółGrenzschutzgruppe 9 - jednostka specjalna do walki z terroryzmem. czucie, wdzięczność, ale i gniew. Z trudem powstrzymywał się od wygłoszenia porządnego kazania. Miał wielką ochotę powiedzieć sprzątacze, że sama jest sobie winna, że ma, na co zasłużyła, że dostała teraz nauczkę na przyszłość i że Dirk ufa, że grzebanie w jego korespondencji skończy się raz na zawsze.

- Panie komisarzu - jęknęła Helga słabym głosem. - To jakiś zły człowiek chciał pana zabić.

- Na to wygląda - przyznał.

- Panie komisarzu... - Helga z trudem formowała słowa poranionymi wargami, więc Dirk pochylił się nad nią. - Panie komisarzu - powtórzyła. - Tak się z tego cieszę...

Dirk wyprostował się, zaskoczony, ale zaraz pochylił się znowu, bo Helga szeptała dalej:

- ... tak się cieszę, że to nie był list od kochanki pana komisarza.

To dobrze, że jest pan wierny pannie Fink.

Na rynku ciągle jeszcze świętowano, choć przybysze z odległych miast już odjechali. Dirk zostawił auto przed swoim domem i przemknął się bocznymi uliczkami do Dienergasse.

- O, pan inspektor. - Angela otworzyła drzwi. - Proszę, niech pan wejdzie. Co pana do mnie sprowadza? - spytała i odpowiedziała sama: - Pewnie musi pan zadać parę pytań Gizeli. Biedaczka, mało, że znalazła trupa, to jeszcze teraz nie daje się jej spokoju. Pozwoliłam jej pójść na rynek, taka była ciekawa dowiedzieć się więcej o tym zamachu. No, a teraz ja będę miała wiadomości z pierwszej ręki. - Usadziła Dirka w fotelu i wskazała na zastawiony stół. - Jem właśnie drugie śniadanie. Myśli pan, że trochę za późno? - Zaśmiała się jak skowronek. - O nie. Ja późno wstaję.

Sen to zdrowie i uroda, wiedział pan? - Postawiła przed Dirkiem porcelanowe nakrycie. - Wygląda pan na bardzo zmęczonego.

Niech się pan posili i odpocznie. Czy to prawda, że z komisariatu nie pozostał kamień na kamieniu? Jest pan teraz, że tak się wyrażę, bezdomny.

- Kamień na kamieniu? - zdziwił się Dirk. - A skąd! To plotki!

Wszystko stoi, gdzie stało i tylko ja będę miał teraz kłopoty.

- Więc to nie byli terroryści? Nie RAF4?

- RAF nie istnieje od paru miesięcy. Rozwiązali się sami. Natomiast inne organizacje terrorystyczne albo działają we własnych krajach, albo szukają bardziej efektownych obiektów dla swoich akcji. Nie. Ten zamach dotyczył tylko mnie. Prawdopodobnie wiem więcej na temat morderstwa Pagla, niż sam się domyślam.

Ktoś chciał mnie usunąć z tego świata, ale tylko pokaleczył Helgę

Meier. Właśnie dlatego tu jestem. Chciałem spytać panią...

Angela aż podskoczyła na krześle, kawa z trzymanej w dłoni filiżanki chlapnęła na bladozielony adamaszkowy obrus.

- Pan myśli, że to ja podłożyłam panu bombę?! - krzyknęła.

Dirk parsknął śmiechem.

- Przepraszam - usprawiedliwił się. - Nie z pani się śmieję, tylko z nieporozumienia, które niechcący wywołałem. Nie przyszedłem tu, żeby kogokolwiek przesłuchiwać. Chodzi mi jedynie o to, że ponieważ pani Meier jest w szpitalu, komisariat został pozbawiony sprzątaczk. Pomyślałem sobie, że może pani Neusch zastąpiłaby Helgę na czas jej pobytu w szpitalu. Pani Neusch straciła przecież zarobek u Pagla...

Angela nie odpowiedziała natychmiast. Z ręką na piersi i z zaciśniętymi ustami oddychała głęboko przez nos. Uspokajała się jeszcze po szoku. Dirk czekał cierpliwie.

- Niestety - powiedziała wreszcie zdecydowanie. - Muszę w imieniu Gizeli odmówić. Gizela nie potrzebuje dodatkowego zarobku. A zresztą nie pozwoliłabym jej nigdy pracować w miejscu, które w każdej chwili może wylecieć w powietrze. Przykro mi...

- Mnie również - powiedział Dirk i podniósł się z fotela, a przez głowę przeleciało mu tysiąc myśli. Czy mysz mieszka jeszcze w biurze? Babcia Nemitz zabrała swego ulubieńca z tych samych powodów, dla których Angela nie chce pożyczyć Gizeli. Tym lepiej.

Garfield nie zjadał myszy, tylko je łapał. Bez Helgi problem nie do rozwiązania. Trzeba będzie pożyczyć sobie innego kota.

Prawdziwą bestię.

Rote Armee Fraktion - najsłynniejsza niemiecka organizacja terrorystyczna; rozwiązała się sama 20 kwietnia 1998.

- Ooo - Angela wyciągnęła wargi w smutny ryjek - chce pan już iść? Nie dopił pan nawet kawy. Myślałam, że opowie mi pan o tej mafii, która zabiła pana Pagla... Niech pan siądzie, tak mi nudno samej... - napraszała się, mrugając powiekami.

Dirk usiadł. Nie ciągnęło go do biura. Nie tylko mysz czekała tam na niego. Jeszcze dziś trzeba będzie napisać dokładne sprawozdanie z porannych zdarzeń.

- Pani Meischner już wyjechała? - Wskazał pusty fotel pod oknem.

- Tak, ciocia wyjechała i nie mam z kim rozmawiać...

- Chętnie dotrzymam pani towarzystwa. Kawa jest pyszna, rozmówczyni czarująca... Tylko może porozmawiajmy o czym innym.

Nie wolno mi postronnych informować o przebiegu śledztwa.

- Z Lukaszem Sauerkirshgartenem pan rozmawia, z innymi też. Czuję się niesprawiedliwie wyłączona - zaczęła żalić się Angela i znów zrobiła ryjek. Tym razem bardziej obrażony niż smutny.

- No dobrze. - Dirk uśmiechnął się porozumiewawczo. - Powiem pani prawdę. Zwyczajnie nudzi mnie ten temat. Handel żywym towarem, porachunki mafii, to wszystko jest ponure, ale moim zdaniem zupełnie nieciekawe.

- Nieciekawe? Żartuje pan chyba. Ja uwielbiam kryminały - wskazała kciukiem za siebie.

Dirk podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez Angelę.

Spory regał przy telewizorze po brzegi wypełniony był kasetami wideo. Kryminały, kryminały i jeszcze raz kryminały.

- No dobrze, spróbuję, choć ostrzegam panią, że prawdziwe zbrodnie nie są fascynujące. Opowiem pani pewną ciekawostkę.

Zidentyfikowano broń, z której został zastrzelony Pagel.

Angela Vogt po raz drugi oblała się kawą. Jest dziś nastawiona na silne przeżycia, pomyślał Dirk. Za wszelką cenę.

- Wiadomo, kto jest właścicielem?! - zawołała.

- Przykro mi panią rozczarować, ale niestety nie. Specjalistom udało się jedynie stwierdzić, że morderca użył sowieckiego pistoletu TT z czasów mniej więcej drugiej wojny światowej.

- Ach! - zdumiała się Angela. - A po czym to poznali?

- Po łusce. Jest podpisana.

- Jaka łuska? O czym pan mówi?

Dirka zaskoczyła niewiedza Angeli.

- Łuska to część naboju, która po strzale wypada z pistoletu.

- Coś wypada z pistoletu po strzale? - Angela była jednym znakiem zapytania.

- Łuska. Z pistoletu wypada - zgodził się Dirk. - Z rewolweru dla odmiany łuska nie wypada. Gdyby...

- Nieważne - przerwała mu niecierpliwie. - Chcę więcej wiedzieć o tym pistolecie. Jak można teraz znaleźć właściciela?

- To nie jest łatwe. Chyba że morderca strzelał ze swojej własnej, zarejestrowanej broni. Sprawdzono już wszystkich siedemnastu właścicieli zarejestrowanych w Niemczech tetetek, bez pozytywnego efektu.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że broń była nierejestrowaną pamiętką albo...

- Nie! - przerwała mu znów Angela. - Pytam, czy to znaczy, że można poznać po broni, że to właśnie z niej strzelano.

- Jak najbardziej - zapewnił ją Dirk. - Ale to taki ekspert od kryminalów jak pani powinien chyba wiedzieć.

Podszedł do regału przy telewizorze i z podziwem przyglądał się rzędom kaset wideo.

- Och, gadanie o broni puszczam mimo uszu...

Co najmniej dwie półki zajmował inspektor Columbo. Na oko trzy razy tyle, ile miał Dirk.

- O, to! - powiedział, przeciągając wierzchem dłoni po grzbietach kaset. - To są prawdziwie interesujące sprawy. Starannie zaplanowane morderstwo, ciekawy motyw, inteligentny morderca, to jest prawdziwe wyzwanie dla policjanta...

- Ze śmietanką? - spytała Angela, dolewając kawy. - Nie spróbował pan jeszcze rogalików. - Pogroziła palcem z kokieterijną surowością. - Nie wstaje się od stołu przed gospodynią.

Dirk usiadł i jednym łykiem opróżnił maleńką filiżankę.

- No a Martin Bock? - spytała Angela. - Ostatnim razem wspominał pan o nim. Nadal jest podejrzany?

- Moim zdaniem, Martin Bock jest niewinny jak niemowlę.

Pracuję raczej nad tym, żeby poprawić mu znów opinię.

Angela westchnęła i zamyśliła się nad czymś głęboko. Marszczyła czoło, wydymała wargi. Wreszcie zatrzepotała rzęsami i spojrzała na Dirka.

- Jeżeli nie chce pan rozmawiać o nudnym, jak pan mówi, dochodzeniu, to w takim razie ja zabawię pana rozmową. Opowiem panu może historię powstania domów przy Dienergasse? Słyszałam, że chciałby pan kupić jeden z nich. Tylko który? O ile wiem, nikt z sąsiadów nie przewiduje w najbliższym czasie sprzedaży.

- To tylko takie raczej nierealne marzenie - powiedział Dirk.

- Moja narzeczona i tak wolałaby nowoczesny domek, a cała sprawa zacznie być aktualna dopiero po naszym ślubie. Ale chciałem spytać... - tym razem Dirk wskazał kciukiem regał.

- Biorą państwo ślub? Ooo, jak pięknie. „Moja narzeczona” to brzmi tak staroświecko, tak romantycznie i solidnie.

- Tak, rzeczywiście, trochę to myszką trąci. Ale Alke bardzo zależało na ceremonii zaręczyn. Ja bym się z nią ożenił tak czy tak.

Ale co do tych kaset...

- Nie złamie pan obietnicy małżeństwa?

Dirk westchnął.

- Mam wrażenie, że cały Kirchdorf czuwa nad interesami Alke.

Za kogo wy mnie macie?

- Za mężczyznę - odpowiedziała Angela z powagą, a jej oczy straciły na chwilę dziewczęcą filuterność.

Dopiero teraz Dirk uświadomił sobie, że Angela Vogt jest starą panną.

- Chciałbym pożyczyć od pani parę kaset z Columbo - powiedział szybko. - Przepadam za tymi filmami, a sam nie mam nawet połowy tego, co pani.

Angela popatrzyła mu w oczy.

- Bardzo mi przykro, ale nigdy nie pożyczam moich kaset - odpowiedziała stanowczo. - To jest zasada, od której nie odstępuję.

Zrobi się jeden wyjątek i zaraz znajdzie się powód, żeby zrobić następny. Bardzo mi przykro.

- Szkoda, no, ale trudno - zgodził się Dirk. Podniósł filiżankę, ale zaraz odstawił ją, bo była pusta.

Angela nie dołała mu kawy, wstała i opuściła żaluzję, zasłaniając zawartość regału.

- Dziękuję panu za miłe towarzystwo. - Spojrzała na zegarek.

- Och! - zawołała. - Muszę już pana pożegnać, za pół godziny mam termin u fryzjera.

- Chętnie panią odprowadzę - zaofiarował się Dirk. Miał wrażenie, że popełnił gafę i uraził Angelę i choć nie poczuwał się do winy, zapragnął nagle podlizać się swojej naburmuszonej rozmówczyni. - Nie mam tu wprawdzie samochodu, ale pogodę mamy dziś wymarzoną do spacerów.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odmówiła Angela, prowadząc

Dirka do wyjścia. Znow jednak zaczęła się do niego uśmiechać.

- Mój fryzjer jest w Isebruck. Ten koło komisariatu ma podobno

myszy!

„Prawdziwą bestię” pożyczyła Dirkowi pani Kunz. Określenie „rzejmieszek” bardziej pasowało do chudego, muskularnego kocura o żółtych ślepiach. Paul nie interesował się Dirkiem. Pozwalał mu się jednak nieść, nie robiąc wstrętów. Jego uwagę przykuwały jedynie wróble na kirchdorfskim bruku i gołębice na gzymsach domów.

Wypuszczony na podłogę w komisariacie rozejrzał się w skupieniu, następnie podszedł do jednej z szaf. Jego ogon zaczął wykonywać sztywne, urywane ruchy, sam Paul zaś przysiadł i zamarł w bezruchu. Dirkowi ciarki przeszły po plecach. Nie było wątpliwości, wypożyczony morderca umiejscowił ofiarę.

Godziny mijały. Dirk pocił się nad maszyną, starając się nieporęcznym urzędowym językiem opisać wydarzenia poranka. Za wszelką cenę pragnął uniknąć wspomnianych przez Henry ego konsekwencji spowodowanych niepotrzebnym wzywaniem zbrojnych jednostek, jednocześnie starał się swoje wywody sformułować tak, aby nie stać się pośmiewiskiem wyższych instancji. Trudne to było zadanie.

Mimochodem więc tylko rejestrował taktyczne posunięcia Paula, przemieszczającego się niekiedy błyskawicznie z jednej strony szafy na drugą albo sięgającego łapą w ciasną szparę. Mysz wyraźnie nie czuła się pod wąskim meblem bezpiecznie i planowała ucieczkę w inne okolice. Paul tylko na to czekał.

Okolo ósmej Dirk zakończył ostateczną wersję sprawozdania, wyciągnął kartkę z maszyny i odczytał cały tekst.

- Dobrze - powiedział z uznaniem. Świat znów wydał mu się miły. Spojrzał na zegarek. Praca twórcza zajęła mu trzy godziny!

Trzy godziny, w czasie których maleńka myszka cierpiała męki w niebezpiecznej bliskości drapieżnego potwora! Nie, tego Dirk nie planował. Paul miał przyjść, złapać mysz, szybko ją ukatrupić i zjeść. Dodatkowe tortury przed śmiercią nie były przewidziane.

Dirk poczuł wstyd. Przyciskając policzek do ściany, spróbował zajrzeć w ciemną szparę. Dostrzegł dość niewyraźnie czarniejsze od mroku kontury czegoś o właściwych myszom rozmiarach. Nie namyślając się długo, Dirk chwycił Paula i wybiegł z nim na rynek. Pani Kunz mieszkała po drugiej stronie. W oknie świeciło się jeszcze. Dirk nacisnął dzwonek.

- Nic z tego nie wyszło, choć Paul bardzo się starał - wyjaśnił, oddając kocura. - Kupię jutro pułapkę.

Po powrocie do biura Dirk znów zajrzał za szafę. Był pewien, że myszka wykorzystwała zawieszenie broni i przeniosła się do swojej nory. Ale ciemny kształt wcale nie zniknął. Trwał bez ruchu w tym samym co poprzednio miejscu. Wstyd Dirka przemienił się w wyrzuty sumienia. Biedactwo boi się choćby drgnąć! Nic dziwnego, gdyby to on był na jej miejscu, to po trzech tak strasznych godzinach też nie odważyłby się ruszyć ani ręką, ani nogą.

Poczekam do dziewiątej, zdecydował Dirk, do tego czasu mysz dawno już sobie pójdzie. Wiedział, że nie mógłby zasnąć, nie wiedząc, czy niedoszła ofiara Paula ochłonęła z przerażenia.

Czekając, przeglądał akta Martina i swoje notatki na temat

morderstwa Pagla. Nie potrafił się jednak skupić, jego myśli wypełniała całkowicie mysz. Za pomocą latarki spróbował rzucić trochę światła na sprawę, niestety, szpara okazała się za wąska. Latarka oświetliła jedynie ścianę, a odbite od białej powierzchni promienie poraziły go tylko i sprawiły, że przez następnych kilkanaście sekund nie widział nic poza czerwonymi kołami. Gdy komórki wzrokowe zregenerowały się i Dirk zaczął rozróżniać przedmioty znajdujące się w kątach pokoju, ponownie zapuścił żurawia za szafę.

Mysz była!!! Straszne podejrzenie zaczęło kiełkować w duszy

Dirka. Zwierzątko nie wytrzymało napięcia, dostało ataku serca, leży teraz martwe, a Dirk jest temu winny. Co z tego, że o to właśnie chodziło, że śmierć myszy od dwóch dni stanowiła upragniony cel wielu jego poczynań! Ale nie tak! Znęcał się nad maleńką myszką! On, wielki, silny chłop, zadreńczył z premedytacją tę małą istotkę!

Teraz trzeba będzie ponieść konsekwencje niecnego czynu.

Przesunąć szafę, spojrzeć na bezwładne ciało, pozbierać je jakoś z podłogi, wynieść... Nigdy!

- Ratunku! - jęknął Dirk żałośnie i dopiero wtedy uzmysłowił sobie całą potworność sytuacji. Helga leży w szpitalu. Zanim wyzdrowieje, mysz zdąży zaśmierdnąć. Angela odmówiła mu Gizeli.

Frank? Max albo Moritz? Jest ich przełożonym, owszem, ale jak wytłumaczyć im, że nie sprzątnął myszy sam?

A może zostawić mysz, gdzie jest, i udać, że o niczym nie wie?

Smród rozkładającego się ciała zwróci wreszcie czyjąś uwagę.

Nie Dirka. Dirk będzie miał katar. Dobry pomysł. Dobry? Dirk wiedział, że nie zniesie świadomości przebywania z trupem przez kilka dni w tym samym pomieszczeniu. I to z trupem własnej ofiary!

Trudno. Trzeba będzie kogoś wezwać na pomoc. Kogoś wtajemniczyć, przyznać się do wstydlivej fobii, wyznać przewinienie...

Kogo wezwać? Luka? Jutro historia stałaby w gazecie. Któregoś z knajpianych towarzyszy? Żaden z nich nie utrzyma języka za zębami, rozbawi ich wyobrażenie policjanta bojącego się myszy.

Więcej zrozumienia znalazłby raczej u jakiejś kobiety. Ale pewnie jeszcze mniej dyskrecji...

Chociaż... Tak, to może być wyjście!

Dirk niecierpliwie zaczął kartkować książkę telefoniczną. Po chwili wystukał numer stacji ekologicznej.

Jeden sygnał, drugi...

- Stacja ekologiczna, Dobrzańska - usłyszał trochę zmęczony głos.

Była! Nie poszła jeszcze do domu!

- Dobry wieczór, tu Tielke. Komisarz Tielke.

- Mój Boże! Stało się coś?

- Nie, nie! Niech się pani uspokoi. Nie dzwonię do pani jako policjant, natomiast potrzebuję pani... pomocy... no, powiedzmy, na razie... porady jako biologa.

- Ach? W nocy? Znalazł pan może zranionego nietoperza?

To pytanie sprawiło Dirkowi niepomierną ulgę.

- Jaka pani jest domyślna! - wyrwało mu się. - Ale nie o nietoperza chodzi, tylko o coś w tym rodzaju. Dość wstydliva sprawa i prosiłbym panią o dyskrecję...

- Och nie...! - jęknęła niespodzianie Isia, a po chwili zapytała z rezygnacją: - Ma pan w domu zdechłą mysz i brzydzi się pan wziąć ją na szufelkę i wyrzucić? Zgadłam?

Dirka zatkało. Nastawił się na długie i skomplikowane opowieści i tłumaczenia, tymczasem ta wspaniała osoba bezbłędnie trafiła w dziesiątkę.

- Trup jest w moim biurze za szafą - wyznał.

Isia milczała.

- Pomoże mi pani? - spytał wreszcie Dirk.

- Zaraz tam będę. Za jakieś pół godziny, może trochę więcej, jadę rowerem - odpowiedziała.

- Podjadę po panią - zaofiarował się ochoczo.

- Nie trzeba. Dziękuję. Wolę rower. Widzi pan, chcę się duchowo nastawić. Ja też się boję myszy i brzydzę trupów. Ale ze względu na mój zawód muszę się od czasu do czasu przełamać. Spróbujemy załatwić tę sprawę razem. Ja będę wspierała pana, pan mnie. Jakoś to będzie.

Po zakończeniu sprawy Ahlersa przed dwoma laty Dirk z rzadka tylko widywał Isię. Stacja ekologiczna dysponowała już własnymi bateriami słonecznymi do ładowania akumulatorów, kolorowy samochód przestał co tydzień pokazywać się na ulicach Kirchdorfu. Isia mieszkała w Dunkelmoor i tam albo w Isebriick załatwiała

zakupy. Przyjeżdżała jednak regularnie, delegowana przez ekologów, na publiczne zebrania rady gminnej i Dirk miał wtedy okazję podziwiać jej niezłomność jako obrończyni spraw natury.

Prywatnie Isia nie była ani waleczna, ani nawet zbyt pewna siebie. Na wernisażu wystawy obrazów przyjaciela Isi, Ralfa Niemana, w pomieszczeniach banku w zeszłym roku, Dirk zagadnął ją, bo zrobiło mu się jej żal. Stała sama na uboczu, Ralf zajęty był właśnie dyskusją z jakimś krytykiem w żółtej pelerynie, a reszta kirchdorfskiego lepszego towarzystwa nie śmiała podejść do przyjaciółki i modelki artysty. Przyczyną powściągliwości kirchdorfskich było dwie prace, dwa pełne uroku obrazy zatytułowane „Isia ubrana” i „Isia naga”. Nikt nie wiedział, jak należałoby z Isią rozmawiać, czy komentować akt, czy raczej pomijać go milczeniem.

Dirk też nie wiedział, powtórzył więc swój niefortunny żarcik z czasów sprawy Ahlersa, którym kiedyś wprowadził Isię w zakłopotanie.

- No to jak - spytał wesoło - ukrywa pani kogoś w stacji?

Isia spojrzała na niego zaskoczona, nie rozumiejąc, do czego pije. Wyjaśnił. Isia uśmiechnęła się z przymusem i zapewniła, że nie ma tajemnic przed policją. Dirk powiedział, że niczego jej nie zarzuca. Isia powiedziała, że to miło. Dirk wydusił z siebie następny banał, Isia zmusiła się do odpowiedzi. Szło im jak po grudzie.

Obojgu jak żywa stanęła przed oczami podobnie ciężka rozmowa sprzed dwóch lat i oboje zastanawiali się w duchu, po jakiego diabła Dirk uparł się ją powtórzyć. Tym razem Dirk nie szukał przyczyny niekomunikatywności Isi w regularnych kobiecych

przypadłościach. Dobry fachowiec, ale prywatnie nudna, uznał i zdecydował w przyszłości poprzestać na ukłonach z daleka.

Czekając teraz w komisariacie, aż Isia przypedałuje do Kirchdorfu, Dirk dziwił się, że nie czuje tremy przed tym spotkaniem.

No, temat do rozmowy mamy, myślał, zresztą trzeba będzie działać, a nie gadać.

Isia zapukała w szybę.

- Wolno mi wprowadzić rower do korytarza? - spytała. - Nie mam zamka.

- W Kirchdorfie nikt nie kradnie rowerów - zapewnił Dirk.

- Może pani zostawić go przed drzwiami.

Isia weszła do biura. Roztarła energicznie dłonie i przyłożyła je do zmarzniętych uszu. Rozejrzała się, następnie wskazała kolejno dwie szafy.

- Tu czy tu? - spytała.

- Tu - Dirk wskazał węższą z szaf.

Isia westchnęła. Stała ciągle jeszcze przy drzwiach.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała. - Będzie nam łatwiej. Isia.

- Isia? - powtórzył.

- To zdrobnienie od Jadwigi. Hedwig.

- Ale nazywasz się Isia? - upewnił się Dirk.

- Mówi się do mnie Isia, w paszporcie mam Jadwiga.

- Czyli nazywasz się Jadwiga, a Isia to przezwisko.

- Nazywam się Isia, albo Jadwiga, albo Wisia, albo Jadzia...

Mów do mnie jak ci wygodniej. Ja jestem najbardziej przyzwyczajona do Isi. W Polsce rzadko używa się pełnego imienia.

- To po co się je nadaje? Dlaczego twoi rodzice nie nazwali cię od razu Isia?

- Bo... - zaczęła Isia, ale nie dokończyła. - Wiesz co? Może najpierw załatwmy z tym trupem.

- Myślisz, że specjalnie odwlekam tę chwilę?

- Myślę. Też się do tego nie palę. No więc jak tobie na imię?

- Dirk.

- To mam szczęście.

- Dlaczego?

- No, gdyby twoi rodzice nadali ci dwa imiona z łącznikiem, musiałabym teraz co zdanie powtarzać, dajmy na to, Johannes-

- Eberhardt.

- Z łącznikiem nie daje się takich długich imion. Klaus-Peter albo Hans-Helmut, albo Jan-Patrick...

Zamilkli. Isia patrzyła na jedną ścianę, Dirk na drugą. Wreszcie spojrzeli sobie w oczy.

- Obawiam się - powiedział Dirk - że skończył się nam temat.

- Na upartego dałoby się jeszcze - zapewniła Isia.

- Ale nie powinniśmy...

Uśmiechnęli się do siebie ciepło.

- Dobrze, zaczynamy - zdecydowała Isia. - Przyniosłam jednorazowe rękawiczki, gdzie jest szufelka?

- Leży tam... - wskazał Dirk. - Co ja mam robić?

- Odsuniesz szafę. Ja wrzucę mysz na szufelkę i szybko ją wyniosę. Gdzie stoi kubek?

- W podwórzu. Poczekaj. Otworzę najpierw wszystkie drzwi i pokrywę kubła. Potem ja odsunę szafę, a ty weźmiesz mysz i wyniesiesz. Tylko proszę, nie pokazuj mi jej i nawet nic nie mów. Wynieś ją bez słowa.

- Dobrze. Tak zrobimy. Pchaj!

Wąską szafę po brzegi wypełniały zbierane latami broszury informacyjne i stare formularze. Dirk pociągnął i ciężki mebel zakołysał się niebezpiecznie.

- Ostrożnie! - zawołała Isia. - Musisz chwycić niżej.

- Niżej? Tam jest mysz! - zaprotestował.

- Zdechła! - przypomniała Isia. - Nie ugryzie cię.

Zaśmiali się nerwowo.

Dirk szarpnął. Szpara przy ścianie poszerzyła się o pół centymetra.

- Więcej! - zażądała Isia. - Muszę widzieć, co robię. Wiesz, mój ojciec wziął kiedyś po ciemku do ręki zdechłego szczura i myślał, że to zgniły burak... Palce mu w niego weszły...

- Nie teraz! - jęknął Dirk błagalnie, zaparł się i szarpnął. Szafa przesunęła się o następnych kilka milimetrów.

W tym samym momencie Isia wrzasnęła. Krzyk zmroził Dirkowi krew w żyłach i unieruchomił cywilizowane części mózgu. Isia rzuciła szufelkę i skoczyła ku wyjściu. Wpadła na biurowe krzesło na kółkach, to podjechało do uchylonych drzwi i zatrzęsęło je.

Reszta mózgu Dirka, ta odziedziczona po zwierzęcych przodkach, przejęła rządy i nakazała mu natychmiastową ucieczkę. Przy drzwiach wpadł na Isię. Nastąpiła zacięta walka o klamkę. Isia pchała, Dirk, lepiej zorientowany w topografii terenu, ciągnął ku sobie. Dzięki temu, gdy atak paniki minął, znajdowali się ciągle jeszcze w biurze, a nie na rynku.

- Co to było? - spytał wreszcie Dirk. - Dlaczego uciekałaś?

- Ty też uciekałeś - przypomniała Isia.

- Uciekałem, bo ty uciekałaś. Zresztą nie zastanawiałem się. Ale dlaczego? Zobaczyłaś mysz?

- Nie mysz... - Isia odwróciła się od drzwi i spojrzała w kąt koło szafy. - Uaaa!!! - Zatrzęsła się ze zgrozą i podskoczyła parę razy.

Dirk podążył za jej wzrokiem.

- To tylko pajak. Zawsze tak reagujesz? Zaraz go usunę.

- Tylko go nie zabijaj! - uprzedziła Isia. - Złap go w szklankę i wynieś daleko od domu!

Dirk zabrał się do dzieła.

- Rzeczywiście ogromny... - zaczął.

- Nie chcę wiedzieć! - zaprotestowała.

- I jaki szybki! - wyrwało się Dirkowi.

Pajak zbiegł ze ściany i popędził po podłodze. Isia wskoczyła na krzesło. Gdy Dirk zakończył łowy i wrócił z krótkiego spaceru ze szklanką po rynku, oświadczyła:

- Słuchaj, Dirk. Po tych przeżyciach nie czuję się na siłach pomóc ci z myszą. Przekroczyłam swoje granice. Mogę próbować, ale

wiem, że uda nam się najwyżej powtórzyć kilka razy całe przedstawienie, jakie daliśmy przed chwilą.

Dirk patrzył na nią ze zgrozą. Dopiero dzięki Isi zrozumiał w całej pełni, co to znaczy mieć fobię. Czuł się rzucony na pastwę dzikich, pierwotnych uczuć. Isia odejdzie, a trup zostanie... Trudno, trzeba będzie zrobić karierę...

- Musimy wymyślić coś innego - powiedziała Isia niespodzianie. Widocznie nie brała jeszcze pod uwagę możliwości dezercji.

- Kogo by tu wezwać?

- Straż pożarną? - zaproponował Dirk, uśmiechając się do Isi z wdzięcznością.

- A wiesz... - odpowiedziała. - To jest myśl! Podpalimy tę szafę. Trzymasz tam coś ważnego?

- Makulaturę. Masz zapalki? Ja nie palę.

- Ja też nie. Trzeba pójść do knajpy kupić. Tylko potem będziesz się musiał tłumaczyć z podpalenia, bo wszystko się oczywiście wyda.

- Będziemy - poprawił.

- O nie! Ja sobie zrobię alibi. Będę jeździła, śpiewając, rowerem po rynku, a jak mi dasz znak, że już się porządnie pali, zacznę wołać: „Ratunku, pożar!”.

- No to pożar odpada. Jako podpalacza wyleją mnie z policji i nie zrobię kariery w polityce.

- Możesz zrobić inną karierę. Sportową, naukową...

Zamyślili się.

- A czas mija... - odezwał się Dirk.

- A mysz zaczyna się rozkładać... - dodała Isia.

- Mam! - krzyknął nagle Dirk. - Znasz Edeltraud Funke?

- Edeltraud Funke! - ucieszyła się Isia. - Oczywiście! Ona się niczego nie boi! I można jej zaufać! Ale nie jest już za późno?

- Może. Mam nadzieję, że nie. W każdym razie dzwonię do niej teraz i nikt mnie nie powstrzyma.

Edeltraud Funke nie spała jeszcze. Dirk nie owijał niczego w bawełnę. Szczerze i otwarcie przyznał się do kłopotu i poprosił o natychmiastową pomoc. Pani Funke zrećźnie ukryła rozbawienie.

- Już jadę - zapowiedziała. - Usunę mysz, a w nagrodę opowie mi pan wszystkie szczegóły morderstwa Pagla. Znałam tego gagatka. Wiedziałam, że prędzej czy później źle skończy.

Czekając na przybycie pani Funke, Dirk wraz z Isią zajęli się opróżnianiem szafy, żeby w decydującym momencie szybko i sprawnie ją odsunąć. Dopiero teraz Dirk opowiedział całą historię z myszą. Isia słuchała z przejęciem i wyrażała współczucie zarówno dla Dirka, jak i dla myszki. Jednocześnie jednak sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Wiesz, Dirk - powiedziała - gdyby nie ten trup za szafą, to cała ta historia byłaby bardzo śmieszna, mógłbyś ją opowiadać jako anegdotkę.

- Chciałbym już patrzeć na to z dystansu, ale póki ona tam leży, nie mogę... Sumienie mnie gryzie. Poza tym martwię się, czy ta fobia nie ma jakiegoś głębszego podłoża.

- Tylko nie wmawiaj sobie problemów, których nie masz. Rzecz

w tym, że nie spodziewałaś się jej wtedy zobaczyć. Pokazała ci się znieńcka i obudziła w tobie jakiś atawistyczny instynkt. Wiesz, niektóre zwierzęta też się boją myszy... Gdybyś był na to spotkanie przygotowany, na pewno nie wpadłbyś w panikę. Ja też nie zawsze tak reaguję na pająki... - zapewniła. - Na twoim miejscu przestałabym się przejmować. Wiesz teraz, że masz w biurze myszy, więc...

- Myszy...?! - jęknął Dirk.

- A ty co myślałaś? Myszy żyją w grupach. Już choćby dlatego, że ciągle się rozmnażają.

- Rozmnażają...

- No dobrze. - Isia poczuła, że lepiej będzie pocieszyć Dirka.

- Może ta myszka to była forpoczta, pierwszy osadnik. Na twoim miejscu podsuwałabym jutro wszystkie meble od ścian i porządnie zagipsowała wszystkie szpary.

- Zacementuję.

- Zacementuj. I nie zapomnij o szparach pod sufitem. Myszy potrafią łązić po chropowatych ścianach.

- Nie strasz...

Czarno-pomarańczowy mikrobus ośrodka zajechał przed komisariat. Edeltraud Funke nacisnęła klakson i zamrugała światłami, zanim wysiadła.

- Ona dobrze wie, że nie wolno trąbić w mieście. - Dirk się uśmiechnął. - Oczywiście nic jej nie powiem...

- Prosty i elegancki sposób ustalenia hierarchii. Teraz już wiadomo, kto kieruje akcją - powiedziała Isia z rozbawieniem.

- Chętnie się podporządkujemy, prawda?

Pani Funke wkroczyła do biura.

- Dobrze, że nie zapaściliście rolety - powiedziała na wstępie.

- Brigitte Kunz siedzi u siebie w ciemnym oknie i jutro cały Kirchdorf będzie wiedział, coście tu wyprawiali.

- O! O! - jęknęli zgodnie Dirk i Isia na wspomnienie panicznej ucieczki.

- Aaa..?! - zdziwiła się pani Funke. - Brigitte miała co oglądać?

Niebezpieczne związki, co?

Isia i Dirk spojrzeli na siebie zaskoczeni.

- Nie! Nic podobnego! Gdzież tam! - zaczęli zapewniać jedno przez drugie, zmieszani.

- Ja się nie wtrącam - powiedziała pani Funke. - Jesteście dorośli i wiecie, co robicie. Może zajmijmy się myszą. Gdzie leży?

- Chwileczkę! - zaprotestował Dirk. - Okropny jest ten Kirchdorf! Teraz musi pani posłuchać, bo to zupełnie nie tak... Nie zasłaniałiśmy okna, bo nie przyszło nam to na myśl. Niestety, ta plotkara Kunz, jeśli przez cały czas nas obserwowała, będzie miała co opowiadać...

I Dirk wyjaśnił nieporozumienie.

- Jak nie urok, to sraczka - skomentowała Edeltraud. - A raczej, chciałam powiedzieć, z deszczu pod rynnę. Nic już na to nie poradzimy. Dawajcie mysz.

Dirk i Isia cofnęli się o krok i tylko wyciągniętymi palcami wskazali szafę.

- Zaraz ją odsunę - zapowiedział Dirk.

- E tam! - pani Funke machnęła dłonią z pobłażaniem. - To tylko pusta szafa. - Jednym pociągnięciem odsunęła ją od ściany i pochyliła się, zaglądając w szparę. - Dirk! - zawołała.

- Nie! Nie! Niech pani nic nie mówi - zaprotestował Dirk, a Isia wsadziła sobie palce w uszy i odwróciła się twarzą do ściany.

- Ale... - zaczęła znów Edeltraud.

- Nie! Nie! Nie! - wołali Isia i Dirk zgodnym chórem.

Pani Funke dysponowała jednak silniejszym organem.

- Tu nie ma żadnej myszy!!! - ryknęła.

Rzeczywiście, myszki nie było. Po zniknięciu okropnego kocura z właściwą sobie przezornością odczekała godzinę, zanim opuściła bezpieczne, lecz mało przytulne miejsce. Podczas gdy Dirk z Isią szaleli wokół szafy, ona w sąsiednim pokoju przeszukiwała biurko Franka Rotha. Była głodna. Tęskniła za spokojnymi kolacjami w towarzystwie Wielkiego Człowieka, on jednak miewał ostatnio bardzo niesympatycznych gości.

Dirk długo jeszcze nie potrafił uwierzyć w swoje szczęście.

Myszka żyła! Nie zadręczył jej na śmierć! Jego sumienie znów było czyste jak lilia!

- Pani jest anioł! - zapewnił potężną i czerstwą herod-babę.

- Nie wykręcisz mi się pustymi komplementami, chłoptasiu!

- Pani Funke zaśmiała się przebiegle. - Wyciągaj akta! Składaj sprawozdanie!

- Chętnie - zgodził się Dirk.

Isia jednak zaczęła ziewać i skarżyć się na ból głowy. Przełożyli więc rozmowę na następny dzień. Pani Funke wróciła do siebie, do Holthusen, a Dirk załadował rower Isi do radiowozu i ruszył do

Dunkelmoor.

Zatrzymał samochód u stóp pagórka, na którym stał wiatrak.

Wyciągnął z bagażnika rower i dostawił go do podobnego męskiego, stojącego w garażu przy aucie.

Isia wysiadła również i czekała, zapatrzona w czarną sylwetkę wiatraka. Nocna mgła ponad strzechą jaśniała tajemniczym blaskiem. To w atelier pod szklaną kopułą ukrytą w dachu świeciło się światło.

- No to... Dobranoc. - Dirk wyciągnął rękę. - Dziękuję ci za pomoc, Isia.

Oderwała roztargniony wzrok od domu i uśmiechnęła się.

- Nie ma za co, Dirk - powiedziała. - Myślę, że naprawdę nie ma za co...

- No to dziękuję ci za towarzystwo. Dawno już się tak dobrze nie bawiłem, jak dziś wieczorem z tobą.

W oczach Isi błysnęły wesołe iskierki.

- Ja też - wyznała.

Dirk zachichotał.

- Co gorsza, pani Kunz też się nieźle bawiła..

- Ciekawe, jak zrozumiała naszą wAlke pod drzwiami?

- Najpierw szamotaliśmy się w kącie przy szafie...

- A przedtem ja założyłam rękawiczki...

- Jakieś wyrafinowane zboczenie...

Punkt po punkcie przypomnieli sobie cały przebieg wizyty Isi.

Hipotetyczna interpretacja zdarzeń przez znaną w mieście plotkarę przedstawiła je w nadzwyczaj komicznym świetle.

- No to ja już pójde - powiedziała wreszcie Isia, ocierając łzy śmiechu. - Cieszę się, że cię poznałam, Dirk... Z innej strony.

- Też się cieszę, że mogłem zmienić o tobie zdanie. Myślałem, że jesteś okropnie nudna.

- Ja? - zdziwiła się szczerze. - No tak, masz rację. Ty też wydawałeś mi się potwornie nudny. I nie tylko nudny, ale jeszcze...

- szukała słowa - upierdliwy - dokończyła po polsku.

- Jaki?

- Natrętnie dociekliwy. Obiecywałam sobie trzymać się od ciebie z daleka.

- Tak samo jak ja...

- I mimo to zwróciłeś się do mnie o pomoc?

- Możesz być pewna, że nie byłaś moją pierwszą kandydatką.

Ale tylko po tobie spodziewałem się dyskrecji.

- Chyba dlatego, że tak trudno było ci zawsze zmusić mnie do rozmowy.

Roześmieli się.

- No to cześć. Dobranoc, Dirk.

- Dobranoc, Isia.

Odwróciła się, żeby odejść. Dirk nie wsiadał do samochodu.

Stał z ręką na klamce, patrząc, jak Isia wspina się powoli ścieżką w stronę wiatraka. Nie znał jej, nic o niej nie wiedział poza tym, że

dzięki niej po raz pierwszy od dawna śmiał się dziś pełną piersią, że czuł się teraz tak lekko, tak pełen ufności w przyszłość. Przyszła do niego zaledwie dwie godziny temu, obca... i odchodziła teraz do tego jakiegoś innego, nieznanego mu życia, które wiodła pomiędzy stacją ekologiczną w głębi kirchdorfskiego parku i wiatrakiem, atelier utalentowanego malarza. Ich drogi życia na krótkim tylko odcinku złączyły się w jedną, by prawie natychmiast podążyć znów w różne strony. Już prawie nie widział Isi, jej sylwetka rozmywała się w gęstym mroku, za chwilę otworzą się drzwi, wiatrak wchłonie ją. Ale wciąż jeszcze była blisko, ich wspólny epizod nie skończył się jeszcze.

Sam nie wiedząc dlaczego, Dirk porzucił samochód i pobiegł za Isią.

Usłyszała jego kroki, zatrzymała się i spojrzała pytająco. Nie powiedział nic, ale zrozumiała jego wzrok, a jej oczy dały mu odpowiedź. Nie śpieszyli się. Objął ją, a ona powoli uniosła ku niemu twarz. Patrzyli sobie w oczy aż do chwili, gdy ich usta się znalazły.

Przez chwilę ich wargi dotykały się tylko delikatnie, aż poznawszy swój kształt i smak, zapragnęły brać i dawać więcej. Z westchnieniem ulgi i szczęścia Isia i Dirk na dłuższą chwilę pograżyli się w pocałunku.

A potem ich wargi znów już tylko muskały się lekko, żegnały się ze sobą, przez chwilę jeszcze patrzyli sobie w oczy, aż dłonie Dirka zsunęły się z ramion Isi.

- Dobranoc - wyszeptała.

- Dobranoc...

Cofał się powoli, niechętnie. Spojrzeniem mówił coś bez słów, bezwiednie, ale dziś jeszcze nie chciała tego słuchać.

Ruszyła w górę ku wiatrakowi. Przy drzwiach odwróciła się po raz ostatni. Radiowóz zawracał właśnie na wąskiej drodze. Isia nie mogła już dojrzeć Dirka. Sięgnęła do kieszeni. Cichutko przekręciła klucz w zamku i wsunęła się do malutkiego przedpokoju, właściwie służy między światem zewnętrznym a mieszkaniem.

Z kuchni padało światło przez matową szybę. Ralf? Wolałaby go teraz nie spotkać, nie tak natychmiast po tym, co się wydarzyło przed chwilą. Co się wydarzyło? Właśnie. Isia pragnęła to najpierw rozważyć sama z sobą. Powoli, żeby zyskać na czasie, ściągała adidas. Zza drzwi doszedł ją jakiś dźwięk. Ralf był w kuchni, musiała tam wejść. Nie chciała mówić prawdy, nie chciała kłamać, nie chciała ani bagatelizować, ani szukać problemu tam, gdzie go nie było - ratunku, jak się zachować? Jak długo można stać w tej klitce, oglądając w lustrze głupi wyraz malujący się na własnym obliczu?

Isia westchnęła z rezygnacją, nacisnęła klamkę i wkroczyła do kuchni. Niech się dzieje, co chce.

Od ściennej szafy, w której właśnie grzebał, odwrócił się do niej Ralf. Na głowie miał duży czerwony durszlak z metalu, bardzo nietwarzowy.

Isia przestała się zastanawiać nad wyrazem swojej twarzy. Zachłysnęła się krótko i wybuchnęła niepowstrzymany, trochę histerycznym śmiechem.

Z wakacji spędzonych w ojczyźnie Isi Ralf przywiózł fascynację Jackiem Malczewskim. Starał się naśladować mistrza i choć słabszy w pędzlu, nie ustępował mu w fantazji wynajdowania strojów i nakryć głowy do swoich autoportretów. Jacek Malczewski w tortownicy - Ralf Nieman w durszlaku.

Isia śmiała się coraz bardziej swobodnie.

- Czy wiesz, jak ja cię kocham?

- Wiem - odpowiedział. Nałożył na głowę Isi niebieski durszlak z plastiku, porwał tak wystrojoną na ręce i zaczął wspinać się z nią na schody.

Piątek

- Cześć szefie! Wszystko w porządku? - zawołał na widok Dirka Moritz Degen. Frank Roth odwrócił się od swojego biurka w sąsiednim pokoju i utkwiał w przelożonym zaciekawione spojrzenie.

Drobna odmiana w powitaniu nie uszła uwagi Dirka. Moritz nie zapewniał, Moritz pytał. Nie ulegało wątpliwości: Kirchdorf wiedział o nocnych rozrywkach swojego komisarza. Nie będę się przed nimi tłumaczył, pomyślał Dirk zirytowany. Ani z myszy, ani z... No nie będę i już! Nie ich sprawa.

- Dzień dobry - wysilił się na swobodny ton. - Jak tam Disco-

- Express?

Degen połknął haczyk.

- O! Szefie! Doskonale! Nie może być lepiej! Mamy już mikrobus i to na chodzie. Dostaliśmy za darmo stary, pocztowy. Rodzice są szczęśliwi. Mamy całe mnóstwo zgłoszeń. Nawet z

Rabenloh!

- To trzydzieści kilometrów stąd - zauważył Dirk.

- Co tam! Nie przejmujemy się! Może się kupi drugi mikrobus.

Pierwsza tura będzie w sobotę, koło ósmej: Kirchdorf - Rabenloh - Holthusen - Dunkelmoor - Isebruck. A potem w nocy, co godzinę z powrotem. Max będzie prowadził.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - pochwalił Dirk. - Tylko nie zapomnijcie o sprawozdaniach.

- Nie trzeba, szefie! To prywatna inicjatywa.

- Naszej placówce nie zaszkodziłoby przejście patronatu. Zresztą opłaci się wam chyba tych dodatkowych kilka godzin?

Moritz zamilkł zmartwiony. I tak źle, i tak niedobrze, mówiła jego mina. Niespodzianie włączył się Frank.

- Pomogę panom z tą pisaniną - zaproponował. - Dla dobra sprawy.

Dirk zatarł dłonie.

- No to wszystko jasne - podsumował. - Na dziś mam inne zadanie. Za godzinę jadę do Hanoweru. Wy tymczasem poodsuwacie meble... - nie dokończył. Za oknem pojawiła się nagle milcząca procesja kilkunastu mężczyzn. Dirk rozpoznał w nich pracowników Martina Bocka. Miny ich były poważne, pierwszy w pochodzie niósł na wyciągniętych dłoniach jakiś przedmiot zapakowany w plastikowy worek.

Po chwili zaroilo się w komisariacie, zapachniało dymem tytoniowym i potem ludu pracującego. Tajemniczy przedmiot został

przekazany w ręce komisarza Tielke. Był nim pistolet. Trochę sfatygowana tetetka.

Zaaferowany Luk przygalopował do Dirka i zniewolił go do konferencji w kawiarni, gdzie w kącie, obgryzając paznokcie, siedziała już Sabine Bock.

- Słuchaj, Dirk - szeptał dziennikarz, miętosząc rękaw policjanta - ty chyba rozumiesz, że to nic nie znaczy! Ktoś podrzucił mu ten pistolet na teren zakładu...

- A ten dureń nie miał nic lepszego do roboty, tylko łapać go gołymi rękami! - kontynuowała Sabine.

- Policja w drodze? - spytał Luk.

- Ja jestem policja - przypomniał Dirk.

- Ach - Luk machnął dłonią z lekceważeniem. - Ty wiesz, że Martin jest niewinny, ale ci z Hamburga od razu go zaaresztują. Trzeba temu zapobiec.

- Tylko nic im nie mów o tych wszystkich starych historiach!

- zażądała Sabine.

- Ani o tym aucie! To nie był Martin! - dodał Luk.

- Cicho! - rozkazał Dirk. - Zaraz będę bardzo, bardzo zły! Już jestem zły! Czy wy wiecie, co mówicie i do czego staracie się mnie namówić?

Sabine i Luk spojrzeli po sobie przestraszeni.

- To twoja wina, ty gryzipiórku!

Sabine bez ostrzeżenia strzeliła Luka w ucho. Dirk drgnął zaskoczony, ale zdążył ugryźć się w język; przypomniał sobie w porę,

że prawie wszyscy kirchdorffianie znają się od dziecka i jeśli tłukli się już w przedszkolu, to łatwiej może między nimi dojść do rękoczynów także i w dorosłym wieku. Luk rzeczywiście przyjął policzek z pełnym zrozumieniem.

- Wszystko się wyjaśni, Sabine... - zaczął, ale ona nie dała mu dokończyć.

- Ty wszystko wyjaśniaj! Od początku mówiłam, że to się źle skończy!

- No więc, Dirk - Luk westchnął - muszę ci coś wyznać... Tylko się nie pogniewaj...

- O co chodzi? - spytał Dirk surowo. - To ty zabiłeś Pagla i dlatego rzuciłeś podejrzenia na Martina?

- Niech mnie ręka boska broni! To nie ja... Ja nie wiem, kto zabił Pagla. Ale wiem, że nie Martin. To był taki... No nie wiem...

- spojrzał błagalnie na Sabine.

- No dobrze. - Westchnęła. - Ja od początku nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. To był taki pomysł kilku pijanych durniów.

Jeden głupszy od drugiego! Jak dzieci! Siedzieli nad piwem, myśleli, myśleli i wymyślili. Wpuścili pana w maliny. Na fałszywy trop.

I ten mój Misiek na wszystko się godził. Nawet do jakiegoś auta chciał się przyznać.

Dirk przez długą chwilę nie wierzył w to, co usłyszał. Gdy wreszcie uwierzył, aż się zatrząsał.

- Co?!?! - ryknął. - Nie może być! Nie wierzę własnym oczom!

Naprawdę mieliście czelność bawić się moim kosztem?! Za co? Co ja wam zrobiłem? - Poderwał się z krzesła, ale Sabine z Lukiem przytrzymali go.

- Cicho, Dirk, nie denerwuj się! - uspokajał Luk. - Nic nam nie zrobiłeś. Kochamy cię wszyscy i szanujemy. Pamiętasz, nawymyślałeś nam, że jesteśmy nudni. To chcieliśmy ci dostarczyć trochę rozrywki, żebyś się nie nudził...

- Nie daruję! Zrobiliście ze mnie pośmiewisko...

- Dirk - odezwała się Sabine. - Rozumiem cię dobrze, ale posłuchaj, teraz nie czas na kłótnie. Musisz ratować Martina. Na pistolecie są jego odciski palców, po mieście krążą różne plotki, te stare akta sam oglądałeś, wiesz, co w nich jest... Zrób coś! On nie może pójść do więzienia!

- Jeśli jest niewinny, nie pójdzie - odpowiedział Dirk chłodno.

- Nawarzyliście sobie piwa, teraz je pijcie. Zresztą, kto wie, czy to jednak nie on. Miał do Pagła od lat urazę, a tymczasem odnawia jego meble, buduje jego psom budę... Przyznajcie, że to podejrzane. Właściciel dużej firmy!

Sabine westchnęła.

- Mogę ci to wytłumaczyć. Też uważam, że to nie licuje z jego pozycją. Ale on taki już jest! Jak żaden z jego pracowników nie ma ochoty na wykonanie jakiegoś zamówienia, to on robi to sam.

Z poczciwości. A urazy nigdy do nikogo nie chowa. Pozłości się, poryczy jak niedźwiedź i zaraz zapomni.

- Pilnowałaś go przez całą niedzielę?

Sabine zasępiła się.

- Martin przez całą niedzielę siedział w swoim warsztacie.

Przychodził na posiłki. Nie spóźniał się.

- A w firmie nikogo innego nie było. Mógł wychodzić i wracać kiedy chciał.

- Ale po co miałby zostawiać pistolet na swoim własnym terenie? I jeszcze brać go w gołe łapy!

- Wiesz, Sabine - powiedział Dirk mściwie - ten twój Misio może wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Wasz idiotyczny pomysł przyszedł mu w samą porę. Atak jest najlepszą obroną.

Pozwolił rzucać na siebie podejrzenia, mało tego, sam wziął w tej zabawie czynny udział.

- Bo jest naiwny! I niewinny!

- Albo wyjątkowo sprytny... I winny.

- Teraz to ty gadasz głupstwa - obruszyła się Sabine. - Luk, powiedz mu...

Luk wzruszył ramionami.

- To nie jest takie głupie, co on mówi, Sabine. Coś w tym jest.

To ma ręce i nogi.

- Zdrajco! - Sabine znów się zamachnęła, tym razem jednak

Luk w porę przytrzymał jej rękę.

- Jeżeli chcesz mieć we mnie sojusznika, Sabine, to przestań mnie bić. Nie lubię tego.

- Taki z ciebie sojusznik, jak nie powiem co! Jak nie wierzysz w Martina, to zjeżdżaj stąd, bo cię przetrączę! - krzyczała.

Dwie kelnerki przy kontuarze z tortami mrugnęły do siebie znacząco i zwolniły swe ruchy, by niepotrzebnym pobrzękiwaniem naczyń nie zagłuszyć ciekawego przedstawienia.

- Luk, Sabine, dajcie spokój! Zachowujecie się jak dzieci. - Dirk przypomniał sobie o obowiązkach stróża spokoju publicznego.

- No bo co on mi tu będzie... - gniewała się jeszcze Sabine.

Luk popatrzył jej głęboko w oczy i chwytając jej obie dłonie, powiedział dobitnie:

- Twój Miś jest niewinny! Wierzę w to, bo go znam od pętaka!

Ale rzeczywiście ktoś z zewnątrz mógłby go podejrzewać. I to bardzo poważnie. Nie możemy udawać, że tak nie jest.

- Nie pomożecie mu, zamykając oczy na pewne fakty - poparł go Dirk.

Zdażył już trochę ochłonać.

- Zrobię, co mogę. Planowałem wyjazd do Hanoweru i nie przełożę go. Nie będzie mnie tu, gdy przyjadą specjaliści od śladów czy cała SOKO. Wy nie musicie sami do nich lecieć z plotkami. Myślę, że najwyżej powiedzą Martinowi do słuchu za to, że brał pistolet do ręki i może pozacierał ślady. Tylko nie wpadajcie w panikę, gdy zechcą pobrać jego odciski palców. Będą im potrzebne, żeby je odróżnić od innych, które może są jeszcze na tej broni.

- A ty?

- Ja - Dirk uśmiechnął się przekornie - nadal będę prowadził moje własne śledztwo. Nic się nie zmieniło. Pomyślcie. Załóżmy, że to nie Martin zabił Pagla. Ktoś go jednak naprawdę zastrzelił.

Nawet jeżeli był to tylko dobry uczynek kirchdorffian, żeby się ich ulubiony policjant nie nudził... Jestem pewny, że pistolet znaleziony przez Martina jest tym pistoletem. Pistolety to nie puszkę po piwie, które można znaleźć wszędzie. Ktoś go tam wyrzucił. Pagel został zastrzelony z tetetki, sowieckiego pistoletu z czasów drugiej wojny. SOKO podejrzewa, że ów domniemany płatny morderca ma gdzieś całą skrzynkę tych pistoletów i używa ich jako jednorazówek. Tanie, praktycznie, bezpiecznie. Nie musi wozić broni przez granice. SOKO poszła tropem mafii i płatnego mordercy.

W to nie będę się wtrącał. Jeśli jest coś do udowodnienia w tym kierunku, sami dadzą sobie radę. Ale jeśli nie... Załóżmy, że morderca jednak pochodzi z innych kręgów, że miał inne motywy.

Tak jak Martin... - Dirk podniósł dłoń, uspokajając Sabine. - Tak jak Martin powiedziałem. Podobnie. Może obawia się, że SOKO zorientuje się jednak wreszcie i porzuci dotychczasowy kierunek śledztwa. Sprawa znów wróci do Kirchdorfu. Dobrze mieć wtedy kozła ofiarnego... Martina, który sam się podłożył. Kto wie, jak długo ten pistolet leżał na waszym terenie. Może został podrzucony, dopiero gdy ja zacząłem zajmować się Martinem?

- To się da sprawdzić... - zaczął Luk.

- Tylko nie próbuj wpływać na świadków - przerwał mu Dirk.

- Najlepiej nie wypytuj nikogo. Raczej ty, Sabine, się tym zajmij.

Pochodź po zakładzie normalnymi drogami, którymi się u was chodzi, i sprawdź, czy tam, gdzie został znaleziony pistolet, coś

mogłoby leżeć niezauważone przez prawie tydzień. I nikomu nie opowiadajcie o naszej rozmowie. Morderca może być członkiem waszego oszukańczego stowarzyszenia...

- Jak nie opowiadać? - spytała Sabine, przewracając oczami i ruchem głowy wskazując w stronę kontuaru z tortami.

- Te panie - uspokoił Dirk - słyszały tylko to, co mówiliśmy sobie podniesionymi głosami. Więcej nie potrzebują wiedzieć.

- Dziękuję ci, Dirk. - Sabine pogładziła go po ramieniu.

- Już nie będziemy ci mącić - zapewnił Luk.

Dirk spojrział na niego przenikliwie.

- Słuchaj no... ta bomba listowa to też wasza sprawka?

- No wiesz!! - obruszył się Luk. - Za kogo ty nas masz! To przecież była mafia!

- A widzisz! - ucieszyła się Sabine. - Mafia! Ta sama, która zabiła Pagla.

- Nie wiem... - zastanowił się Dirk. - Ja do mafii nic nie mam, co by im przyszło z zabijania mnie? Co ja takiego wiem?

Dirk rozkoszował się godziną spędzoną samotnie w pociągu.

Wybrał ten środek komunikacji, choć linia kolejowa przebiegała w dość znacznej odległości od Kirchdorfu. Samochodem byłoby oczywiście szybciej, potem jednak, już w Hanowerze, przebudowującym się na Expo 2000, przybysz z prowincji czułby się dość bezradny. Kiedyś znajome miasto zmieniało swoje oblicze w porażającym tempie.

Na fotelu obok Dirka nikt nie siedział, komisarz mógłby, jak

planował, wykorzystać podróż na porządkowanie faktów i przesłanek w sprawie morderstwa. Myśli jednak nie chciały się podporządkować, uciekały na boczne tory: Dirk marzył, wpatrzony w przesuwaną się szybko za oknem monotony krajobraz. Czuł, jak z każdym kilometrem oddalającym go od Kirchdorfu zaczyna czuć się swobodniej. Wspominał poprzedni wieczór z przyjemnością i jednocześnie dystansem. Plotki? O czym? Przecież tak naprawdę nikt nic nie widział. A Alke - tego się Dirk już nauczył - nie po to studiowała psychologię, żeby kogokolwiek potępiać. Co do Isi, dobrze wiedział, jak odebrała wczorajsze zdarzenia. I jedynie ta wiedza trochę go niepokoiła. W chwili, gdy pocałowawszy

Isię, spojrzał jej w oczy, zrozumiał, że potrafiliby rozmawiać bez słów. A przecież kochał Alke. I bardziej podobało mu się być jej solidnym narzeczoną, niż znów zagłębiać się w erotyczno-uczuciowy chaos, w jakim żył w Hamburgu. Ale pomarzyć - cóż to komu szkodzi?

Ocknął się, gdy za oknem mignęła biała tablica z napisem

Heinholz. Pociąg przeleciał przez stację. Tu w okolicy Dirk mieszkał kiedyś przez dwa lata. Poderwał się z miejsca i rzucił do okna po prawej stronie. Czy ta duża arteria, nad którą właśnie przejechali, to Schulenburger Landstrasse? Wyglądała znajomo, ale sprawiała wrażenie, jakby wiodła do centrum, zamiast prowadzić na przedmieścia. O, teraz jakaś rozległa fabryka. To oczywiście

Conti, ale dlaczego tu? Dirk spodziewałby się raczej parku z królewskim barokowym ogrodem. Chwileczkę... W okolicach parku

nie było nigdy linii kolejowej. W którą stronę w ogóle jedziemy?

Dirk poczuł nieprzyjemny zamęt w głowie, gdzie namnożyło mu się wrażeń i myśli przy jednoczesnej blokadzie na złączach. Wydawało mu się zawsze, że zna Hanower... Oczywiście, znał miasto, ale z innej perspektywy.

Pociąg nie pędził już, wyraźnie zwalniał, koła stukały na rozjazdach, a tory zaczęły mnożyć się i rozbiegać na boki. Jechali chyba przez dworzec towarowy, zaraz będzie Hauptbahnhof, główny.

Zapiszczały hamulce, niecierpliwi pasażerowie, stojący już w kolejce do wyjścia, kiwnęli się zgodnie, stuknęły zwalniające blokady drzwi.

Dirk wyszedł na peron. Jego skołowany mózg zdecydował się wreszcie poniechać prób uporządkowania zapisu ostatnich pięciu minut i nie dopuścić do zagnieżdżenia się ich w szarych komórkach. W wyniku tej radykalnej operacji Dirk nie dysponował w tej chwili żadnymi danymi ułatwiającymi orientację w otaczającym go świecie. Tabula rasa.

Choć tłum byłych pasażerów sprawnie sformował się w strumień zmierzający w stronę schodów, Dirk stał wśród niego jak zakotwiczona łódka potrącana przez fale. Gdyby wzrok zarejestrował obraz, który dałoby się zidentyfikować w archiwach pamięci, ułatwiłoby to Dirkowi powrót do rzeczywistości. Ochoczo włączyłby się wówczas w główny nurt płynący halą dworca, tak jak kiedyś, gdy przebiegał od stacji metra do przystanku tramwajowego. Ale tak... Jakieś drewniane płoty zasłaniające widok na inne perony, jakieś

niskie stropy z dykty tu, gdzie powinno być tyle wolnej przestrzeni, jakieś tunele, zapory, barykady... Tuż obok, choć niewidoczna, wyla przeraźliwie wiertarka czy może piła. Co tu się dzieje na Boga!?

Za plecami Dirka rozległ się nagle trzask automatycznie zamykanych drzwi pociągu. Dźwięk ten dał impuls nogom, by przypomniały sobie, do czego zostały stworzone. Jako ostatnie w pochodzie podreptały więc za innymi nogami, ponosząc oszołomionego

Dirka w czeluść tunelu z desek, po schodach, w dół. Mechaniczne wycie urwało się nagle, ogłuszający łomot zatrzęsł powietrzem.

Dirk odwrócił się odruchowo. W miejscu gdzie przed sekundą jeszcze stał, leżało teraz duże coś w obłoku wzbitego upadkiem kurzu. Ze stropu przez wyrwę spoglądała na to w milczeniu jedna spocona twarz, podczas gdy druga spocona twarz obrzucała pierwszą stekiem niecenzuralnych wymówek.

Dopiero teraz Dirk zrozumiał. Rozpoczęła się przebudowa dworca hanowerskiego na Expo.

Zbiegł po schodach. Wysokiej, rozległej hali nie było także, ani śladu po kasach, kioskach czy sklepikach. Nic, tylko ciasnota, deski i dykta. Nareszcie ujrzał niebo nad głową, lecz nadzieja na odnalezienie znajomego miasta została zduszona w zarodku. Miasteczko zbudowane z żółtych kontenerów sprawiało nawet sympatyczne wrażenie, tętniło przyspieszonym rytmem życia; niestety, nie było go w tym miejscu jeszcze za ostatniej wizyty Dirka w Hanowerze.

Nie było w tym miejscu? Co znaczy „w tym miejscu” w sytuacji, gdy straciło się orientację jeszcze w pociągu? Znajdował się przed dworcem czy za nim? Dirk zaczął podejrzewać, że wybór pociągu jako środka lokomocji nie był zbyt rozsądny.

- Nie poznałeś Hanoweru, co? - przywitała go Alke. Nie zauważył, kiedy do niego podeszła. Jaka ona piękna i jaka wielkomięjska, przemknęło Dirkowi przez głowę. Wcale nie wygląda na studentkę. Zresztą... Dirk uzmysłowił sobie nagle, że nie ma pojęcia o tym, jak powinna obecnie wyglądać przeciętna studentka. To już piętnaście lat... Dirk poczuł się stary. Mocniej przytulił dziewczynę.

Alke oswobodziła się z jego objęć.

- Może już wystarczy? - spytała, śmiejąc się. - Nie wracasz z wyprawy na biegun. Widzieliśmy się kilka dni temu. Jadłeś już?

Pewnie jeszcze nie. Ja też nie. Czekałam na ciebie.

Nie rozmawiali, idąc przez żółte miasteczko, poddali się wartkiemu strumieniowi ludzkiemu. Alke automatycznie przyśpieszyła kroku, Dirk pognął za nią. Kiedy przekroczyli tory tramwajowe, Dirk zorientował się wreszcie w topografii: Alke prowadziła go w stronę domów towarowych.

Odzyskał głos dopiero przy księgarni Schmorl und Seefeld, przed którą na przechodniów jak zawsze spływał z głośników relaksujący deszcz czystych dźwięków klasycznej muzyki. Zwolnili.

- Dokąd idziemy? - spytał.

- W restauracji w Karstadt podają wyśmienite chińskie jedzenie,

tam idziemy - powiedziała Alke.

Dirk obrzucił plac Kropkę badawczym spojrzeniem. Strefa dla pieszych, wielki antyczny zegar, zejście do metra, niski budynek M6venpick... Na szczęście nic nowego. Sam był świadkiem wszystkich zmian, jakie się tu w ostatnim ćwierćwieczu dokonywały, akceptował je więc bez protestu.

- Pamiętam jeszcze, jak jeździły wtedy tramwaje - powiedział, bo musiał jakoś zaznaczyć swoje prawo do tego miasta. - Nie było jeszcze metra. W godzinach szczytu puszczali nawet bardzo stare wagony i, wyobraź sobie, w każdym był konduktor! Chodziłem wtedy jeszcze do szkoły. Tramwaje jeździły z Aegi do Kropkę wprost przez Georgstrasse, a potem przez pewien czas objeżdżały operę od tyłu... O tu! Tu stałem zawsze na przystanku. Tu był inny dom towarowy... A tego zegara też jeszcze nie było. Pamiętam, jaki był szum, jak go mieli odsłonić. I M6venpick też jeszcze nie było. Ależ te drzewa urosły! Pamiętam...

- Tak, Dirk... - Alke przytuliła się do jego ramienia. - Wiem.

Wszystko to już mi kilka razy opowiadałeś.

Dirk zamilkł. Niemile poczucie brzemienia lat zaciążyło mu znowu. Jestem stary nudziarz, pomyślał. Rzeczywiście, co ją to obchodzi, jak wyglądało tu kiedyś? Jej Hanower jest inny niż tamten mój z przedpotopowych czasów. Alke czuje się tu jak ryba w wodzie. Szybki krok, eleganckie miejskie ubranie, buty na wysokich obcasach... Tak, Alke stała się dzieckiem wielkiego miasta. Nic dziwnego, że nie bawi jej siedzenie w Kirchdorfie.

Nie mówił nic aż do chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi oszklonej windy. Alke pogładziła go po policzku.

- Tak smutno wyglądasz - zauważyła. - Przechodzisz kryzys.

Zajmiemy się tym. Za miesiąc będę miała wolny tydzień, weźmiesz wtedy urlop i zrobimy superwizję.

- Superwizję? - Dirk ocknął się z zadumy. Nieznane słowo skojarzyło mu się z pięknymi widokami. U jego stóp otwierał się właśnie ciekawy widok z powoli wznoszącej się windy. - Popatrz, Alke - wskazał ciemnoszary, pokryty częściowo grynszpanem pomnik. - To Schiller. Dawniej stał koło opery. Ile razy koło niego przechodzę, przypominam sobie...

- ... ten stary kawał...

- ... stoi facet przed pomnikiem Schillera...

- Dirk, ja znam ten kawał.

Winda zatrzymała się na najwyższym piętrze.

Kiedy siedzieli już przy stoliku nad smakowicie pachnącymi daniami, Alke spytała:

- A co słyhać w Kirchdorfie? Pożyczyłeś Garfielda od babci Nemitz?

Dirk nie odpowiedział od razu.

- Od naszej ostatniej rozmowy zaszło bardzo wiele - oświadczył wreszcie. - Był zamach na komisariat, w wyniku którego Helga znalazła się w szpitalu, znaleziono pistolet, prawdopodobnie ten, z którego został zastrzelony Pagel, Garfield okazał się leniem, a ja... chyba już się nie boję myszy...

- Brawo - ucieszyła się Alke. - Miałeś dużo zajęć, rozumiałeś, że twoja praca jest ważna i potrzebna, że ludzie cię szanują. To dobrze. Tylko nie myśl, że masz już wszystko za sobą. Musimy cię ustabilizować psychicznie, żebyś stał się odporny na małe niepowodzenia. Zresztą - rzuciła Dirkowi podejrzliwe spojrzenie - czy mówisz mi całą prawdę o twojej fobii? Jesteś dziś jakiś nieswój...

To stwierdzenie sprawiło, że Dirk poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Miał wrażenie, że powinien opowiedzieć Alke wszystko, co przeżył w związku z myszą. Nie ukrywać niczego, szczególnie dyskretnego udziału Brigitte Kunz i jej ewentualnych wniosków.

Niestety, nie potrafił. Z wielu względów. Między innymi dlatego, że miał już dosyć traktowania anegdotki o myszy ze śmiertelną powagą. Kiedy Alke przyjedzie do domu, dowie się i tak wszystkiego. Wystarczy jej pójść raz na zakupy. Wtedy Dirk ustosunkuje się do plotek. Ale dopiero wtedy.

Mieszkanie Brigitte Pagel mieściło się na najwyższym piętrze jednego z biurowców w śródmieściu. Ogromne okna, niewiele ścianek działowych i nieliczne meble dawały poczucie rozległych, nieograniczonych przestrzeni. Szkło i metal, kamień i terakota tworzyły chłodną i sterylną atmosferę raczej sali operacyjnej niż przytulnego gniazdka. Dirk nie dojrzał nigdzie ani kawałka drewna, w którym tak bardzo kochał się Martin Bock. Jego była narzeczona także w niczym nie przypominała zwyczajnej hożej

Sabine. Figura szczupła do granic rozsądku, wyrafinowana krótka fryzura, nieskazitelny makijaż, sukienka tak prosta, że mogła

pochodzić tylko z kolekcji co najmniej jakiegoś Lagerfelda, pantofle, których podeszwy nigdy nie spotkają się z brukiem na więcej niż kilka kroków. Dirk nie potrafił w wyobraźni znaleźć ani jednego miejsca w Kirchdorfie, w którym dałoby się umiejscowić Brigitte.

No, może w banku, pobierając albo wpłacając pieniądze. Nie można jednak żyć w banku...

Brigitte nie przerywała Dirkowi kontemplacji mieszkania i swojej osoby. Gdy uznała, że skończył, sama sformułowała wnioski.

- Widzi pan, że nie pasujemy do siebie z Martinem. Z tego małżeństwa i tak nic by nie wyszło i wiemy o tym oboje. Mnie tylko o parę miesięcy wcześniej otworzyły się oczy. Za to przyjaciółmi jesteśmy nadal dobrymi.

Usadziła Dirka na słoniowszarej skórzanej kanapie i poczęstowała kawą. Spojrzała na zegarek.

- Przejdźmy może od razu do tematu - zaproponowała. - Mam wieczorem ważne spotkanie z Japończykami, a muszę jeszcze przedtem doprowadzić swój wygląd do porządku. - Skwitowała uśmiechem zdumione spojrzenie Dirka. - Dzwoniła do mnie dzisiaj Sabine Bock, wiem więc o całej historii więcej niż w czasie naszej przedwczorajszej rozmowy.

- Wymyślili sobie niebezpieczną zabawę... - zaczął Dirk.

- To w tej chwili nie jest istotne - przerwała mu Brigitte. - Nie traćmy czasu na dygresje. A więc, jak już powiedziałam, znam

Martina dobrze i wiem, że nie jest zdolny do morderstwa. Wtedy, piętnaście lat temu, skrzywdziłam go bardzo. Ja, nie Reiner.

Jak się okazało, oboje z Martinem dobrze na tym wyszliśmy. Nie pasowaliśmy do siebie. Martina bardzo szybko pocieszyła córka jego szefa, Sabine, i wtedy sam musiał przyznać, że to, co się w sylwestra stało, było dla niego błogosławieństwem. Pewnie zauważył pan, czytając akta, że między ostatnim dziurawieniem opon a tą sprawą z anonimem jest kilka spokojnych tygodni. Reiner uważał, że

Martinowi znudziły się te prymitywne ataki, że potrzebował tych tygodni, aby wymyślić inny sposób zemsty. Ale to była oczywiście bzdura. Martin był po prostu świeżo zakochany w Sabine i zaczął nawet odczuwać wobec Reiner'a coś w rodzaju wdzięczności, jak mi kiedyś później powiedział. Zresztą Martin, gdyby dziesięć lat myślał, nie wymyśliłby anonimowego listu. To do niego nie pasuje. I ten styl, pamięta pan: „Obietnica małżeństwa jest święta. Kto ją łamie...” itepe.

- To nie styl Martina, rzeczywiście. Ale może to skądś przepisał albo...

Dirk miał poczucie, że sam powinien wiedzieć, czyj to styl, że już się gdzieś z nim spotkał. Ale Brigitte nie zostawiła mu czasu na domysły i ciągnęła dalej:

- Wtedy udało mi się przekonać Reiner'a, że Martin nie może być autorem anonimu. Pamiętam te rozmowę do dziś. Reiner nagle przestał się upierać, spoważniał, zasepił się, jakby coś sobie przypomniał i od tej chwili nigdy już nie obwiniął Martina. Powiedziałam, że wygląda mi to tak, jakby ktoś chciał na konto Martina załatwić z Reinerem stare porachunki. Reiner obruszył się, oświadczył, że nie ma wrogów, w każdym razie nie w Kirchdorfie.

Ale przez kilka dni chodził zamyślony i nagle oznajmił mi, że wynosimy się z Kirchdorfu. Jeszcze przed ślubem.

- To państwo jednak wzięli ślub? - spytał Dirk. - Ktoś mi mówił, że to tylko plotka.

- Plotka? - zdziwiła się Brigitte. - Nazywam się przecież Pagel. Nie przyjmowałabym jego nazwiska dobrowolnie. Reiner był świnią. Nasze małżeństwo nie trwało długo. Bardzo szybko dowiedziałam się, skąd bierze pieniądze. Proponował mi też udział w interesach. - Brigitte wykrzywiła usta z obrzydzeniem. - Proponował mi nie tylko prowadzenie buchalterii, co było moim wyuczonym zawodem. Byłam wtedy „młodym mięsem”. Żał mu było patrzeć, jak leżę odłogiem. Marzyło mu się coś w rodzaju luksusowej cali girl. Po rozwodzie nie utrzymywałam z nim kontaktu, ale nie sądzę, żeby zarzucił proceder. Ten morderca, ktokolwiek to był, przysłużył się społeczeństwu. Ale z całą pewnością nie był to

Martin, bez względu na poszlaki. Pewnie mafia...

- Z tego, co usłyszałem od pani, wynika, że Pagel domyślał się, kto mu groził i że wziął te pogróżki do serca. Czy ten ktoś w piętnaście lat później rzeczywiście go zamordował, trudno powiedzieć, ale jeśli autor anonimu i morderca są tą samą osobą, to mafia nie ma z tym nic wspólnego.

- Rzeczywiście - przyznała Brigitte. - Uciekliśmy z Kirchdorfu.

To była ucieczka, nie mam wątpliwości. Ale nie zagrzebaliśmy się na jakiejś samotnej wyspie, nie zmieniliśmy wyglądu i tożsamości.

Reiner uciekł z Kirchdorfu.

Po powrocie z Hanoweru Dirk wybrał się wieczorem do Holthusen, żeby spełnić obietnicę daną Edeltraud Funke i zaspokoić jej ciekawość w sprawie Pagla. Pani Funke lubiła być dobrze poinformowana i nie kryła się z tym. Jednocześnie nie była plotkarą, nigdy nie wykorzystywała swej wiedzy, by manipulować ludźmi.

Nie potrzebowałyby tego zresztą. Urodziła się, by rządzić, robiła to bez skrupowania i rzadko natrafiała na opór. Dirk dobrze pamiętał, jak chwalił kiedyś Boga za to, że Edeltraud wbrew jego protestom uparła się towarzyszyć mu pewnego pamiętnego dnia do stacji ekologicznej. Dwie osoby pozostały dzięki temu przy życiu.

Dirk traktował dzisiejsze spotkanie nie jako przykry obowiązek, lecz jako szansę rozważenia wszystkich aspektów sprawy z kimś znającym ludzi i życie.

Kierowniczka ośrodka czekała już niecierpliwie.

- Mamy tu wszystko, czego nam potrzeba - wskazała na obficie zastawiony stół. - Moim współpracownikom zabroniłam niepokoić mnie, chyba żeby się paliło. Ty też, mam nadzieję, załatwiłeś sobie wolne na najbliższe godziny? W każdym razie wyjdiesz stąd, dopiero gdy uznam, że mi wystarczy. No to do dzieła, panie inspektorze! Kawy, herbaty, piwa?

Dirk przyzwyczał się już do tego, że pani Funke raz tytułowała go inspektorem, kiedy indziej nazywała chłoptasiem. Wybrał herbatę i otworzył aktówkę.

- Zanim zaczniemy... - powstrzymała go Edeltraud. - Podjąłeś jakieś kroki w sprawie myszy?

- O tak! Przez całe popołudnie zaklejaliśmy każdą szparę w komisariacie. Wszyscy brali w tym udział, a jednak długo to trwało.

Nie wyobraża sobie pani, ile dziur znaleźliśmy. Mnóstwo!

Dirk nie wiedział, że i myszka spędziła pracowite przedpołudnie. Podczas gdy policjanci wykonywali roboty murarskie, ona w głębi najniższej szuflady Dirkowego biurka przerabiała leżące tam paczki ligninowych chusteczek na przytulne gniazdko.

- Gdyby zaczęły się plotki na ten temat, woda w usta, chłoptasiu - poradziła pani Funke. - Szkoda, że nie zwróciłeś się od razu do mnie o pomoc.

- Myślałem najpierw, że dam sobie sam radę, że kot złapie mysz, a Helga wyrzuci trupa. Ale Helga, jak pani wie, jest w szpitalu, a pani Vogt nie chciała mi pożyczyć Gizeli.

- Próbowaleś pożyczyć sobie Gizelę od Angeli? - Edeltraud zaśmiała się radośnie. - Ona rzadko coś pożycza. A Gizeli pilnuje jak niewolnicy. Gizela zresztą jest czymś w rodzaju niewolnicy.

Już jej matka była niewolnicą matki Angeli i mówiło się, że jest jej nieoficjalną siostrą. Podobnie z Gizelą. Też, jak jej matka, jest nieślubnym dzieckiem, i ci, którzy pamiętają dawne czasy, mówią, że to wykapany Konrad Vogt. Ja go nie znałam. Wrócił spod Stalingradu z jakimś postrzałem, z odmrożeniami, zrobił jeszcze jedną córkę, tym razem z prawego łoża, matka Gizeli już nie żyła wtedy, i umarł. No, w każdym razie panny Neusch już tradycyjnie są własnością swych chlebodawczyń.

- Gizela jednak pracowała u Reinera Pagla - zauważył Dirk.

- Myśli pani, że próbowała się w ten sposób usamodzielnić, przeciwstawić Angeli?

- Nie sądzę - odpowiedziała Edeltraud i sięgnęła bez zaproszenia do aktówki Dirka. - Ci troje, Angela, Reiner i Gizela, znali się z dzieciństwa. Starzy Paglowie, bauerzy, pomagali Constanze Vogt w czasie wojny i potem też, za co ona dawała korepetycje Reinerowi i uczyła go muzyki. - Edeltraud przyglądała się zdegrustowana fotografiom z miejsca zbrodni. - Reiner też kiedyś wyglądał przystojniej - zauważyła. - Nie widziałam go od kilku lat. Farbował sobie włosy, co?

- Niech pani zwróci uwagę na garnitur.

- Widzę, widzę... Pognieciony. Też mnie to zastanawia. To do tego elegancika nie pasuje. Co pan sądzi, inspektorze?

- A pani?

- Ja bym powiedziała, że garnitur pogniół się już po jego śmierci. Że Reiner przeleżał się na nim kilka godzin, a potem ktoś przewrócił trupa na drugi bok. Mam rację?

- Też tak początkowo myślałem. Ale nie. Ciało leży tam, gdzie denat upadł.

- Myśli pan, inspektorze, że ten garnitur mógłby być kluczem do rozwiązania zagadki? Dobrze, zastanowię się nad tym - obiecała pani Funke. - A teraz proszę mi najpierw opowiedzieć, co mówi na ten temat policja z Hamburga.

Dirk opowiedział. O procederze Pagla, o jego powiązaniach z organizacją handlującą kobietami i o tym, że zeznania, których

Pagel nie zdążył jeszcze złożyć, były cenne dla prokuratury, a niebezpieczne dla jego przyjaciół.

Edeltraud słuchała w skupieniu, bezwiednie wypychając językiem policzek.

- Wyobraź sobie, Dirk, że to ty jesteś jednym z tych koleśków.

Jechałbyś mordować Pagla w jego własnym domu, w takiej dziurze, gdzie jako obcy łatwo rzuciłbyś się w oczy, czy raczej poczekałbyś, aż to on w twoje rejony przyjedzie?

- Nie mogli czekać, ziemia zaczęła im się pod nogami palić. Kto wie, może próbowali go zwabić do Hamburga, a on się zaczął migać. Zresztą prawdopodobnie posłali płatnego zbira.

- Ten też rzuciłby się tu w oczy. Kiedy zginął Reiner? W dzień? W nocy?

Dirk zastanowił się.

- To nie tak łatwo powiedzieć. Niektóre fakty wskazują na to, że śmierć nastąpiła w niedzielę wieczorem, może nawet wczesną nocą. Psy, jak twierdzi Kruger, dostały małą dawkę środków nasennych, spały nie dłużej niż kilkanaście godzin. Ciało denata ledwo zaczęło stygnąć. Niestety, parę innych objawów fizjologicznych zdaje się przemawiać za znacznie wcześniejszym terminem. Tyle medycyna. Biologia byłaby bardziej precyzyjna. Gdyby ciało leżało na dworze albo jakieś okno było otwarte...

- Wiem, wiem, nie musisz mi wyjaśniać - przerwała Edeltraud.

- Czytałam o tym. Te różne robale, larwy i jajeczka. Dajmy sobie z tym spokój. - Wzięła do ręki kanapkę z wędliną, spojrzała na

nią smętnie i odłożyła na talerz. - Założmy, że to ja zabiłam Reinera.

Musiałabym mieć alibi na niedzielę i obie noce?

- I jeszcze na późny wieczór w sobotę, tak od dziesiątej, jedenastej. Noc z niedzieli na poniedziałek mogłaby pani sobie właściwie darować.

- Zauważyłeś, że to Gizela ostatnia widziała Pagła i potem pierwsza znalazła jego trupa?

Dirk się uśmiechnął.

- Zauważyłem. Gizelę przesłuchiowano dość gruntownie. Widziała swojego chlebodawcę, gdy wpadła na moment do willi zajrzeć do lodówki. To było w sobotę po kościele, nie rozmawiała z nim. W poniedziałek rano znalazła go martwego i natychmiast zawiadomiła policję. Pagel nie utrzymywał z nikim z Kirchdorfu bliższych kontaktów, odwiedzała go tylko Gizela, nic więc dziwnego, że to ona widziała go ostatnia żywego i pierwsza martwego.

- Dirk wyszukał kopię protokołu. - Ona zresztą ma alibi. Ciotkę Angeli, Emmi Meischner.

- Wróćmy więc do mafii. Jestem płatnym mordercą. Przyjeżdżam do Kirchdorfu. Podkradam się pod willę, żeby zrobić rozpoznanie terenu... Gdzie zostawiam auto, żeby się nie rzucało w oczy?

- Gizela widziała podobno jakieś obce auto w sobotę wieczorem przed willą.

- Zostawiam więc auto przed domem ofiary i czekam... - policzyła na palcach - co najmniej dwie godziny. To dość ryzykowne.

Wysiadam, truję psy, żeby nie czekały...

- Psy nie wzięłyby nic od obcego. To nie obcy morderca z Rosji je otruł. Pagel nie przyjmował też wizyt swoich przyjaciół z półświatka. Znał dobrze Kirchdorf z jego umiłowaniem plotek. Nawet o nocujących u niego dziewczynach wiedziała tylko Gizela, a i to przypadkiem. Widzi pani, za dużo tu się nie zgadza. Jedyne silny argument na korzyść tezy mafijnej to motyw...

- Więc z czystym sumieniem skreślasz mafię i zaczynasz śledzić kirchdorfan. Kiedy wydasz Martina w ręce SOKO?

- Domyślam się, że wie już pani, jak to z Martinem było. To nie ja uczepiłem się tego śladu, to moi kochani koledzy z Ratuszowej, nie wyłączając samego Martina, urządzili sobie zabawę. Nie musimy więc tego teraz roztrząsać. Rozmawiałem wczoraj z Brigitte

Pagel. Powiedziała mi ciekawą rzecz. Jej zdaniem, Pagel tylko na samym początku podejrzewał Martina o napisanie anonimu z pogrózkami. Brigitte przekonała go, że tak nie jest, podsuwając myśl, że ktoś chce zrobić coś niemilego na konto Martina. Pagel wziął to sobie do serca i wyniósł się z Kirchdorfu. To by znaczyło, że właśnie w Kirchdorfie miał poważnego wroga.

- Zastanawiam się, kto to mógłby być... Kiedy Reiner po raz pierwszy wyjechał na dłużej, był jeszcze prawie dzieckiem, szesnaście, siedemnaście lat. Mimo swojego bezsprzecznie wrednego charakteru nie zdążył sobie jeszcze zrobić prawdziwych, śmiertelnych wrogów. Kiedy wrócił, kłuł w oczy swoim bogactwem, postępował często w sposób szokujący prowincję, ale tylko Martinowi naraził się

osobiście, reszcie globalnie jako tutejszej społeczności.

I tylko z Brigitte był bliżej. Od pięciu lat znów tu mieszkał, ale tym razem trzymał się ostentacyjnie na uboczu. Często wyjeżdżał i jedynie Gizela tam bywała.

- Martin też... Budował dla psów budę, odnawiał meble...

- No właśnie. Reiner po powrocie nie nawiązywał żadnych nowych znajomości.

- Czy Gizela pracowała już wtedy, przed piętnastu laty, u niego? Mówiła pani przedtem, że Pagel, pani Vogt i Gizela znali się z dzieciństwa. Nie byli w przyjaznych kontaktach, gdy dorośli?

- Nie. Gizela zaczęła u Pagla pracować dopiero po jego ostatnim powrocie, jakieś...

Dirk zajrzał do akt.

- Cztery lata temu.

- Właśnie. Cztery lata temu. Nie, z Angelą nie miał nic wspólnego. To dwa zupełnie różne światy. Nie mieliby sobie nic do powiedzenia. Ale przez stary sentyment Angela nie żałowała mu Gizeli.

- Sentyment?

- Dziecinna miłość. Widzę jeszcze Reinerja, jak chodzi po miasteczku z tą małą na ramionach. On miał jakieś trzynaście, czternaście lat, ona chyba pięć. Mówił o niej „moja narzeczona”, kupował jej cukierki. Miło było na nich patrzeć.

- Moja narzeczona... - powtórzył Dirk powoli. - Określiłem tak Alke w rozmowie z panią Vogt. A ona spytała mnie wtedy, czy nie

złamię obietnicy małżeństwa... Tak, to ona... Wiedziałem, że znam ten styl.

- Mój nos mówi mi, że jest pan na tropie, inspektorze! Z czym pan to wyrażenie kojarzy?

- W pamiętnym anonimie sprzed lat też była mowa o łamaniu obietnicy małżeństwa. Kto się tak wyraża? Jak pani by to ujęła w słowa, gdyby pani narzeczonemu zmienił zdanie? Przepraszam...

- dodał po chwili nieśmiało. - Ma pani męża?

Edeltraud Funke zaśmiała się pełną piersią.

- A wyglądam na to? Nie! Pan Funke dawno już mnie opuścił.

Dwa lata po ślubie przeniósł się na tamten świat. Parę razy potem mnie jeszcze swatano, ale ja wtedy myślałam tylko o mojej siostrze i zaraz traciłam ochotę. Moja siostra jest jeszcze ciągle zamężna.

Taka zahukana kurka domowa. Zupełnie niesamodzielna, co drugie zdanie zaczyna od „mój mąż...”. „Mój mąż nie lubi, jak myję okna po południu”. „Od tygodnia boli mnie żołądek, poszłabym do lekarza, ale mąż powiedział, że to samo przejdzie”. „Lubię jarzyny, ale mój mąż woli mięso” i tak dalej, i tym podobne. Nie ma prawa jazdy, o wszystko musi męża pytać, prosić o zgodę na to czy tamto. Brr. Takie już jest to nasze pokolenie. Teraz na szczęście panują inne zwyczaje.

- Nie wyobrażam sobie pani jako zahukanej kurki domowej.

- A ja owszem. Z siostrą byłyśmy kiedyś bardzo podobne. No, ale wracając do twojego pytania, to pewnie powiedziałabym

zwyczajnie, że zerwał zaręczyny. Za moich czasów wszyscy jeszcze zaręczali się przed ślubem. Dopiero od niedawna jest to rzadsze.

- Angela użyła takiego samego nietypowego określenia, jak autor anonimu sprzed lat.

- Chcesz powiedzieć, że może tu istnieć jakiś związek?

- Wolno mi rozważyć każdą możliwość.

- Nawet musisz! - przyznała pani Funke.

- Niestety, Angela nie była prawdziwą narzeczoną Pagla. Nie mogła przecież brać poważnie słów nastolatka. Nawet jeżeli wtedy w to wierzyła. Miała dopiero, jak pani mówi, pięć lat. Jak długo on ją tak nosił na barana?

- Muszę pomyśleć... - Edeltraud zmarszczyła czoło. - Mam ich przed oczami. Ona w takiej sukience czerwonej w białe kropki, on w białej trykotowej koszulce i w dżinsach. Gdyby to trwało dłużej niż jedno lato, zapamiętałabym ich chyba też inaczej... Czekaj, on potem włóczył się po mieście z całą paczką rówieśników... Tej małej z nimi nie było. A potem wyrzucili go ze szkoły i rodzice wysłali go do internatu.

- Więc to nie o tej obietnicy małżeństwa mówił anonim. Myślę jednak, że rzeczywiście chodzi o obietnicę daną przez Reinera.

Że też mi się to wcześniej nie rzuciło w oczy! - Dirk przewrócił kilka kartek w teczce, znalazł poźółkły już trochę list w foliowej osłonce. - „Reiner. Obietnica małżeństwa jest święta” - przeczytał. - „Kto ją łamie, ten musi umrzeć”. Gdyby chodziło o obietnicę daną Martinowi, to list skierowany byłby do Brigitte, bo to ona zerwała

zaręczyny. Reiner Pagel niczego Martinowi nie obiecywał.

„Kto drugiemu zabiera narzeczoną”, tak to powinno brzmieć.

- Więc jednak jakaś narzeczona Reintera. A ja jestem pewna, że tam nic nie było. Nie mogło być, w każdym razie nie w Kirchdorfie, nie w naszej okolicy. A przecież mówisz, że anonim wygnał

Reintera stąd. Przed Brigitte nie było innej narzeczonej poza Angelą. Dziecinna miłość, dziecinna zabawa w naręczonych, blaszany pierścioneczek z plastikowym oczkiem. Szkoda, że Angela nie była starsza...

- Co pani powiedziała!?! - wykrzyknął nagle Dirk.

- Szkoda, że Angela nie była starsza...

- Nie! Nie to! O pierścionku! O tandetnym pierścionku. Powiedziała to pani tak sobie, jako porównanie czy rzeczywiście był jakiś pierścionek?

- Ejże! - ucieszyła się pani Funke. - Nie powiesz mi, że ona go ciągle jeszcze nosi?! Mówiłam ci, że Reiner kupował jej gumy do żucia i cukierki z automatów. Kiedyś musiał przy okazji wyciągnąć ten pierścionek, dał go małej i od tego chyba zaczęła się ta zabawa.

No więc ona go jeszcze ma?

- Ona nie - odpowiedział Dirk i podał Edeltraud jedną z fotografii denata. - Zupełnie o tym zapomniałem...

- Rzeczywiście... - zdumiała się. - Oczywiście nie dam głowy za to, że to ten sam czy choćby nawet taki sam...

- Ale zadaje sobie pani pytanie, dlaczego dorosły, bogaty mężczyzna nosi na małym palcu tani dziecinny pierścionek. Przecież

nie dla ozdoby!

- Tylko przez sentyment...

- Z tego, co wiemy, Pagel nie był sentymentalny. Ktoś włożył mu pierścioneł na palec już po śmierci?

- Ktoś sentymentalny... Płatny morderca z Rosji? Ma pan racje, inspektorze. To mogła być tylko Angela... I co teraz? - Edeltraud wpatrzyła się w Dirka. - Czuję, że panu mózg pracuje, aż się żarzy na złączach. Pasuje panu?

- Częściowo. W każdym razie dużo lepiej niż mafia. Gizela mogła jej pomóc... Uśpiła dla zmylenia policji psy. Dopiero w poniedziałek rano. Uśpiła, a nie otruła. Dlatego tak się przestraszyła, gdy powiedziałem jej, że nie żyją. Teraz nawet przypominam sobie, że mówiła coś o tym, że nigdy nie zrobiłaby im krzywdy. Jakoś mi to wtedy dziwnie zabrzmiało. I jest jeszcze coś, o czym niestety nie pomyślałem, kiedy pierwszy raz przesłuchiwałem Gizele. Niedopatrzenie.

- No? Co takiego?

- Gizela wstąpiła w sobotę do Pagla, żeby uzupełnić listę zakupów. Rozumiem z tego, że planowała iść do sklepu w poniedziałek przed pracą u Pagla, inaczej nie miałoby to sensu. Prawda?

- Prawda. Czyli powinna przywieźć te zakupy i dopiero potem znaleźć trupa Reinera. Mam rację?

- To jest właśnie tok mojego myślenia.

- Jeśli natomiast Gizela wiedziała, że w poniedziałek rano nie

znajdzie chlebodawcy przy życiu, mogłaby sobie oszczędzić kłopotu ze sklepami. Brak zakupów byłby doskonałą wskazówką.

Domyślam się, że nie przepytałeś Gizeli w tym względzie, a teraz oczywiście jest za późno. Teraz ona może ci opowiedzieć jaką chce historyjkę, a ty nie masz szans dowieść jej, że było inaczej.

- Tak. Ich błąd i moje niedopatrzenie. Ale jak one przechytrzyły ciotkę Meischner? Obie mają alibi na sobotni wieczór od powrotu z kościoła, na całą noc i cały następny dzień. I na następną noc.

- Alibi jest po to, żeby je sobie zrobić! - przypomniała pani

Funke. - Jaki to wspaniały zbieg okoliczności, ta wizyta starej ciotki, nieprawdaż? Przyjechała, zaświadczyła i odjechała. Angela dotychczas sprowadzała ją tylko na święta, dwa razy w roku.

- Nikt niczego podejrzanego nie zauważył - myślał głośno

Dirk. - Poza Gizelą, która widziała podobno obce auto przed domem Pagla.

- Nikt inny go nie widział, bo go zwyczajnie nie było.

- Gizela powiedziała mi o nim dopiero, gdy po miasteczku rozeszła się plotka o mafii z Hamburga. A pistolet znaleziono u Martina, dopiero gdy zacząłem Martina podejrzewać. Opowiedziałem

Angeli o tym, jak dzięki łusce zidentyfikowano rodzaj broni, z której został zabity Pagel. Bardzo się tym interesowała, dopytywała się o szczegóły. A w chwilę później przyznała, że oglądając kryminały w telewizji, puszcza tego rodzaju informacje mimo uszu.

- Myśli pan, inspektorze, że to Angela podrzuciła Martinowi pistolet?

- Ktoś mu go podrzucił. On sam nie byłby na to ani dość sprytny, ani dość głupi. Ojciec Angeli wrócił spod Stalingradu, mówiła pani? Mógł przywieźć na pamiątkę ten pistolet. Bardziej to prawdopodobne niż skrzynka jednorazówek, którą wymyśliła sobie SOKO.

- No i popatrz, jakie te kobiety są pamiętliwe. Angela nigdy potem nie miała chłopaka. Nie wiem, nie chciała czy zwyczajnie nikt się nią nie zainteresował. Żyła zawsze trochę na uboczu, marzyła, wmawiała sobie pewnie, że jej rycerz kiedyś po nią przyjedzie.

Musieli być jakoś w kontakcie, ona i Reiner. To chyba ona wkręciła mu Gizelę, żeby mieć o nim wiadomości. Może telefonowali. On pewnie starał się utrzymać ją na dystans, opowiadał jej bajki...

Dirk klepnął się w kolano.

- Oczywiście! - wykrzyknął. - Wszyscy wiedzieli, że Reiner ożenił się z Brigitte, tylko Angela była pewna, że to plotka. Sama mi to powiedziała niedawno z wielkim przekonaniem. Musiała mieć tę informację z pierwszej ręki, od samego Pagla. Gizela mówiła, że Pagel gniewał się, gdy znajdowała części damskiej garderoby. Z pozoru nielogiczne. On jednak wiedział, kto pierwszy się o tym dowie.

- To może przeważało szalę. Jak długo miała jeszcze czekać, podczas gdy on zabawiał się z innymi? Będiesz mój albo niczyj.

Zastrzeliła go i tym pierścionkiem, który od niego kiedyś dostała, zawarła z nim symbolicznie małżeństwo.

Dirk wstał od stołu i podszedł do okna. Wyjrzał na ciemniejący

park, pobębnił palcami o szybę. Wszystkie elementy pasowały do siebie jak ulał. Motyw, pistolet, psy, pierścionek, wszystko uzupełniało się i tłumaczyło nawzajem aż nazbyt dobrze. Jedyne alibi przekreślało całą teorię. Ale alibi, jak słusznie zauważyła Edeltraud, można sobie zrobić. Odwrócił się do swej rozmówczynie.

Edeltraud Funke pobrzękiwała półmiskami.

- Podzieliłam między nas resztę. Tobie dałam kanapki z jajkiem, widziałam, że ci smakują. Chyba że wolisz...

- Czy pani wie - przerwał jej Dirk - o czym mówiliśmy i do jakich wniosków doszliśmy? Skonstruowaliśmy teorię, według której Angela Vogt zamordowała z premedytacją Pagla! Podejrzewamy kogoś z własnego środowiska. Nie wstyd pani?

- A tobie wstyd? - zdziwiła się szczerze pani Funke. - Ktoś

Reinera zamordował, co do tego nie masz chyba wątpliwości! To może być równie dobrze Angela z naszego miasteczka, jak i najemnik z Rosji. Może nawet taki Rosjanin, który w ten sposób zarabia na chleb dla żony, matki i gromadki dzieciaków, bardziej zasługuje na zrozumienie niż ktoś mordujący przez zemstę. A co mówi twój instynkt?

- Instynkt? - powtórzył Dirk. - Mój instynkt mówi mi, że tym razem jestem na właściwym tropie... Już raz byłem bliski rozwiązania, ale zmyliły mnie skarpetki...

- Skarpetki? - zdziwiła się Edeltraud. - Na temat skarpetek nic mi jeszcze nie wiadomo.

- Nieważne - zapewnił Dirk. - To były moje skarpetki i ze

zbrodnią nie mają nic wspólnego. Za dużo by opowiadać. Takie nieporozumienie. Innym razem.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

- Zaraz się dowiemy, jak to było z tym pistoletem - zapowiedział, wystukując numer. Nie czekał długo. - Sabine? To ja... Tak, wyłączyłem telefon, miałem ważną konferencję... Ach tak? Dokładnie to miejsce?... A nie mógł leżeć pod spodem?... No tak, to odpada... No widzisz? Wszystko będzie w porządku... Mówiłem, że nie będą go podejrzewali, oni mają swoją własną teorię.

... Nie, dziękuję. Teraz nie mogę... Dziękuję ci, Sabine, muszę kończyć. Dobranoc.

Odwrócił się do pani Funke, nic jednak nie mówił, chowając aparat do kieszeni.

- Oczy ci się śmieją i wyglądasz, jakbyś miał zaraz pęknąć - zauważyła. - Mów już - poradziła.

- Czy płatny morderca wracałby po kilku dniach, żeby podrzucić pistolet? - zapytał Dirk. - Jak pani myśli? Moim zdaniem, nie ryzykowałby tego, nawet gdyby miał szansę skierowania podejrzeń w inną stronę. Może w wielkim mieście, ale nie tutaj.

- Co ci powiedziała Sabine?

- Tam, gdzie znaleziono broń, dość blisko ogrodzenia, stał od środy do poniedziałku kontener na gruz. Gdy go zabierano, rozsypało się trochę i trzeba było posprzątać. Pagla zastrzelono najpóźniej w niedzielę wieczorem, a dopiero po poniedziałku pistolet mógł się pojawić u Martina.

- Jakie ma pan teraz plany, inspektorze Columbo?
- Inspektor Columbo... - powtórzył Dirk i zamyślił się.

Edeltraud Funke czekała przez kilka minut cierpliwie.

- Znow coś ci się układa? - spytała wreszcie.
- Tak - odpowiedział Dirk. - To znaczy, nie wiem jeszcze...

Widziałem u Angeli mnóstwo kaset z Columbo. Nie chciała mi żadnej pożyczyć, nie chciała nawet o nich rozmawiać. Taka myśl... może zrobiła sobie to niezachwiane alibi, wzorując się na którymś z filmowych morderców? Ale sama pani mówi, że Angela niechętnie pożycza...

- Jedno nie wyklucza drugiego - podjęła pani Funke z zapalem.

- Przeciwnie, tym łatwiej było jej nie dopuścić cię do tych kaset.

- Tak, oczywiście. Mam w domu pokaźny zbiór filmów z Columbo. Będę musiał je przejrzeć. Tylko początki. Zrobię to jutro.

Mam czas. Alke nie przyjedzie w tym tygodniu. Musi się przygotowywać do kolokwium. - Zasepił się. - No to chyba już pójdę...

Muszę jeszcze wstąpić do biura.

Dirk wrócił do komisariatu i odłożył akta do szafy. Nie potrzebował ich. To, nad czym musiał się zastanowić, miał w głowie.

Usiadł przy biurku, zapalił lampę, jak co wieczór wyciągnął z szuflady metalową puszkę z herbatnikami i sięgnął do niej z przyzwyczajenia. Zreflektował się, dopiero gdy poczuł na języku słodki smak. Odłożył nadgryzione ciasteczko na wierzch puszeki, splótł dłonie na karku i odchylił się w fotelu.

Angela Vogt jest morderczynią Reintera Pagla, nie ma dwóch zdań, pomyślał. I Gizela Neusch musi być mocno w tę sprawę zamieszana.

Nikt inny nie wchodzi w rachubę. Hamburskie środowisko sutenerów i handlarzy żywym towarem skorzystało na śmierci niepewnego kolegi, oczywiście, i może nawet planowało zlikwidowanie go w najbliższym czasie. Nikt jednak nie zdążył przyjechać do

Kirchdorfu.

Gizela ma klucz do willi swojego chlebodawcy i wpuszcza Angelę. Tak, nie było włamania, Pagel nie został zabity przy drzwiach czy w korytarzu. Siedział przy biurku, gdy morderca wszedł do gabinetu. Gdy Angela weszła do gabinetu. Angela, którą zwodził od lat, która kochała go i podziwiała. Angela, przed którą należało ukryć kompromitujący materiał na ekranie. Była mu kamieniem u szyi, a jednocześnie jedyną osobą na świecie, dla której był kiedyś dobry, z którą w dzieciństwie łączyło go jedyne w jego życiu czyste uczucie. Dlatego pewnie nie odważył się nigdy powiedzieć jej w twarz, że nie zamierza spełnić danej jej kiedyś obietnicy.

Może była mu czymś w rodzaju wyrzutu sumienia, a jednocześnie nadziei.

Cichutki chrobot po drugiej stronie biurka przerwał rozmyślenia Dirka. Rozejrzył się po pustym blacie. Nie zobaczył nic, ale instynkt mówił mu, że dźwięk, który słyszy, nie jest skutkiem tak zwanej pracy drewna. Czekał...

Wtem nad krawędzią, dokładnie naprzeciwko fotela, pojawił się mały nosek otoczony długimi wąsikami. Wąsiki poruszały się nerwowo, nosek węszył. Jedna po drugiej drobne różowe rączki oparły się o krawędź biurka i po chwili cała brązowa myszka ukazała się oczom komisarza Tielke. Podniósłszy łebek, szybko chwyciła interesujący ją zapach, zlokalizowała jego źródło i bez zwłoki ruszyła do celu: nadgryzionego herbatnika.

- Hej... - powiedział Dirk ostrożnie, dziwiąc się swojemu spokojowi.

Myszka stanęła jak wryta. Czarne, błyszczące jak dzety ślepka spojrzały z wyrzutem na Wielkiego Człowieka. Co to miało znaczyć? Dotychczas Dirk nie robił jej wstrętów. Nie protestował nigdy, gdy podchodziła, by zająć się kolacją, którą zwykł dla niej przygotowywać.

Dirk znajdował się bliżej puszki. Powoli i spokojnie sięgnął po herbatnik. Myszka śledziła jego ruchy z napięciem. Była głodna.

Od kilku dni nie jadła nic porządnego. Nie miała po temu ani okazji, ani nerwów. Teraz jednak zdawało jej się, że znów zapanuje spokój. Koty przestały pojawiać się w okolicy. Jednocześnie ustały niemiłe przeciągi z licznych szpar. Wielki Człowiek znów jak dawniej siedział samotnie przy biurku, a brzęk puszki i zapach kruchego ciasta zawiadomił ją, że kolacja gotowa.

Dirk odłamał mały okruszek herbatnika i trzymając go w palcach, powoli posunął dłoń w kierunku myszki. Myszka odsunęła się, ale tylko parę centymetrów. Dłoń Dirka zatrzymała się w miejscu.

Wąsiki zadrżały, nosek ruszył w kierunku wabiących aromatów. Reszta zwierzątka okazała się ostrożniejsza. Szyjka wydłużała się, bo zapierające się i rozjeżdżające po gładkim blacie łapki powstrzymywały tułów, ogonek drżał wyprężony. Ale nos ciągnął i dystans między przedstawicielami dzikiego i ucywilizowanego gatunku zmniejszał się z chwili na chwilę. Wreszcie myszka zatrzymała się tuż przed upragnionym kąskiem. Przysiadła, podwinęła ogonek i wpatrzyła się łakomie w herbatnik. Dirk poczuł dziwne łaskotanie w żołądku i na karku. Wiedział, że zaraz dojdzie do kontaktu, i wiedział też, że to on powinien go zainicjować.

Ostrożnie wyciągnął palce. Okruszek znalazł się teraz tuż pod brodą zwierzątka. Myszka odchyliła się trochę, wąsiki poruszyły się gwałtownie, różowe łapki chwyciły ciastko i przycisnęły zdobycz do piersi. Dirk cofnął dłoń.

- Jedz, maleńka - szepnął i poczuł się silny, wszechmocny i wspaniały. Taki właśnie, za jakiego zawsze już miała go myszka.

Wielki człowiek.

Gdy jego mała przyjaciółka odeszła pokrzepiona, wziął kartkę i czerwonym flamastrem napisał na niej: NIE KRZYWDZIĆ MYSZY. KARMIĆ MOŻNA. Powiesił kartkę na tablicy ogłoszeń i dopiero wtedy udał się do domu.

Sobota

Sobota bez Alke była nic niewartym, pustym dniem. Dirk już w piątek o tym pamiętał i kładąc się spać, postanowił nie budzić się przed południem. Łatwiej powiedzieć, niż postanowienie wykonać.

Niezawodny wewnętrzny zegar zbudził go o zwykłej porze.

Nie musiał patrzeć na budzik, szarzejące dopiero niebo mówiło mu, że jest jeszcze bardzo, bardzo wcześnie. Zamknął oczy, ułożył się wygodniej i spróbował znów zasnąć.

Na próżno. Choć bardzo się starał, ponure poranne myśli nie dawały mu spokoju - rzuciły się na bezbronnego jak sępy na padlinę. Coraz wyraźniej, jak mu się zdawało, widział swoją przyszłość.

Najpierw lata całe czekania, samotne tygodnie, samotnie spędzone weekendy, krótkie, niezaspokajające tęsknoty spotkania, potem zaś czeka ich nieuchronnie stopniowe oddalanie się, zobojętnienie. Zanim się zorientują, staną się sobie obcy. Już teraz, widzi to jasno, rozpoczął się ten proces. Z tygodnia na tydzień Alke coraz bardziej przemienia się w człowieka wielkiego miasta, podczas gdy on w takim samym tempie kroczy w odwrotnym kierunku. Tylko patrzeć, jak stanie się tępym wiejskim policjantem. Co grają w kinach, w teatrach? Jaka moda panuje, czy nosi się włosy krótkie, czy długie? Jakim językiem porozumiewają się dziś młodzi ludzie?

O czym rozmawia się w mieście? Kiedyś, tak niedawno jeszcze, znał na każde z tych pytań właściwą odpowiedź. To imponowało Alke, prowincjonalnej gąsce. Jak długo jeszcze Alke pozostanie mu wierna? A może już kogoś ma? Co to za kolokwium, do którego nie można przygotować się w Kirchdorfie?

Gdy depresyjny nastrój ogarnął Dirka na dobre, dał wreszcie za wygraną i wygrzebał się z pościeli. Poczłapał do kuchni po podejrzenie lodowatej posadzce. Spod przymkniętych drzwi ciągnęło

przenikliwym chłodem. Wieczorem zapomniał zamknąć okno, a noc przyniosła przymrozek. Odkręcił kaloryfer i wbrew przyzwyczajeniu poszedł się najpierw ubrać. Gdy wrócił, w kuchni wciąż jeszcze panował ziąb, wybrał się więc do piekarni po pieczywo. Przyjazne pytania o Alke, współczujące słowa, gdy poprosił o dwie tylko bułki, rozzaliły Dirka, już teraz poczuł się porzucony i opuszczony. Nogi same poniosły go na rynek, nie chciał wracać do pustego mieszkania. Zjadł samotne śniadanie w cukierni, lecz posiłek nie poprawił mu nastroju - widok kirchdorfiaków zaopatrujących się w sklepowej części w ciastka i torty na popołudniową kawę w gronie rodzinnym boleśnie kłuł go w oczy.

A tam, w komisariacie, samotna jak ja i głodna, siedzi myszka, pomyślał nagle. Zamknęliśmy jej drogę powrotu do rodziny, zaklejając szpary. Czy znajdzie biedactwo choć jakąś starą skórkę chleba na podłodze? Dirk spojrzął na kupione bułki. Był już po śniadaniu.

Kilka minut później siedział za swoim biurkiem, a jedna z bułek pachniała smakowicie na blacie. Minuty mijały. Dirk zaparzył sobie kubek kawy, a widok zaplecza, niedoprowadzonego jeszcze do porządku po niedawnej katastrofie, kazał mu zastanowić się nad bombą i jej tajemniczym nadawcą. Zdaniem komisarza Lange, mafia ostrzegła w ten sposób policję przed zbyt wnikliwym badaniem morderstwa Pagla. Dirkowi już wtedy to wytłumaczenie nie trafiło do przekonania. Uważał, że ponieważ list adresowany był do niego, więc tylko on był celem zamachu. Ktoś, morderca, próbował zlikwidować

Dirka, zanim ten się zorientuje, że ma jakąś niebezpieczną dla kogoś wiedzę. Zamordować, nie ostrzec.

Angela? Owszem, kobiety wolą mordować na odległość, ale czy ktoś, kto nie zna się na broni, potrafi zmajstrować bombę? Jak zareagowała Angela na wiadomość o wybuchu? Gdy przyszedł do niej w środę, była początkowo tylko bardzo zaintrygowana. Dopiero potem, gdy nastąpiło to śmieszne nieporozumienie, zdenerwowała się i oblała obrus kawą. Nieporozumienie? Nic podobnego! Dirk aż zatarł ręce z radości. To tylko on niezręcznie sformułował swoje myśli, ale Angela wyciągnęła logiczne wnioski. Powiedział jej, że zamach dotyczył jego samego, bo wie prawdopodobnie więcej na temat morderstwa, niż się sam domyśla, i dodał, że właśnie dlatego chce z nią rozmawiać. Okrzyk: „Pan myśli, że to ja podłożyłam panu bombę”, wyrwał się Angeli niechcący i dowodził niezbicie, że to ona była morderczynią. Jasne i logiczne. Ale też właśnie ten błąd, który z powodu zaskoczenia popełniła, wskazywał na jej niewinność w sprawie zamachu. Nie, Angela nie posłała mu bomby.

Jeśli jednak nadawca był mordercą Pagła, to ona jest niewinna.

Więc jednak mafia? Terrorysty odpadają. Już dawno przyznaliby się sami, nie zwykli przecież robić wybuchów sobie a muzom ani na cudze konto.

A może po prostu jakiś piroman?

Dirk zamyślił się głęboko. Jego palce cichutko zabębniły w puszkę z herbatnikami. Niemal jednocześnie małe łapki zatupotały po podłodze. Delikatny ten dźwięk dosłyszałby jedynie Paul, na szczęście

żółtookiego kocura nie było. Zapach świeżego pieczywa od dawna już świdrował w mysim nosku, myszka jednak przezornie czekała na znajome hasło-zaproszenie. Nareszcie Wielki Człowiek zahłasował puszką! Droga była wolna! Jak strzała pomknęła do swego Wspaniałego Przyjaciela.

Dopiero chrobot pazurków na tylnej ścianie biurka zwrócił uwagę Dirka. Dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj wieczorem pojawił się wąsaty pyszczek między dwoma różowymi łapkami. Dirk przysięgłby, że myszka skinęła mu uprzejmie główką, pędząc do bułki. Przycupnęła przy jadalnej górze i nie ociągając się, puściła w ruch ostre siekacze. Dirk przyglądał się jej z przyjaznym zainteresowaniem. Z przyjemnością stwierdzał, że się nie boi. Wiedział już, że myszka nie zacznie mu znienacka biegać po plecach i że jeśli kiedykolwiek dojdzie do tego rodzaju ekscesów, będzie to wynikiem powolnego wzajemnego oswajania się.

Więc jednak nie muszę robić kariery, pomyślał Dirk i uśmiechnął się do siebie, rozbawiony.

Słońce wyszło zza chmury i rozświetliło pusty komisariat, zalśniło na brązowej, wypielęgnowanej sierści myszki. Poranna depresja samotnego komisarza minęła. Alke znów pojawiła się w myślach Dirka, lecz tym razem tęsknota za nią nie była bolesna.

Dirk sięgnął do telefonu. Nie zdążył jeszcze podnieść słuchawki, gdy aparat zadzwonił. Był przekonany, że Alke znów telepatycznie przeczuła jego zamiar, dlatego zdziwił się, gdy usłyszał męski serdeczny głos:

- Cześć stary draniu! Złapałem cię wreszcie! Co robisz w sobotę w pracy?

Dirk nie odpowiedział natychmiast. Dziwił się tylko nadal, choć zmieniała się przyczyna tego uczucia.

- Dirk! Słyszysz mnie?

- Słyszę cię, Henry...

*

Po południu Dirk znów pojechał do Holthusen. Nie potrafił wysiedzieć w pustym mieszkaniu. Zabrał ze sobą kasety wideo, a w cukierni zaopatrzył się w duże ilości ciastek z kremem. Bawiło go zaciekawienie sprzedawczyń, ale przekornie nie udzielił im upragnionych informacji.

- Czyżby Alke jednak przyjechała?

- Ach nie, skądże!

- Więc może przyjedzie jutro?

- Niestety, też nie. Musi się uczyć. W poniedziałek ma ważne kolokwium.

- Pan komisarz spodziewa się gości?

- Nie. Dlaczego?

- No, tyle ciastek... Zje pan to wszystko sam?

- A dlaczego nie?

Od drzwi odwrócił się jednak i oznajmił:

- Jedno tylko mogę paniom zdradzić: zamierzam jeść te ciastka w towarzystwie pewnej damy, do której właśnie jadę z wizytą. Do widzenia.

I wyszedł. W cukierni zawrzało.

Edeltraud Funke przywitała Dirka serdecznie.

- No, nareszcie spędzę sobotnie popołudnie jak się należy! - zawołała wesoło. - Przed telewizorem i z ciastkami, a nie w biurze.

Ależ ty tego masz! - wykrzyknęła na widok torby pełnej kaset.

- Myślisz, że zdążymy przed północą?

- Myślę, że nie zdążymy - odpowiedział Dirk. - Ja już zresztą wcześniej będę musiał panią opuścić, mam coś do załatwienia.

Nie, nie! - powstrzymał pytania. - Proszę mnie o nic nie pytać.

Jutro wszystko opowiem.

- W porządku - zgodziła się szybko Edeltraud. Była ciekawa, ale nie ciekawska. Rozwinęła paczkę z cukierni i nałożyła po dwa ciastka na talerzyki. Dirk tymczasem włączył pierwszą kasetę.

Usiedli wygodnie w fotelach, utkwili oczy w ekranie, zgodnym ruchem nabrali na widelczyki i wsunęli sobie w usta po pierwszym kęsie marcepanowego tortu. Pierwszy morderca zabrał się za planowanie pierwszego morderstwa.

Wilgotna szosa wiła się łagodnie przez dębowo-sosnowe lasy.

Białe słupki ze szkiełkami odblaskowymi odbijały długie światła gólfu. Dirk nie przekraczał osiemdziesiątki. Okolica obfitowała w zwierzynę, nocą rzadko coś tędy jeździło.

Włączył radio i wsunął w szparę magnetofonu swoją ulubioną kasetę, Neue Deutsche Welle, przeboje z pierwszej połowy lat osiemdziesiątych. „Dziewięćdziesiąt dziewięć baloników” Neny na zawsze już skojarzyło mu się z beztróskim studenckim życiem.

Nawet teraz jeszcze potrafiły wywołać to samo poczucie nieskończonych możliwości, otwartych drzwi na świat, przekonania o tym, że los rozwiązuje właśnie dla niego worek pełen miłych niespodzianek.

Ciekawe, co Henry chce mu powiedzieć? Czy to nie wspaniałe, że pękł wreszcie ten ohydny pancerz skrywający dawnego przyjaciela? Henry chce mu pomóc zrobić karierę... Alke się ucieszy.

Co to może być to, co Henry mu dziś pokaże? Może kogoś? Jakiegoś nowego świadka? Czyżby płatny morderca, ten domniemany Rosjanin, posilał się w Waldkater przed wykonaniem zadania, a może pił tam po robocie? To by znaczyło, że Dirk się pomylił i to nie Angela Vogt zamordowała niesłownego „narzeczonego”. Dobrze, że nie wyrwał się jeszcze z obwinianiem jej oficjalnie. Stałby się pośmiewiskiem Kirchdorfu i okolicy. Oczywiście. Jak mógł się łudzić? Pagla pozbyła się mafia, bo stał się niepewnym faktorem. Nudne, zwyczajne i dużo bardziej prawdopodobne niż to, że wzgardzona kobieta strzela do miłości lat dziecięcych z pistoletu tatusia, wzorując się na filmie z inspektorem Columbo.

Dirk wzruszył ramionami. Trudno. W tej chwili było mu całe to śledztwo obojętne. Wspomnienia z dawnych lat wysunęły się na plan pierwszy, wyparły z myśli dzisiejsze problemy.

Henry, stary draniu, pamiętasz?

Poznali się kiedyś, zarabiając w czasie wakacji w tej samej fabryce, w magazynie opon samochodowych. Dirk studiował wtedy socjologię z zamiarem wstąpienia potem do policji kryminalnej.

Przyszły prawnik i przyszły inspektor Columbo przypadli sobie do gustu i odtąd już zawsze szukali wspólnej pracy. Te hałaśliwe kuchnie dużych tanich restauracji, te zadymione knajpy studenckie... Pamiętasz, Henry...? Leine-Domizil niedaleko Landtagu, pękający w szwach, gdy grał w nim jakiś znaczniejszy muzyk jazzowy... A my tylko nalewaliśmy piwa w kufle i szklanki, zmywaliśmy, zbieraliśmy puste naczynia, zaganiani, zziajani, spoceni... To były czasy, Henry, co?

Dirk zaśmiał się nagle, bo w pamięci jak żywa stanęła mu dawno już zapomniana scena. Grupka młodych posłów do Bundestagu wpadła do Leine-Domizil posłuchać jakiegoś saksofonisty.

Gerhard Schröder, do niedawna jeszcze przewodniczący Juso, potraktował Henry'ego, towarzysza z partii, trochę może za bardzo z góry. Henry nie przełknął tego tak łatwo. Zemścił się w typowo kelnerski sposób...

Dirk zwolnił, bo dotarł właśnie do celu. Zjechał z szosy w krótką alejkę, okrążył budynek i zatrzymał się na nieoświetlonym parkingu. Wyłączył silnik. Gdy wysiadał, brzmiały mu jeszcze w uszach ostatnie takty muzyki i pytanie Falco: Alles klar, Herr

Kommissar?

Zatrzasnął drzwiczki. Światło wewnątrz golfa po chwili zgasło, oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Dirk rozejrzył się uważniej. Dopiero teraz zauważył, że i dom jest ciemny. Henry nie przyjechał jeszcze, na parkingu nie stało żadne inne auto. Wokół panowała niezmacona niczym leśna cisza. Tylko krople po

niedawnym deszczu spadały tu i tam z liści drzew, tylko silnik samochodu cykał cichutko, stygnąc powoli. Ale i tu, jeśli wyteńczyć słuch, dochodził jednostajny szum autostrady jak daleki huk wielkiego wodospadu.

Czy Henry wiedział, że Waldkater jest dziś nieczynny?

- Alles klar, Herr Kommissar? - odezwał się nagle za nim głos przyjaciela.

Odwrócił się, zaskoczony. Nie słyszał kroków.

Henry stał na granicy lasu, jego postać w ciemnym ubraniu zlewała się z tłem.

- Cześć Henry! - powiedział Dirk i nawiązał do cytatu, którym został przywitany. - Nic nie jest jasne, jak widzisz. Mają dziś zamknięte. Co teraz?

- Wiem, że mają zamknięte.

- Aha... Czekamy na kogoś?

- Na nikogo nie czekamy.

Dirk zaczął tracić cierpliwość.

- Nie bądź taki tajemniczy, Henry. Jest zimno. Wsiądźmy do samochodu i opowiadaj, co masz mi do powiedzenia. - Dirk obejrzał się nagle na pusty parking. - A gdzie twój samochód?

- Na parkingu zajazdu przy autostradzie. Pięć minut stąd ścieżką biegiem. Czekam tam na ciebie od pół godziny.

Dirk nie rozumiał. Spojrzał na zegarek.

- Jest dopiero ósma. Nie spóźniłem się. Zresztą umówiliśmy się tutaj, w Waldkater. A jeśli nie, to skąd ty wiedziałeś, że tu będę?

Przestań się wygłupiać, powiedz, o co chodzi.

- Chwileczkę. Muszę zatelefonować. - Henry wyjął z kieszeni dwa niewielkie przedmioty. Nacisnął jakiś przycisk i przyłożył aparat do ucha. - Zaraz zgłosi się twoja automatyczna sekretarka... O, już... - Przyłożył telefon do drugiego przedmiotu i Dirk zorientował się, że jest to dyktafon. Głos z taśmy, głos Henryego przekrzykiwał hałas uczęszczanego zajazdu i bliskiej autostrady:

- „Dirk! Czekam już od pół godziny przy autostradzie. Jest w tej chwili ósma! Mam nadzieję, że nic nie pokręciłeś. Będę czekał do wpół do dziewiątej”.

- W co ty się bawisz, Henry? Nie rozumiem - powiedział Dirk z rozdrażnieniem. Ale już zaczynał rozumieć. Tylko jeszcze nie wierzył. I nie pojmował dlaczego.

Henry nie śpiesząc się pochował aparaty w kieszenie. W jego prawej dłoni pojawił się nagle inny przedmiot.

- Ja się nie bawię, Dirk. - Spojrzenie prokuratora było równie bezwzględne jak stał w jego ręce. Skierował pistolet na policjanta.

- Alles klar, Herr Kommissar? - Uśmiechnął się zimno.

- Zwariowałeś... - wyszeptał Dirk. - O Boże - jęknął. - Nie mam pojęcia, jak się rozmawia z wariatem! - Teoria przyswojona na studiach utknęła gdzieś w zakamarkach mózgu i Dirk ani rusz nie potrafił jej odnaleźć. - Henry - spróbował jednak w mętłym poczuciu, że zagadywanie przynajmniej odwlecze egzekucję - to ja! Twój kumpel z dawnych lat! Pamiętasz? - Zaczął gorączkowo szukać w pamięci wspomnień, które mogłyby łagodząco wpłynąć na zachwianą

równowagę przyjaciela. W głowie miał jednak pustkę, bo widział tylko wycelowaną w siebie lufę i wiedział, co ona oznacza. Śmierć!! - Leine-Domizil! - wypalił wreszcie.

- No to się rozumiemy - wysyczał Henry przez zaciśnięte zęby.

- Jeszcze teraz próbujesz mnie szantażować? Nie spodziewałeś się, że nie będę płacił? To właściwie normalne. Każdy szantażysta wierzy, że mu się powiedzie. I prawie każdy kończy tak, jak ty skończysz za chwilę!

- Henry! To jakieś nieporozumienie! - zawołał Dirk. - Dlaczego miałbym cię szantażować? I czym? Czy to ty zabiłeś Pagla?

Przysięgam ci, że niczego nie podejrzewałem!

- Grasz na zwłokę, a ja nie mam czasu na pogawędki - odpowiedział Henry z kamiennym spokojem. - Za pięć minut muszę się znów pokazać w zajeździe. Podejdz do tych bocznych drzwi, tam - wskazał. - Będzie wyglądało tak, jakbyś zginął, chcąc się tam dostać. Zresztą - dodał, widząc, że Dirk nie rusza się z miejsca - mogę cię zabić i tu. - Uniósł lufę pistoletu wyżej.

Od strony szosy zabrzmiał nagle narastający warkot zbliżającego się samochodu. Dirk wstrzymał oddech. Czy Henry zaryzykuje teraz strzał?

Henry nie zaryzykował. Stał napięty jak struna, ale dłoń trzymająca broń nie zniżyła się ani o centymetr, nie zadrżała.

- Masz marne alibi... - spróbował jeszcze Dirk.

- Mógłbym sobie pozwolić na zupełny brak alibi - odpowiedział Henry. - Kto miałby mnie podejrzewać? O szantażu wiemy tylko my

dwaj, a ten pistolet łączy twoją śmierć ze śmiercią Pagla.

To tetetka, taka sama jak ta, z której zastrzelono Pagla. Jednorazówka. Zaraz ją wyrzucę. Tu niedaleko.

Warkot motoru wzmógł się, kierowca zredukował bieg. To mogło oznaczać... Dirk nie śmiał jeszcze mieć nadziei. Światła reflektorów przebiły się przez zarośla.

- Wejdź tu, za drzewa - rozkazał Henry.

Dirk nawet się nie ruszył. Nie będę mu niczego ułatwiał, pomyślał. Chce mnie zamordować, to niech się sam martwi, jak to ukryć!

Samochód pokazał się już na parkingu. Ze zdumieniem i ulgą Dirk rozpoznał w nim Disco-Express. Przy kierownicy siedział Max Stein.

Henry jednym susem dopadł Dirka i wbił mu lufę pistoletu w bok. On także rozpoznał Maksa.

- Spław ich. Chyba nie chcesz, żeby oprócz ciebie zginęło jeszcze parę osób - warknął.

Z mikrobusu wysypała się grupa młodzieży. Podniesione głosy protestowały przeciwko jakiejś zaistniałej krzywdzie. Jeden z chłopców zgiął się we dwoje i zwymiotował sobie pod nogi.

- Jeszcze masz czym rzygać! - skarcił go ktoś. - Kiedy zdążyłeś się tak obeźreć?

- Co za pech! - wykrzyknął Max. - Zamknięte! I jak ja teraz wyczyszczę ten fotel?

Odpowiedział mu chór zagniewanych głosów. Widocznie nie

tylko fotel ucierpiał.

- Tu stoi jakiś samochód! - zauważył ktoś. - Może gospodarz jest w domu?

Max Stein ruszył w stronę golfa.

- O! - zdziwił się nagle. - To golf Dirka! Cicho dzieci! - zwrócił się do hałaśliwej grupki. - Nie będziemy przeszkadzać panu komisarzowi!

- Randka w krzakach! - ucieszył się jeden z chłopców.

- Na tylnym siedzeniu! - domyślił się inny.

- Z tą laską ze stacji ekologicznej! - kwiknął radośnie trzeci.

- „Isia naga” - zarechotał czwarty młodzieniec. Dziewczyny zachichotały piskliwie.

- Podejźmy ich - padła propozycja.

- Dajcie spokój, nie wygłupiajcie się - zaprotestował Max bez przekonania i pierwszy podkraść się pod golfa. Po chwili odwrócił się do czekającej w napięciu grupki. - Tam nikogo nie ma - oznajmił rozczarowany. - Pewnie są w motelu.

Dirk nie wytrzymał. Przez jedną sekundę był pewien, że woli zginąć natychmiast zastrzelony, niż żyć z opinią rozpustnika, który swoją legalną narzeczoną zdradza po leśnych hotelikach z niemoralną modelką. A i Isia nie zasłużyła na tego rodzaju plotki.

- Tu jestem! - krzyknął i nie zważając na wrzynającą się boleśnie w żebra lufę dodał: - Z prokuratorem Erlandem!

- O! Dobry wieczór, szefie! - zawołał Max zmieszany. - Wszystko w porządku! Zaraz jedziemy dalej!

Grupka ucichłej nagle młodzieży pośpieszyła rzeczywiście do mikrobusu.

- Nic nie jest w porządku, Stein! - krzyknął znów Dirk. - Prokurator celuje do mnie z pistoletu!

- Kryć się! - wrzasnął Max do swoich podopiecznych, a sam skoczył do golfa. Przeturlał się po masce, a gdy lądował po drugiej stronie, już trzymał w garści pistolet.

Kompletny brak refleksji, za to fantastyczny refleks, pomyślał Dirk z podziwem.

Henry zareagował z minimalnym tylko opóźnieniem. Pochwycił głowę Dirka w zagięcie ramienia, a lufę pistoletu wbił mu w ucho. Młodzież skryła się za Disco-Expressem. Zapanowało pełne napięcia milczenie.

- I co teraz? - spytał wreszcie Dirk. Mimo niewygodnej pozycji czuł powracającą nadzieję. Henry przegrał. O potajemnym zamordowaniu komisarza może teraz zapomnieć. Zdaje sobie z tego chyba sprawę? A może jednak nie? - Henry - starał się mówić łagodnie - to był tylko dowcip, prawda? Tak jak w dawnych czasach, co? Daj już spokój. Widzisz, straszymy tylko niepotrzebnie dzieci.

Czynie...

Ostry ból w uchu kazał mu zamilknąć. Metal wbił się w chrząstkę. Popłynęła krew, napelniając małżowinę łagodnym ciepłem.

- Wszystko w porządku, szefie! - zawołał Max pogodnie.

- Młodzież jest bezpieczna! Czy prokurator zwariował? - spytał z prostotą.

- Tak! - odkrzyknął Dirk. - W tym problem!

- Nie! - zaprotestował Henry, włączając się wreszcie w rozmowę. - Nie zwariowałem i ty o tym dobrze wiesz, Dirk! Szantażowałeś mnie, chciałeś zniszczyć jako polityka, a po tym, co dziś zaszło, nie będzie mi wolno nawet wykonywać zawodu. Nienawidzę cię!

- Henry... - zachrypiał Dirk, bo dawny przyjaciel coraz silniej gniótł mu gardło. - To... nieporozumienie, nie wiem, o czym mówisz... Jaki szantaż?

- Szeffie! Głowa do góry! Zaraz przybędą posiłki! Widziałem, jak Timo z Christianem skoczyli do lasu - poinformował Max.

- Tylko niech szef nie drażni pana prokuratora, bo to się może źle skończyć!

Na wpół uduszony, obolały i znękany Dirk jakąś cząstką świadomości docenił komizm sytuacji. W tej chwili jednak nie był w stanie nawet lekko się uśmiechnąć. Zaprzagnął nagle, żeby już było po wszystkim, żeby ta okropna terażniejszość minęła i stała się tylko anegdotką do opowiadania.

Za to prokurator Erland znalazł w sobie dość siły, by zaśmiać się pogardliwie.

- Za późno! - powiedział. - Pana szef, Stein, już mnie rozdrażnił. Zapłacisz mi za to! - wysyczał Dirkowi do ucha. - Nie mam już nic do stracenia. Niech przychodzą te wasze posiłki. Zanim tu będą, zabiję cię. Wystarczy nacisnąć spust.

- Szeffie! - wtrącił się znów Max. - Niech mu szef obieca

pieniądze. Dużo! Trzy miliony albo nawet więcej... I może jeszcze helikopter! - radził.

Ale Dirk nie skorzystał z porad podwładnego. Wyobraźnia ukazała mu realistycznie, jak będzie wyglądał, gdy Henry swe pogróżki wprowadzi w czyn. Dzięki temu przypomniał sobie nagle dawnego bzika Henry ego.

- Strzel mi w ucho, a upaprzesz się cały moim mózgiem i krwią.

Gdzie ty się tu umyjesz? - zapytał i poczuł natychmiast, jak uścisk wokół szyi się rozluźnia, a lufa odrywa się od zmalretowanego ucha.

Ale ulga trwała ułamek sekundy. Lufa błyskawicznie znalazła się na wprost serca Dirka.

- Dobrze, że mi na to zwróciłeś uwagę. Teraz lepiej, prawda?

- powiedział prokurator. - Żegnaj!

Dirk nabrał powietrza w płuca, nie wiedząc, czy po to, żeby zaprotestować, czy tylko by krzyknąć z przerażenia i rozpacz. Zdążył jedynie uświadomić sobie, że to już koniec, ale zanim jeszcze całe jego życie przesunęło mu się przed oczyma wyobraźni, padł strzał.

Trafiona tetetka wyleciała z dłoni prokuratora. Henry krzyknął z bólu, a Dirk osunął się na kolana.

- Wszystko w porządku, szefie? - Wachtmeister Stein dopadł

Dirka. - Oberwało się panu trochę czy zemdłał pan ze strachu?

- Dziękuję, Stein. Zajmij się prokuratorem - powiedział Dirk, wstając. - Nic mi nie jest. Zrobiło mi się tylko ciemno przed oczami, prawie mnie udusił - wytłumaczył godnie swoją słabość.

Prokurator Erland bez protestów dał się zakuć w kajdanki. Ponury i milczący siedział w golfie Dirka, nie odpowiadał na jego pytania i uparcie odwracał od niego twarz.

Tej nocy odezwał się już tylko raz, po to, by zażądać rozmowy z adwokatem. Na wyraźne życzenie Dirka sprowadzono dodatkowo psychiatrę i cała trójka na długi czas zamknęła się na narady.

Rana Dirka została zaszyta; ucierpiała na szczęście jedynie małżowina uszna. Młodzież obecna przy zajściach pod Waldkater, Dirk i Max składali zeznania niemal do świtu. Dirk dotarł do domu dopiero w niedzielę rano. Pozbył się czatującego pod drzwiami Luka, obiecując w ciemno wszystko, czego dziennikarska dusza mogła zapragnąć, ostatek sił ściągnął ubranie, ostatek świadomości pozbył się z sypialni telefonów i kompletnie wyczerpany i oszołomiony środkami przeciwbólowymi runął na łóżko.

Niedziela

Wczesnym popołudniem wyrwał Dirka ze snu cichy, lecz natrętny dźwięk dochodzący od strony okna i powtarzający się co parę minut. Zwlókł się z pościeli i nie podnosząc żaluzji, wyjrzał ostrożnie na ulicę. Zobaczył Luka zbierającego coś na bruku i odganiającego tłoczące się koło niego gołębie. Gołębie też czegoś szukały, z tym że w przeciwieństwie do Luka połykały znaleźiska.

Luk wyprostował się wreszcie, spojrzął na zawartość swej dłoni, zamachnął się i cisnął nią w Dirkową szybę. Groch zagrzechotał po szkle i dziennikarz wraz z gołębiami znów rzucili się zbierać resztki z bruku.

Dirk otworzył okno.

- Nareszcie! - wykrzyknął uszczęśliwiony Luk. - Groch mi się już kończy, a babcia Nemitz nie chce dać więcej. Już myślałem, że będę musiał wrywać brukowce.

- Stało się coś? - spytał Dirk i aż wykrzywił się z bólu. - Aua!

- krzyknął mimo woli.

- Wywiad! Obiecałeś mi wywiad! - przypomniał Luk. - Zjechała się kupa reporterów, siedzą w Ratuszowej, ale nie wiedzą, gdzie mieszkasz. Petra im nie powie, zakazałem też innym.

- Kiedy indziej. Nie mogę mówić. Boli mnie ucho, jak poruszam szczęką. Jutro...

- Mowy nie ma! Teraz, natychmiast! Możesz mówić przez zaciśnięte zęby albo półgębkiem.

Dirk westchnął z rezygnacją i skinął Lukowi, dając mu do zrozumienia, że może wejść.

- Rzeczywiście wyglądasz jak pokraka - zauważył dziennikarz, gdy tylko przekroczył próg. - Spuchłeś. Pozwól, że cię sfotografuję. - Błysnął fleszem. - Opowiadaj! - zażądał.

- Nie! - zdenerwował się wreszcie Dirk. - Miej litość! Widzisz, w jakim jestem stanie! Nieumyty, głodny, obolały.

- No dobrze, pomogę ci - zgodził się szybko Luk. - Idź się ubrać, ja przygotuję tymczasem kanapki i kawę.

Po chwili jednak wetknął głowę do łazienki.

- Tylko jedno pytanie: Erland zwariował czy ty naprawdę go szantażowałeś?

Dirk bez słowa zamknął drzwi. Przy śniadaniu i kawie konsekwentnie milczał, koncentrując się na szukaniu takiego sposobu przeżuwania, który sprawiałby mu jak najmniej bólu. Wreszcie przypomniał sobie, że lekarz wręczył mu wczoraj tabletkę i zalecił połknąć ją, gdy minie znieczulenie. Podziałała rzeczywiście w krótkim czasie. Dopiero wtedy Dirk odzyskał zdolność myślenia. Zdecydował zatelefonować do komisarza zajmującego się sprawą Erlanda i dowiedzieć się, czy Henry wyjawiał wreszcie, co zarzuca dawnemu przyjacielowi. Pozwolił Lukowi przysłuchiwać się tej rozmowie.

Komisarz Czapla ucieszył się z telefonu.

- O, nasz szantażysta! - powitał Dirka. - Wiem już wszystko!

Jak tam ucho, panie Tielke?

- W porządku - zapewnił Dirk. - Muszę się naprawdę tłumaczyć z jakiegoś szantażu?

- No, ja tam wierzę w pana niewinność - odparł Czapla. - Ale prokurator Erland niekoniecznie; on rzeczywiście miał się czego z pana strony obawiać.

- Czego?! - zdumiał się Dirk.

- Była taka jedna sprawa... - zaczął Czapla, ale nie skończył.

Przez długą chwilę Dirk z Lukiem słyszeli jedynie z trudem tłumiony śmiech. Wreszcie komisarz uspokoił się i powiedział: - Proszę mi wybaczyć, ale przez trzy godziny wałkowaliśmy to ze śmiertelną powagą: Erland, jego adwokat, psychiatra i ja. Przez cały czas nie mogłem się nawet uśmiechnąć. - Znow zaniósł się śmiechem.

- To on posłał panu bombę - wykrztusił wreszcie. - Pan wybaczy, nie śmieję się z bomby. Wiem, że była ofiara...

- Co ja mu takiego zrobiłem? - zapytał Dirk.

- Nic. Pan był tylko świadkiem czegoś, co on zrobił kiedyś w porywie młodzieńczej lekkomyślności. Gdyby prasa się o tym dowiedziała, pan prokurator Erland mógłby się pożegnać ze swoimi politycznymi planami.

- Tak - przyznał Dirk, patrząc znacząco na Luka. - Prasa jest do wszystkiego zdolna i ma wielki wpływ na kształtowanie opinii publicznej. Tylko dlaczego Henry uważał, że chcę go zniszczyć?

Nigdy by mi to do głowy nie przyszło. Był moim przyjacielem.

- Prokurator Erland sądzi po sobie - odrzekł sucho Czapla.

- Mógłbym coś na ten temat powiedzieć, ale w tej sprawie to nieistotne. Mimo wszystko, gdy usłyszałem całą historię, uwierzyłem, że był pan dla niego pewnego rodzaju bombą zegarową. W najlepszym wypadku wygadałby się pan przed kimś niechętny...

- Ale z czego!? Niech pan wreszcie mówi!

- A może pan mi opowie? - zaproponował Czapla. - Leine-Domizil? Co panu to przypomina?

- Dziś przypomina mi moje wczorajsze próby uspokojenia szaleńca. To nazwa knajpy w Hanowerze, niedaleko Landtagu. Pracowaliśmy tam w czasie studiów. Myślałem, że i Henry dobrze ten okres wspomina, ale chyba się myliłem.

- Pan prokurator Erland należał w czasie studiów do Juso, prawda? Nasz nowy kanclerz był przewodniczącym Juso, zanim został

posłem do Bundestagu. Ale Schröder odwiedzał czasem Hanower, Landtag i...

- Wiem! - wykrzyknął nagle Dirk. - Rozumiem! - Klepnął się w czoło. - Oczywiście, że byłoby głupio, gdybym się z tą historią wygadał niechcący! Ale przez myśl by mi nie przeszło szantażować Henry'ego. Dlaczego on ze mną zwyczajnie nie porozmawiał, nie uświadomił mi, jak ważna jest moja dyskrecja?

- Odpowiedź jest prosta: nie ufał panu. On nie ufał nikomu, tylko sobie. - wyjaśnił Czapla. - Tak więc, ponieważ nie wchodziło dla niego w rachubę polubowne załatwienie sprawy, nie pozostało mu nic innego, jak tylko zamordować pana.

- Tak na wszelki wypadek... - mruknął Dirk. Pomilczał chwilę i powiedział: - Tego wieczoru stałem za barem, Henry obsługiwał stoliki. Sala była pełna, miał grać jakiś znany jazzman. Schröder przyszedł z kilkoma jeszcze osobami i usiedli w kącie. Henry natychmiast podszedł do nich. Nie słyszałem, o czym mówili, ale zorientowałem się, że Henry liczył na zaproszenie do stolika, a otrzymał tylko zamówienie na piwo. On był zawsze przesadnie ambitny.

Wszedł do mnie za bar, wyklinając pod nosem Schródera, ustawił kilka piw na tacy, potem wziął jedno, powiedział: „Zasłoń mnie”, odwrócił się z tym kuflem do kąta, rozpiął spodnie i naszczał w piwo! Widziałem potem, jak postawił ten właśnie kufel przed

Schróderem.

- I co? - spytali równocześnie Czapla i Luk. - Schröder wypił?

- Nie. Podniósł do ust, powąchał, spróbował i zamówił wino.

- Dopóki Schröder nie został kanclerzem, a Erland nie zaczął robić w polityce kariery, zdarzenie to nie miało dla nikogo najmniejszego znaczenia - powiedział Czapla. - Ale im wyżej piąłby się Erland, tym łatwiej byłoby prasie rozdmuchać ten wyglup do rozmiarów afery państwowej.

- Ale skąd pomysł, że go szantażowałem? Wyjaśnił to?

- O tak! Podobno ścigał go pan telefonami i przy pomocy aluzji coraz bardziej zbliżał się pan do sedna sprawy.

- Aluzji?! Jakich?

- Chwileczkę, mam je tu... zanotowane. Podobno pan wielokrotnie i znacząco wspominał Leine-Domizil i Schródera, nazywając siebie cieniem przeszłości, grożąc „nie schowasz się przede mną”.

- Idiotyzm! Mówiłem tak, ale przecież nie żeby mu grozić! - zaprotestował Dirk. - Wspominałem wspólne wesołe czasy. Wspominałem naszą przyjaźń! To mania prześladowcza!

- Taka też będzie prawdopodobnie linia obrony. Przerost ambicji plus mania prześladowcza.

Na tym skończyli rozmowę. Dirk nie bronił się już od pytań, którymi zarzucił go Luk, gdyż sam zainteresował się teraz historią. Z dreszczem zgrozy przypominał sobie, jak łatwo uwierzył w przemianę Henry ego, jak naiwnie zastosował się do wszystkich jego wskazówek i jak niewiele brakowało, a leżałby teraz martwy na pustym leśnym parkingu nieczynnej gospody.

Henry powiedział, że w rozmowie z jednym z podejrzanych pozyskał informacje, które mogą wskazać mordercę Pagla. I że chce przekazać je Dirkowi. W pewnym sensie w charakterze przeprosin za dotychczasowe złe traktowanie. Z tego tłumaczył się stresem i kłopotami ze zdrowiem. Mówił, że następnego dnia komisarz

Lange będzie przesłuchiwał typa i zdobędzie te same wiadomości, więc jeśli Dirk chce go uprzedzić, muszą spotkać się jeszcze dziś.

Na zakończenie zabronił Dirkowi opowiadać komukolwiek o planowanym spotkaniu, bo jest w jego otoczeniu ktoś, kto... Tu dał do zrozumienia, że bomba listowa została zamajstrowana w Kirchdorfie. „Mam przyjaciółkę...”, zaczął Dirk, ale Henry mu przerwał:

„To nie twoja przyjaciółka ci zagraża, ale skąd możesz wiedzieć, z kim ona się kontaktuje? Jutro możesz opowiadać o wszystkim, komu zechcesz. Dziś milcz!”

Uszczęśliwiony Luk pognął do redakcji. Marzył mu się wspaniały artykuł i przedruki w poważniejszej prasie. Zupełnie zapomniał o Paglu i wszystkim, co było z nim związane.

Przeciwnie Dirk. Teraz, gdy sprawa bomby listowej została wyjaśniona, w układance pozostała już tylko jedna dziura: alibi Angeli Vogt. Sięgnął po słuchawkę.

- Nareszcie! - huknęła Edeltraud. - Siedzę jak na szpilkach!

Słyszałam o twoich przygodach i domyślałam się, że potrzebujesz odpoczynku. Ale jak długo można? Nie interesuje cię już sprawa

Angeli i Reintera?

- Właśnie dlatego dzwonię...

- No więc posłuchaj... Znalazłam!

Poniedziałek

Dirk i towarzysząca mu Edeltraud Funke na próżno kołatali do drzwi Angeli Vogt. Pań nie było w domu. Kirchdorf nie byłby jednak Kirchdorfem, gdyby po paru minutach nie uchyliło się okno w domku obok i uczynna sąsiadka nie złożyła czekającym szczegółowego sprawozdania.

- To nawet się dobrze składa - powiedział Dirk, gdy siedzieli znów w aucie. Wziął dziś radiowóz, bo głupio aresztować ludzi, a potem maszerować z nimi pieszo przez miasto. - Adwokat Schubert będzie mógł od pierwszego momentu wspierać prawnie swoje klientki. Mimo wszystko jestem wdzięczny, że zechciała pani ze mną pójść. Nie aresztowałem jeszcze nigdy kobiety z towarzystwa.

Co zrobię, jeśli dostanie ataku hysterii?

- E tam - Edeltraud wydeła lekceważąco wargi. - Nikt nie będzie histeryzował. Angela ma silne nerwy.

W tym jednak punkcie, jak pokazała najbliższa przyszłość, pani Funke się myliła.

Sekretarka mecenasa Schuberta powitała wchodzących surowym uniesieniem brwi. Niechętnie i powoli zdjęła z uszu słuchawki dyktafonu.

- Mają państwo termin? - spytała chłodno, wiedząc doskonale, że tak nie jest. - Doktor Schubert jest zajęty i...

- Wiem - przerwał jej Dirk. - Otwarcie testamentu Reintera Pagla. Poczekamy.

- ... bardzo mi przykro - kontynuowała sekretarka - ale dziś nic z tego nie będzie. Potrzebują państwo termin.

- Mam coś lepszego. - Dirk uśmiechnął się szeroko. - Pewien ważny dokument, przesłany mi dziś z prokuratury. A więc...

Nie dokończył. Domofon na biurku odezwał się zdenerwowanym głosem mecenasa:

- Panno Hinz! Proszę natychmiast do nas przyjść!

Sekretarka zerwała się z miejsca i już biegnąc do drzwi gabinetu szefa, wskazała nieproszonym gościom miejsce na kanapie. Usiedli. Nie zdążyli jeszcze otworzyć ust, żeby skomentować najświeższe zdarzenia, gdy sekretarka wypadła z kancelarii, jak wichur przebiegła przez pokój, zniknęła w łazience, a po chwili pojawiła się z mokrym ręcznikiem w ręce. I znów zamknęły się za nią dźwiękoszczelne drzwi.

- Coś się tam dzieje - zauważyła spokojnie pani Funke. Dirk był tego samego zdania.

Nie czekali długo. Panna Hinz wyskoczyła znowu z gabinetu i dopadła biurka. Drżącymi rękami przewracała kartki wielkiego notatnika, mamrocząc nerwowo:

- Lekarze, lekarze...

- Piętnaście zero osiem. Doktor Koch mieszka najbliżej - poinformowała sucho Edeltraud.

Sekretarka wystukała podany numer.

- Doktora! - krzyknęła w słuchawkę. - Niech doktor Koch natychmiast tu przyjdzie!... Tu! Do kancelarii doktora Schuberta.

An der Mauer 5! Klientka zasłała! - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Edeltraud: - Pani Funke... proszę, niech pani pomoże!

Jedna zasłała, druga krzyczy! Ja nie jestem pielęgniarką!

Edeltraud nie dała się prosić. Pośpieszyła za panną Hinz do gabinetu, lecz nim zniknęła za drzwiami, puściła do Dirka oko. Była w swoim żywiole. Dirk podszedł do okna i już po chwili zobaczył lekarza biegnącego z walizką w garści. Otworzył mu drzwi i wskazał kierunek. Własną ciekawość trzymał jednak na wodzy.

Cokolwiek się za zamkniętymi drzwiami odbywało, Dirk wolał nie być tego bezpośrednim świadkiem.

Minuty mijały. Dźwiękoszczelne drzwi nie przepuszczały żadnych odgłosów. Cierpliwość i ciekawość Dirka przechodziły ciężką próbę. Lecz właśnie w chwili, gdy przypomniał sobie o możliwości podsłuchiwania za pomocą domofonu, drzwi rozwarły się i stanął w nich mecenas Schubert.

- Pani Vogt pragnie pana widzieć - powiedział nieco podniosłym tonem. - Chwileczkę - dodał, widząc, że Dirk ruszył w stronę drzwi. - Pani Vogt nie jest w tej chwili zdolna do rozmowy.

Sprzeciwiam się temu z całą stanowczością jako jej adwokat. Doktor Koch może to potwierdzić. Pani Vogt przeżyła właśnie silny wstrząs. Sama nie wie, co mówi.

- A co mówi? - spytał Dirk.

Mecenas Schubert spojrzał na niego z naganą.

- Pani Vogt zostanie zaraz zabrana do szpitala... Dziś proszę już jej nie niepokoić!

Dirk sięgnął do kieszeni i bez słowa podał prawnikowi nakaz aresztowania.

- O! - Przez twarz Schuberta przemknęło zdziwienie. - Ma pan dowody?

- Nie radziłbym obstawać zbyt przy niewinności klientki. To strata czasu - powiedział Dirk z przekonaniem. - Domyślam się, że pani Vogt wzywa mnie, żeby złożyć samooskarżenie. Niech pan nie stara się wybić jej tego z głowy. Ona wie, co mówi, może tylko nie wie dlaczego. Nie wiem, co wywołało jej atak i spowodowało tę nieoczekiwaną szczerość... bo chyba słusznie się domyślam...

W każdym razie dokonam teraz aresztowań. Czy broni pan też Gizeli Neusch?

- Gizeli Neusch? - zdziwił się szczerze adwokat. - Co jej pan zarzuca?

- Współdziałł w morderstwie. Według mojego rozpoznania Angela Vogt i Gizela Neusch, wracając w sobotę wieczorem z kościoła, obie weszły do willi denata. Angela zabawiła tam krótko.

Zastrzeliła Reintera Pagla z pistoletu, który jej ojciec przywiózł jako pamiątkę z wojny. Całą nudną resztę zostawiła swojej wiernej niewolnicy. To Gizela przykryła ciało elektrycznym kocem. Dlatego, choć centralne ogrzewanie nie było jeszcze włączone, trup stygł bardzo powoli. I z tego właśnie powodu najwcześniejszy czas dokonania zbrodni został ustalony na późny sobotni wieczór, gdy obie

panie od dawna już były w domu. W poniedziałek rano Gizela, zanim zadzwoniła na policję, uspiła psy i usunęła koc. Pozostały po nim tylko pogniecenia na niewłaściwej stronie garnituru ofiary.

- A ja myślałem - powiedział adwokat powoli - że pani Vogt oskarża się, że tak powiem, w przenośni. Że szok spowodowany odziedziczeniem tak znacznego majątku wzbudził w niej jakieś nierozsądne poczucie odpowiedzialności.

- To Pagel coś zapisał Angeli?

- Wszystko. Zostawił też dla niej list. Właśnie po przeczytaniu tego listu pani Vogt straciła panowanie nad sobą.

- Przepraszam... - wtrąciła się nagle panna Hinz. Nie zauważyli, kiedy podeszła. - Pan Tielke jest proszony...

Angela Vogt leżała na skórzanej kanapie, blada i nieruchoma, z wyrazem bezbrzeżnej rozpacz na twarzy. Do piersi przyciskała kurczowo grubą kawową kopertę. Edeltraud Funke gładziła leżącą po włosach. U stóp chlebobawczyni, z twarzą ukrytą w dłoniach, siedziała skulona Gizela Neusch. Doktor Koch powoli i starannie pakował walizeczkę. Widać było, że nie opuści interesującego przedstawienia.

- To ja zabiłam Reinera - szepnęła Angela, widząc wchodzącego policjanta. - Teraz jest już za późno...

- Muszę panią zaaresztować. I panią Neusch także.

- Gizela nie jest winna. Robiła tylko to, co ja jej kazałam.

Dirk nie odpowiedział. Nieoczekiwanie ogarnęło go zniechęcenie. Widok dwóch pogrążonych w rozpacz zbrodniarek nie

wzruszał go. Wspomnienie śmierdzącego trupa nie wypiękniało tylko dlatego, że motyw zbrodni okazał się niecodzienny, a morderca nie był najemnikiem, lecz działał z osobistych pobudek. Wygłaszając przepisową formułkę, zapragnął znaleźć się już daleko stąd.

Wyciągnął telefon komórkowy, żeby wydać polecenia w sprawie transportu aresztowanych.

- Panie inspektorze - usłyszał nagle szept Angeli. - Przyznałam się już. Niech mnie nie męczą pytaniami... - Wyciągała do niego dłoń z kopertą. - Niech pan to przeczyta i powie im, żeby mi już dali spokój. Niech mnie zamkną w więzieniu, ale niech mnie nie dręczą... Nie chcę o tym mówić!

Dopiero wieczorem Dirk znalazł czas i siły, żeby zaznajomić się z treścią listu Reintera Pagla do Angeli Vogt. Listu, który ów napisał niecały tydzień przed swoją śmiercią, poniekąd ją przewidując.

Zwierał się jednak bez emocji, spokojnie, a nawet dość rozwlekle.

Wyglądało na to, że miał zamiar otworzyć nowy rozdział własnego życiorysu.

Angelo, A więc nie żyję... Głupio tak zaczynać, ale jak wiesz, jest to prawda. Inaczej nie czytałabyś tego listu. Wiem nawet, że umarłem śmiercią nagłą i prawdopodobnie nienaturalną. Gdyby było inaczej, zdążyłbym się z Tobą ożenić i osobiście złożyć wyznanie, które znajdziesz w tym liście. Nie mam na świecie nikogo prócz Ciebie. Mój adwokat powiedział Ci już, że zapisałem Ci wszystko, cały mój majątek. Możesz z nim zrobić, co chcesz. Piszę to na

wypadek, gdybyś wzdragała się przyjąć pieniądze zarobione w taki sposób, jak ja to robiłem. Może użyjesz tych bogactw, aby naprawić choć część krzywd, które wyrządziłem.

Tak, moja mała Angelo, nie żyję i nie wiem nawet, czy zdążyliśmy ustalić datę ślubu, czy choć raz wzięłem Cię w ramiona jak kobietę...

Czy płaczesz po mnie? Tak, chciałbym tego, choć z drugiej strony za nic w świecie nie wyrządziłbym Tobie krzywdy. Jesteś jedynym człowiekiem w całym moim życiu, który mnie kochał i cenił. Twoja wiara we mnie była tak wielka, tak niezachwiana. Gdy wszyscy, nawet rodzice, odwrócili się ode mnie, ty jedna pozostałaś niezmienną.

Wtedy byłaś jeszcze dzieckiem, nie rozumiałaś, co mi się zarzuca, za co zostaję ukarany. Ale potem... Potem na pewno opowiedziano Ci wszystko. A jednak pozostałaś mi wierna. A ja? Jak ja postępowałem wobec Ciebie po moim powrocie w rodzinne strony? Zakazałem Ci spotkań ze mną, zgodziłem się jedynie na rzadkie telefony, pokazywałem się w mieście z Brigitte. Cały Kirchdorf wiedział, że Brigitte zostanie moją żoną, ale Tobie wystarczyło jedno moje słowo i znów czekałaś, wierna i cierpliwa.

Na początku tego listu wspomniałem, że sposób, w jaki zrobiłem majątek, nie był moralny. Nie był nawet legalny. I takie też było całe moje życie. Powiem Ci szczerze, znajdowałem w nim przyjemność, nie byłem ofiarą okoliczności. Jeżeli po mojej śmierci wybuchły w Kirchdorfie na mój temat plotki, to wierz mi, wszystko jest w dużym

stopniu prawdą. Kto wie zresztą, czy fantazja naszych ziomków zdolna jest ogarnąć rzeczywiste rozmiary moich przestępstw. Chciałem Ci to wszystko wyznać sam. Wybacz mi, że choć znałem Twoją wierność i stałość, nie zdobyłem się wcześniej na tę spowiedź, że chciałem najpierw związać się z Tobą nierozzerwalnymi więzami, ożenić się z Tobą, a dopiero wtedy opowiedzieć całą prawdę.

Odwiedzaj czasem mój grób...

Dziwna wydaje mi się ta myśl, że gdy czytasz mój list, ja już nie żyję. Teraz, gdy piszę go, jestem żywy! Jestem jak najbardziej żywy i zdrowy. Teraz potrafię marzyć o naszej wspólnej przyszłości. Przymykam oczy i moja mała narzeczona znów siedzi przy mnie na rynku koło fontanny, z buzią umazaną lodami malinowo-cytrynowymi - dobrze pamiętam? - i opowiada mi o naszym ślubie i weselu. Biała suknia z welonem, biały powóz, siwe konie z grzywami do ziemi, chmura białych gołębi...

Wszystko to pamiętam i pamiętałem zawsze. Ten obraz, który początkowo bawił mnie tylko, z biegiem lat stał się moją ucieczką, moją nadzieją. Żyłem po uszy pogrążony w złu i dobrze mi z tym było. Ale jak palacz, który wie, że papierosy wpędzą go do grobu, jeśli ich nie porzuci, tak i ja wiedziałem, że kiedyś trzeba będzie z tym wszystkim, co stanowiło moje życie, skończyć. Ale nie chciałem zostać zwyczajnym emerytowanym gangsterem, jeżeli to w ogóle jest możliwe. Nie.

Ja chciałem wrócić w legalność. Ty miałaś mi w tym pomóc. Ta bajkowa wizja naszego ślubu i wesela, którą stworzyłaś jako dziecko,

była mi światłem przyświecającym w ciemnościach, gwiazdą, która zbląkanego wędrowca miała sprowadzić na właściwą drogę.

Przepraszam, to nie tak. Upiększam, jak zawsze, gdy zwracam się do Ciebie. Naprawdę to ja przez całe lata prawie że nie myślałem o Tobie. Nie istniałaś w moim życiu, nie było w nim dla ciebie miejsca.

Tylko w chwilach, gdy brzydło mi to wszystko, gdy rozważałem możliwość wycofania się z interesów, przypominałem sobie Ciebie. I było tak dobrze wiedzieć, że jesteś, że czekasz, że we mnie wierzysz. Zachorowałem kiedyś na ciężką gripę z komplikacjami. Zabrano mnie do szpitala. Myślałem, że umrę. Moi „przyjaciele” też mieli te obawy.

Zacząli codziennie mnie odwiedzać, siedzieli przy moim łóżku, czekając na przytomniejsze momenty.

Tak bardzo pragnęli załatwić ze mną jeszcze parę ostatnich interesów, tak bardzo bali się, że coś stracą...

Wtedy właśnie postanowiłem zmienić swoje życie. Wróciłem do Kirchdorfu, zawiadomiłem Cię, że tylko patrzeć, jak staniemy na ślubnym kobiercu, zgodziłem się przyjąć do pracy Gizelę. Ale ciągle jeszcze dawne życie mocno trzymało mnie w szponach. I nie tylko to.

Zrozumiałem, że nie wystarczy mi przestać zajmować się tym, czym się zajmowałem, że trzeba będzie odpokutować za grzechy. Wybacz, Angelo, ale nawet Tobie - właśnie Tobie - nie będę opowiadał szczegółów. Musi wystarczyć Ci to, że gdy piszę „pokuta”, mam na myśli kilka lat więzienia. Zacząłem naradzać się z adwokatem. Dowiedziałem się, że jeśli zostanę świadkiem koronnym,

czyli jeśli zgodzę się na gruntowne sypanie kumpli, to odpuści mi się połowę kary. Dwa, trzy lata - tyle byś jeszcze wytrzymała, prawda? Adwokat pojechał do Hamburga i skontaktował się z prokuraturą. Jak się okazało, moja skrucha przyszła w samą porę. Organizacja, do której należałem, a właściwie należę nadal, od pewnego czasu była już obserwowana.

Wiem, że lada dzień się zacznie. Aresztowanie, proces, więzienie.

Nie chcę, żeby Kirchdorfna ten temat plotkował. Tobie opowiem znów jakąś bajkę. Może będę musiał leczyć gruźlicę gdzieś w ciepłych krajach... Ale na pocieszenie podaruję Ci najpiękniejszą suknię ślubną, jaką możesz sobie wyobrazić. I poproszę, żebyś jako moja narzeczona na ten czas zamieszkała w moim domu.

A gdy wrócę, wyprawimy wesele. Z karetą i z gołębiami, i cały Kirchdorf zobaczy, że Reiner Pagel pozostał wierny swojej pierwszej, jedynej miłości.

Angelo, teraz wiesz, dlaczego zginąłem. Moje kontakty z prokuraturą starałem się utrzymać w tajemnicy przed tymi, których miałem wydać. Widocznie nie udało mi się. Już od dwóch miesięcy nie opuściłem Kirchdorfu, nie wyszedłem poza moją posiadłość. Mam trzy obronne psy, zakratowane okna i system alarmowy. Pod biurkiem przykleiłem pistolet. Tylko z tobą rozmawiam czasem przez telefon, tylko Gizelę widuję i Martina Bocka.

Nie lubię Gizeli. Może dlatego, że patrzy na mnie zawsze z takim potępieniem? Ona nie ma co do mnie złudzeń, ale przez oddanie

dla

Ciebie gra moją grę i milczy.

Martin Bock... Wiesz, to śmieszne, ale wydaje mi się, że on mnie lubi. Podaruj mu, jeśli chcesz, parę antyków jako pamiątkę po mnie.

Podaruj mu także to wielkie mahoniowe łóżko z sypialni, jeżeli tam jeszcze stoi, jeżeli nie zdążyłem się już go pozbyć. Nie chcę, żebyś Ty na nim sypiała. Ma nieładną historię.

Nie musisz tego listu pokazywać policji, Angelo. Nie wiem, kto mnie zabił. Znow ten dreszcz, gdy napisałem o swojej śmierci jako o fakcie dokonanym... To był najprawdopodobniej jakiś płatny morderca, moi przyjaciele nie brudzą sobie przecież rąk. I z pewnością wszyscy mają alibi.

Czy pamiętasz nasze zaręczyny, Angelo? Wyciągnąłem z automatu pierścioneł, ale na twój cieniutki paluszek był on o wiele za duży.

Na drugi dzień dostałaś ode mnie inny, mniejszy. Nie pytałaś, jak go zdobyłem, i słusznie. W nocy włamałem się do automatu i wybrałem taki, jak trzeba. Powiedziałaś, że mamy teraz dwa pierścionki, a ja odpowiedziałem, że wobec tego możemy się zaręczyć. Spytałem: „Zostaniesz moją żoną, Angelo?”, a Ty odpowiedziałaś poważnie: „Zostanę, jak będę duża, musisz poczekać”. Zapomniałem o tym na całe lata, ale Ty nie. To Ty napisałaś ten list, prawda? Groziłaś mi... Mogłem wtedy pójść do Ciebie i raz na zawsze wyjaśnić sprawę. Nie zrobiłem tego, uciekłem

z Kirchdorfu, a potem zadzwoniłem do Ciebie i znów ugłaskałem Cię jakąś bajką. Dlaczego? Myślę, że właśnie wtedy zrozumiałem, że nie chcę Cię stracić. Zachowałem Cię, jak smakowity kąsek, na później. Na dużo później, jak widzisz.

Dziś, zanim zasiadłem dopisania, odszukałem ten stary pierścionek. Nie wyrzuciłem go, nie zgubiłem. Wsunąłem go na mały palec.

Tak śmiesznie, tak wzruszająco wygląda obok mojego sutenerskiego pierścionka z brylantem! Nie mogłem go już zdjąć. Szarpałem i kręciłem nim przez kilka minut, aż nagle zdecydowałem inaczej. Niech ten symbol naszej niewinnej, dziecięcej miłości pozostanie na moim palcu, niech mi teraz, gdy nadejdą dla mnie ciężkie czasy, przypomina, że jest ktoś, dla kogo to wszystko warto znieść.

Aegnaj, Angelo. I wybacz.